

---

*Sandy Hingston*

---

---

*Romans Classic 19*

---

---

*Szansa na miłość*

---

---

# Prolog

---

*Akademia pani Treadwell dla podniesienia poziomu umysłowego młodych dam Kent, Anglia  
wrzesień 1815*

- Z ogromnym bólem dowiaduję się, panno Finn, że poniosła pani tę tak wielką stratę. - Pani Treadwell przemawiała tonem serdecznym i współczującym, dokładnie takim, jaki nakazywała pełniona przez nią funkcja przełożonej akademii dla dziewcząt.

- Bardzo uprzejmie pani dziękuję - odpowiedziała Claire Finn, która siedziała ze zwieszoną głową, wykręcała sobie dłonie i odzywała się głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

Jej wuj, Gannon Finn, lord Carew, odchrząknął.

- Jest rzeczą zrozumiałą, pani Treadwell, iż w tym trudnym okresie największe dla mnie znaczenie ma podniesienie mojej bratanicy na duchu... na nic innego nie możemy liczyć, jako że szczęście jest czymś niewyobrażalnym.

- Oo, tak - zaszemrała Greer Delaney, dorodna, oszłamiająca blondyna, która przycupnęła na kanapie u boku Carew. - Szczęście jest wykluczone. Bez wątpienia.

Pani Treadwell nabyła już przez lata doświadczenia w kontaktach z istotami typu panny Delaney, a mimo to nie zdołała się całkiem powstrzymać od prychnięcia.

- Młodzi ludzie są wspaniale elastyczni - powiedziała stanowczo. - Ufajmy, że panna Finn również się taka okaże. My ze swej strony, tutaj w akademii, dołożymy wszelkich starań, by dobrać odpowiednie lekcje i rozrywki, które pomogą odwrócić jej myśli od tej straszliwej tragedii.

Claire, szczupła, ciemnowłosa siedemnastolatka, w żaden sposób nie zareagowała na te budujące słowa. Ale jej wuj - bardzo wysoki, nieco groźnie wyglądający dżentelmen, odziany w ponurą, chociaż modną czerń - przytaknął, a panna Delaney dorzuciła:

- O, tak, tak!

- Oczywiście ilekroć zechce pan bratanicę odwiedzić, będzie pan mile widziany - dodała kojąco pani Treadwell, tłumiąc przelotną chęć, by dać tej głupiutkiej blondynce porządnego klapsa.

Błada, ładna twarzązka Claire ożywiła się po raz pierwszy od początku rozmowy.

- Wujku Gannonie - wyszeptała, a głos jej wydawał się równie kruchy jak cała postać - niech mi wujek tego nie robi. Proszę mnie tutaj nie porzucać.

Zanim lord Carew zdążył zareagować, włączyła się do rozmowy blondynka.

- Porzucać cię? Ależ co ty możesz przez to rozumieć, Claire? Trudno postępek lorda Carew nazywać porzucaniem, jeżeli pragnie on zadbać, byś miała u pani Treadwell dobrą opiekę i przebywała w towarzystwie przyjaciółek w twoim własnym wieku.

- Nie mam tu żadnych przyjaciółek - odparła Claire, a w jej oczach błysnęła iskierka ożywienia.

- Jestem pewna, że będziesz miała, i to bardzo szybko - oznajmiła panna Delaney i oplotła dużo potężniejszą dłoń jego lordowskiej mości palcami, ukazując przy tym zaręczynowy pierścień z okazałym rubinem.

Lord Carew przeniósł wzrok na bratanicę i odsunął z czoła falujące czarne włosy.

- Claire - odezwał się łagodnie, w jego głosie pobrzmiwał mocny, irlandzki akcent - chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze.

- A ja chcę zostać z wujem - powiedziała żałośnie dziewczyna.

- Tego się po prostu nie da zrobić - stwierdziła panna Delaney i poczęstowała się polanym syropem ciastkiem z podwieczorkowej tacy.

- A czemu nie? - zapytała Claire.

- Przecież twój wuj to bardzo ważny człowiek! Odpowiada za wiele spraw...

- A czy nie odpowiada również za mnie?

- Ależ oczywiście, że tak - zapewnił lord Carew, a jego głos zrobił się nagle ochryply. - Ale, Claire...

Pani Treadwell zdecydowała, że pora wtrącić się do rozmowy.

- Ogromnie chciałabym, by dała pani naszej akademii szansę, panno Finn. Mamy tak wiele do zaoferowania. Chyba nie będę sobie

pochlebiać, jeśli powiem, że nasz program nauczania dorównuje poziomem najwspanialszym programom w całej Anglii. Sądząc po tym, co pisał do mnie pani wuj, ma pani dobrą głowę do nauki.

- Moja bratanica jest wyjątkowo bystra - potwierdził z dumą lord Carew.

- Żywej duszy tu nie znam - oświadczyła Claire, a głos jej przycichł niemal do szeptu.

Pani Treadwell westchnęła. Bardzo dobrze znana jej była opinia osławionego hulaki, jaką cieszył się lord Carew, i w głębi serca wiedziała, że tu, w akademii, pod jej skrzydłami, Claire Finn będzie się wiodło dużo lepiej niż pod opieką wuja. Umocniło ją w tym przekonaniu zwłaszcza zachowanie panny Delaney, która w krańcowo nieprzyzwoity sposób czepiała się jego lordowskiej mości. Czterdziestoletni kawaler, mający reputację uwodziciela, od której mogło się w głowie zawrócić, nie nadawał się raczej na opiekuna dla tak delikatnej osóбки jak panna Finn. Zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę skomplikowane okoliczności...

- A może pomogłoby - podsunęła - gdyby się pani zapoznała z kilkoma naszymi uczennicami. - Potrząsnęła dzwonkiem, który miała pod ręką, i w drzwiach pojawiła się pokojówka w schludnie wyprasowanym, czarno-białym stroju. - Clarisso, bądź tak dobra i poproś pannę Carstairs i pannę Boggs, żeby się do nas przyłączyły.

Clarissa dygnęła i wyszła, by wypełnić polecenie przełożonej. W kilka chwil później - chwil wypełnionych niezręcznym milczeniem, podczas których panna Delaney gładziła lorda Carew po rękawie i uśmiechała się do niego z miną zadurzonej krowy, jak to w myśli określiła pani Treadwell - na schodach rozległ się tupot. Przełożona się uśmiechnęła. Dziewczęta, była tego pewna, sprostają każdemu rzuconemu im wyzwaniu.

- Panienki - odezwała się - oto panna Claire Finn, nowa i nieprzekonana jeszcze uczennica. Panno Finn, proszę pozwolić, że przedstawię pani pannę Elizabeth Boggs i pannę Gwendolin Carstairs.

- To niesprawiedliwe - oznajmiła natychmiast Bess. - Absolutnie niesprawiedliwe. Ona jest stanowczo za ładna. Nie przyjmujemy jej. Przy niej będziemy wyglądały jak paskudy. Nie sądzisz, Gwen?

- Rzeczywiście jest śliczna - odpowiedziała z namysłem Gwen - ale

wydaje się okropnie przygnębiona.

- Rodzice panny Finn zostali zamordowani podczas ataku na ich powóz zaledwie dwa tygodnie temu - napomknęła pani Treadwell.

- Och, dobry Boże! - zawołała Gwen, wstrząśnięta. - Jakie to musi być okropne dla pani, panno Finn. Tak strasznie mi przykro.

Bess również natychmiast pozbyła się całej niefrasobliwości.

- Proszę mi wybaczyć te żarty. Nie miałam pojęcia. - I ku pewnemu zdumieniu panny Finn przeszła przez pokój i mocno objęła ciemnowłosą dziewczynę ramionami. - Czasami boskie zamiary wydają się całkiem niepojęte, prawda?

- Och, tak! - zawołała Claire, wtulając twarz w ramię Bess. - Wszyscy powiadają, że muszę być niezłomna i dzielna, i zachować wiarę, ale ja nie mam już wiary! Bo i skąd miałabym ją wziąć?

- Zupełnie nie widzę, skąd - przyznała Gwen z namysłem. Panna Delaney, najwyraźniej nieco rozzłoszczona tym, że dziewczęta nie zwracają na nią uwagi, chociaż ma na sobie najmodniejsze stroje i kapelusz, odchrząknęła.

- Była to dla nas wszystkich niepowetowana strata - wtrąciła. Gwen popatrzyła na nią.

- A kim pani jest?

Lord Carew cichuteńko parsknął.

- To panna Delaney, moja narzeczona - wyjaśnił. Bess zmierzyła go spojrzeniem od góry do dołu.

- A kim pan jest? - zapytała.

- To jest wuj Gannon, brat mojego ojca - przedstawiła go Claire, nadal stojąc w objęciach Bess. - Mój opiekun.

- A - pokiwała głową Bess. I jakoś tak wypowiedziała to jedno słowo, że śliczne, smutne oczy Claire zabłyśły ożywieniem.

- Wuj Gannon powiada, że nie może zatrzymać mnie przy sobie, bo jest za bardzo zajęty - dodała Claire.

- Naprawdę? Mój papa mówi to samo - poinformowała Gwen nowo przybyłą. - Doprowadza mnie to do wściekłości. A panią nie?

- Słuchajcie no, panienki - wtrącił nagle lord Carew, szarpiąc krótką czarną brodę. - Faktem jest, że jako człowiek światowy mam mnóstwo spraw i sprawek...

Tym razem to Bess parsknęła i znacząco spojrzała na pannę Delaney.

- Chciałem powiedzieć - poprawił się pospiesznie Carew - że istnieje cały szereg obciążających mnie obowiązków...

- Obowiązki - wyszeptała bezgłośnie Gwen do Claire. - Tym samym tłumaczy się mój papa.

- Panienki, panienki - zwróciła im uwagę pani Treadwell, chociaż w rzeczywistości stała całkowicie po ich stronie. Wydawało jej się haniebne, że lord Carew mógłby zostawić bratanicę tutaj wbrew jej życzeniom tak szybko po tragicznej śmierci rodziców.

- Czy debiutowała już pani? - zapytała Bess Claire, która potrząsnęła głową.

- Nie. Mama i papa zamierzali wprowadzić mnie w towarzystwo w przyszłym sezonie.

- My też jeszcze nie miałyśmy debiutu - powiedziała Gwen. - Przynajmniej oficjalnego. Chociaż bywałyśmy na balach wiejskich i takich tam. A pani?

- Mój świętej pamięci brat zwykł był trzymać pannę Finn w odosobnieniu w swoim domu w Irlandii - wtrącił lord Carew, który wciąż jeszcze próbował być górą w tej rozmowie. - A to jeszcze jeden powód, dla którego sądziłem, że akademia pani Treadwell dobrze jej się przysłuży.

- O, tak. Oo, ta... - zaczęła panna Delaney, ale urwała, bo i Bess, i Gwen popatrzyły na nią z palącą pogardą.

Po twarzy Claire Finn przemknął uśmiech.

- Mogę pani powiedzieć tylko jedno - Gwen zwróciła się do Claire. - Jeżeli ma już pani zostać porzucona przez rodzinę...

- Słuchaj no, panno! - ryknął lord Carew. - Ja wcale nie...

- ... to lepszego miejsca pani nie znajdzie - ciągnęła Gwen wyraźnie i stanowczo.

- Ja również za to ręcę - dodała Bess.

- Tak więc jeżeli ma pani jedynie do wyboru zostać tu albo być piątym kołem u wozu w domu... - mówiła Gwen.

- Ona wcale nie jest piątym... - zaczął jej wuj.

- Lepiej znaleźć się w jakimś takim miejscu, gdzie panią docenią - dokończyła ze spokojem Gwen, ignorując piorunujące spojrzenie lorda

Carew. - A tutaj panią docenią na pewno.

Claire Finn podniosła oczy na panią Treadwell.

- Lubię je - powiedziała przełożonej.

- Och, ja również - uśmiechnęła się serdecznie pani Treadwell.

- A ja wcale nie jestem pewna, czy mnie się podobają! - zawołała panna Delaney. - Wydają mi się niesłychanie zuchwałe!

- Pokapała pani sobie czymś stanik sukni - zauważyła Gwen. - O ile się nie mylę, syropem.

Panna Delaney ze zgrozą popatrzyła na swoje łono. Claire zachichotała. A pani Treadwell, nie spuszczającej oczu z lorda Carew, wydało się, że zauważyła na jego twarzy uśmiech, który szybko ukrył, podnosząc filiżankę z herbatą. Naprawdę, ta rozmowa była zupełnie niezwykła! Przyszło jej na myśl, że powinna przywrócić bardziej konwencjonalną atmosferę.

- Moja droga panno Finn - zaczęła - może miałyby pani ochotę w towarzystwie panny Boggs i panny Carstairs zwiedzić naszą szkołę?

- Z wielką ochotą - oznajmiła Claire.

- Czy pójść z tobą? - zaproponował lord Carew.

- Nie ma potrzeby - ucięła panna Delaney.

- Co panią najbardziej interesuje, panno Finn? - zapytała Bess, kiedy we trzy kierowały się do drzwi.

- Nie potrafię powiedzieć - przyznała Claire. - Wcale nie jestem dobrze wykształcona.

- Pani Treadwell dopilnuje, żeby nauczyła się pani wszystkiego, co powinna pani umieć przed debiutem - zapewniła z przekonaniem Gwen i wyszły z salonu.

Lord Carew gładził się po brodzie.

- Pani uczennice... są szczerze aż do bólu, czyż nie? I pewne siebie - odezwał się do pani Treadwell.

- A czemu nie? Zapewniamy tym młodym damom najlepsze wykształcenie w całej Anglii. Uczymy łaciny, matematyki, nauk ścisłych ogólnych i konkretnych, literatury, francuskiego...

- I nigdy nie martwi pań to, że wychowacie grono sawantek? - zapytała nonszalancko panna Delaney. - Ja sama kształciłam się nie dłużej niż przez sześć lat, a uczyła mnie u rodziców guwernantka. I sama



pani widzi, jak mi to posłużyło.

- Nie mogłabym się bardziej z panią zgodzić - zamruczała jak kotka pani Treadwell, do reszty wytrącając blondynkę z równowagi.

Lord Carew pogładził się znowu po brodzie; niewykluczone jednak, że tym razem chciał ukryć uśmiech.

- Jestem pod wrażeniem charakteru pani młodych wychowanek, pani Treadwell.

- A ja wcale nie! - oznajmiła panna Delaney.

- Niechże pani będzie cicho, Greer - zwrócił jej uwagę lord Carew. - Pani nie ma z tym nic wspólnego.

- A właśnie, że mam! - odparła obrażona. - Kiedy się pobierzemy, panna Finn stanie się również moją podopieczną. A ponieważ ciężar wprowadzenia jej w towarzystwo spadnie na mnie, wołałabym, by nie nabyła szkodliwych nawyków i manier, które będę miała obowiązek wykorzenić! Lord Carew zmierzył ją spojrzeniem szarych oczu.

- Może więc jednak najlepiej byłoby, gdybym zatrzymał bratanicę przy sobie, żeby z większą łatwością mogła wchłaniać pani wpływy.

- Dobry Boże, tylko nie to! - wykrzyknęła panna Delaney z taką gwałtownością, że sama się zmytygowała i postanowiła usprawiedliwić. - Jak pan wspominał, milordzie, jest pan człowiekiem światowym... ma pan bardzo wiele zainteresowań i zajęć. Żeby już nie wspomnieć o powikłaniach związanych z majątkiem pańskiego brata... Myślę, że z pewnością najlepiej będzie, jeżeli zgodnie z pana sugestią Claire pójdzie do szkoły. Nie jestem tylko przekonana, czy akademia pani Treadwell jest odpowiednim miejscem.

- A ja jestem - odparł krótko lord Carew. - Oczywiście, jeżeli jej się spodoba, a zaczyna mi się wydawać, że tak się stanie. W naszej korespondencji nie poruszaliśmy sprawy opłat, pani Treadwell. Na jaką sumę mam wystawić czek za pierwszy semestr?

- Nasze czesne, które oczywiście obejmuje zakwaterowanie i utrzymanie, jak również materiały potrzebne do nauki, wynosi... - Pani Treadwell urwała, ponieważ drzwi do saloniku otworzyły się gwałtownie. Do środka wpadła drobniutka dama z kaskadą czarnych loków nakrytych milutkim, słomkowym kapelusikiem w stylu włoskim, przy którym to, co miała na głowie panna Delaney, zaczęło przypominać



kosz na kartofle. Zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Słowo daję, Evelyn - oświadczyła owa osóbką porywczco, poprawiając jedwabną spódnicę w żółte i białe pasy - nie uwierzyłabyś, ile czasu zajęło mi przekonanie tego głupiego osła Forrestera, iż zdolności Petry do matematyki należy raczej wysławiać pod niebo niż...

Pani Treadwell z emfazą odchrząknęła.

- Lady d'Oliveri, mamy gości. Proszę pozwolić, że dokonam prezentacji. Lordzie Carew, to jest... - Tu znowu urwała, tym razem dlatego, że nowo przybyła po prostu skamieniała; jej czerwone wargi lekko się rozchyliły, ciemne oczy zrobiły się okrągłe z niedowierzania.

- Ty - szepnęła, a w to jedno słowo włożyła taki ładunek wstrętu i obrzydzenia, że biedna pani Treadwell całkiem straciła wątek i nie wiedziała, jak dokończyć prezentacji, której wymagał od niej konwenans.

- Ty - odpowiedział lord Carew, podnosząc się ze swego miejsca i wpatrując się w kobietę w pasiastej jedwabnej sukni; jego wypowiedź była równie bogata w podteksty.

Na chwilę zapadła kompletna cisza. Potem hrabina lekko poruszyła swymi elegancko odzianymi ramionami, jakby zrzucała z nich coś drażniącego i paskudnego.

- Bardzo państwa przepraszam - powiedziała całkowicie odmiennym tonem, gładkim, opanowanym i kulturalnym. - Nikt nie zadał sobie trudu, by mnie poinformować, pani Treadwell, że ma pani gości. Chyba najlepiej będzie, jeżeli się oddalę.

- Jedną chwileczkę, jeśli pani tak łaskawa. - Niski głos lorda Carew brzmiał jak pomruk grzmotu, groźny, chociaż daleki. - Chyba nie zatrudnia pani tej osoby w swojej akademii, pani Treadwell?

- Kto to jest? - dopytywała się natarczywie panna Delaney, ciągnąc go znowu za rękaw. - Muszę zdobyć nazwisko jej modniarki!

Pani Treadwell zerknęła na hrabinę, błagając ją spojrzeniem o ratunek. Nie powinna była się martwić.

- Tak się składa, że pracuję tutaj - oznajmiła chłodno hrabina, a potem wbiła spojrzenie w blondynkę, która czepiała się jego lordowskiej mości. - Czy to pańska córka, którą przybył pan do nas zapisać?

Pani Treadwell bliska była omdlenia.

- Dosyć już, lady d'Oliveri, niech pani nie będzie niemądra. To narzeczona lorda Carew, panna Delaney.

- Narzeczona? Doprawdy? Pomyślcie państwo tylko - powiedziała hrabina, wydymając wargi. - No cóż, przypuszczam, że to właściwe, by mężczyzna szukał sobie żony na tym samym poziomie dojrzałości, co on sam.

- Christiane! - Pani Treadwell zbladła.

- Muszę powiedzieć - zauważył lord Carew, z trudem opanowując pomruk grzmotu w głosie - że szkoła dla dziewcząt jest ostatnim miejscem, w którym spodziewałbym się panią spotkać, panno Roxell.

- Nie jestem już panną Roxell - odpaliła hrabina. - Nie nazywam się tak od dłuższego czasu.

- Chce pani powiedzieć, że naprawdę znalazł się mężczyzna chętny, by się z panią ożenić?

- Niech pana diabli wezmą - warknęła na niego Christiane. - Raczy pan zapamiętać, że jestem hrabiną d'Oliveri.

Lord Carew pokiwał głową, tym razem on wydał wargi.

- Cudzoziemiec. Oczywiście.

- Był mężczyzną w najwyższym stopniu kulturalnym, o doskonałych manierach... stanowił uderzające przeciwieństwo pewnych znanych mi Anglików.

- Właśnie o tym marzy każda kobieta, wychodząc za mąż... by małżonek był kulturalny i dobrze wychowany - stwierdził lord Carew ze zdumiewającą, zdaniem pani Treadwell, arogancją. - Nie przypuszczam, by... czystym przypadkiem, oczywiście... złożyło się tak, że okazał się również stary, bezpotomny i posiadał znaczną fortunę.

- Ty sukinsynu! - niemal wrzasnęła Christiane i ruszyła w jego kierunku z dłonią uniesioną w górę, jakby go chciała spoliczkować.

- Christiane! Lordzie Carew! Dość tego! - zawołała pani Treadwell, zrywając się z fotela. Stanęła między nimi, bezgranicznie skonsternowana zjadliwością słów, jakimi się obrzucali.

- Nie mam temu człowiekowi nic więcej do powiedzenia - oznajmiła hrabina, odwracając się znacząco.

- No cóż, ja mam coś do dodania - rzekł lord Carew. - Gdybym chciał zostawić moją bratanicę w szkole, w której ta... ta... ta...

Christiane okręciła się jak fryga i zaatakowała go.

- Ta... co, milordzie? Proszę kontynuować; niech pan nie zapomina języka w gębie.

- Lordzie Carew - wtrąciła z desperacją pani Treadwell. - Hrabina jest moją partnerką w akademii, to prawda. Ale sam pan pisał do mnie, że poleciła nas panu matka panny Westin. Mogę pana zapewnić, że pani Westin jest w pełni świadoma powiązań, jakie łączą nas z hrabiną, i że pochwała je. Co więcej, wyłącznie hrabinie zawdzięczamy to, że panna Westin i lord Fanning zdołali się pobrać. Mogę podać panu nazwiska innych zadowolonych rodziców...

- Carew, nie rozumiem. Co się tutaj dzieje? - pytała narzeczonego panna Delaney cichym, jakby zasapanym głosem, trzepocząc w jego kierunku rękami.

- Carew, nie rozumiem. Co się... - zaczęła Christiane, przedrzeźniając ją w sposób druzgocący.

- Zamknij się, Greer - rozkazał lord Carew, potem spiorunował hrabinę spojrzeniem. - I ty się też zamknij.

- Zmusz mnie - powiedziała Christiane tonem zbuntowanej pięciolatki.

Pani Treadwell miała dość tej sytuacji.

- Słuchajcie państwo! - oznajmiła surowo. - Wydaje mi się, że jesteśmy wszyscy wystarczająco dojrzały i życzliwie nastawieni...

- Ha! - warknął Carew.

- ... by rozumieć, że najważniejsza jest tutaj panna Finn - z desperacją kontynuowała pani Treadwell.

- A kim, u diabła, jest panna Finn? - zapytała Christiane. I dokładnie w tym momencie otworzyły się ponownie drzwi do saloniku. Pojawiła się w nich Bess i Gwen oraz bratanica lorda Carew, dużo mniej blada i nieobecna duchem niż przed pół godziną.

- Och, wujku Gannonie! - zawołała, podbiegając do niego i najmniejszej uwagi nie zwracając na to, jak wielkie napięcie panuje wśród obecnych. - Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to najcudowniejsza szkoła, jaka kiedykolwiek istniała! Mają tu naukowe laboratorium, w którym uczennice prowadzą doświadczenia! Jest łacina i matematyka. Dziewczęta wystawiają sztuki... nawet Szekspira! Są konie

pod wierzch. A nauczycielem tańca jest monsieur Albert, który wiele lat temu uczył mamę! Pamiętam, z jakim podziwem go wspominała!

Kiedy objęła lorda Carew, ten zeszywniał.

- Obawiam się, Claire, że popełnił błąd - powiedział, piorunując spojrzeniem nad jej ramieniem hrabinę. - Nie mógłbym z czystym sumieniem pozwolić ci tu zostać.

Claire ze śmiechem odsunęła się od niego odrobinę.

- Taki z wuja żartowniś! Przecież to wuj wymyślił, żeby tu przyjechała!

- Ale to było, zanim dowiedziałem się, że... - Urwał. Christiane wymknęła się na korytarz i zostawiła ich.

- Kim była ta kobieta w pasiastych jedwabkach, Carew? - zapytała panna Delaney groźnym tonem.

Gwen zwracała zawsze z dużą wrażliwością uwagę na niuanse; wchodząc do saloniku tuż za Claire, zauważyła, jak napięta była tam atmosfera, i widziała wściekłą minę hrabiny, kiedy ta umykała na korytarz.

- Pewni ludzie - powiedziała powoli i spokojnie - są uprzedzeni, panno Finn, do jednej z naszych nauczycielek, którą my nazywamy Madame. Dawno temu, przed laty, została ona niesprawiedliwie wypędzona z towarzystwa przez będącą w zмовie z innymi debiutantką, która jej zazdrościła i która posunęła się bardzo daleko, by zaszargać jej reputację. Wydaje się, że pani wuj należy do osób, które uwierzyły w te brudne kłamstwa. Ale panna Boggs i ja możemy zaświadczyć, że życiowe lekcje Madame warte są dziesięć tysięcy razy tyle, co każdego innego z tutejszych nauczycieli. Bardzo panią przepraszam, pani Treadwell.

- Och, nie ma za co - powiedziała przełożona. - Całkowicie się zgadzam. To hrabina przekonała mnie, że taka akademia jest konieczna. Akademia była jej marzeniem, nie moim,

- Madame - wtrąciła Bess tonem nie podlegającym dyskusji - jest najcudowniejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałam. I ze skóry obedrę każdego, kto by twierdził, że jest inaczej.

Gannon Finn już otwierał usta, ale się powstrzymał. Wydawał się ważyć coś w myślach. Bratanica wpatrywała się w niego pełna zapału i

nadziei. Panna Delaney trąciła narzeczonego, pociągnęła za rękaw i szepnęła:

- Narobiłaby nam tylko kłopotów, gdyby się kręciła w pobliżu.

W odpowiedzi lord Carew przeszył ją tak okropnym spojrzeniem, że aż się skuliła na kanapie.

- Claire - powiedział i odgarnął włosy z czoła. - Claire, nie wiem, co będzie najlepsze. Nie wiem, co mam zrobić. Pojawiły się pewne... pewne czynniki...

- Kłamstwa. Wszystko to kłamstwa z zazdrości - obstawała przy swoim Gwen.

- Nie jest to takie proste, młoda damo - zapewnił ją lord Carew. - Kiedy będzie pani starsza...

- Nie muszę być starsza, by wiedzieć - oświadczyła Gwen, a oczy jej miały błyskawice - że zanim tu przybyłam, nikt o mnie nie dbał, nie dbał o mnie tak naprawdę, ani nie poświęcał czasu, by dowiedzieć się, w czym jestem dobra, co kocham, co powoduje, że jestem, jaka jestem. Proszę bardzo, pańska wola. Proszę zabrać bratanicę do jakiejś szkoły, która wypuszcza wdzięczące się, dobrze wychowane panienki, a one poślubiają pierwszego mężczyznę, jaki im się oświadczy, nie poświęcając jednej nawet myśli temu, czy do siebie pasują. Są w towarzystwie ludzie, którzy sądzą, że pannie Boggs i mnie się nie wiedzie, bo jeszcze nie złapałyśmy sobie mężów. Ale nie zdają sobie oni sprawy, że zadowolamy się czekaniem, dopóki nie pojawi się ten najlepszy, ten najbardziej odpowiedni. I dopóki tak się nie stanie, będziemy się dalej uczyły, będziemy wchłaniały bezcenne lekcje, których mogą nam udzielać Madame i pani Treadwell, i będziemy wdzięczne losowi, że dał nam taką szansę!

- Dobrze powiedziane, Gwen! - powiedziała Bess z wielkim podziwem.

- Wuju Gannonie, proszę! - błagała Claire.

- Niech tu zostanie i skończmy już z tym, na miłość boską! - syknęła z kanapy panna Delaney.

Lord Carew przyłożył dłoń do czoła. Trzy panienki patrzyły na niego błagalnie, a panna Delaney piorunowała go wzrokiem. Pani Treadwell, kiedy skierował na nią oczy, odpowiedziała spokojnym spojrzeniem,

trzymając głowę wysoko do góry.

Lord Carew westchnął i sięgnął po książeczkę czekową.

- Ile więc chciała pani za pierwszy semestr, pani Treadwell?

- Hura! - krzyknęły Bess i Gwen, i Claire, a pani Treadwell ukryła uśmiech, podnosząc do ust filiżankę.

- Tylko dwieście siedemdziesiąt pięć funtów, milordzie - rzekła, zadowolona z siebie.

Kiedy Claire razem ze swoim dobytkiem rozgościła się w pokoju, który miała dzielić z Bess i Gwen, i kiedy jej wuj oraz panna Delaney już się pożegnali - ten pierwszy najwyraźniej nadal dręczony wątpliwościami, czego o tej drugiej powiedzieć nie można - pani Treadwell wróciła do swego saloniku, naląła sobie sherry, wychyliła ją jednym haustem i ruszyła na poszukiwania swej towarzyszki.

Znalazła ją w kuchniach. Hrabina przeliczała talerze, starannie poustawiane na półkach pod ścianą, i ostrym głosem rzucała rozmaite liczby w stronę Clarissy, która stała przed nią z nieco zdezorientowaną miną.

- Czterdzieści trzy obiadowe - warczała Christiane. - Jeden rozbity. Chcę się dowiedzieć, kto to zrobił.

- Christiane - odezwała się ostro pani Treadwell.

- Tylko sześćdziesiąt trzy talerzyki deserowe; czy wy nimi w kręgle gracie, Clarisso?

- Clarisso, możesz odejść - poleciła pani Treadwell, zasługując sobie na pełne niesłuchanej wdzięczności spojrzenie służącej.

- Jeszcze nie skończyłam, Clarisso! - odparowała Madame.

- Skończyłaś. Idź się położyć, Clarisso. A co do ciebie - pani Treadwell pokiwała zagiętym palcem na hrabinę. - Do mojego saloniku. Ale już.

- Nie jestem jedną z panienek, która w podskokach spełnia twoje polecenia - zauważyła gniewnie hrabina. Wysoko na obu jej policzkach widniały jaskrawe rumieńce.

Tymczasem Clarissa wysunęła się boczkiem z kuchni, przemknęła na schody dla służby i z tupotem uciekła na górę.

- Bardzo dobrze. Jeśli wolisz, wyjaśnimy sobie wszystko tutaj na miejscu - zgodziła się spokojnie pani Treadwell, nie zdradzając niczym,



że stanowczo wolałaby, by w zasięgu jej ręki znalazł się jeszcze jeden kieliszek sherry.

Kucharka, która skończyła robotę, rozsiadła się całą swą zażywną osobą na stołku, oparła łokcie na blacie stołu i opuściła brodę na dłonie, dając tym samym wyraźnie do zrozumienia, że absolutnie nie zamierza zrezygnować z przyglądania się coraz bliższej awanturze. Christiane obejrzała się na nią przez ramię. Kucharka uśmiechnęła się dobrodusznie.

- Dobrze więc, niech będzie w saloniku - wymamrotała hrabina niechętnie i ruszyła do drzwi.

Pani Treadwell mrugnęła do zawiedzionej kucharki i podążyła za Christiane na korytarz.

- Niewiele brakowało, a straciłybyśmy przez ciebie dziś wieczorem uczennicę, Christiane - odezwała się, dokładając starań, by mówić spokojnym i równym głosem.

- I szkoda, że mi się to nie udało - odrzekła mrocznie hrabina, popijając whiskey bez żadnych dodatków.

- Bardzo chciałabym się dowiedzieć, co wywołało u ciebie ten odrażający pokaz złych manier.

- Chciałabyś? - Oczy hrabiny zapłonęły. - A ja bardzo chciałabym się dowiedzieć, po co Bóg stworzył jeżyny. Zwróć się do Niego z prośbą o odpowiedź na oba te pytania i daj mi znać, czego się dowiesz.

- O ile dobrze pamiętam, zaledwie w zeszłym tygodniu napomknęłaś - ciągnęła pani Treadwell niezrażona - że liczba przyjętych pańienek jest wciąż nieco niższa, niż początkowo planowałaś? I że jeżeli nie uda nam się pozyskać jeszcze kilku uczennic do akademii, czekają nas w przyszłości poważne finansowe tarapaty?

Hrabina nic na to nie odpowiedziała, wpatrywała się tylko we własną szklaneczkę.

- I oto pojawia się panna Finn, dziewczyna, która rozpaczliwie potrzebuje miłości i opieki po tej nie dającej się opisać tragedii, jaka ją spotkała...

- Co to za tragedia? - przerwała hrabina.

- No cóż, może gdybyś mniej była zajęta fukaniem na lorda Carew...

- Do jasnej cholery, Evelyn! Co za tragedia?

- Nie potrafię sobie wyobrazić, gdzie ty się przez ostatnie dwa tygodnie podziewałaś. Przecież wszędzie aż o tym huczało - powiedziała pani Treadwell z nutką zakłamania w głosie. - Rodzice tej dziewczyny zostali zamordowani przez rozbójników, kiedy jechali z Londynu do Irlandii. A Claire, niech ją niebiosy mają w swej opiece, była tam i wszystko to widziała.

Zimny, kamienny wyraz twarzy hrabiny gwałtownie się zmienił.

- Dobry Boże. To była ona? - zapytała zupełnie innym tonem. - Biedulka, malutka biedulka.

- Dokładnie. A chyba nie wątpisz w to, że kiedy tylko wuj ją do nas przywiózł, zdałam sobie natychmiast sprawę, jak absolutnie nieodpowiednim jest dla niej opiekunem...

- Tutaj się zgadzamy! - zapewniła Madame gorąco.

- Postanowiłam dopilnować, żeby się do nas zapisała, i dołożyć wszelkich starań, by otoczyć ją opieką i pokierować nią, bo jednego i drugiego rozpaczliwie potrzebuje na tym najtrudniejszych ze wszystkich życiowych rozstajów - dokończyła pani Treadwell z nutką triumfu w głosie.

Hrabina odstawiła szklaneczkę z whiskey.

- Naprawdę żałuję, Evelyn, że nie poinformowałaś mnie wcześniej o tym, co się dzieje, zanim...

- Zanim co? Jaką mi dałaś szansę? Wpadłaś tu, ciskając gromy na ojca Petry Forrester, nawet do drzwi nie zastukałaś, a zaraz potem skoczyliście sobie z lordem Carew do gardeł! Przekonana jestem, że w tych okolicznościach to ty winna jesteś mi jakieś wyjaśnienie!

Hrabina spojrzała na nią powściągliwie.

- Masz pełne prawo mnie ganić. Proszę cię o wybaczenie. Na przyszłość będę bardziej ostrożna.

- Nie prosiłam cię o przeprosiny, chociaż je przyjmuję. Ale chcę, byś mi wyjaśniła tę sytuację.

Christiane odwróciła się i potrząsnęła głową z taką energią, że jej obfite loki uniosły się, a potem znowu opadły.

- To bezcelowe - powiedziała krótko. - Dzięki tobie sprawa została załatwiona, a sytuacja uratowana. Lord Carew zapisał do akademii pannę Finn, a ona niewątpliwie na tym skorzysta.

- Niemniej jednak jej wuj dał mi wyraźnie do zrozumienia, że zamierza bratanicę odwiedzać... regularnie... by przekonać się, jakie czyni postępy - zauważyła pani Treadwell. Hrabina lekko się wzdrygnęła. - Jeżeli mam odgrywać rolę sędziego podczas toczących się między wami słownych odpowiedników walki na pięści, wolałabym wiedzieć, dlaczego.

- Bo on jest idiotą - orzekła krótko Christiane.

- Niewykluczone - zgodziła się pani Treadwell; jej głos wprost ociekał cierpliwością. - Ale na pewno przydałoby mi się nieco więcej informacji ogólnych.

Christiane podeszła do okna i zapatrzyła się na spowity mrokiem dziedziniec.

- Znałam go we Francji - powiedziała niechętnie.

- Znałaś go? - Pani Treadwell zmarszczyła brwi. - W biblijnym sensie tego słowa?

- Nie sypiałam z każdym mężczyzną, którego poznałam, jeżeli to właśnie chcesz zasugerować!

- Niczego nie chcę sugerować. Próbuję tylko coś zrozumieć. Hrabina westchnęła.

- Zajechał do Paryża podczas swojej wielkiej tury po Europie. Zdarzyło się to dwadzieścia lat temu. Po prostu osesek, i tyle. Trafił jakoś do Maison de Touton. I narobił... kłopotów.

Pani Treadwell zachęcająco kiwnęła głową. Wyczuwała, że może wreszcie do czegoś dojść. Maison de Touton był domem gry, który Christiane założyła za granicą, kiedy z Anglii wygnały ją plotki towarzystwa z wyższych sfer.

- Czy oszukiwał przy kartach? - zapytała.

- Gorzej - odpowiedziała krótko Madame.

- Uwodził młode damy, które zatrudniałaś?

- Gorzej.

- Młodych mężczyzn? - Oczy Evelyn zrobiły się okrągłe jak spodki.

- On... ja mu się spodobałam.

Pani Treadwell nie zdołała się powstrzymać i parsknęła śmiechem.

- Na miłość boską, jakiejże się w tym dopatrzyłaś obrazy? Połowa Paryża się w tamtych czasach w tobie kochała!

- Ale nikt nie kochał się we mnie z tak pełną determinacją namiętnością jak lord Carew - odrzekła buntowniczo hrabina. -

Wypowiedzieć wprost nie potrafię, jak mnie nieznośnie dręczył!

Pani Treadwell, chichocząc, naląła sobie jeszcze ociupinkę sherry.

- Wiesz, mnie się to wydaje dosyć wzruszające. Młodziutki mężczyzna i starsza kobieta...

- Niewiele starsza! - zaprotestowała gorąco Christiane. - A przynajmniej nie wiekiem. Był tylko o trzy albo cztery lata młodszy. Ale, mój Boże, jeśli idzie o doświadczenie...

- Widać po nim, że jest Irlandczykiem.

- To wariat. Nieznośny. Za nic nie chciał zostawić mnie w spokoju! Żyłam sobie, absolutnie szczęśliwa jako kochanka Jean-Baptiste'a, ustawiłam się w świecie, garściami zgarniałam pieniądze, a on nie chciał dać mi spokoju! - Hrabina jęknęła na samo wspomnienie, wciąż wpatrując się w okno. - Pragnął mnie ocalić.

- Och, ta historia robi się coraz ciekawsza - oznajmiła pani Treadwell. - Ocalić cię przed czym?

- Przed moim grzesznym życiem. Chciał ratować mnie z tej jaskini... tej jaskini niegodziwości i rozpusty - tu Christiane podniosła głos. - Poświęciłam pięć lat życia, by ją zbudować, i wreszcie zaczęła mi przynosić piękne dochody! Nie chciał zostawić mnie w spokoju, powiadam ci! Zjawiał się tam codziennie, taki wielki, rozrośnięty żółtodziób, i błagał:

„Pozwól, żebym cię stąd zabrał. Pozwól, żebym cię od tego ocalił. Pozwól, żebym kochał cię tak, jak na to zasługujesz”.

- A co na to Jean-Baptiste? - zapytała przenikliwie pani Treadwell.

- A czego się spodziewałaś? Na początku go to bawiło... na początku nawet mnie to bawiło! Jego zachowanie wydawało się tak absurdalne. Carew przypominał... przypominał sępa! Co wieczór zasiadał przy narożnym stoliku i, kiedy zajmowałam się swoim interesem, gapił się na mnie tymi wielkimi, szarymi oczami. Jego najlepsi przyjaciele robili, co mogli, żeby mu to zadurzenie wyperswadować, ale nie chciał ich słuchać. Czulałam się, jakby mi kamień młyński uwiązali do szyi, kiedy wodził za mną oczami i po prostu ociekał dezaprobatą: nie pochwalał moich sukien, mojego zachowania, mojego towarzystwa.

- Wiesz co - wtrąciła pani Treadwell - to wydaje się dosyć dziwne, jeżeli wziąć pod uwagę, że dziś jest z niego jeden z najgorszych hultajów w Anglii. Nie potrafię ci powiedzieć, ile już „narzeczonych” zawiódł.

- Ta ostatnia wydaje się mieć fioła na jego punkcie.

- Pozwolę sobie wyrazić opinię, że nic z tego nie będzie, podobnie jak w przypadku wcześniejszych narzeczonych. Gdybyś mnie pytała o zdanie, powiedziałabym, że śmieje się z niej pod wąsem.

- Dokładnie na to sobie zasługuje - mruknęła z niesmakiem Christiane.

- Ale opisałaś mi przecież typowy przypadek szczenięcej miłości - ciągnęła pani Treadwell kojąco. - Można by właściwie współczuć temu biedakowi, że miał takie wielkie ambicje. W końcu to tylko irlandzki lord.

- Gdybyś go posłuchała... a wierz mi, ja musiałam wysłuchiwać jego słów raz za razem, bo inaczej narobiłby jeszcze więcej zamieszania... dowiedziałabyś się, że szlachectwo jego rodu jest dużo starsze niż szlachectwo królów angielskich. Powiadam ci, Evelyn, nigdy w życiu nie spotkałam tak irytującego osobnika! Doszło do tego, że bałam się zejść na dół do roboty, bo wiedziałam, że dzień po dniu będę widziała te wielkie, wygłodniałe, pełne dezaprobaty oczy.

- No cóż - zauważyła pani Treadwell dużo weselszym tonem - nie wiem, co zrobiłaś, by go do siebie zniechęcić, ale okazało się to koniec końców skuteczne. Nigdy nie widziałam, by ktoś do kogoś żywił tak bezgraniczną odrazę, jak on do ciebie.

- Tak, ale nie wiesz, jakim kosztem to osiągnęłam. Kiedy nie chciał zostawić mnie w spokoju, chociaż mu tylekroć odmawiałam i chociaż znajomi tak go błagali...

- No? Co?

Christiane głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Powiedziałam mu dokładnie, co o nim myślę.

- A to go wystarczająco zniechęciło - pokiwała ze zrozumieniem głową pani Treadwell.

- Och, nie. Wyzwał wtedy Jean-Baptiste'a na pojedynek.

- Przecież Jean-Baptiste nie przyjął chyba wyzwania.

- Oczywiście, że nie. Odrzucił Carew rękawicę i powiedział mu, że

cywilizowani ludzie nie zachowują się w ten sposób. Ale Carew był niemożliwy. Obstawał przy tym, że Jean-Baptiste musi z nim walczyć.

- Taka walka nie byłaby uczciwa - zauważyła zmartwionym tonem pani Treadwell. - Twój Jean-Baptiste był mistrzem szermierki... najwspanialszym we francuskiej armii, jak mi kiedyś powiedziałaś.

- To prawda. Straszliwie się bał, że zamorduje tego idiotę. Próbował na wszystkie sposoby uniknąć pojedynku... zapłacił nawet przyjacielom Carew, żeby go porwali i wywieźli z Paryża. Ale nadaremnie. Carew postanowił go za wszelką cenę zabić i w triumfie zabrać mnie ze sobą jako żonę.

- Dobry Boże - powiedziała chciwie słuchająca tego pani Treadwell.

- I co się w końcu stało?

- Spotkali się o świcie. W Lasku Bulońskim. I niewiele brakowało, a on byłby go zabił.

- Jean-Baptiste byłby zabił Carew?

- Nie, nie, Carew byłby zabił Jean-Baptiste'a! Och, nigdy, do końca życia mu tego nie wybaczę. Trzy miesiące musiałam go pielęgnować, zanim wreszcie wrócił do zdrowia. Jeszcze jeden cal na prawo i ten sukinsyn przeszyłby mu serce. Pani Treadwell zapatrzyła się w swój kieliszek.

- Słuchaj no, Christiane. Czy jesteś całkiem pewna, żeś go nie zachęcała?

- Nigdy, w najmniejszym stopniu! Robiłam, co mogłam, żeby go zniechęcić!

- Niekiedy mężczyźni fałszywie odczytują intencje kobiet.

- Trudno byłoby mu źle zrozumieć, co miałam na myśli. Na moją duszę, nigdy nie traktowałam go inaczej niż głupiutkiego chłopca.

- Tak się zastanawiam...

- Nad czym?

- Czy w tym właśnie miejscu nie zbłądziłaś. Może powinnaś go była potraktować poważnie.

Hrabina machnęła dłonią.

- Niech mnie ręka boska broni.

- Przypuszczam, że można by powiedzieć, iż miał dobre zamiary - zaryzykowała.



- Nie można by. On jest niesamowicie wprost zadufany w sobie - zareagowała cierpko Christiane. - Po prostu nie mógł uwierzyć, że przedkładał innego mężczyznę nad niego.

- Musi być jednak niezłym szermierzem, jeżeli udało mu się zadać tak poważną ranę.

- Miał szczęście i tyle - stwierdziła wyniośle hrabina. - Jean-Baptiste sam tak mówił.

Pani Treadwell pociągnęła jeszcze łyżeczek sherry ze swego kieliszka.

- No cóż, cieszę się, że poznałam całą tę historię. Ale muszę wyrazić nadzieję, że nie pozwolisz, by uczucia, jakie żywisz do lorda Carew, wpłynęły na twój stosunek do jego bratanicy, która rozpaczliwie nas potrzebuje.

- Nigdy bym sobie na coś takiego nie pozwoliła! - odparła z oburzeniem Christiane.

- Sądzę - ciągnęła przełożona - iż wbrew zapewnieniom, że będzie często dowiadywał się o pannę Finn, nie zamierza wcale tego robić. A panna Delaney dołoży wszelkich starań, by przekonać go, iż lepiej zostawić ją pod naszą opieką. Tak więc może nie będziecie się wcale zbyt często widywali.

- Najszczęśliwsza byłabym, mając pewność, że już nigdy go nie zobaczę - oświadczyła lakonicznie hrabina.

- W takim razie miejmy nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej, prawda? - powiedziała pani Treadwell i dopiła sherry.

---

## Rozdział pierwszy

---

- Muszę powiedzieć - oświadczyła pani Treadwell, zasiadając przy biurku w swoim saloniku - że pierwszy miesiąc tego semestru przeszedł bardzo gładko, nie sądzisz, Christiane?

- Chyba można by go tak podsumować. Chociaż martwię się odrobinę tą szaloną małą Norą Buck. Czy pani Caldburn nadal się na nią skarży?

- Teraz już mniej. Młodsze dziewczęta zawsze się trudniej przystosowują. Pani Caldburn powiedziała mi, że Nora poradziła sobie całkiem dobrze przy ostatnim egzaminie z kolejności rozsadzania gości przy stole.

Hrabinie d'Oliveri udało się nie wzdrygnąć.

- Pogratulować Norze!

Pani Treadwell zerknęła spod oka na swoją partnerkę.

- Sama wiesz, że muszą się takich rzeczy nauczyć. Nie wystarczy im tylko matematyka wyższa i poezja... chociaż nie pomniejszam znaczenia takich przedmiotów. Ale rzuciłoby to nie najlepsze światło na naszą akademię, gdybyśmy wypuszczały w świat młode damy, nie umiejące odpowiednio prowadzić domu.

- Wiem, Evelyn. I doceniam, ile pracy wkładasz w to, by je należycie przygotować. Żałuję tylko...

- Równie dobrze możesz przestać żałować, bo los kobiet nie zmieni się za naszego życia, nawet gdybyś ułożyła najbardziej wywrotowy program nauczania.

Christiane uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Okazujesz mi bardzo wiele cierpliwości. Pani Treadwell odpowiedziała jej uśmiechem.

- Dążymy do tego samego celu - zauważyła. - Tylko że ty się dużo

bardziej spieszysz. Jakie są najświeższe wiadomości o ojcu Petry Forrester?

- Nie przestaje się upierać, że powinniśmy ukrócić jej matematyczne zapędy. Słowo daję, że straszny z niego głupek! Gdyby tej dziewczynie pomóc i odpowiednio ją zachęcić, mogłaby zostać drugim Newtonem. Napisałam do Oksfordu do jednego z moich starych przyjaciół...

Pani Treadwell zbladła.

- Petra nie może pójść na uniwersytet!

- Nie, i wielka szkoda, że nie może. Prosiłam go tylko, żeby podsunął nam tytuły tekstów i prac naukowych, z których mogłaby teraz skorzystać. Dawno już przerosła wszystko, czego jej tu możemy nauczyć. Potrzebuje nowego wyzwania.

Pani Treadwell przekrzywiła swą pięknie uczesaną, siwą głowę na bok.

- Fascynuje mnie różnorodność zainteresowań i skłonności w tych młodych umysłach, a ciebie? Jakie postępy robi Bess przy pisaniu sztuk?

- Im więcej czyta, tym bardziej jej prace nabierają głębi i tym bardziej się robią skomplikowane. Och, mam wielką nadzieję, że trafi kiedyś na młodego człowieka, który podzieli jej miłość do słów.

- Jestem całkiem pewna, że tak się stanie. Nawiasem mówiąc, doktor Caplan doniósł mi w zeszłym tygodniu, że Gwen asystowała przy porodzie dziecka pani Meecham.

- Nie gań mnie za to, Evelyn. Powinnaś posłuchać, jak ona to opisuje! Na dodatek Leon mówił mi, że bardzo się tam przydała. To był poród pośladowy i Gwen pomogła obrócić dziecko w łonie.

Brwi pani Treadwell ściągnęły się.

- Naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić, co przyjdzie jej z takich umiejętności, kiedy trzeba będzie znaleźć sobie męża.

- Nie potrafisz? A ja potrafię. Osiągnięcie kompetencji, biegłości... na dowolnym polu, w dowolnym przedmiocie... jest dokładnie tym, czego naszym pannom trzeba, żeby nabrały pewności siebie. Bo tylko pewność siebie pozwoli im nie paść ofiarą pierwszego wygadanego pana, który wkroczy w ich życie.

- Niewykluczone, że masz rację. Niemniej jednak musimy się strzec, by nie wypuszczać w świat sawantek, albo nasza reputacja straszliwie

ucierpi.

- Myślisz o panie Delaney? - zapytała Christiane i zaraz tego pożałowała.

- Właściwie to nie myślałam o niej. Ale skoro już poruszyłaś ten temat... - Pani Treadwell zajrzała do papierów na biurku. - Co powiesz na temat naszej panny Finn?

- Doszło do mnie, że wszyscy nauczyciele donoszą, iż ma straszliwe braki w wykształceniu, jak na pannę w jej wieku. Osobiście, znając jej przeszłość, niczego innego bym się nie spodziewała - powiedziała mrocznie hrabina.

- Chodzi ci o to, że jest Irlandką.

- A niech to, Evelyn, wcale mi o to nie chodzi! I bardzo proszę, żebyś nie posługiwała się tak szerokimi uogólnieniami. Poznałam przez lata wielu wykształconych Irlandczyków.

- Lord Carew studiował na Oksfordzie, prawda? - zapytała niewinnie Evelyn.

- I sama widzisz, że nie na wiele się to zdało.

Pani Treadwell zdjęła pince-nez; okulary zawisły na łańcuszku.

- Wiesz, chociaż jesteś do tego pana tak uprzedzona, mnie się on dosyć podobał.

- Naprawdę? - Ciemne oczy Christiane zapłonęły. - Nie za bardzo spieszy się z dotrzymaniem obietnicy, że będzie odwiedzał bratanicę. Minęły cztery tygodnie.

- Możesz go za to potępiać - powiedziała spokojnie pani Treadwell - ale równie dobrze winy możesz szukać w sobie.

- W sobie? - Hrabina była oburzona. - A czymże ja tu mogłam zawinić?

- Przyznajesz, że to, co wydarzyło się między wami, miało miejsce dwie dekady temu. A przecież, kiedy tylko zobaczyłaś lorda Carew, rzuciłaś się na niego z pazurami, jakby rany były całkiem świeże. Jeśli wziąć pod uwagę twoje drwiny i agresywność...

- Odpłacałam tylko pięknym za nadobne!

- ... nie dziwi mnie wcale to, że lord Carew trzyma się z daleka od nas... chociaż płaci za to jego bratanica - dokończyła spokojnie przełożona.

Christiane wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Nie sądzisz chyba, że go zastraszyłam!
- Gwen mówiła mi, że Claire dręczą koszmary. Hrabina westchnęła.
- Tego się należało spodziewać, prawda? W końcu była świadkiem morderstwa, popełnionego na rodzicach. Czy aresztowano już napastników?
  - Jeśli mam się opierać na doniesieniach „Gazette”, to nie. Ślady całkiem się już zatarły.
  - Co Claire potrafiła powiedzieć Koronie o napastnikach?
  - Nie pamięta w ogóle nic.
  - To szokujące, jak niebezpieczne zrobiły się gościńce - zadumała się Christiane. - Najprawdopodobniej napadli ich zwolnieni ze służby żołnierze. To wielkie zaniedbanie ze strony regenta, że nie dopilnował, by wypłacono im żołd. Dziwny natomiast jest fakt, że zostawili świadka, nieprawdaz?
  - W „Gazette” pisano, że spłoszył ich ktoś, kto pojawił się na miejscu zbrodni.
  - Co to za ktoś?
  - Tego nie podano. Moim zdaniem, jakiś poganiacz bydła czy inny farmer. No cóż, musimy okazywać temu dziecku wyjątkową cierpliwość.
  - Czym się do tej pory zainteresowała? Pani Treadwell zajrzała do notatek.
  - Trudno powiedzieć. Od pani Caldburn dowiedziałam się, że to wstyd, by ktoś był takim ignorantem w sprawach gospodarstwa domowego. Ta dzierlatka nie potrafi nawet prawidłowo uszeregować obiadowych gości według ich hierarchii.
  - Proszę cię bardzo, typowa Irlandka! Pani Treadwell szeroko otworzyła oczy.
  - A ty oskarżasz mnie o uprzedzenia!
  - Nie o to mi chodziło. Pomyślałam po prostu o jej wuju, który zawsze obstawał, że nie potrzebuje zapoznawać się z angielskim sposobem życia, jako że sposób życia w jego ojczyźnie przewyższa go pod każdym względem. Bez wątplenia ojciec panny Finn miał również takie poglądy. Jak sobie radzi z literaturą? Pani Treadwell zmarszczyła brwi.

- Potrafi czytać, to wszystko.
- A z matematyką?
- Nie wyszła poza proste dodawanie i odejmowanie.
- Dobry Boże. Co sobie ci jej rodzice myśleli? Nauki ścisłe? Łacina? Francuski? - Pani Treadwell smętnie potrząsała głową. - Taniec? - podsunęła z desperacją Christiane.

- Monsieur Albert donosi, że wspaniale tańczy irlandzką gigę. Hrabinę przeszedł dreszcz.

- Tym się raczej nie będzie mogła popisać u Almacka! Ale przecież musi mieć jakieś zalety. Każdy jakieś ma.

- Jeżeli nawet ma, jeszcze nie trafiłyśmy na nie - powiedziała pani Treadwell zatroskana. - Nie jest jednak wykluczone, że rozpacz po stracie rodziców nie pozwala jej się na niczym skupić. Ale przecież taka się wydawała szczęśliwa, że tu zostaje, kiedy już Gwen i Bess wzięły ją pod swoje skrzydła. - Zagryzła wargę. - Próbowałam z nią porozmawiać, Christiane, ale do niczego nie doszłam. Jest idealnie grzeczna i słodka, ale jakoś nie potrafimy się porozumieć. Ty radzisz sobie o niebo lepiej z trudnymi przypadkami niż ja. Może mogłabyś... - Urwała, widząc na twarzy hrabiny wyraz niesmaku. - Na miłość boską, on jest tylko jej wujem! Nie możesz karać tego dziecka za coś, co przed dwudziestu laty wydarzyło się między wami!

Hrabina zaczerwieniła się i spuściła głowę.

- Chyba masz rację. Może okazałam się egoistką.

- To tylko dziecko - denerwowała się przełożona. - I na dodatek dziecko bardzo słabo przygotowane. Jeżeli nie uda nam się wymyślić jakiegoś sposobu, by wyciągnąć ją ze skorupy, obawiam się, że będziemy miały na głowie następną zbuntowaną dzikuskę.

- Claire Finn, dzikuska? - Christiane wydawała się rozbawiona tą myślą.

- Musisz pamiętać, że najsilniejsze są więzy krwi.

- Cokolwiek to znaczy - wymamrotała pod nosem hrabina.

- Ale porozmawiasz z nią.

- Porozmawiam - zgodziła się z westchnieniem hrabina.

- Witaj, Claire - powiedziała serdecznie Madame i pokazała głowę na kanapkę, na której miał zasiąść jej gość. - Nie miałyśmy jeszcze w



tym semestrze zbyt wielu okazji do rozmowy tete-a-tete, prawda?

Claire Finn usiadła i bez zrozumienia podniosła wzrok na Madame.

- Do jakiej rozmowy?

- Ach. To taki francuski termin - wyjaśniła Christiane. - Tete-a-tete oznacza „głowa w głowę”, czyli w cztery oczy. Prywatną rozmowę.

- Nie miałyśmy, to prawda - panna Finn wydawała się nieco przestraszona.

- Pani Treadwell i ja żywimy przekonanie, że program kształcenia należy dopasować do indywidualnych zainteresowań każdej z dziewcząt. Ale minął już ponad miesiąc, a ja muszę ze wstydem przyznać, że nie udało nam się jeszcze odkryć, jakie są twoje zainteresowania.

- Tak naprawdę... to ja nie mam żadnych zainteresowań.

- Każdy się czymś interesuje - oświadczyła z zapalem hrabina - nawet ci, którzy jeszcze tych zainteresowań w sobie nie odkryli. Może na początek mogłabyś mi wyjaśnić, jak przebiegało twoje dotychczasowe kształcenie.

Panna Finn zamrugła powiekami.

- Już to mówiłam... niewiele go było. Miałam guwernantkę... panią O'Toole, która nauczyła mnie cyfr i liter. Mama... - tu zająknęła się i wydawała się bliska łez. Potem podjęła: - Mama chciała wysłać mnie do szkoły w Anglii. Ale papa kategorycznie domagał się, żebym została w domu.

Hrabina rozważyła jej słowa.

- Czy masz jakieś siostry albo braci? - Dziewczyna potrząsnęła głową. - A czy jesteś... wybaczone, proszę, jeżeli pytanie wyda ci się wścibskie, ale naprawdę powinniśmy były zapytać o to wcześniej. Czy jesteś może katoliczką?

- Nie. Anglikanką.

- Martwiłam się tylko, czy przez pobyt w szkole nie musiałas opuszczać mszy.

- Jestem przyzwyczajona do takich nabożeństw, jak tutaj.

Christiane skubała zębami wargę. Wyczuwała w tej młodej kobiecie jakąś dziwną rezerwę, która była niepokojąca. A przecież wydawałoby się, że po tym, czego Claire była świadkiem, co przeżyła, co utraciła, powinno jej bardziej zależeć na kontaktach z ludźmi.

- Co sądzisz o lekcjach?
- Są bardzo pouczające - zapewniła Claire. - Zawsze żałowałam, że nie mogę się w szerszym zakresie kształcić. I bardzo wysoko cenię sobie możliwości, które mi tu udostępniono.
- Czy pociąga cię może jakiś konkretny przedmiot? - zapytała z nadzieją Christiane. - Nauki ścisłe? Muzyka? Literatura?
- Wszystkie są interesujące.
- Ale żaden nie chwyta cię za serce - mruknęła pod nosem hrabina. Claire podniosła oczy.
- Przepraszam panią?
- Christiane westchnęła i poprawiła się na fotelu.
- Jak sądzisz, jaki cel ma kształcenie, panno... Claire?
- Powinno przygotowywać do życia, tak mi się wydaje.
- A do jakiego życia chciałabyś zostać przygotowana? To pytanie zaskoczyło pannę Finn. Jej szare oczy rozszerzyły się.
- Ja... nie wiem, naprawdę. Pewnie do takiego, jakie mają wszyscy.
- To znaczy jakiego?
- Zwykłego. Normalnego.
- Z mężem? Dziećmi? Takiego, w którym będziesz panią swojego domu?
- Pewnie tak.
- Hrabina pochyliła się ku niej.
- Ale gdyby miało to być tylko twoje życie? Gdybyś została rozbitkiem na bezludnej wyspie. Co chciałabyś tam ze sobą mieć? Jakie rzeczy byłyby najważniejsze?
- Panna Finn prychnęła śmiechem.
- Co za dziwaczne pytanie!
- No, słucham?
- Nie wiem. Nie potrafię sobie wyobrazić. Biblię, to oczywiście. Kogoś, kto by dla mnie gotował, bo w kuchni jestem beznadziejna. Parę mocnych półbutów.
- Idzie mi jak po grudzie, pomyślała hrabina, ale starała się zachować cierpliwość.
- Och! - powiedziała nagle panna Finn. - I oczywiście mojego wujka Gannona.

- Lubisz go, prawda? - Hrabinie udało się utrzymać serdeczny i spokojny ton głosu.

- Niesłuchanie go lubię! - oznajmiła Claire, a oczy jej błysnęły ożywieniem. - Zawsze był moim ukochanym krewnym. Prawdę mówiąc... był moim jedynym krewnym.

- Dobry Boże. Nie miałaś dziadków? - Dziewczyna potrząsnęła głową. - Kuzynów?

- Ja... wydaje mi się, że może jest ich kilku gdzieś w Irlandii. Ale to nie są bliscy kuzyni. Mój ojciec i wuj Gannon byli jedynymi dziećmi, jakie urodziły się dziadkom, a dziadkowie umarli całe wieki temu.

Christiane przygryzła wargę. Świadoma była, że jak linoskoczek stąpa po bardzo cienkiej linie. Absolutnie nie życzyła sobie, by Claire, jeżeli jej wuj Gannon kiedykolwiek się w akademii pokaże, doniosła mu, że hrabina d'Oliveiri wypytywała o niego i jego rodzinę. Carew, przy swojej zarozumiałości, mógłby całkowicie fałszywie zrozumieć tę informację. Byłoby to do niego podobne. A przecież obowiązek nakazywał jej nie ustawać w wysiłkach.

- Czy mogłabyś mi powiedzieć, jacy byli twoi rodzice, Claire? - zapytała energicznie.

Dziewczyna wyglądała na przerażoną.

- Jacy oni byli?

- Chodzi mi o to, jakie mieli dla ciebie plany? Czy usiłowali cię jakoś ukierunkować w życiu, i jak? Może bardzo dużo czytali? Czy lubili jazdę konną albo polowania? Tańce? Czy grali na fortepianie? A może twoja mama szła?

Claire zastanowiła się nad pytaniem.

- Ja... nie wiem. Papa był zawsze bardzo zajęty sprawami majątku. Dużo czasu zajmowało mu odwiedzanie majątków, sprawdzanie rachunków... takie rzeczy. Czy o to pani chodzi?

- Częściowo. Ale jakie miał rozrywki?

- Nie mam pojęcia. Chyba żadnych. Och, nie, chwileczkę! Hodował wilczarze. Zawsze mieliśmy ich w domu całą chmarę.

Christiane wyobraziła sobie zimny i wilgotny irlandzki zamek, pełen olbrzymich, śmierdzących psów. Udało jej się opanować i nie wzdrygnęła się.

- A twoja mama?

- Ona po prostu... po prostu była - powiedziała Claire z pewnym oszołomieniem.

Christiane cisnęło się na usta całe mnóstwo pytań. Czy była szczęśliwa? Zajęta? Ponura? Czy flirtowała ze stajennymi? Ale poskromiła ciekawość.

- Rozumiem. Nie zamierzam skłaniać cię, byś zastanawiała się nad tym, co dla ciebie bolesne, Claire. Wiem, że musi ci straszliwie brakować rodziców. Doszło do mnie, że miewasz koszmarnie sny?

- Kto pani powiedział?

- Gwen i Bess, tak samo jak i pani Treadwell, zależy na tym, żebyś znalazła swój sposób na życie, cherie. Tylko twoja pomyślność leży im na sercu. Podobnie jak nam wszystkim.

- Chciałabym... - zaczęła dziewczyna i zaraz ugryzła się w język.

- Chciałabyś, żeby co? - zapytała łagodnie hrabina. Ale Claire Finn tylko potrząsnęła głową i odwróciła wzrok. - Żeby odwiedził cię twój wuj? - zapytała Christiane, zgadując w ciemno.

Głowa zdumionej Claire odwróciła się gwałtownie w jej stronę.

- Tak Tak. Bardzo. Jak pani myśli, dlaczego on nie przyjeżdża? Czy to przez panią?

- Przeze mnie? Och, nie wydaje mi się...

- Znała go pani kiedyś, prawda?

- To było bardzo dawno temu.

- Nie lubi go pani. - W głosie Claire słychać było oskarżycielską nutkę. - Zorientowałam się.

- No cóż, ja...

- A większość kobiet bardzo go chyba lubi - oznajmiła Claire Finn.

*Stąpać po bardzo cienkiej linii...* Christiane nie udało się powstrzymać.

- Panna Delaney wydaje się bardzo do niego przywiązana. Claire przewróciła oczami.

- Panna Delaney to idiotka.

- Dlaczego miałabyś tak mówić?

- Och, bo bez przerwy się do niego wdzięczy. A wuj Gannon nie należy do ludzi, którym się coś takiego może spodobać.

Kiedy widziałam ich razem, wydawał się całkiem z tego zadowolony, pomyślała Christiane. Chociaż kazał się swojej narzeczonej zamknąć. Oczywiście, Christiane też się kazał zamknąć.

- Och, jestem pewna, że lepszej żony nie mógłby sobie życzyć - powiedziała gładko do Claire. - Przecież są zaręczeni.

- Wuj już całe mnóstwo razy bywał zaręczony. I nigdy nic z tego nie wychodziło.

Naprawdę, tak smakowitą informacją trudno się było nie zainteresować.

- Jak sądzisz, dlaczego tak się działo?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że przywozi... to znaczy, kiedyś przywoził... te kobiety do Aerfailly... to nasz zamek... i przedstawiał je, i trzeba im było gratulować, i życzyć wszystkiego najlepszego, no a potem, przy następnej wizycie, to była już inna kobieta. - Claire zesznurowała usta. - Podśledzałam, jak mama mówiła kiedyś papie, że wuj Gannon nie potrafi znaleźć szczęścia, bo jego serce zostało złamane.

W tym momencie Christiane na moment przestała oddychać.

- Przez kogo? - wyszeptała.

- Tego nie mówiła. A może raczej ja nie usłyszałam, jeżeli mówiła. Panna O'Toole przyłapała mnie na podsłuchiwanie i zaciągnęła na górę, na piętro.

Christiane zadumała się. Przypuszczenie, jakoby ona była kobietą, która zachwiała miłosnym życiem Gannona, to czysty absurd. Ale jakże kusząco pochlebny: że tak się w niej zadurzył podczas krótkiego pobytu w Paryżu, iż z nikim innym nie udało mu się już znaleźć szczęścia.

Niewiele brakowało, a straciłaby z oczu cel prowadzonej rozmowy. Opanowała lekki dreszczyk emocji, wywołany słowami Claire.

- Czy pisałaś do wuja i prosiłaś, żeby cię odwiedził? Dziewczynie zrzędał mina.

- Oczywiście, że nie. Nie powinnam tego robić. Wiem, jak wiele ma zajęć. Jestem dla niego tylko ciężarem, niczym innym.

- Mam na ten temat odmienne zdanie - oznajmiła rzeczowo Christiane. - I muszę ci powiedzieć, że według mnie to ciężki wstyd, iż do tej pory nie dotrzymał obietnicy, że będzie cię często odwiedzał. A gdybym tak poprosiła panią Treadwell, by napisała do twego wuja i

zapropowała, żeby przyjechał się z tobą zobaczyć?

Szare oczy Claire, tak podobne do jego oczu, zerknęły na nią z ukosa.

- Nie chciałabym sprawiać kłopotów pani przełożonej. I nie przypuszczam, żeby jej list miał zrobić wielką różnicę. Wuj Gannon pojawia się i znika wtedy, kiedy jemu to odpowiada. Tak zawsze powiadał papa.

- Niemniej jednak tak chyba właśnie postąpię - zdecydowała Christiane. - A tymczasem zalecałabym, żebyś całym sercem przyłożyła się do lekcji. I żebyś w głębi siebie poszukała tego, co przyniesie ci spokój i radość w życiu.

Claire Finn spoglądała na nią bardzo podejrzliwie.

- Spokój i radość?

- Rozpamiętywanie przeszłości nie ma sensu, Claire - powiedziała łagodnie hrabina. - Jestem całkiem pewna, że twoja mama i twój papa najbardziej pragnęliby, żebyś była szczęśliwa.

- Jeżeli tak, to nigdy się z tym za życia nie zdradzili.

Christiane ze zgrozą przypatrywała się siedzącej na kanapie dziewczynie. Ale i tak przekroczyła już podczas rozmowy granice tego, co wypada. Najwyraźniej wskazana jest tu pomoc z zewnątrz. Wysoce niefortunne było to, że jedynym źródłem takiej pomocy zdawał się być Gannon Finn. Nic się jednak na to nie poradzi.

- Zwrócę się do pani Treadwell, żeby niezwłocznie napisała do twego wuja.

- Jeżeli sądzi pani, że tak będzie najlepiej.

- Tak sędzę. - W rzeczywistości hrabina uznała to za sprawę fundamentalną. - I, jak już mówiłam, przykładaj się porządnie do nauki, *cherie*.

- Dlaczego mówi pani do mnie „sherry”? Madame się skrzywiła.

- Nie „sherry”. *Cherie*. To znaczy po francusku: kochanie.

- Och - szepnęła Claire. - Pomyśleć tylko. A więc dobranoc.

- Dobranoc - powiedziała hrabina. Musiała walczyć ze sobą, by nie chwycić tej kruchej, eterycznej uczennicy w ramiona i gwałtownie jej nie uściskać.



---

## Rozdział drugi

---

- Oto jestem - powiedział szorstko Gannon Finn, stając w drzwiach do saloniku. Omiótł pokój spojrzeniem i zmarszczył brwi. - Gdzie jest, u diabła, pani Treadwell?

Christiane ugryzła się w język i nie udzieliła odpowiedzi, która cisnęła jej się na usta.

- Obawiam się, że chwilowo coś ją zatrzymało. Poprosiła mnie, bym z panem porozmawiała. Czy zechce pan usiąść?

Carew zawahał się.

- Wydaje mi się, że naprawdę powinienem pójść zobaczyć się z Claire. Nie było mnie tak długo...

- To część problemu, który zgodnie z prośbą pani Treadwell miałam z panem, milordzie, omówić. Wydaje mi się, że kiedy zapisywał pan tu swoją bratanicę, zapewniał pan przy tym, że będzie pan ją często odwiedzał?

Lord Carew, w zakurczonym ubraniu jeździeckim, nadal stał przy drzwiach. Przeciągnął rękami po włosach.

- Nie musi pani mnie besztać. Wiem, że zaniedbałem sprawę. Spędziłem ostatni miesiąc w Irlandii, usiłując rozeznać się jakoś w interesach mojego brata. Przyjechałem natychmiast po przybyciu do Londynu i po przeczytaniu listu pani Treadwell. - Popatrzył na Christiane z dziwną mieszaniną arogancji i skruchy. - Jak się ma Claire?

- Naprawdę chciałabym, by pan usiadł. I może miałby pan ochotę się czegoś napić?

- Mam do wyboru, jak sędzę, herbatkę albo oranżadę - zamruczał Carew.

- Mamy również bordo, sherry, whiskey...

- Mogłem się domyślić.

Christiane stała prosto, jakby kij połknęła, w swojej eleganckiej, ale bardzo skromnej jedwabnej sukni, którą po dość długim zastanawianiu się wybrała na to spotkanie. Suknia była koloru ciemnej miedzi, wysoko zabudowana pod szyją, rękawy miała długie, ale stanik zadziwiająco obcisły, dzięki francuskiej krawcowej, która stworzyła tę kreację dla hrabiny przed wielu już laty. Spódnica zaszeleściła, kiedy hrabina przygładziła ją rękami.

- Musi pan wybierać, milordzie - oznajmiła mu chłodno. - Jeżeli życzy pan sobie herbaty albo oranżady, proszę tylko powiedzieć. Ale jeżeli pana napięty plan zajęć, nie wspominając już o długiej przejażdżce, obudziłby ochotę na coś mocniejszego, proszę nie grymasić, kiedy to panu proponuję.

- Nie zmieniała się pani ani trochę, prawda, Christiane? Jest pani równie wyniosła jak zawsze. - Ruszył nagle z miejsca i przeszedł przez pokój, a Christiane musiała walczyć, by instynktownie się przed nim nie cofnąć. Robił wspaniałe wrażenie, chociaż odzież miał w nieładzie - dużo lepsze, prawdę powiedziawszy, niż w wieku lat dwudziestu.

Poczuła ulgę, kiedy wyminął ją, podszedł do wyściełanego fotela i usadowił się na nim, krzyżując długie, na czarno odziane nogi.

- Napiję się whiskey z wodą sodową - oznajmił. Przygotowując dwie szklaneczki trunku (jedną dla niego, a drugą, taką samą, dla siebie), Christiane czuła na sobie spojrzenie hrabiego.

- Zdrowie - zaproponowała, pochylając szklaneczkę w jego kierunku.

- Nadal wydaje mi się to bardzo niezwykle, że zaszyła się pani tutaj, w tym zakątku Kent, i opiekuje się chmarą uczennic - zauważył i pociągnął haust whiskey.

- Czyżby? - odparowała Christiane. - Nie rozumiem, czemu. Chyba wystarczająco jasno wyjaśniłam panu w Paryżu, iż przekonana jestem niezachwianie, że społeczeństwo Anglii źle dba o interesy płci pięknej.

- Przypisywałam to zazdrości.

- Jak to? - zapytała Christiane przez zaciśnięte zęby. Lord Carew machnął dłonią. Pamiętała te dłonie bardzo dokładnie.

- Skoro towarzystwo z wyższych sfer wyrzuciło panią ze swego grona...

- Zaliczam to do najszcześniejszego wydarzenia w moim jak najszcześniejszym życiu. - Zajęła miejsce na kanapie, naprzeciw fotela.

Carew przechylił głowę na bok.

- Wie pani, niemal gotówem pani uwierzyć.

- Niemal. - Nie udało jej się powiedzieć tego bez drwiny. - Czy to dla pana takie niezwykle, że kiedy już uwolniłam się od ograniczeń, jakie narzucało życie, które mnie tu czekało, zaczęłam cieszyć się emancypacją?

- Raczej tak, skoro pojawiła się pani znowu w ojczyźnie i uczy grono obiecujących panienek łaciny oraz tańców.

- Łacina i tańce to tylko część programu w naszej akademii - odpowiedziała troszkę niejasno Christiane, zauważając równocześnie, że słońce pada na włosy Gannona i budzi w nich granatowo-czarne błyski. - Jeżeli zdoła pan jednak, lordzie Carew, przedłożyć sprawy bieżące nad obrażanie mojej osoby...

- Obrażanie pani? Czy to właśnie robiłem? Naprawdę doprowadzał ją do furii.

- Sądzę, że potrzeby pańskiej bratanicy powinny mieć pierwszeństwo przed pana żalonymi próbami, by poniewczasie jakoś nade mną zatriumfować.

Lord Carew wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Oczywiście - powiedział z powagą. - W każdej chwili dobro Claire musi nam najbardziej leżeć na sercu.

Christiane zerknęła na niego podejrzliwie, ale przystojne rysy hrabiego przybrały wyraz pełen powagi i zatroskania. Pociągnęła jeszcze łyżeczek drinka, potem odstawiła szklaneczkę.

- Faktem jest, lordzie Carew...

- To niemądre. Czy nie uważa pani, że w świetle wszystkiego, co się między nami zdarzyło, mogłaby pani zwracać się do mnie: Gannon...

- Nie zgadzam się. Wolę zachowywać konwencjonalne formy towarzyskie. Jak już mówiłam, lordzie Carew, pani Treadwell i ja martwimy się bardzo o Claire.

- Nie udało jej się tu zadomowić? - zapytał szybko, ze zdenerwowaniem. - Nie zyskała przyjaciółek?

- Jeśli o to idzie, wszystko układa się jak najlepiej - powiedziała

szczerze Christiane. - To przemiała dziewczyna i ma bardzo dobre stosunki z koleżankami. Nasze zastrzeżenia dotyczą raczej jej wykształcenia. - Urwała. - Lub też jego braku.

- Och, naprawdę? - W niefrasobliwym głosie hrabiego pojawiła się nutka lekceważenia, na którą Christiane cała się zjeżyła. - A jakaż wiedza potrzebna jest młodej dziewczynie, żeby poradziła sobie w tym świecie? Powinna umieć ładnie dygać, uśmiechać się we właściwych momentach i pytać potencjalnych konkurentów o ich zainteresowania. Moim zdaniem suma dwustu siedemdziesięciu pięciu funtów za semestr powinna to pokrywać.

Christiane z trudem panowała nad sobą.

- Jeżeli pański brat podzielał pana nastawienie do kształcenia płci pięknej, to wyjaśnienie fundamentalnych braków Claire nie nastrecza najmniejszych trudności. Carew się tylko lekceważąco uśmiechnął.

- Właśnie takiej reakcji spodziewałam się po mężczyźnie, który zaręczył się z panną Delaney.

Z satysfakcją zobaczyła, że jej gość się czerwieni.

- Nie mieszajmy do tego Greer, dobrze?

- Jak pan sobie życzy, oczywiście. Ale ponieważ właśnie taką kobietę uznał pan za godną noszenia pana prześwieczonego nazwiska, mogę tylko przypuszczać, że pana bratowa musiała być do niej bardzo podobna.

Ku jej zdumieniu, usta gościa się napięły, podobnie jak mięśnie na skroniach.

- Niech pani będzie ostrożna, mówiąc o Georginie - powiedział ostro, tak ostro, że Christiane urwała zdumiona, iż zirytowała go jej niefrasobliwa uwaga.

- Nie chciałam wyrazić się bez szacunku - przeprosiła półgłosem, zastanawiając się, dlaczego tak się zjeżył na wspomnienie bratowej. Georgina... przypomniało jej się nagle, jak Claire wyraziła się o matce: „Ona po prostu... była”.

- Przyjechałem tu, by porozmawiać o Claire - zauważył oschle Carew.

Christiane wycofała się i odstępowała od tematu.

- Sprawy mają się następująco, lordzie Carew. Tutaj, w akademii,

szcycimy się tym, że dostosowujemy program nauczania do indywidualnych zainteresowań każdej z dziewcząt. A jeszcze nie odkryliśmy, co interesuje Claire.

- Przestrzegalem go - wymamrotał Gannon Finn niemal sam do siebie. - Przestrzegalem również Georginę. Ale on nie chciał mnie słuchać. A ona... nie chciała mu się sprzeciwić. - Popatrzył na hrabinę z zatroskaniem w oczach. - A więc ona jest beznadziejna? Zawsze będzie dziwadłem? Nie uda się jej... wydać?

Na jedną chwilę hrabinie zrobiło się go żal.

- Żadnej z naszych podopiecznych nie uważamy za beznadziejną - powiedziała powoli. - Ale Claire ma przed sobą nieco trudniejszą drogę niż dziewczęta, które w bardziej właściwy sposób przygotowano do tego, czemu w życiu będą musiały stawić czoło. - Zawahała się, potem ze względu na Claire znowu zwróciła się do niego po imieniu. - Jest dla nas taką zagadką, Ganno-nie. Potrzebujemy czegoś, na czym będziemy mogły oprzeć jej kształcenie. Jakiegoś konkretnego zainteresowania, jakichś zdolności, jakiegoś celu. Rozumiemy, jak bardzo musi się smucić...

- Czy naprawdę? - odezwał się ochryplym głosem. - Czy ktokolwiek może to zrozumieć?

- Nie. Pewnie tak naprawdę nikt tego nie potrafi zrozumieć. Ale posługiwać się możemy tylko tymi... tymi narzędziami, które zostały nam dane. Wszelkie informacje, jakich mógłby nam pan udzielić...

- Ja sam wcale za dobrze jej nie znam.

- Powiedziała mi, że jest pan jej ukochanym krewnym... niemal jedynym krewnym.

- Wielka szkoda, ale tak jest. - Zawahał się i zamyślił. - Proszę posłuchać, Christiane. Źleśmy sprawę zaczęli przez... przez to, co wydarzyło się w przeszłości, prawda? Ale wysoko cenię pani starania, by pomóc Claire. - Urwał znowu, potem popatrzył jej wprost w oczy. - Czy mogę być z panią szczerzy i uzyskać zapewnienie, że to, co powiem, zachowa pani w tajemnicy?

- Mam nadzieję, że zdobędzie się pan na szczerą ze względu na Claire.

Carew pociągnął duży łyk whiskey.

- Małżeństwo mojego brata nie było szczęśliwe - wyznał, z trudem wyduszając z siebie słowa. Christiane czekała, pilnując, by na jej twarzy nie pojawił się wyraz krytyczny. - Georgina nigdy nie powinna go była poślubić - podjął w końcu. - A już z pewnością nie powinna z nim była zostać. Zachowywał się w stosunku do niej... traktował ją po bestialsku, okrutnie. Wszystkich tak traktował.

- A Claire?

- Och, nie. Nie... nie był dla niej niegodziwy. Miał o córce bardzo wysokie mniemanie. Jego jedyne dziecko. Dziedzic. Finna, rodu Finnów. Wolałby syna i nie ukrywał tego. Ale Georgina... była delikatna. Zanim urodziła Claire, kilkakrotnie roniła. Myślę, że brat pogodził się z myślą, że innego dziedzica mieć nie będzie.

Christiane pokiwała głową.

- Ale w stosunku do Georginy...

- Obwinił ją o tę słabość... o utraconych synów.

- Czy to tak ciężkie brzemię, być dziedzicem Finna?

- O ile dobrze pamiętam, śmiała się pani, kiedy w Paryżu mówiłem o honorze Irlandii i jej minionej chwale.

- Wtedy, w Paryżu, byłam bardzo młoda.

Zęby Carew zabłysły w uśmiechu. Niemal już zapomniała, jak ten uśmiech wygląda: szeroki jak kościelne wrota, promienny, bez cienia drwiny.

- A teraz jest pani starsza. Np cóż, ja również. Chodzi mi chyba o to, że dziecinne lata Claire były niełatwe. Pełne konfliktów. Nikt nie dokładał jakichś szczególnych starań, by ją kształcić, wpajano jej tylko pogmatwane opowieści o minionej chwale Irlandii i o konieczności jej odzyskania. To ze strony ojca, natomiast ze strony matki nie wpajano jej niczego. Georgina, jak mi się zdaje, przekonana była, że jej dosyć wysokie wykształcenie posłużyło tylko temu, by jeszcze wyraźniej odczuwała swe żalosne położenie. - Skupił w końcu wzrok na twarzy hrabiny, - Powie pani, że powinienem był w to wkroczyć.

- Z tego, co pan mówił, próbował pan. Ale na całym świecie nie ma niczego trudniejszego niż interweniowanie między rodziców a ich dziecko. Nawet jeżeli takie kroki podejmuje się w jak najlepszej wierze, przyjmowane są one jak natręctwo.



- Z pewnością tak właśnie przyjęli braterstwo moją interwencję - powiedział Carew z żalem. - Ale mogłem silniej na nich naciskać. Być bardziej wytrwały. Tak jak pani, o ile dobrze zrozumiałem, w sprawie skłonności panny Forrester do matematyki.

- A skąd pan coś o tym wie?

- To były pierwsze słowa, jakie usłyszałem z pani ust po dwudziestu latach: że ojciec tej młodej damy to osioł, ponieważ żąda, by pani i pani Treadwell odwiodły ją od zainteresowania tym przedmiotem. - Kiedy z żalem... na pewno z żalem... potwierdzał, ile to już lat temu spotkali się w Paryżu, czuła przez moment do niego sympatię. Ale Carew łyknął whiskey z wodą i dodał: - Zakrawa to na arogancję z pani strony, jeżeli postępuje pani wbrew wyraźnym życzeniom rodzica, czyż nie? Cała sympatia Christiane natychmiast wyparowała.

- Nierzadko przekonujemy się z panią Treadwell - powiedziała lodowato - że rodzice uczennic grzęzną w przestarzałych poglądach na wartość i zdolności kobiet. Uważamy, że jest naszym obowiązkiem wobec własnej płci poprawić tę sytuację.

- Wie pani, będąc w Londynie, zasięgałem języka - zauważył Gannon Finn. - To prawda, że są ludzie, którzy tę akademię podziwiają, i tutaj pani Westin nie należy do ostatnich. Bez wątpienia wstrząśnie to panią, ale są też tacy, którzy ją krytykują.

Christiane wstrzymała oddech. A to drań...

- Wdzięczna jestem, że napomknął pan o tym, iż zasięgał informacji, milordzie. Kiedy rodzice w pośpiechu zaczną od nas odbierać swoje córki, nie będzie to dla mnie zaskoczeniem.

Carew prychnął śmiechem.

- Niech się pani nie obawia, Christiane. Stać mnie na pewną dyskrecję. Nie wspominałem tygrysicom z towarzystwa o pani. Ale, jak rozumiem, przed kilku laty doszło do pewnego przykrego incydentu, w który zamieszana była jedna z tutejszych dziewcząt: panna Hainesworth.

- Jest do szaleństwa szczęśliwa; mieszka w Strathclyde razem z mężem i bliźniakami.

- I jeszcze jeden taki incydent, nie tak dawno, z lady Katherine Devereaux.

- Pani Treadwell i ja otrzymałyśmy od Katherine list akurat w

zeszłym tygodniu - wyjaśniła spokojnie Christiane. - W najmniejszym stopniu nie żałuje, że jej życie ułożyło się tak, jak się ułożyło.

- Ale może żałują tego jej rodzice - powiedział przenikliwie Carew.
- Proszę ich zapytać, jeżeli tak pan sądzi. Może się pan zdziwić.

Popatrzył na nią.

- Tak się składa, że zapytałem ich. Nie jestem aż tak opieszałym opiekunem, jak zdaje się pani sądzić.

- I?
- Macocha lady Katherine jest bardzo zadowolona. Jej ojciec, książę... zaczyna zmieniać zdanie.

Christiane rozłożyła ręce dłońmi do góry.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem, o co panu chodzi, milordzie.

Carew, wciąż siedząc na kanapie, pochylił się w jej stronę,

- Nie rozumie pani? Wydaje się, że obowiązującym w akademii pań wzorcem postępowania jest zachęcanie do samowoli, a nawet do buntu.

- Jeżeli przez zachęcanie do buntu rozumie pan zadbanie, by dziewczyna poznała samą siebie, zanim weźmie sobie męża, przyznaję się do winy. A to - stwierdziła stanowczo Christiane - sprowadza nas znowu do problemu pańskiej bratanicy. Czy nie może pan w żaden sposób naprowadzić mnie na przedmiot, jakim może być szczególnie zainteresowana, ani podsunąć, do czego może mieć szczególne zdolności?

- Proszę jej zapytać - zaproponował Carew.

- Czy sądzi pan, że nie pytałyśmy?

- I co ona mówi?

- Że marzy o zwykłym, normalnym życiu. Gannon zapatrzył się na Christiane.

- Dobry Boże.

- No właśnie. Miałam nadzieję, że zdoła mi pan jakoś wyjaśnić, co przez to rozumie.

Carew podniósł się z fotela i odstawił szklaneczkę.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli pójdę się teraz z nią zobaczyć.

No cóż, pomyślała Christiane. Wyjątkowo trudno jest się czegoś od niego dowiedzieć. Ale kiedy powiedział, że pytał o akademię w Londynie, podsunął jej tym samym pewien pomysł. Były tu w Kent z

Evelyn za bardzo na uboczu, by nadażyć za londyńskimi plotkami. Może czas, by sama wyprawiła się na jakiś czas do stolicy. Wzięła dzwonek, który miała pod ręką, i zadzwoniła.

Clarissa pojawiła się z taką szybkością, że Christiane przyległaby, iż pokojówka musiała podsłuchiwać pod drzwiami.

- Czy zechciałabyś zaprowadzić lorda Carew na dziedziniec, Clarisso, i zawiadomić pannę Finn, że wuj tam na nią czeka?

- Oczywiście, psze pani - powiedziała pokojówka, dygając. - Czy zechce pan pójść tędy, milordzie?

Lord Carew już miał za nią ruszyć, kiedy zawahał się i obejrzał.

- Doceniam pani zatroskanie, Christiane. Chciałbym, żeby to pani wiedziała.

- Proszę się zająć Claire - odpowiedziała krótko. I za nic nie chciała się przyznać, że kiedy spojrzała w jego poważne, szare oczy, serce jej na moment stanęło w piersiach.

Kobieta o mniej burzliwej przeszłości poprzestałaby na tym. Ale hrabina d'Oliveiri zdawała sobie sprawę ze swoich wad i jeżeli nawet żałowała ich, to bez przesady. Zasłony na oknie saloniku zostały zaciągnięte. Christiane podeszła, rozchyliła je niedostrzegalnie i wyjrzała przez szparkę na dziedziniec. Zobaczyła, jak Clarissa wyprowadza jego lordowską mość i odchodzi. Obserwowała, jak Carew zapala cygaro, a potem odrzuca je na widok Claire, która wypadła z drzwi wyjściowych i rzuciła się ku niemu. Przyglądała się, jak się obejmują, widziała, jak Claire z radością się do niego tuli, widziała, jak po chwili Gannon odsunął bratanicę od siebie, spojrzał na nią i wygłosił jakąś uwagę, chyba żartobliwą, bo Claire zaczęła się śmiać. Jej wuj również. Ale Christiane zauważyła posępny wyraz jego oczu. Odwrócili się do niej plecami i zaczęli się przechadzać pod rękę po trawie, z głowami pochylonymi ku sobie. W pół drogi Claire przystanęła i chwyciła wuja za rękaw. Odwrócił się do niej niemal niechętnie, jak się zdawało Christiane, i przysłuchiwał się temu, co mówiła. Kiedy skończyła, potrząsnął głową. Dziewczyna jeszcze przez chwilę go przekonywała, na początku z ożywieniem, potem błagalnie. Czy prosiła, żeby ją stąd zabrał? Czy taka była tutaj nieszczęśliwa? Podczas swojej kariery nauczycielskiej w akademii Christiane widziała wiele tęskniących za

domem dziewcząt. Ale odniosła wrażenie, że w przypadku Claire nie chodzi o tęsknotę za domem, a przynajmniej nie dokładnie o to. Ruchy dziewczyny i jej słowa wydawały się za bardzo na to skupione, zbyt intensywne.

W połowie namiętych, natarczywych próśb bratanicy lord Carew gwałtownie podniósł głowę i wbił spojrzenie prosto w okno saloniku. Chociaż Christiane wiedziała, chociaż była pewna, że w żaden sposób nie mógł jej zobaczyć, pozwoliła jednak, i to z dziwnym uczuciem zawstydzenia, by zasłony opadły, zamykając wąziutką szczelinę. Przecież chodzi jej tylko o Claire, tłumaczyła sobie, dopijając whiskey ze szklaneczki i walcząc z pokusą, by ponownie rozchylić zasłony.

Rozległo się stukanie i do saloniku weszła pani Treadwell.

- No! - oświadczyła. - W końcu przyjechał... dzięki niebiosom! Jak się przed tobą tłumaczył?

- Mówił, że był w Irlandii i porządkował majątek brata.

- Hmm. Cóż, przypuszczam, że może to być prawda. A jego wizyta z pewnością uszczęśliwiła Claire.

- Bez wątpienia - zgodziła się Christiane, bardziej z nadzieją niż z przekonaniem. W zaobserwowanej na dziedzińcu scenie było coś, co kazało się jej obawiać, że trzeba będzie dużo więcej niż wizyta wuja, by zapewnić Claire szczęście.

---

## Rozdział trzeci

---

- Och, wszyscy o tym plotkują - powiedziała z zapałem Violet Westin, zachwycona, że może przekazać jakieś informacje swojej serdecznej przyjaciółce. - Może ciasteczko?

Christiane wzięła paterę, którą jej podawała gospodyni, i poczęstowała się babeczką.

- Ale co mówią ci „wszyscy”?

- Po mieście krążą całe miliony wersji - zwierzyła jej się Violet. - Nie uwierzyłabyś, jakie teorie są puszczone w obieg. Że sam to zaaranżował jako coś w rodzaju samobójstwa z powodu poniesionych przy kartach strat. Że zaaranżowała to ona; zginąć miał tylko on za to, że więził ją w tym swoim rozpadającym się irlandzkim zamku, ale rabusi, których do tego najęła, poniosła chciwość, kiedy zobaczyli jej klejnoty. Że była to sprawa polityczna... w tym przypadku nie bardzo potrafię zrozumieć logikę wyjaśnień. Miało to coś wspólnego z konfliktem między Irlandczykami a Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. No i oczywiście, że morderstwo popełniła ich córka.

- Claire? - Przyjaciółka hrabiny pokiwała głową z miną mędrca i ugryzła kawałek cytrynowego sernika. - Ależ to absurd!

- Cała historia jest absurdalna - wyraziła swoje zdanie Violet. - Przekracza to moje zrozumienie, dlaczego ludzie aż tak czują się zaskoczeni kolejnym atakiem rozbójników. Drogi zrobiły się niewiarygodnie niebezpieczne. Ale przeszłość obu braci aż się prosi, by na temat tego napadu snuć domysły, prawda?

Christine przemogła się, wypila łyczek herbaty i zupełnie bezgłośnie odstawiła delikatną filiżankę na spodeczek.

- Zapewne chodzi ci tutaj o... - urwała i zaczęła symulować bardzo realistyczny atak kaszlu, w którym utonęły dalsze słowa.

- Dokładnie - przytaknęła Violet. - Pomyśl, jak wszyscy poczuliśmy się zaskoczeni, kiedy okazało się, że ona woli jego od niego.

Hrabina d'Oliveri pożałowała, i to nie po raz pierwszy, że jej serdeczna przyjaciółka nie posługuje się zaimkami bardziej precyzyjnie.

- Wybrała... - Tu w samą porę nastąpił jeszcze jeden atak kaszlu. - Bardzo cię przepraszam - tłumaczyła się Christiane. - Musiała mi wpaść do gardła odrobina cukru.

- Popij herbatą - poradziła jej pani Weston i napełniła znowu filiżankę hrabiny. - W końcu to Gannon oświadczył się o nią pierwszy.

- Tego nie wiedziałam - przyznała Christiane.

- O, tak! Było to oczywiście całe wieki temu. Niedługo po debiucie Georginy. Nawiasem mówiąc, wzbudziła niezłą sensację. Czy ty ją w ogóle znałaś? - Christiane potrząsnęła głową. - Jedna z tych blondynek o długich kończynach, bardzo blada i krucha. A oczy miała zielone jak u kota. Robiła rzeczywiście uderzające wrażenie. Jej matka... z pewnością przypominasz sobie lady Fothergay... Hrabina zmarszczyła nos.

- Taka wyniosła stara kocica? Rozkochana w śmiesznych kapeluszach?

- Ta, nie inna. Ale właściwie nie była taka stara, wiesz, a przynajmniej nie starsza niż my teraz. Nam się tak tylko zdawało, bo byliśmy bardzo młode. Och, to były czasy, prawda, Christiane? - Lady Westin opamiętała się. - Chociaż, oczywiście, nie dla ciebie. A przynajmniej nie pod koniec, chciałam powiedzieć. Ale wcześniej... kiedy wszyscy kawalerowie gonili za nami i jeden dzień za drugim upływał na flirtach, przyjęciach i tańcach... - Słowa jej przeszły w westchnienie.

- Jestem dużo szczęśliwsza teraz, niż byłam wtedy - zapewniła ją hrabina.

- To dlatego, że masz coś istotnego do zrobienia: kształtujesz młode charaktery.

- Podobnie jak i ty. Urodziły ci się przecież wnuki.

- To prawda. Są dla mnie źródłem wielkiej radości... ale i udręki, kiedy patrzę, jak Martha i Kit, i James, wraz ze swymi współmałżonkami, popełniają wszystkie możliwe błędy przy ich wychowaniu, i muszę gryźć się w język. Nie uwierzyłabyś, jak to



pokolenie rozpuscita swoje potomstwo!

Christiane uśmiechnęła się.

- Pozwolę sobie zauważyć, że jest to zarzut stawiany przez każdą babcię, od Ewy począwszy. Powiedz mi, Vi, czy wyznaczono już datę ślubu lorda Carew z panną Delaney?

Violet przyjrzała się przyjaciółce znad filiżanki z herbatą.

- A czemu właściwie cię to interesuje?

- Tylko nie zacznij sobie wyobrażać jakichś niestworzonych rzeczy - powiedziała sucho Christiane. - Przez pewien czas byłam już obiektem uczuć jego lordowskiej mości.

Z równym zapalem mogłabym marzyć o odmrożeniach, jak o powtórzeniu tego incydentu.

- Zapomniałam! Pisałaś mi przecież o tym z Paryża. Pojedykował się z twoim francuskim generałem, czyż nie?

- A tak, pojedykował się. Było to niesłychanie żenujące dla wszystkich.

Pani Weston wyduła wargi.

- Ta historia musiała mieć miejsce na krótko, zanim zakochał się w Georginie. Tak, tak... staje mi to teraz przed oczyma. Wrócił z kontynentu w połowie sezonu, a wszystkie dziewczęta robiły z tego wielką sprawę, bo na scenie pojawił się ktoś nowy. Jeżeli się nie mylę, towarzystwo było wtedy zdania, że Georgina bliska jest już zamęścia z Jumpyem St. Martinem... pamiętasz chyba Jumpy'ego?

- O, tak - powiedziała Christiane ciepło i z wielką cierpliwością, bo wiedziała, że pod koniec takich przydługich dywagacji Violet potrafi dostarczyć smakowitych nowinek. - Z kim on się w końcu ożenił?

- Z Belindą Ingham... ależ jej potem narobił kłopotów. Skończyło się na tym, że kazała małżeństwo anulować, argumentując, że nigdy nie zostało skonsumowane.

- Trudno to sobie wyobrazić, jeżeli się znało Jumpy'ego.

- Okazuje się, że wcale nie tak trudno; Jumpy mieszka teraz gdzieś pod Cambridge z jakimś eks-księdzem. Mówi się, że to zupełnie szokujący dom, cały urządzony na modłę Orientu, od góry do dołu. A Belinda wyszła następnie za tego miłego Todda Farmleigha i ma z nim sześciu synów. Dziwne to wszystko, bardzo dziwne... ale o czym to ja

mówiłam? A, przypominam już sobie. Miała ta Georgina szczęście, że Gannon Finn pojawił się akurat wtedy!

- Bez wątplenia. A jego brat też był w tym czasie w Londynie?
- Hugh? O, tak.
- Jaki on był?

- Bardzo humorzasty. Kompletnie przeciwieństwo Gannona. Chyba nawet mi się wtedy wydawało, że jest w nim coś odbiegającego od normy. Jeden z tych fatalistycznych typów irlandzkich, rozumiesz... głądził bez przerwy o niesprawiedliwości Anglii i wyższości Irlandii, i niegodziwości, jaka wiąże się z osadnictwem. Niektórym dziewczętom taka gadanina wydaje się romantyczna. Przypuszczam, że tak właśnie stało się z Georginą. A bracia Finn byli uderzającą parą: bardzo smagli, jak Indianie. Mój ojciec twierdził, że to pewnie ta ich hiszpańska krew, z czasów lądowania Armady za rządów Elżbiety.

- Czy bracia byli ze sobą zżyci?

Violet znowu z ukosa zerknęła na przyjaciółkę.

- Jak na kogoś, kto nie znosi odmrożeń, masz bardzo wiele pytań, dotyczących Gannona Finna.

- Jeżeli nawet tak, to wszystko twoja wina, bo poleciłaś mu naszą akademię dla bratanicy. Biedulka jest kompletnie nieprzygotowana do debiutu, a co gorsza, ani Evelyn, ani ja nie potrafimy dojść, jakie są jej zainteresowania. Tak więc pomyślałam, co całkiem naturalne, że gdyby udało mi się dowiedzieć czegoś więcej o przeszłości jej rodziny...

- Hmm. Wcale nie dziwi mnie to, że, jak powiadasz, jest nieprzygotowana. Po ślubie z Hugh Georginą, można by to tak ująć, zniknęła z powierzchni ziemi. Przyjeżdżała tylko w początkowym okresie na wizyty do doktora Driscolla, wiesz, tego, który leczy rodziny królewskie, mające kłopoty w dziedzinie progenitury. Wszyscy domyślaliśmy się, że coś musiało być nie w porządku. Jednak od kiedy urodziła się Claire, nie widywaliśmy już Georginy w ogóle. Właściwie to smutne. Kiedyś po prostu promieniowała radością.

Hrabina zapisała sobie w pamięci nazwisko doktora Driscolla. Wiedziała, że jest on znajomym lekarza akademii, doktora Caplana, który, tak się składało, był jej serdecznym przyjacielem. A potem zadała sprytne pytanie.

- Wydaje mi się jednak, że dwa miesiące temu pojawiła się w Londynie, czyż nie?

- To prawda - przytaknęła Violet. - Ale nikt się temu nie dziwił, bo Claire wchodziła w wiek, kiedy powinna zostać przedstawiona towarzystwu. Zakładaliśmy, że Georgina i Hugh przygotowują się po prostu do tej ciężkiej próby.

- Czy widywano ich w towarzystwie?

Pani Weston zastanowiła się nad pytaniem przyjaciółki.

- Jak już o tym mowa... trudno byłoby powiedzieć, że się udzielali.

- A czy wiesz, gdzie się zatrzymali?

- Powinam wiedzieć. Jestem pewna, że słyszałam... - Zaciśnęła powieki, a potem je triumfalnie uniosła. - W St. Pierre! Jestem tego pewna. Pamiętam dokładnie, że lady Calhoun wspominała, iż widziała ich tam przy śniadaniu rano w dzień tragedii.

Lady Calhoun, najgroźniejsza z tygrysic towarzystwa, była niestety dla Christiane niedostępna.

- Czy robiła jakieś uwagi na temat ich zachowania? - zapytała delikatnie.

- Przysięgam, że jak jakiś zandarm! Pojęcia nie mam. A może jednak mam. Wspominała coś o scysji z kelnerem w sprawie rachunku. Ale Hugh był zawsze niemożliwie skąpy.

- Nie przypuszczam, by lady Calhoun napomknęła, jak Georgina wyglądała?

Violet wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście, że ta stara kocica nie omieszkała o tym napomknąć! Powiedziała, że Georgina Wyglądała zupełnie okropnie, jeżeli już musisz wiedzieć. Ale czy po Theodorze można oczekiwać czegoś innego?

- No właśnie - zgodziła się hrabina i po raz ostatni uniosła filiżankę z herbatą. - Przykro mi, Vi, że tak dużą część naszego spotkania poświęciliśmy nudnemu i ponuremu tematowi.

- Zaczyna mi się wydawać, że musi on być chyba dosyć fascynujący, skoro tak ciebie zaintrygował - oświadczyła pani Weston z błyszczącymi oczami. - Jak myślisz, co mogło się wydarzyć podczas tej ich podróży powozem?

- Nie mam zielonego pojęcia - odrzekła hrabina i była to prawda. Ale w głębi jej duszy zrodził się pomysł, gdzie szukać odpowiedzi. Po dwóch dziesiątkach lat odosobnienia w Irlandii Georgina Finn wróciła do swej ukochanej ojczyzny i bezzwłocznie została zamordowana. Mógł to być tylko zbieg okoliczności, o czym przekonana była Violet, jeszcze jeden przykład bezprawia, które zapanowało na gościach tego kraju. Z drugiej strony... przed oczami stanęli jej znowu Clair i Gannon, których rozmowę na dziedzińcu podglądała z okna saloniku; przypomniała sobie, jak dziewczyna błagała o coś wuja.

Tam, gdzie w grę wchodził Gannon, nic nie pozostawało proste, dumiała Christiane, żegnając się z Violet i obiecując, że częściej będą się widywały. Postawiłaby wszystkie pieniądze, jakie zaangażowała w akademię, że okoliczności zamordowania jednego z braci Finn okażą się w końcu dużo bardziej skomplikowane, niż się wydawały.

Tak się złożyło, że Christiane wiedziała, iż doktor Leon Caplan również przebywa w Londynie, bo wybierał się na posiedzenie w Royal Academy. Oczywiście jako Żyd nie mógł być jej członkiem, ale miał wielu przyjaciół, którzy z radością umawiali się z nim na później i przy whiskey oraz cygarach przekazywali aktualne informacje o najnowszych, przełomowych wydarzeniach w nauce i medycynie. Uznała, że powinna złapać go jeszcze przed kolacją; zawsze zatrzymywał się w pensjonacie pewnej znajomej Żydówki, pani Mordecai, w dzielnicy miasta o nazwie Holborn. Udała się tam wynajętym powozem i została gorąco powitana przez właścicielkę.

- Przecież to pani hrabina we własnej osobie! - wykrzyknęła pani Mordecai, która osobiście otworzyła na pukanie Christiane. - Ooch, ależ wspaniały kapelusz! Ale wygląda pani mizernie, moja droga, naprawdę. Ma pani za sobą ciężki dzień?

- Bardzo - przyznała Christiane, potem uśmiechnęła się szeroko, kiedy zza obszernych spódnic gospodyni wychynęła główka ciemnowłosego dziecka.

- To chyba nie może być Rachel, prawda? Kiedy widziałam cię ostatnim razem, byłaś przecież taka malutka! - Tu rozsunęła dłonie na kilka cali. Dziewczynka nieśmiało zachichotała.

- Chyba taka malutka nie byłam, prawda, mamó? - pisnęła.

- Nigdy, kochanie. Czy zostanie pani może na kolacji, milady?

Christiane pociągnęła nosem. W powietrzu pachniało pieczonym kurczakiem i egzotycznymi przyprawami, których z takim mistrzostwem używała pani Mordecai: kminkiem, kolendrą, hizopem.

- Mam nadzieję - powiedziała. - Czy doktor Caplan jest u siebie?

- O, tak. Może zaprowadzę panią na górę, a potem da mi pani znać, czy zechce się do nas przyłączyć na posiłek. Rachel, przestań żebrać wzrokiem.

- Ona ma miętówki. Ona zawsze ma miętówki - oświadczyła stanowczo Rachel.

Christiane roześmiała się i pogrzebała w torebce.

- Masz całkowitą rację, Rachel! Proszę cię bardzo.

- I co się mówi? - podpowiedziała matka dziewczynki.

- Dziękuję! - Rachel dygnęła i wzięła owinięte w folię cukierki. Pani Mordecai z czułością potrząsnęła głową i zaprowadziła Christiane na piętro do pokoju doktora Caplana.

- Panie doktorze! - zastukała do drzwi. - Przyszła do pana z wizytą hrabina d'Olivieri.

- Christiane! - Doktor natychmiast otworzył. - Nie mówiła mi pani, że wybiera się do Londynu.

- Sama nie wiedziałam, że się wybieram - wyjaśniła hrabina.

- Podać państwu coś co picia? - zapytała pani Mordecai.

- U Esther można dostać wspaniałe hiszpańskie sherry, może pani pamięta - zauważył Leon Caplan.

- Rzeczywiście, przypominam sobie, i z przyjemnością wypiję kieliszek.

- A pan, doktorze?

- Nigdy nie rezygnuję z takiej okazji, dziękuję pani, Esther. -

Gospodyni oddaliła się żwawym krokiem. Leon Caplan, niewysoki, schludny mężczyzna o rudych włosach i głęboko osadzonych brązowych oczach, doprowadził Christiane do fotela, a sam przysiadł na otomanie.

- Esther przygotowuje właśnie swojego niezwykłego kurczaka z migdałami - stwierdził. - Jego zapach dręczył mnie przez cały dzień, chociaż robiłem, co mogłem, by skupić się na czytaniu o puchlinie wodnej. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że kiedyś przez przypadek



przepiszę to danie jednemu z moich cierpiących pacjentów: „Weź pół kurczaka, który piekł się przez sześć godzin z kolendra i migdałami...” Christiane parsknęła śmiechem.

- Jestem pewna, że istnieją dużo mniej skuteczne lekarstwa. Dobrze pan wygląda, Leonie. Miejskie życie zawsze panu służyło. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego zadowala się pan odosobnieniem w Kent.

- Podobnie jak ja nie potrafię zrozumieć pod tym względem pani - odrzekł doktor i szeroko się uśmiechnął. - Przypuszczam, że odpowiedź brzmi, iż żadne z nas nie jest *de bon ton*.

Christiane odpowiedziała mu uśmiechem.

- Ale towarzystwo więcej traci, gardząc panem, niż odtrącając mnie.

- Tego nie jestem tak do końca pewien. W końcu potrafię tylko od czasu do czasu uleczyć jakąś dolegliwość, podczas gdy pani... Czy to nowy kapelusz?

Christiane dotknęła kapelusika ręką.

- Pani Mordecai również zwróciła na niego uwagę. Podoba się panu?

- Jestem nim zachwycony. I żał mi wszystkich miejskich panienek, które nigdy nie będą miały okazji podziwiać pani i naśladować jej tak, jak to czynić powinny.

- Och, że dwie czy trzy mogły coś zauważyć, kiedy je mijałam w powozie. Niech pan posłucha, Leonie. Chcę przed tym kurczakiem z migdałami zadać panu kilka pytań. - I w tym akurat momencie pani Mordecai przyniosła sherry. Zaczekała na należne sobie pochwały, a potem znowu się wycofała. - Czy podczas pana dyskusji z kolegami padło kiedyś nazwisko Georginy Finn?

- Jakie to dziwne, że porusza pani ten temat - powiedział lekarz i z zadowoleniem pociągnął łyżeczek sherry. - Zaledwie wczoraj wieczorem rozwodził się nad jej przypadkiem Henry Driscoll.

- Czy pogwałciłoby to pana zawodową dyskrecję, gdyby powtórzył mi pan, jaki był kontekst rozmowy?

- Nie sądzę... nie teraz, kiedy biedaczka nie żyje. Przyjechała do niego miesiąc temu, czy coś koło tego, z bardzo ostrymi dolegliwościami w okolicach miednicy. Postawił diagnozę zaawansowanego raka. Powiedział, że niewiele może jej pomóc, poza zapisaniem opiatu dla uśmierzania bólu.



- Ten przypadek nie wywołałby raczej dłuższej dyskusji -zauważyła Christiane.

Doktor Caplan roześmiał się.

- Jest pani równie przenikliwa jak zawsze. To jej przeszła historia była bardzo zagmatwana. Driscoll wcześniej leczył ją, bo nie była w stanie donosić dziecka w łonie. W sumie trzy razy poroniła. Raz były to bliźnięta.

- Rzeczywiście należy jej współczuć - zamruczała pod nosem Christiane i wypła łyżeczek wspaniałej sherry.

- Ogólna dyskusja dotyczyła problemu, czy te poronienia mogły być zapowiedzią raka albo może nawet w jakiś sposób go wywołać.

- Czy doktor Driscoll tak uważał? Leon Caplan wydał wargi.

- Niewiele wniósł do ogólnej dyskusji poza stwierdzeniem faktów.

Christiane przyglądała niesforny kosmyk włosów.

- A jego powściągliwość, jak rozumiem, wydaje się panu niezwykła?

Doktor się zarumienił.

- To do pani podobne, żeby trafić w sedno. Tak, wydawała mi się niezwykła. Doktor Driscoll to taki trochę chwalipięta, zawsze zależy mu na tym, by dać w swoją własną dudkę. Ale w tym przypadku nie zrobił tego. Odniosłem wrażenie...

- Jakie?

- Trudno to wyjaśnić. Że on... że miał teorię, pozwalającą wyjaśnić to, co się stało, ale miał również nadzieję, że zgromadzeni przekonają go, iż jest ona błędna.

- Ale niczym nie zdradził, jaka to mogłaby być teoria. Doktor potrząsnął głową.

- Kompletnie niczym.

- Niemniej jednak pan coś podejrzewa. - Doktor już zaczął zaprzeczać, ale Christiane zmarszczyła brwi. - Niech pan tego nie próbuje, Leonie. Znam pana za dobrze. O co tutaj chodzi?

Caplan roześmiał się i z oporami przyznał:

- Narodzeniu dziecka, które się utrzymało przy życiu, to znaczy panny Finn, towarzyszyły pewne niezwykle okoliczności...

- Jakie okoliczności? - zapytała hrabina z zapalem.

- Proszę posłuchać, Christiane. - Lekarz spoważniał. - Dlaczego

mnie pani o to wszystko wypytuje?

- Panna Finn jest nową uczennicą w akademii. To niezwykła młoda dama... na pierwszy rzut oka widać, że bardzo bystra, ale niedokształcona. Pani Treadwell i ja próbujemy ją po prostu lepiej zrozumieć, żeby dowiedzieć się, jakie konkretnie ma ona potrzeby i zdolności.

- Hugh Finn powierzył ją opiece pań? - Lekarz wydawał się zdumiony.

- Nie. Brat Hugh, Gannon. Już po tym, jak zamordowano jej rodziców.

- To bardziej zrozumiałe. Nie potrafię sobie wyobrazić, by Hugh miał udzielić córce pozwolenia na naukę w Anglii, jeżeli opierać się na tym, co mówił Driscoll.

- A co mówił?

- Że nienawidził wszystkiego, co angielskie.

- Jego żona była Angielką - odezwała się po krótkiej chwili Christiane.

- Wszystkiego, co angielskie - powtórzył z naciskiem doktor Caplan.

- Leonie, jeśli pan tak łaskaw, niech pan nie mówi ogródkami - zwróciła mu cierpko uwagę hrabina. - Zbyt wiele od tego zależy. Czy chce pan powiedzieć, że Hugh pogardzał żoną? - Lekarz milczał, wyraźnie bijąc się z myślami. - Słucham pana?

- Wolałbym nie snuć domysłów na temat sytuacji, której bliżej nie znam - rzekł wreszcie powoli. - A czuję odrazę do plotek.

Christiane westchnęła.

- A czy w granicach dopuszczalnych przez pana poczucie honoru mógłby mi pan może przekazać, jakie domysły snuli inni, obecni przy pana dyskusji z doktorem Driscollem, lekarze?

Caplan pochylił się ku niej z napięciem.

- Widzi pani, sytuację komplikują bardzo okoliczności, towarzyszące narodzinom panny Finn.

- A cóż to były za okoliczności?

- Przez okres ostatniej ciąży, tej, którą donosiła, jej matka rezydowała w majątku swego szwagra.

- W majątku Gannona? Caplan przytaknął.

- A czy dawano do zrozumienia, że to on jest ojcem dziewczynki?
- Nie. Nie o to tutaj chodzi.
- No to o co chodzi, do wszystkich diabłów? Nieczęsto się zdarzało, by szczerzy doktor Caplan był tak zażenowany, jak w tej chwili.
- Proszę posłuchać, Christiane. Wie pani, jak ludzie lubią gadać...
- Najwyraźniej wszyscy poza panem! A mam nadzieję, że zna mnie pan wystarczająco dobrze, by orientować się, że nie mam skłonności do ploteczek.
- Wiem. Niemniej jednak... ten człowiek nie żyje. Podobnie jak ona. Nie widzę niczego, co usprawiedliwiłoby wyciąganie na światło dzienne przykrych zająć, które mogły być prawdziwe lub nie.
- Gdyby pan zobaczył tę dziewczynę, Leonie... gdyby pan był świadkiem, jak brak jej wszelkiego oparcia...
- A więc Gannon Finn wykazał się wielkim wyczuciem, powierzając ją paniom.
- Ale jak mam jej pomóc, jeżeli tak mało o niej wiem? O jej przeszłości, o sprawach jej rodziny...
- Proszę ją zapytać - podsunął Caplan.
- Pytałam. Wie pan, co mi odpowiedziała? Że jej ojciec zawsze był zajęty sprawami majątku. A jej matka „po prostu... była”. A teraz Claire miewa koszarne sny. Co noc.
- Z czasem powinny zaniknąć. Niech się pani nie gniewa, Christiane. Dlaczego nie zwróci się pani o więcej informacji do lorda Carew? Z pewnością jest on bardziej właściwym ich źródłem niż tłum na wpół pijanych medyków, którzy wcale blisko z tą rodziną nie byli związani.
- Doktor Driscoll jest... był z nią blisko związany - obstawała przy swoim Christiane.
- Jak już wspomniałem, przy omawianiu tej kwestii doktor Driscoll wykazał niezwykłą powściągliwość. Och, Christiane, niechże już pani da sobie z tym spokój! - Caplan czuł się najwyraźniej tak nieswojo, że Christiane się zlitowała.
- Bardzo dobrze - powiedziała pogodnie. - Tyle pan o mnie wie, że pewnie powinnam być wdzięczna za pana awersję do plotek.
- Nie potrafię sobie wyobrazić, co też może pani mieć na myśli - rzekł lekarz z tak śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy, że Christiane

się roześmiała. Potem dodał już bardziej naturalnym tonem: - Sprawa miałaby się inaczej, gdyby u tej dziewczyny pojawiły się objawy jakiejś choroby czy innych zaburzeń. Ale na podstawie podanych mi przez panią faktów wnioskuję, że jest to po prostu młoda dama, która czuje się nieco zagubiona. A jeśli człowiek zastanowi się, co przeżyła, nie powinien się temu raczej dziwić.

Przecież ja przez cały czas próbuję ustalić, co ona właściwie przeżyła, chciała mu powiedzieć Christiane. Ale rozumiała, że na nic się to nie zda. Niech Leona cholera porwie z tą jego szlachetnością! Oczywiście, nigdy nie prosiłaby, by został lekarzem akademii, gdyby był choć trochę inny.

- Dobrze zrobiłam, Leonie, wybierając pana na lekarza naszych dziewcząt, prawda?

- Z przyjemnością tak myślę. - Uśmiechnął się szeroko, napięcie między nimi zelżało. - Co by pani powiedziała na propozycję, by w moim towarzystwie zabrać się do kurczaka z migdałami pani Mordecai?

- Czuję się zaszczycona - powiedziała mu hrabina, wstała z fotela i pozwoliła się sprowadzić na parter.

---

## Rozdział czwarty

---

Hrabinie został jeszcze jeden as w rękawie.

Wśród jej londyńskich znajomych był wydawca brukowca „Weekly Guardian”. Gazetę tę powszechnie uznawano za bezwstydne i całkowicie niewiarygodne źródło informacji o wydarzeniach w stolicy. Oczywiście równie powszechnie ją prenumerowano. Po przesympatycznym posiłku w towarzystwie pani Mordecai oraz jej rodziny i mieszkających w pensjonacie gości Christiane przywołała następną dorożkę.

- Na Meekin Lane, pod czwórkę - powiedziała dorożkarzowi.

Dorożkarz spojrział na nią krzywo.

- Paniusiu, to nieodpowiednia okolica dla pani.

- Jadę odwiedzić starego przyjaciela - zapewniła go Christiane ze skromną miną i rozsiadła się na poduszkach. Czowała się znużona, ale niejasne, rzucane przez doktora Caplana aluzje, dotyczące życia rodzinnego Georginy i Hugh Finnów, zaostrzyły tylko jej ciekawość.

Dorożkarz zawiózł ją pod wskazany adres. Pomagając jednak hrabinie wysiąść, próbował odwieść pasażerkę od powziętego zamiaru.

- Niebezpiecznie tu przy porcie - ostrzegał, rozglądając się po mrocznej ulicy na lewo i prawo. - Nieodpowiednie miejsce dla damy.

Christiane wcisnęła mu banknot jednofuntowy w dłoń.

- Zaczekajcie tu na mnie, dobrze? To nie potrwa długo. Na dorożkarzu jej szczodrość zrobiła co prawda wrażenie, ale nie na tyle wielkie, by miał się do czekania zobowiązywać.

- Jak się zaczyną kłopoty...

- Oczywiście, że nie spodziewam się, byście w razie zagrożenia mieli czekać - zapewniła go Christiane, a potem podeszła do drzwi Matthew Darby'ego i zapukała.

Nie otwierał dosyć długo. Słyszała, jak za jej plecami dorożkarz

niespokojnie się wierci. Ale w oknie na piętrze świeciło się światło, a ona wiedziała, co to znaczy. W końcu drzwi uchyliły się, tylko odrobinę, i mignęła w nich okrągła, blada twarz Darby'ego. Kiedy zobaczył hrabinę, otworzył drzwi szeroko.

- Moja droga hrabina! Co za rozkoszna niespodzianka! - Już miał ją chwycić w objęcia, ale powstrzymał się, bo zauważył, że ręce ma poplamione atramentem. - Bardzo panią przepraszam. Proszę wejść... a z panią niech wejdą wszystkie towarzyszące jej nowinki! Z czym wiąże się najnowszy smakowity skandalik?

- No, no, Matthew, przecież wie pan, że charakter zmienił mi się na lepsze.

- I odżalować tego nie mogę. Tak mi brak apetycznie prowokacyjnych kąsków, które przysyłała mi pani z Paryża. „Który zamożny potomek obdarował cennymi szmaragdami swojej matki pospolitą ulicnicę?” „Którego kształconego w Cambridge syna para oskarżono w zakładzie stanowczo nie pierwszej klasy o oszustwo przy kartach?” Ach, to były dla mnie złote dni!

- Zdaje pan sobie sprawę, mam nadzieję, że, przekazując panu takie informacje, pragnęłam tylko zwrócić uwagę angielskich rodziców na fakt, iż powinni krócej trzymać swoich synów podczas ich podróży po kontynencie.

- A ja, publikując je, zamierzałem osiągnąć dokładnie to samo. - Wydawca pokiwał głową z taką powagą, że hrabina parsknęła śmiechem.

- Okropny z pana kłamca!

- Można by to samo powiedzieć o pani - odparł, ani odrobinę nie skonsternowany. - Któż mógłby potępiać panią za to, że odrobinę zemściła się pani na tych rozpaskudzonych, upierścienionych hipokrytkach, które wyгнаły panią ze swego grona?

Christiane zdjęła kapelusik i przeciągnęła dłonią po włosach.

- Niemniej jednak z perspektywy czasu stwierdzam, że była to z mojej strony małostkowość, którą dogłębnie czuję się zawstydzona.

- Czy to znaczy, że nie ma pani dla mnie żadnych *on-dit*? - Darby gestem zaprosił hrabinę, by usiadła na fotelu w jego zabałaganionym saloniku.



- Wręcz przeciwnie. Przyjechałam, by wreszcie zażądać zapłaty za moje dawne doniesienia.

- A więc winien jestem pani okrągłą sumkę, jako że to dzięki pani „Guardian” rozpoczął swoją karierę. Wydawało mi się jednak, że z wielką satysfakcją osiadła pani w Kent jako cicha partnerka bardzo ekskluzywnej akademii dla młodych dam.

Christiane zbladła.

- Dobry Boże! Skąd pan się czegoś takiego dowiedział?

- A więc nie jest to prawda?

- Och, nie. To całkowita prawda. Ale gdyby ta wieść się rozeszła, wszystkie uczennice zostałyby natychmiast z akademii odebrane.

- To oczywiste. I dlatego nie opublikowałem tej wiadomości. - Uśmiechnął się do niej szeroko, jego nakryte grubymi okularami oczy zabłysły. - Czy dzięki temu spłaciłem częściowo mój dług?

- Bez dwóch zdań. Właściwie może nawet przechylił pan szalę na swoją korzyść.

- Wątpię. Chociaż gdyby kiedyś miała pani ochotę przekazać... oczywiście anonimowo... jakąś smakowitą ploteczkę o którejś ze swoich uczennic...

- Nie ma mowy, Matthew. Mówiłam już panu, że mi się charakter poprawił.

- Dużo bardziej była pani zabawna, kiedy tryskała pani oburzeniem na towarzystwo z wyższych sfer - burczał wydawca. - Przypuszczam jednak, iż nadal mam większy dług wdzięczności wobec pani niż pani wobec mnie. Czym mogę pani służyć?

- Co pan wie o zamordowaniu Hugh i Georginy Finnów? Darby gwizdnął przez zęby.

- A czemu miałyby to panią interesować?

- Zapewniam pana, że powodują mną wyłącznie względy filantropijne. - I tu krótko przedstawiła Darby'emu, jak to się stało, że Claire Finn trafiła pod jej skrzydła. - Jestem przekonana, że uda mi się pomóc pannie Finn tylko wtedy, jeżeli poznam przeszłość jej rodziny, i poszukuję wszelkich informacji, dzięki którym mogłabym osiągnąć ten cel.

- Jednego słówka nie opublikowałem na temat tej zbrodni. Co

oczywiście nie oznacza, że nie mam u siebie papierów, dotyczących rodziny Finnów. Niech no pani chwilę poczeka, pobiegnę na piętro i przyniosę je. Proszę się poczęstować drinkiem, jeżeli ma pani ochotę. - Pokazał na kredens, ale zaraz się skrzywił. - Cholera jasna. Nic nie zostało, prawda? Wszystko wyssał wczoraj do sucha pewien zatracony służący z Carlton House, kiedy składał raport o popełnionych ostatnio przez regenta niedyskrecjach.

- Chyba pan czegoś takiego nie opublikuje? - zapytała Christiane, przejęta zgrozą. - Na pewno by pana zamknęli.

- Naturalnie, że nie. Ale wiedza to władza, czyż nie? - Puścił do niej oko i zniknął na wąskich schodkach, a po chwili wrócił, niosąc czarną, przewiazaną sznurkiem teczkę. Usiadł naprzeciw swojego gościa, zapalił lampę, zsunął niżej okulary i zaczął grzebać w papierach. - Jaki aspekt sprawy najbardziej panią interesuje?

- Cała sprawa - przyznała szczerze Christiane. - Co pan tam ma?

- No cóż, jest całe mnóstwo staroci z okresu, kiedy Georgina rzuciła brata Hugh, by wyjść za tego ostatniego. Komentarze różnych starych kocic na temat względnej wartości obydwu braci, takie różne. Och, i jeszcze wyrazy zachwyty jakichś zadziornych panienek, że Gannon wciąż jest do wzięcia.

- Jak rozumiem, to jego uważano powszechnie za lepszą partię? Darby prychnął.

- Uważano? Chyba nadal się uważa, czyż nie? Gdybym wierzył w takie idiotyzmy, byłbym bliski stwierdzenia, że złamała mu serce. Minęło ile to... dwadzieścia lat chyba? A on nadal się nie ożenił.

- Ale jest zaręczony z panną Delaney.

- Ten człowiek bywał już zaręczony z pół tuzinem panien, a nie widziałem, by któraś z nich nosiła na palcu obrączkę.

- Czy pan go zna, Matthew?

- Nie mogę powiedzieć, żebym go znał. Ale przecież pani go znała w Paryżu? Zobaczmy, co ja tu jeszcze mam. - Wrócił do papierów i wyciągnął jeden z nich. - Zgodnie z tym irlandzkie majątki Hugh były w nie najlepszym stanie. Dostałem tę informację od pewnego zaprzyjaźnionego bankiera, który odrzucił przed kilku laty jego prośbę o kredyt hipoteczny.

- A czy zechciałby mi pan powiedzieć, w jakim stanie są majątki Gannona Finna?

- Cholernie dobrym. Naprawdę cholernie dobrym. W przypadku Gannona to same sprawy romansowe.

- Żadnego hazardu?

- Tyle, ile dżentelmen musi uprawiać, żeby zachować pozory.

- A jakieś plotki dotyczące Hugh?

Matthew Darby, kartkując papiery, poprawił pince-nez na nosie.

- Nic, poza plotkami na temat stanu jego majątku. Trzymał się na osobności, od kiedy wyjechał z Georginą do Irlandii.

- Nie słyszał pan nic o przyczynie, dla której ktoś chciałby pozbawić go życia?

Darby wzruszył ramionami.

- Przykro mi, że nie mogę pani bardziej pomóc. Gdyby chciała pani poznać moje zdanie, to sądzę, że po prostu jego rodzina znalazła się w niewłaściwym momencie w niewłaściwym miejscu.

Christiane zerknęła przez pokryte zaciekami okno. Siedzący na koźle dorożkarz wyciągał szyję i najwyraźniej w miarę upływu czasu coraz bardziej się niepokoił. Niechętnie się podniosła.

- Muszę już iść, Matthew. Gdyby do pana uszu doszła jakaś informacja, dotycząca tego przypadku, proszę dać mi znać, dobrze? - Otworzyła torebkę i wyciągnęła wizytówkę.

- Z przyjemnością. I wzajemnie, gdyby trafiła pani kiedyś na jakieś ciekawostki, którymi mogłaby się pani ze mną podzielić... oczywiście nie kompromitując żadnej ze swoich młodych dam..

- Ma pan moje słowo. Niech pan na siebie uważa, Matthew. Cudownie było pana znowu zobaczyć.

- I panią również, moja słodka. I jedźcie ostrożnie, żeby się pani powóz tu nie zagubił. - Odprowadził ją do drzwi. Dorożkarz rozgłośnie, z ulgą odetchnął na widok pasażerki. Matthew Darby pocałował hrabinę w policzek. Ich cienie padły na ulicę i zmieszały się ze sobą.

- Na litość boską, jeźdzmy już - powiedział dorożkarz, pospiesznie podsadzając hrabinę.

Kiedy ruszyli, Christiane obejrzała się i pomachała przez okno. Ale Matthew Darby'ego nie było już widać; wrócił do swego drukowania i

swego brukowca.

Christiane czuła się zmęczona. W głowie jej się kręciło. Oparła się o poduszki, przymknęła oczy, poddała nierównemu rytmowi kół na kocich łbach. Miała teraz więcej pytań niż wtedy, kiedy wyruszała w podróż. A chyba nic z tego, czego się dowiedziała, nie pomoże jej w sprawie Claire.

Może robię z igły widły, myślała, kiedy powóz bezpiecznie skręcił na High Holborn. Czy angażowałabym się aż tak, gdyby w sprawę nie był wplątany Gannon? Co właściwie spodziewała się osiągnąć przez to wtykanie nosa w różne sprawy? Zdemaskować go? Zrobić na nim wrażenie? Zadać mu jeszcze więcej cierpienia za to, co zrobił Jean-Baptiste'owi?

Panujący w myślach chaos był wyczerpujący. Głowa Christiane opadła. Koła podskakiwały i obracały się, podskakiwały i skręcały. Torebka wyslizgnęła się hrabinie z ręki niezauważona. Oczy jej zamknęły się na dobre.

*Paryż. Miasto nocą całe lśniło, odbijało się w wielodzielnych szybkach, które służąca poodchylała, by wpuścić powiew wiatru znad Sekwany. Intensywny smak bordo i słodki, nieziemski zapach konwalii w wazonie przy łóżku. Jego dłonie, jego długie, smukłe dłonie, sięgające do guzików pod szyją. Jego dotyk, taki delikatny, niemal kobiecy. I ten wyraz twarzy, jakby coś z nabożną czcią i fascynacją odkrywał.*

*Jego głos, ten cichy szept: „Pokaż mi, co mam robić. Jak dać ci radość”. Jego włosy rozsypane po obleczonej w płótno poduszce, czerń na bieli. Kropelki potu, które wystąpiły mu na czoło. To, jak pachniał, ostrzej niż konwalie, kiedy zrzucił z siebie koszulę, zdzierał ją przez głowę: skórą i winem, i dobrym angielskim mydłem.... Włosy na torsie miał jaśniejsze niż w harcapie. Pochylił się, by pocałować jej pierś, taki pełen wahania, taki delikatny, niczym powiew wiatru znad rzeki, który ledwo poruszał białymi muślinowymi firankami. Z pokoi na parterze dochodziły dźwięki muzyki, bardzo cichej, melodyjnej. I równie melodyjnie wymawiał jej imię: „Christiane, Christiane...”*

Ocknęła się gwałtownie. Powóz się zatrzymał. W pobliżu coś się działo. Przypomniał jej się śniony przed chwilą sen i zarumieniła się. Jakie to dziwne, że właśnie o nim śniła...

I równocześnie usłyszała znowu jego głos, jak najwyraźniej, zupełnie jakby jakiś nowy sen dogonił ten poprzedni. Tylko że tym razem w głosie Gannona dźwięczało wyłącznie oburzenie, wydawał się wyprany ze wszelkich emocji poza wściekłością:

- Christiane!

Oszołomiona wyprostowała się na poduszkach i instynktownie poprawiła kapelusz na głowie. Zamrugła powiekami w świetle gazowych latarni, zobaczyła, że dorożkarz ogląda się na nią przez ramię, lejce zaciska mocno w dłoniach, oczy ma rozszerzone. A za jego plecami zobaczyła na wielkim czarnym rumaku lorda Carew, który, trzymając w dłoni połyskujący srebrem pistolet, blokował im drogę.

Christiane zadała pierwsze pytanie, jakie jej przyszło na myśl:

- Czy masz mnie zamiar obrabować, Gannon?

- A nie mówiłem, paniusiu, że port jest niebezpieczny? - bełkotał dorożkarz.

- A może to ty obrabowujesz mnie? - odparował tym samym wściekłym głosem, nie zwracając najmniejszej uwagi na woźnicę.

- Obrabowuję cię... z czego? - zapytała zdezorientowana i coraz silniej przekonana, że musi to być sen.

- Co kazało pani odwiedzać Matthew Darby'ego?

- Niech mu paniusia odda swoją torebkę i skończmy z tym! - błagał dorożkarz.

- Nie chcę jej zatraconej torebki - warknął Carew w chwili, kiedy Christiane, uświadomiwszy sobie wreszcie, że to jednak jawa, opamiętała się i gwałtownie pozbierała rozpierchłe myśli. Zalało ją poczucie oburzenia.

- Czy pan mnie śledził? - zapytała ostro, prostując się na całą swoją wysokość na poduszkach.

- A jeżeli nawet tak, to co? Ciekawy dzień spędziła pani w mieście, nieprawdaż? Najpierw pani Westin, potem ten czepiający się akademii pieczeniarsz, a wreszcie najgorszy plotkarz w całym Londynie...

- Jak śmiał mnie pan śledzić! - wściekła się Christiane i cisnęła w niego tym, co miała najbliżej pod ręką. Jak się okazało, była to torebka.

- No, tak trza było od początku zrobić - stęknął z wielką ulgą dorożkarz.



Carew odbił torebkę.

- Mam prawo chronić moją bratanicę - powiedział, a jego szare spojrzenie twarde było jak skała.
- Nigdy bym jej nie wyrządziła krzywdy!
- Ma pan przecie już jej torebkę, no, panie - zwrócił się dorożkarz do jeźdźca. - A może chciałby pan jeszcze i klejnoty na dodatek?
- Chciałaby pani mi wmówić, że jej wizyta u Darby'ego nie wiązała się z moją rodziną?

Christiane miała do dyskrecji Matthew Darby'ego granitowe wręcz zaufanie (nie można zostać największym plotkarzem Londynu, jeśli się nie wie, kiedy trzymać język za zębami). Tylko ono dodało jej odwagi i pozwoliło oświadczyć z kompletnie zimną krwią:

- Absolutnie jej nie dotyczyła! Carew pogardliwie wykrzywił usta.
- Rozumiem. Była to czysto towarzyska wizyta.
- Darby to mój stary i serdeczny przyjaciel.
- Muszę powiedzieć, że jak na przełożoną szkoły dla pań wybiera pani sobie wspaniałych przyjaciół.
- Matthew nigdy jeszcze nie zdradził żadnego sekretu, jaki mu powierzyłam - powiedziała Christiane z napięciem.

Carew roześmiał się, jeszcze bardziej zbijając dorożkarza z pantafelku.

- Właściwie przyznała pani, że nie mam żadnego powodu, by wierzyć w to, co Darby powie o pani wizycie.
- Jak to?
- Przecież jest pani starym i serdecznym przyjacielem.
- A może - podsunęła Christiane cierpko - świat nie jest aż tak pełen spisków, jak pan to sobie wyobraża, milordzie.

Carew odchylił się do tyłu w siodle, chociaż nadal nie zabezpieczył pistoletu.

- Przypuszczam, że pani Westin i doktor Caplan to również pani starzy i serdeczni przyjaciele.
- Tak się składa, że są moimi przyjaciółmi.

Zza rogu ulicy wychynął przedstawiciel nocnej straży. Maszerował powoli, uderzając się pałką po dłoni. Wzrok dorożkarza pomknął w jego kierunku, potem wrócił do hrabiny, następnie do lorda Carew, który już otwierał usta, żeby powiedzieć coś więcej. Ale zanim zdążył to zrobić,



dorożkarz rozdarł się nagle na cały głos:

- Ratunku! Mordercy! Napad!

Policjant wzdrygnął się i poderwał do biegu. Lord Carew ani drgnął.

- Co się tutaj dzieje? - sapnął policjant, ciężkim kłusem podbiegając do dorożki.

- Ten człowiek nas zaczepił - odpowiedział dorożkarz; miał taką samą zadyszkę jak policjant. - Groził mi pistoletem. Zażądał od damy torebki. Sam pan może zobaczyć, że leży na ulicy.

Policjant powoli pochylił się, by podnieść torebkę, nie spuszczając przy tym oczu z Carew'a.

- Jeżeli to rozbójnik, to jakiś dziwaczny, że nie ucieka przed prawem.

- Nie jestem żadnym złodziejem - odpowiedział krótko Carew.

- No to kim pan jesteś?

Christiane czekała, żeby jeździec się przedstawił: Gannon Finn, lord Carew. Ale on milczał, patrząc prosto na nią, jakby prowokował, by potwierdziła oskarżenia dorożkarza. Christiane doszła do wniosku, że interes jej samej i Claire wymaga, by zaprzeczyła.

- Tak się składa, że to mój stary i serdeczny przyjaciel - powiedziała policjantowi i uroczo się roześmiała. - Tylko żartowaliśmy. Bardzo mi przykro, że dorożkarz się wystraszył. - Spojrzała z wyrzutem na Gannona. - Naprawdę musi pan ukrócić swoje skłonności do takich figli. Wyrwał mnie pan z głębokiego snu. Gdyby dorożkarz był również uzbrojony, Bóg jeden wie, jak by się to wszystko skończyło.

Policjant przyjrzał się przeciągle i surowo lordowi Carew, a potem damie w powozie.

- Nie pochwalamy takiego zachowania w Londynie - rzekł ostro, a potem wrzucił torebkę hrabiny do powozu. - A teraz ruszajcie oboje swoją drogą.

- Bardzo pana przepraszam, sierzancie - dodała Christiane z olśniewającym uśmiechem. - Proszę wracać do domu, milordzie, i niechże pan już będzie grzeczny.

- Zamierzam odwiedzić Claire w ten weekend.

- Dobrze. Powiem jej o tym. Proszę pamiętać, żeby jej nie rozczarować.

- Proszę, by pani również o tym pamiętała - odparł, dał koniowi ostrogę i zniknął w ciemnościach.

Scandalous

---

## Rozdział piąty

---

Po tym londyńskim spotkaniu Christiane była przez kilka dni po prostu wściekła, że Gannon Finn śledził jej poczynania. Ale gdzieś w połowie tygodnia furia osłabła, a fakt, że Carew zadał sobie tak ogromnie dużo trudu ze względu na Claire, zaczął się hrabinie wydawać wzruszający. Poza tym musiał mieć ją samą pod ścisłą obserwacją, jeżeli wiedział, że wybiera się w podróż. Fascynujące.

Czy możliwe, by to jednak ona była przyczyną ciągłych zawodów miłosnych Gannona?

Przyłapała się, że niesłychanie długo zastanawia się, co by tu włożyć na tę jego zapowiadzaną wizytę. Czy lepiej iść w zawody z modnisią Greer Delaney, czy może raczej pokazać się w skromnej sukni rustykalnej? Wahala się między jednym a drugim, aż wreszcie zdecydowała się na hybrydę obydwu stylów. Zaprezentuje mu się w stroju sielankowym, w swoim uroczym niebieskofioletowym muślinie. Ale każe pani Tattersall z pobliskiej wioski Hartin przerobić stanik na bardziej wycięty. Mogę być o dwadzieścia lat starsza od tej całej Greer, myślała w piątkowe rano, stojąc przed lustrem u krawcowej i przyglądając się, jak ta pogłębia dekolt. Ale nie wątpię, że dobrze musiałaby wyciągać nogi, gdyby mnie chciała dogonić.

Pani Tattersall przeszła za plecy hrabiny i zajęła się tyłem stanika, usta miała pełne szpilek.

- Czoźnambaniziwieje - wymamrotała.
- Co pani rzekła, pani Tattersall? - zapytała wytwornie Christiane, która właśnie podziwiała swój biust, nadal wyniosły i jędrny, wyokrągający się pod opuszczonym niżej muślinem.

Krawcowa wyjęła szpilki z ust.

- Powiedziałam, że coś nam pani siwieje.

- Co? - wykrzyknęła ze zgrozą Christiane. - Gdzie?

- O, tutaj. - Pani Tattersall pokazała palcem. Christiane wygięła się, trzymając w ręku lusterko, żeby wskazane miejsce zobaczyć.

- Niemożliwe - mamrotała. - To musi być coś innego. Kurz. Jakieś pyłki. Mąka! Poszłam dziś rano do kuchni i pomagałam kucharce... auć!

- Pani Tattersall podniosła rękę i wyrwała spomiędzy czarnych loków nikiemnie siwe włosy, po czym bez słowa położyła je hrabinie na dłoni. Od cebulki po sam koniuszek były bielusieńkie jak śnieg. Christiane wpatrywała się w nie przerażona.

- Aptekarz, pan Simmons, wytwarza bardzo dobre farby -napomknęła krawcowa i zabrała się znowu do szpilek. - Bardzo naturalnie wyglądają, naprawdę.

Farbowane włosy. Christiane przeszedł dreszcz. A co będzie następne? Pince-nez? Reumatyzm? Artretyzm? Odwróciła spojrzenie od odbicia w lustrze... ale jej oczy, jak przyciągana płomieniem ćma, wróciły do niego. Chyba zaczynają jej się robić zmarszczki w kącikach oczu. Delikatna chmurka piegów skaziła niegdyś idealnie biały dekolt, który przed chwilą podziwiała. I czy tylko jej się zdaje, czy skóra naprawdę trochę obwisła? Z pewnością obwisła. Nie da się zaprzeczyć, że obwisła.

Miała ochotę z wrzaskiem wypaść na ulicę i krzykiem ogłosić wszem i wobec: Ja się starzeję! Jak do tego doszło? Kiedy do tego doszło? I co ona robiła, kiedy do tego dochodziło?

Pani Tattersall musiała zauważyć nagle napięcie klientki, bo powyciągała znowu szpilki z wygiętych w szerokim uśmiechu ust.

- No cóż, każdą z nas to dotyka prędzej czy później, prawda? - powiedziała radośnie. - Nie ma wyboru, chyba żeby ktoś wolał umrzeć, a tego nikt by sobie pewnie nie życzył.

Ale Christiane właśnie coś takiego pomyślała. Boże. Wolałabym umrzeć. Dużo lepiej oddać ducha niż powoli więdnąć i zmieniać się w jakąś żalosną, kalekę, białowłosą staruchę. Ja wcale nie czuję się staro, dumiała. Stojąc przed lustrem, napięła mięśnie: ręce i nogi nie przestały jeszcze działać tak, jak zawsze działały. Jakim sposobem trzy siwe włosy mogły wywołać aż takie wzburzenie? Przecież zostało jej całe morze czarnych.

- Mogłabym w pani imieniu porozmawiać z panem Simmonsem - zaproponowała krawcowa. - Sama korzystam z je-go farb, naprawdę. I chyba nie pochlebiam sobie, twierdząc, że nikt absolutnie niczego nie zauważył.

Włosy pani Tattersall miały od zawsze, od kiedy Christiane ją знаła, bardzo dziwny, krzykliwe rudy kolor.

- Uprzejmie pani dziękuję - udało jej się wykrztusić - ale nie wydaje mi się to konieczne.

Pani Tattersall parsknęła śmiechem.

- No cóż, może jeszcze nie! Ale proszę tylko zaczekać, a przekonają się pani!

Poczekać i się przekonać. Christiane przemogła się i oderwała wzrok od odbicia w lustrze.

- Może... może lepiej byłoby jednak zmniejszyć dekolt o cal czy dwa - wymamrotała cichutko.

Krawcowa z mądrą miną pokiwała głową.

- Sama tak myślałam. Mniejszy dekolt bardziej będzie odpowiedni dla damy w pani wieku, prawda?

*Dla damy w pani wieku.*

Przez całą drogę powrotną do akademii Christiane dzwoniły w uszach te smętne słowa. Starła się przed nimi opędnąć, powtarzając sobie: Przecież ja mam dopiero czterdzieści trzy lata. To jeszcze nie starość. Przecież to zaledwie wiek średni!

Ale określenie „w średnim wieku” brzmiało równie obrzydliwie jak „stara”, a nawet może gorzej, ponieważ niosło ze sobą implikację jakiegoś zawieszenia między okresem, kiedy młodość minęła, a coraz bliższym czasem starczego zdziecinnienia, kiedy już nikomu do niczego potrzebna nie będzie.

- Jestem wciąż tą samą osobą, którą byłam w wieku osiemnastu lat! I dwudziestu pięciu! I trzydziestu pięciu! - powiedziała na głos. Słyszając ją, stary Stains odwrócił się na koźle.

- Co to pani powiada, psze pani? - zawołał, przykładając dłoń do ucha i pochylając się w jej kierunku.

Christiane przeszedł dreszcz.

- Nic takiego, Stains! - podniosła głos. - Mówiłam do siebie. Stains

uśmiechnął się swą szczerbatą gębą.

- Nie ma co, to pierwsza oznaka zramolenia, jak człowiek sam do siebie gada!

- Zamknijcie się, Stains - mruknęła, ale półgłosem, więc stangret nie dosłyszał.

- Co tam?

- Zamknijcie się, Stains - powtórzyła Christiane przez zaciśnięte zęby.

Nie musi spotykać się z lordem Carew, kiedy ten przyjedzie z wizytą, to oczywiste. Może po prostu w taki sposób ułożyć sobie zajęcia, by znaleźć się gdzie indziej. Z ulgą postanowiła, że właśnie tak postąpi.

Ale co on pomyśli, jak jej nie zastanie?

Że jednak podczas mojej podróży do Londynu coś knułam, uświadomiła sobie i zaczęło ją ssać w żołądku. Że słusznie mnie oskarżał.

Będzie musiała stanąć z nim twarzą w twarz. Nie ma wyboru.

Och, ale jak zdoła to znieść, wiedząc, że kiedy Gannon na nią popatrzy, zobaczy to samo, co widzieli Stains i pani Tattersall: kobietę w średnim wieku, chociaż „dobrze zakonserwowaną” (Boże, cóż za okropne wyrażenie!), która po nieco awanturnicznym życiu za granicą wróciła do ojczyzny, by nauczać panienki dobrych manier.

Stanął jej znowu przed oczami lord Carew na karoszu, potężny i wściekły. O nim nikt nie powiedziałby, że jest w średnim wieku! Boże, myślała zasmucona, życie nie staje się ani odrobinę bardziej sprawiedliwe dla kobiet, kiedy robią się starsze. Zmienia się tylko na gorsze. Może zamiast zajmować się dziewczętami, powinna otworzyć akademię dla wdów w wieku średnim.

Dziwne, ale jakoś ją to podniosło na duchu. A czego mogłabym uczyć w takiej akademii? dumiała, kiedy podskakujący na wybojach powóz wiozł ją do domu. Żeby miały zaufanie do własnych atutów. A co się na te atuty składało? Doświadczenie. Przebiegłość. Mądrość. I brak egocentrycznej, ckliwej banalności panny Greer Delaney.

Ale czy w oczach mężczyzny mądrość, przebiegłość i doświadczenie - a nawet wyrugowanie głupoty - może stanowić konkurencję dla beztrudnej urody, jakiej Greer miała całą furę? Czy mężczyzna zdolny



jest do myślenia organem innym niż płciowy? Miała co do tego poważne wątpliwości.

Żałowała przez chwilę, że nie może omówić tego tematu z panią Treadwell, która w końcu była w tym samym wieku co hrabina. Ale przełożona pensji, jak wiedziała, zrezygnowała już z wszelkich pretensji do młodości i z bezgranicznym chyba ukontentowaniem siwiała i zmieniała się w matronę. Trzeba przyznać, że pasowało to do roli tytularnego dyrektora akademii. Ale Christiane nie przestawało dręczyć poczucie, że po dawnej właścicielce Maison de Touton, kobiecie, której kochankowie pochodzili z trzech różnych krajów (a nawet czterech, jeżeli uwzględnić ten króciutki romans z Rosjaninem) i która dziewczętom w akademii stawiała siebie za coś w rodzaju wzoru śmiałości, dzielności i odwagi, należy spodziewać się czegoś więcej.

Czy udałoby mi się go zdobyć? Gdybym spróbowała?

Aż się wzdrygnęła na tę myśl. Claire jest uczennicą, została powierzona jej pieczy. Ma obowiązki wobec tej osamotnionej, dręczonej koszmarami sieroty.

Zadumała się znowu nad faktem, że chociaż przemierzyła w Londynie tak wiele kuszących, prowadzących do różnych źródeł informacji ścieżek, nie zaczęła w rezultacie ani trochę lepiej rozumieć swej podopiecznej. Wszyscy rozmówcy zgadzali się, że klucz do zagadkowej śmierci Hugh i Georginy spoczywa w rękach brata, który przeżył. Może uda się połączyć obydwie zadania: sprostać wyzwaniu, to znaczy dowiedzieć się, co kryje się za osobliwą niemocą Claire, i dowieść (nawet gdyby miała dowieść tego tylko samej sobie), że wciąż nie jest błogo osiadłą na laurach matroną. Że ma jeszcze coś do zaproponowania nawet hultajowi o takiej renomie jak Gannon Finn.

Oczywiście nie dopuści, by sprawy posunęły się za daleko. Wiedziała, gdzie jest granica, i nie miała zamiaru jej przekraczać, zwłaszcza w towarzystwie mężczyzny, przez którego Jean-Baptiste omal nie stracił życia. To będzie eksperyment naukowy i kropka. A skorzysta na nim dodatkowo Claire, dla której Christiane uzyska pomoc.

Pomysł wydał się hrabinie porywający. Nie może się chyba nie udać? Bardzo podniesiona na duchu wyprostowała się dumnie na poduszkach powozu, przybierając tę doskonałą pozę, której tak zazdrościły jej

debiutujące razem z nią dziewczęta.

Miała misję. To wspaniałe uczucie, mieć swoją własną misję.

Scandalous

---

## Rozdział szósty

---

- A mnie się zdawało, że ty tego pana nie znosisz - powiedziała pani Treadwell zdeorientowana, patrząc, jak Christiane nadzoruje nakrywanie stołu przed prywatną kolacją w saloniku.

- Już ci mówiłam, Evelyn, że nie pozwolę, by moje osobiste uczucia przeszkodziły mi w usiłowaniach, by wykierować Claire na osobę szczęśliwą. Będą nam potrzebne widelce do ostryg, Clarisso.

- Słucham, psze pani.

- Widelce do ostryg! - prychnęła pani Treadwell. - Kiedy interesowałam się ostatnio tą sprawą, ostrygi były po trzy szylingi za tuzin.

- Z pewnością nie chciałybyś, żebym oszczędzała właśnie na lordzie Carew.

- A co jeszcze planujesz podać? - zapytała podejrzliwie przełożona.

- Nic wielkiego. Pate. Zupę z krabów. Pomidory *gratin*.

Tarte z pigwami. A Stains ustrzelił dla nas wspaniałą słonkę.

Poleciłam kucharce, żeby przyrządziła ją z sosem Robert. Nie możesz chyba skarżyć się na koszt tych dań.

Pani Treadwell przypatrywała się hrabinie z namysłem.

- Coś ty zrobiła z włosami?

- Chodzi ci o to? - Christiane potrząsnęła lokami. Tym razem zaczesła je wszystkie na jedną stronę i spięła bogato zdobionymi hiszpańskimi grzebieniami. - Wypróbuję nową fryzurę. Nie podoba ci się?

- Nie zmieniałaś sposobu uczesania, sama już nie wiem od kiedy.

- No właśnie. Wpadłam w rutynę.

- Żebyś tylko nie wpadła w nic innego - wymamrotała pod nosem pani Treadwell.

- Słucham cię?

- Nie jestem głupia, Christiane. I znam cię od lat. Wszystko to... -

Pokazała na ozdobiony świecami stół, stojący na środku bukiet mocno pachnących floksów i groszków, zastawę z wypolerowanych do połysku sreber i lśniącej porcelany. - Odnoszę wrażenie, że zastawiasz jakąś pułapkę.

- I masz całkowitą rację - przyznana hrabina ku wielkiemu zaskoczeniu przyjaciółki. - Pojechałam do Londynu, zadawałam tam różne pytania, rozmawiałam z Claire i jej wujem; żadne z moich działań nie pozwoliło nam ani trochę lepiej zrozumieć, co leży u podstaw dziwnego stanu tej dziewczyny. Tak więc przejmuję inicjatywę. Mam nadzieję, że posłużysz się doskonałym jedzeniem, winem oraz konwersacją, rozwiążę język lordowi Carew i jego bratanicy.

- Moim zdaniem, strasznie dużo tych zabiegów i wydatków.

- Bądź tak dobra pamiętać, że to ty zwróciłaś się do mnie o pomoc w tej sprawie. Nie możesz mnie potępiać, że korzystam z każdej dostępnej mi broni. Ale teraz przepraszę cię, bo dochodzi już ósma. Muszę iść się przebrać.

Pani Treadwell rzuciła jeszcze jedno pełne dezaprobaty spojrzenie na stół.

- Ktoś mógłby sobie pomyśleć, że próbujesz go uwieść.

- A gdyby nawet - odpowiedziała niefrasobliwie Christiane - to tylko po to, by przysłużyć się naszej sprawie.

Przełożona się rozchichotała.

- Daj spokój, Christiane. A cóż Carew mógłby zobaczyć w kimś takim jak ty?

Hrabina zamarła w pół obrotu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- No nie! Musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Przecież on jest zaręczony z panną Delaney.

- Która, co do czego obydwie się zgadzamy, jest idiotką.

- To niewykluczone. Ale jest również o dwadzieścia lat od ciebie młodsza.

- Mówisz tak, jakby ten fakt z góry przesądzał o jej przewadze.

- A jak ty, u diabła, chciałybyś to nazwać?

Stały naprzeciw siebie. Hrabina pierwsza straciła kontenans.

- Nie jestem oczywiście taka głupiotka, bym miała sądzić, że uda mi się obudzić w nim dawne zapamiętały.

- Ale skłonna jesteś spróbować, jeżeli świece nie będą płonąć zbyt jasno?

- Evelyn! Jakie to okrutne!

- Nie lubię patrzeć, jak kobieta w twoim wieku robi z siebie idiotkę dla mężczyzny, a zwłaszcza dla kogoś takiego jak lord Carew - powiedziała przełożona ostro. - W czym planujesz wystąpić, w jakichs przejrzystych muślinach?

- Nie podoba mi się, że próbujesz mnie zastraszać tak, jakbym była jedną z uczennic - warknęła w odpowiedzi Christiane. - Chyba mogłabyś mieć do mnie na tyle zaufania, by wiedzieć, że zachowam się odpowiednio.

- Zaczynam się zastanawiać, dlaczego miałabym cię obdarzać takim zaufaniem. Zauważyłam, że nie prosiłaś, bym przyłączyła się do was podczas tej kameralnej kolacyjki.

- A miałabyś ochotę?

- Nie, nie miałabym. Bo bardzo się obawiam, że uraczona zostałabym groteskowym spektaklem, podczas którego w roli głównej występowałaby kobieta w średnim wieku, zachowująca się jak bezrozumna pensjonarka.

- Tylko dlatego, że ty z błogością starzejesz się i tyjesz...

- Wcale nie tyję! - wrzasnęła pani Treadwell. - Jestem tylko dorodna! - I rozwścieczona wyszła z pokoju.

Boże, pomyślała Christiane nieco wstrząśnięta. Istnieje milion sposobów, na jakie my, kobiety, same siebie oszukujemy.

Wchodząc po schodach na piętro, by założyć przerobioną suknię, miała tylko nadzieję, że jej wieczorna kolacja z lordem Carew nie okaże się sposobem milion pierwszym.

Lord Carew pojawił się bardzo punktualnie. Clarissa zaprowadziła go do saloniku, gdzie czekały już Claire i hrabina.

- Dobrze cię znowu widzieć, malutka - powitał bratanicę i pocałował ją, a dopiero potem spojrzał na Christiane. - Jak się pani miewa?

*Jak się pani miewa.*

Chłodne, oficjalne słowa powitania zestrzeliły z wysokości balon z górnolotną nadzieją Christiane; wyczuła całą sztuczność sytuacji, którą zarzucała jej Evelyn. Znienawidziła z miejsca te odczesane na bok loki, suknię, którą sama wybrała, swoje klejnoty, buty.

Ale opamiętała się. Musiała się opamiętać.

- Bardzo dobrze, milordzie. A pan? - odpowiedziała równie chłodno.

Carew skinął głową, oddał Clarissie kapelusz i odgarnął z czoła ciemne sfalowane włosy charakterystycznym, niedbałym gestem, który tak dobrze pamiętała z czasów jego pobytu w Paryżu.

- Nie mogę się uskarżać. Bardzo ciężko pracowałem. Mam nadzieję, Claire, że ty również.

- Ja... starałam się, proszę wuja.

- Czy to nowa suknia? - zapytał.

Claire zaróżowiła się i szarpnęła za pasek przy sukni, uszytej z jedwabiu w fiołki.

- Uszyłam ją własnoręcznie. Chociaż, prawdę mówiąc, bardzo pomogły mi przy tym panna Boggs i panna Castairs. Ale wykończyłam ją sama. Czy wuj... czy jest okropna?

- Wręcz przeciwnie - odrzekł z powagą. - Naprawdę bardzo mi się podoba. - A Christiane, która jeszcze przed chwilą żałowała, że to nie jej powiedział komplement, zaczerwieniła się, uradowana, że pochwalił Claire.

- Może usiądziesz, Claire? - zaproponowała cicho. Hrabia przytrzymał krzesło najpierw hrabinie, potem Claire, a następnie sam zajął miejsce, przyglądając się kwiatom i świecom, i porcelanie, i kryształom. - Przyszło mi na myśl, że moglibyśmy zjeść razem uroczystą kolację - powiedziała Christiane nieco defensywnie.

- Ślicznie to wygląda - szybko zauważyła Claire. - Prawda, wuju Gannonie?

- Rzeczywiście ślicznie - potwierdził sucho. - Panna Roxell... to znaczy, hrabina d'Oliveri zawsze miała wyśmienity gust.

- Proszę podać zupę, Clarisso - zwróciła się energicznie Christiane do pokojówki. - Sherry, lordzie Carew?

- Proszę.

- A dla ciebie, Claire?



- Ja... - dziewczyna wahała się przez chwilę.  
- Trzeba ją sobie wlać do zupy - poradził życzliwie lord Carew, przekazując bratanicy karafkę. - Spróbuj trochę. Założę się, że będzie ci smakować. Tylko kropelkę albo dwie. - Claire zastosowała się do jego polecenia i posmakowała odrobinę zupy z końca łyżki.

- Och, to bardzo dobre! - Popatrzyła ze skruchą na hrabinę. - Obawiam się, że pani Caldburn nie doszła jeszcze do dodawania sherry do zup.

- Ale teraz już wiesz. - Christiane również wzięła łyżkę.

- Była pani ostatnio w Londynie, czyż nie? - zapytał lord Carew.

Christiane zakrztusiła się zupą. Szeroko otwarte oczy hrabiego spoglądały na nią niewinnie. Uzbroidła się w cierpliwość; najwyraźniej Carew postanowił być dla niej jak najbardziej niemiły.

- Wie pan, że byłam w stolicy w zeszły weekend - odparła - bo przecież mnie pan tam widział.

- Pomyśleć tylko - powiedziała Claire. - Czy pojechała pani na jakiś raut? A może na bal?

- Nie - odrzekła hrabina - bawiłam tam tylko... przejazdem. Czy w mieście jest nadal tak niewiarygodnie ciepło jak na tę porę roku, milordzie? - Przez resztę czasu przy zupie, a potem przy ostrygach, pasztetach i serach rozmawiali o pogodzie, o nauce Claire, o deszczu meteorów, który dziewczęta widziały kiedyś o północy z dachu, bo zabrał je tam nauczyciel nauk ścisłych, doktor Barker. Claire niewiele się odzywała, bardzo zwracała uwagę na maniery przy jedzeniu, ale wydawała się szczęśliwa w towarzystwie wuja. Jego lordowska mość odnosił się do niej łagodnie, droczył się z nią, a w stosunku do hrabiny był dosyć uprzejmy, chociaż jego zachowanie kazało przypuszczać, że cała pieczołowitość, z jaką się ubierała, poszła chyba na marne. Kiedy Claire uprzejmie zapytała o pannę Delaney, powiedział, że czuje się ona dobrze i przesyła serdeczne pozdrowienia, a potem w sposób bardzo naturalny zmienił temat.

Pojawienie się lśniącej pod jedwabistą warstewką sosu słonki wywołało pochwały lorda Carew, na które Clarissa zaczerwieniła się i, chichocząc, pobiegła do kuchni. Claire wpatrywała się w porcję ptaka na talerzu.

- Papa bardzo lubił słonki, pamięta wujek? - zapytała cicho.
- Tak, bardzo. Wiele razy włóczyłem się z nim po okolicy w poszukiwaniu tych ptaków.
- A potem kazał mamie je patroszyć. Jak ona tego nienawidziła! „Małe biedactwa”, tak o nich mówiła.

Gannon zerknął na Christiane. Hrabinie nie całkiem udało się ukryć zaskoczenie: co za pomysł, by arystokratka miała skubać słonki!

- Mój brat był zdania, że zajmowanie się owocami polowania należy do obowiązków pani domu.

- Nasza akademia bardzo życzliwym okiem patrzy na nauki praktyczne. - Hrabina spojrzała na Claire. - Nie musisz tego jeść, jeżeli nie masz ochoty, *cherie*.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Och, tę lekcję przerabiałam już z panią Caldburn: w jaki sposób przesuwac jedzenie po talerzu, by wyglądało na to, że zjada się je z apetytem, kiedy się go naprawdę nie znosi.

Lord Carew parsknął śmiechem.

- To rzeczywiście są lekcje praktyczne! Ja nigdy jednak nie miałem takiego problemu. Smakuje mi wszystko. - Z entuzjazmem zabrał się do słonki.

Kucharce tarta wspaniale się udała. Jego lordowska mość dokładał sobie dwa razy, a potem z westchnieniem zadowolenia odsunął krzesło od stołu.

- Kiedy chodziłem do szkoły - zauważył - nigdy tak nie jadaliśmy. Hrabina z pewnym zaskoczeniem zobaczyła, że Claire zerka na nią konspiracyjnie.

- Prawdę mówiąc, kucharka nie pokazała się jeszcze ze swojej najlepszej strony. Prawda, Madame? Zwykle podaje dużo więcej dań.

- Chodziło mi o prosty, rustykalny efekt - wyjaśniła z powagą Christiane, na co dziewczyna znowu się rozchichotała.

Jej wuj popatrzył na obie damy podejrzliwie.

- Jedno przynajmniej wiem na pewno: nie jadają panie na co dzień zupy krabowej z sherry!

Clarissa podała kawę i brandy.

- Czy mogę zapalić? - zapytał hrabia.

- Uwielbiam zapach cygar wuja - powiedziała Claire. - Ale to zależy od Madame.

- Widywałem już panią hrabinę z cygarem w ustach.

- Gannon! - wykrzyknęła Christiane bez zastanowienia.

- Nie mógł wuj widzieć, jak Madame pali! - Oczy Claire zrobiły się okrągłe.

- Byłam bardzo młoda, kiedy poznaliśmy się z twoim wujem - rzekła hrabina skromnie i dodała po chwili: - On również był wtedy bardzo młody. Proszę zapalić, lordzie Carew, jeżeli tylko ma pan ochotę.

Claire wyprostowała się na krześle.

- Och, byłabym zapomniała! Mam prezent dla wuja, wuju Gannonie. Czy mogę pójść i go przynieść, Madame? - Christiane kiwnęła przyzwalająco głową i Claire wybiegła z pokoju. Carew powiódł za nią oczami.

Przez chwilę panowała cisza. Christiane popijała kawę małymi łydkami. Lord Carew wyjął cygaro, uciął koniuszek, zapalił je, posłał i wysłał w kierunku sufitu idealnie okrągłe kółko.

- Próbowałem panią tego nauczyć - odezwał się, obserwując, jak kółko rozplywa się w rozjarzonym od świateł powietrzu. - Pewnie to sobie pani przypomina.

- Rzeczywiście, przypominam sobie. Nie odniósł pan sukcesu.

- Byłbym go odniósł, gdybym miał więcej czasu. Pani natomiast odniosła chyba wielki sukces z moją bratanicą, robi pani z nią cuda - powiedział ochryple. - A jak z jej koszmarami?

- Wciąż jeszcze ją dręczą. Ale doktor Caplan... to ten lekarz, którego pojechałam odwiedzić w Londynie. O ile dobrze pamiętam, określił go pan jako pieczeniara, który czepia się akademii? A więc doktor Caplan powiedział, że powinny się one z czasem uspokoić.

Carew miał na tyle przyzwoitości, że się zaczerwienił.

- Niech pani posłucha, Christiane. Wszedłem w tym Londynie trochę na idiotę, prawda? Ale sprawa z Hugh i Georginą... cholernie była nieprzyjemna. Krążą przeróżne plotki i aluzje. A kiedy zobaczyłem, że odwiedziła pani Darby'ego... okazałem brak szlachetności, podejrzewając panią o... o to, o co panią podejrzewałem.

- To znaczy?

- Sam nie jestem pewien. Że w jakiś sposób wykorzystuje pani Claire. Stało się jednak dla mnie całkiem jasne, że chodzi pani tylko o jej dobro. A to dużo więcej niż kiedykolwiek mógłbym powiedzieć o moim bracie.

Christiane miała nadzieję, że nie widać po niej zawstydzenia. Bo jednak wykorzystywała Claire, aranżując tę kolację, żeby przekonać się, czy po tylu latach może być jeszcze pociągająca dla lorda Carew. A wszystko przez trzy siwe włosy... trudno byłoby usprawiedliwić nimi igranie z przyszłością biednej sieroty, która przeżyła coś tak straszliwego jak Claire. Hrabia posłał pod sufit następne kółko dymu.

- Czas się chyba dla pani zatrzymał - odezwał się cicho, spoglądając Madame w oczy. Christiane wpatrywała się w niego spłoszona... ale w tym momencie lekko wbiegła do saloniku Claire z kawałkiem pergaminu w dłoni.

- Proszę wuja bardzo - wybąkała, wciskając mu do ręki zwiniętą w rulon kartkę. Hrabia ją rozwinął.

- Och, jakie to ładne. Naprawdę! - oświadczył. - Chyba najbardziej udane z twoich dotychczasowych dzieł.

- Naprawdę wuj tak myśli? Mnie też się tak wydawało, ale nie byłam pewna...

- Co to jest? - zapytała z zainteresowaniem Christiane.

- Szkic portretowy. Pani.

- Mój? - Hrabina z przerażeniem sięgnęła po rysunek. Gannon Finn z psotnymi ognikami w oczach podniósł go wysoko nad głowę, żeby nie mogła dosięgnąć.

- To podarunek dla mnie - oznajmił uroczyście.

- Niech pan nie będzie niemądry. To nie jest odpowiedni podarunek. Claire zamrugła powiekami.

- Nie jest? A pani Caldburn mówi, że szkice i dzieła sztuki, które sami wykonamy, powinny być ofiarowywane rodzinie i wystawiane w naszych domach. Powiada, że podsuwają one konkurentom myśl, iż nabraliśmy odpowiedniego poloni.

- Każę go oprawić w ramkę i powieszę na poczesnym miejscu w tym właśnie celu - oznajmił lord Carew. - Naprawdę pełen jestem podziwu, Claire, tak doskonale udało ci się uchwycić nastrój modelu.

- Niech... mi... pan... to... pozwole... zobaczyć - wycedziła Christiane. Carew, nie przestając szeroko się uśmiechać, podał jej pergamin, który niezwłocznie zwinął się znowu w rulonik. Hrabina z poczuciem grozy zaczęła go rozwijać.

- Dobry Boże, Claire - powiedziała następnie.

- Nie podoba się pani? - zapytała niespokojnie dziewczyna. - Tak się martwiłam o pani oczy. Oczy są chyba najtrudniejsze ze wszystkiego.

Christiane wpatrywała się w ołówkowy szkic.

- Od jak dawna tworzysz takie prace?

- Och... od zawsze. Papa mówił, że to strata czasu. Ale mama mnie zachęcała.

- I nic dziwnego!

- Więc podoba się pani? - usiłowała się dowiedzieć zakłopotana Claire.

Christiane z oburzeniem zwróciła się do lorda Carew.

- Wiedział pan, że ona rysuje, i nigdy nie przyszło panu na myśl, żeby wspomnieć o tym pani Treadwell albo mnie?

- Przecież chyba wszystkie dziewczęta szkicują?

- Nie w taki sposób. Claire, masz co tydzień lekcje rysunku z monsieur Battier. Nigdy mi nie mówiłaś, żebyś je jakoś szczególnie lubiła.

- On każe nam rysować krajobrazy - wyjaśniła Claire. - A to taka nuda. Lubię rysować ludzi. I zwierzęta też. Ale nie rozumiem. Czy pani się ten szkic podoba czy nie?

- Jestem pod ogromnym wrażeniem - powiedziała uczciwie Christiane, z namysłem przypatrując się kilku nieskomplikowanym, wykonanym ołówkiem zawijaszom, za pomocą których dziewczyna tak umiejętnie uchwyciła podobieństwo. - Masz znakomity talent... taki, który trzeba pielęgnować i rozwijać!

- To tylko hobby - wymamrotała Claire, ale policzki jej płonęły z zadowolenia.

Christiane wstała, podeszła do swego biurka, wzięła ołówek i czystą kartkę papieru na notatki.

- Czy możesz coś jeszcze narysować? I czy mogę patrzeć, jak będziesz to robiła?

- Jeszcze jedną podobiznę pani?
- Nie, nie. Kogokolwiek innego. Pani Treadwell. Albo Clarissy.
- Och, Clarissa jest prosta.

Pokojówka weszła właśnie do saloniku, przynosząc więcej kawy.

- Przepraszam panienkę? - zapytała z pewnym niezadowoleniem.

- Cśś, Clarisso. Zaraz zostaniesz unieśmiertelniona - powiedziała jej hrabina, przyglądając się z fascynacją, jak Claire zabiera się do pracy. Pokojówka podeszła bliżej i zajrzała dziewczynie przez ramię; ołówek z dużą wprawą sunął po papierze, na którym pojawił się schludny biały czepeczek, potem upięte pod nim włosy, następnie zarys kwadratowego podbródka, nos, usta - z reguły u Clarissy wydęte z niezadowoleniem - i jako ostatnie oczy, w których nie brakowało nawet iskierki zuchwałości, tak często w nich błyskającej.

- Rany! - wykrzyknęła pokojówka zdumiona.
- Masz zupełną rację, „rany” - powtórzyła jak echo Christiane.
- Czy mogę to dostać? - zapytała Clarissa.
- Jeżeli chcesz. - Claire podała jej portrecik.
- A czy panienka podpisałaby go?
- Czy ja co?
- Podpisałaby go panienka. Tak robią malarze, prawda, Madame?
- To prawda. Na ogół w prawym dolnym rogu.

Z pewnym zażenowaniem Claire nabazgrała swoje imię na papierze.

- To tylko zgrubna podobizna - zarzekła się.

- Wygląda tak jak ja, dokładnie tak samo! - nie mogła nadziwić się Clarissa, obracając szkic to w jedną, to w drugą stronę.

Hrabina przyniosła jeszcze jedną kartkę.

- Narysuj Gwen - poprosiła z naciskiem. Claire spełniła jej życzenie.

Tak doskonale uchwyciła pełne zapału skupienie ciemnowłosej uczennicy, że Christiane aż cicho krzyknęła.

- Och! - zachwycała się Clarissa. - Zupełnie jakby zamiast papieru było lustro!

- Chyba cię nie doceniałem - zauważył lord Carew, przyglądając się bacznie szkicom. - One są naprawdę niezwykłe.

- I teraz wiemy już, od czego zacząć - mruknęła Christiane pod nosem.



Claire podniosła na nią oczy.

- Jak to zacząć?
- Porozmawiam od razu z monsieur Battier. Koniec z krajobrazami dla ciebie, moja panno!
- Bardzo się z tego ucieszę.
- Czy kiedykolwiek malowałaś farbami? Olejnymi? Albo akwarelą?
- pytała hrabina.
- Nie, nigdy. Nie wiem, czy bym umiała.
- Nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz. - Hrabina miała ogromną ochotę śpiewać albo głośno się śmiać. Tak się starały z Evelyn, tak się zamartwiały, czym zająć tę dziewczynę, a przez cały czas odpowiedź miały tuż pod nosem! Rozpromieniona patrzyła na Claire, która też się do niej uśmiechała, chociaż trochę bardziej nieśmiało. Lord Carew przyglądał im się, jego szare oczy się zwężyły. Christiane zwinęła swoją podobiznę, wykonaną przez Claire, i wsunęła ją w pierścień od serwetki.
- Podobizna należy do mnie - zwrócił jej uwagę Carew.
- Och, naprawdę nie wydaje mi się...
- Claire dała mi ją w prezencie - obstawał przy swoim. Hrabina niechętnie wyciągnęła szkic z pierścienia i podała hrabiemu.
- Niech ona to lepiej panu od razu podpisze - napomknęła. - W przeciwnym razie może być panu trudno się z tego portreciku wytłumaczyć.
- Przed kim?
- No... między innymi przed panną Delaney.
- Nie mam pojęcia, dlaczego Greer miałaby zaprotestować, jeżeli powieszę sobie na ścianie portret matrony, uczącej w szkole mojej bratanicy.

Hrabina poczuła, że każdy pieg na dekolcie zaczyna ją coraz silniej palić, a każdy zaczątek zmarszczek w kącikach oczu pogłębia się i wyostrza. Dał jej w niedwuznaczny sposób do zrozumienia, co o niej myśli. Matrona. Boże, co za ohydne słowo.

- Mogłaby wyłącznie mieć za złe to - dodał, wypuścił ostatnie doskonałe kółko dymu i powiódł za nim oczami, kiedy wirując płynęło pod sufit - że jest ona tak bardzo piękna.

Christiane wpatrywała się w niego, bez reszty wytrącona z

równowagi.

Carew pokazał zęby w uśmiechu, zgasił cygaro i wstał z krzesła,

- Robi się późno. Muszę już wracać do miasta. Czy mam przyjechać w przyszłym tygodniu, Claire?

- O tak, bardzo proszę, niech wuj przyjedzie!

- Hrabino d'Oliveri? Christiane opamiętała się.

- Zawsze zachęcamy rodziny uczennic do odwiedzin, milordzie.

Hrabia zerknął na pokojówkę.

- Niech no pani postara się przekonać kucharkę, by dokonała reasumpcji tej tarty, dobrze, Clarisso?

Pokojówka rozchichotała się zadowolona, że odezwał się do niej po imieniu.

- Dopilnuję tego, milordzie - obiecała, kokieteryjnie do niego mrugnawszy.

- Pożegnam się więc, milady. - Christiane podała mu rękę, a on pochylił się i musnął ją ustami. - Claire. - Pocałował czule bratanicę. - Do następnej soboty.

- Odprowadzę pana do drzwi - zaproponowała z zapalem Clarissa.

Christiane przyglądała się, jak wychodzą. Emocje jej były tak splątane, że obawiała się, iż długo to potrwa, zanim je jakoś uporządkuje.

---

## *Rozdział siódmy*

---

Później, kiedy znalazła się wreszcie w swoich pokojach, wyjęła z włosów hiszpańskie grzebienie, odpięła diamenty z uszu, zdjęła naszyjnik i rozwiązała wstążki przy sukni; muślin z szelestem osunął się na podłogę. Christiane stała w samych pantalonach i usiłowała jakoś zrozumieć, co właściwie stało się w wieczór, który właśnie przeżyła.

Niesłuchanie podniosło ją na duchu odkrycie całkiem niespodziewanych i niezwykłych zdolności Claire do karykatury, talentu, pozwalającego kilkoma szybkimi ruchami ołówka uchwycić nie tylko wygląd, ale samą duszę modelu. Teraz w końcu będą mogły z Evelyn za coś tę irlandzką dziewczynę pochwalić. Skoro tak niespodziewanie błysnęła talentem, mogą zabrać się do roboty! Już to sobie wyobrażała: prywatne lekcje z monsieur Battier, który, chociaż tak lubił krajobrazy, z pewnością poczuje się podniecony zdolnościami Claire. Szansa na to, by na przyjęciach dziewczyna mogła wyciągnąć ołówek i szkicownik i zabawić gości. Może nawet w przyszłości wystawa jej prac w Londynie.

Ale chociaż Christiane delectowała się faktem, że Claire tak rozkwitła, w głębi serca nurtowało ją rozgoryczenie. Wynikało ono z tego, jak potraktował ją przy kolacji lord Carew. Bawił się ze mną, myślała żałośnie, sięgając po szczotkę. Pokazał niesamowitą umiejętność gwałtownego poprawiania - lub pogarszania - jej nastroju przez rzucenie kilku niedbałych słów. Powiedział, że jest piękna, i serce Christiane roztańczyło się z radości. Wypomniał jej podróż do Londynu i zaraz się załamała. Dlaczego to on miałby być górą?

Przeciągnęła szczotką po włosach, powoli, z namysłem. Przed dwudziestu laty, w Paryżu, to ona z równą łatwością i równie kapryśnie wpływała na jego nastrój. Kiedy obdarzyła go strzępem uwagi, jarzył się z radości. Kiedy ignorowała go albo naśmiewała się, tracił całą pewność

siebie i zapadał się jak pusty bukłak na wino. Co spowodowało to przesunięcie rozkładu sił?

Wiek, uświadomiła sobie i przyłapała się na tym, że bacznie przygląda się szczotce, czy nie znajdzie na niej siwych włosów. Jego nadal uważano za dobrą partię, za kawalera, który dojrzał do tego, by mieć własny dom, by założyć rodzinę. Natomiast ona...

Od ponad roku miesiączkowała nieregularnie. Serdecznie cieszyła ją perspektywa, że raz na zawsze skończy z comiesięcznym rytuałem, na który nieodmiennie składały się bawełniane szmatki, poplamiona bielizna i przekora, która zawsze się w niej budziła, kiedy przychodził czas „przekleństwa”. A w tej chwili jakoś dziwnie za tym „przekleństwem” zatęskniła. Może nie jest jeszcze stara, ale nie nadaje się na niczyją żonę. Poczowała ukłucie żalu, że nie urodziła dziecka, zanim czas na to minął.

Chociaż nie wystarczy go urodzić, pomyślała, z energią zabierając się znowu do szczotkowania. Tak długo trzeba czekać, aż dzieci zaczną być interesujące - a przez cały czas obawiać się, by nie spadło na nie jakieś nieszczęście. Ospa, szkarlatyna czy inne utrapienie... do tragedii prowadziło milion ścieżek. Minister spraw zagranicznych Francji powiedział jej kiedyś podczas odwiedzin w Maison de Touton, że w wiejskich hrabstwach ich kraju aż połowa dzieci nie dożywa wieku dorosłego. Nie jest ten świat łagodny dla młodych. A potem okropna presja, żeby dziewczęta dobrze wychodziły za mąż i dawały mężom dziedziców, zaczynała cały cykl od początku. Równo tuzin młodych dam, z którymi Christiane debiutowała, umarło w połogu.

Mimo wszystko irytował ją jednak fakt, że kobietę uznawano za skończoną w tym samym wieku, w którym mężczyzna był nadal wspaniałą partią. Chyba świadczyło to o pewnej arbitralności w Wielkim Planie Boga.

A przecież Gannon Finn powiedział jej komplement: że czas się chyba dla niej zatrzymał.

Był to jednak komplement dwuznaczny. Bo cóż mógł innego znaczyć niż to, że nie wygląda na tak starą, jak jest?

W Christiane zaczęło budzić się podejrzenie, że lord Carew wdał się w to oszałamiające przeskakiwanie od komplementów do

zawołanych obelg, by pokazać jej, że on również świadom jest, iż odwróciły się ich role sprzed dwudziestu lat; wtedy on był nieopierzonym, zadurzonym żółtodziobem, a ona światową, wytworną doświadczoną kobietą. Nie okazywała mu wielkiej życzliwości. Czy naprawdę powinna się jej teraz spodziewać po nim, skoro równowaga się tak się przesunęła?

Niech go sobie bierze Greer Delaney, pomyślała ze znużeniem, wciągając nocną koszulę przez głowę. Zapomniała już, jaka irytująca potrafi być kokieteria.

Nie, Evelyn miała rację. Lepiej osunąć się łagodnie w starość, pogodzić się z tym, że włosy posiwieją, stawy zaczną skrzypieć, a życie wypełnią robótki na drutach i herbatka przy kominku. W ten sposób będzie dużo łatwiej.

Zalecanki to gra dla młodych, dla niemądrych, dla tych, którzy wciąż jeszcze ufają, że będą „żyli szczęśliwie aż do śmierci”. I może dlatego mężczyzna w jej wieku wciąż jest kawalerem do wzięcia, natomiast niezamężna kobieta to stara panna. Nie ma takiej kobiety, która, dobrze poznawszy życie, uwierzyłaby, iż miłość może wszystko zwyciężyć.

---

## Rozdział ósmy

---

Świeżo nabyte przekonania hrabiny bardzo ułatwiły jej przygotowania do następnej wizyty lorda Carew.

- Jeszcze jedna intymna kolacyjka? - prychnęła pani Treadwell, patrząc, jak w sobotni wieczór Clarissa nakrywa do stołu w saloniku. - A co podasz tym razem: langusty i szampana?

- Jeżeli chcesz wiedzieć, podamy to samo, co będzie jadła reszta z was: peklowaną wołowinę z kapustą.'

- Co za szkoda, że lord Carew okazał się tak nieczuły na uroki twej ostatniej kolacji.

- Naprawdę powinnaś popracować nad sobą i ukrócić tę skłonność do cieszenia się z cudzego niepowodzenia, Evelyn; to takie nieatrakcyjne.

- Dziękuję tylko Bogu, że się opamiętałaś. Wystarczy, że otaczają mnie zadurzone w chłopcach panienki, nie potrzebuję, byś jeszcze i ty mi zgłupiała.

- Ale nawet ty musisz przyznać, że odkrycie talentu Claire warte było ceny ostryg - zauważyła sucho Christiane.

- Och, tutaj muszę się z tobą zgodzić. Kto by pomyślał, że ta dziewczyna coś takiego w sobie ma? Czy widziałaś moją podobiznę, którą naszkicowała? - zapytała z dumą przełożona.

- Widziałam. Wydała mi się bardzo pochlebna.

- No wła... przepraszam cię najmocniej! Christiane parsknęła śmiechem.

- Czy zechciałabyś dziś wieczorem, kiedy pojawi się lord Carew, czynić honory domu zamiast mnie?

- Nie, nie, proszę cię bardzo! Kto wie, jakie talenty odkryjesz przy peklowanej wołowinie z kapustą? - zauważyła pani Treadwell błogo



uśmiechnięta i odeszła, wesoło machając ręką.

Clarissa cackała się z serwetkami.

- Będzie rozczarowany, na pewno, jak nie dostanie tarty z pigwami - mówiła zatroskana. - Ja prawie mu ją obiecałam.

- Nawet jeżeli będzie, to przypuszczam, że okaże się wystarczająco dobrze wychowany, by nie pokazać tego po sobie. Jesteśmy, czym jesteśmy, Clarisso. Po co udawać kogoś innego?

- Kucharka pokazuje, czym jest, przy peklowanej wołowinie tak samo jak przy tarcie.

Christiane spojrzała na pokojówkę ze zdumieniem.

- To bardzo filozoficzna uwaga.

- Nie jestem pewna, co pani chce przez to powiedzieć, psze pani. Wiem tylko, że nigdy nie zaszkodzi, jak się człowiek pokaże ze swej najlepszej strony.

Hrabina zerknęła na suknię z muślinu we wzór w gałązki, którą miała na sobie. Wybrała ją z rozmysłem, zdecydowana tym razem nie poddawać się żadnym fałszywym nadziejom. Nie da się jednak ukryć, że w słowach pokojówki było sporo racji.

Popatrzyła na zegar. Już za kwadrans ósma... a przy ostatniej wizycie lord Carew okazał się punktualny. Czy lepiej zadać sobie trochę trudu i się przebrać, czy trzymać się kapusty?

W tym momencie pokazała się Claire i zastukała w otwarte drzwi.

- Czy mogę wejść?

Hrabina w jednej chwili podjęła decyzję.

- Ależ proszę, *cherie*. A kiedy pojawi się twój wuj, czy zechcesz go przez chwilę zabawić sama i przeprosić, że jestem dziś odrobinę spóźniona? Zajmie mi to tylko kilka minut, przysięgam.

*Spóźniła się.*

Zerknął zniecierpliwiony na drzwi. Claire zacisnęła dłonie na podolku i zagryzła wargi.

- Naprawdę mówiła, że spóźni się tylko chwilę.

- To bez znaczenia - oświadczył Gannon i przekonał się. nagle, że mówi prawdę. Uśmiechnął się uspokajająco do bratanicy. Hrabina d'Olivieri to tylko widmo z przeszłości. Przyszłością była Claire. - Mówisz, że monsieur Battier zachęca cię, byś rysowała?

- Och, w taki cudowny sposób! Wie wuj, powiedział mi, że sam nigdy za bardzo nie kochał krajobrazów i że woli portretowanie. Powiedział mi jednak też, że muszę się przykładać do każdego aspektu malarstwa. Chce nawet, żebym zajęła się rzeźbą. Wrodzony talent, tak powiada, jest rzeczą cudowną, ale trzeba go cyzelować.

Gannon wpatrywał się z podziwem w jej pełną zapału, rozjarzoną twarzyczkę i uśmiechał się. Boże, jak bardzo się cieszył, że do tego stopnia pochłania ją nauka w akademii. Jeszcze osiem tygodni temu nie uwierzyłby, że coś takiego jest możliwe.

Szkoda tylko, że zawdzięcza to Christiane.

I w tej właśnie chwili hrabina pojawiła się we drzwiach. Carew zerwał się z krzesła. Miała na sobie coś jedwabistego i gładkiego, w kukurydziano-żółtym kolorze, co odbijało światło świec i migotało delikatnie, niczym świetliki. Czarne loki ułożyła tak, jak to pamiętał z dawnych czasów: przytrzymały je na skroniach spinki, reszta spadała kaskadą na ramiona. Nie podobała mu się fryzura, którą zrobiła sobie poprzednim razem. Może to zauważyła? Ale po czym się zorientowała? I dlaczego miałoby ją to obchodzić?

- Lord Carew - w jej głosie nadal pobrzmiwał delikatny francuski akcent. Gotów byłby uznać to za pretensjonalną pozę, gdyby jej nie znał w Paryżu i nie widział, jak swobodnie poruszała się w obcym środowisku. Wydawała mu się wtedy czarodziejskim kameleonem - bo jakim cudem kobieta, wychowana w surowych, narzucanych przez towarzystwo rygorach, mogła osiągnąć taką światowość? - Kazałam panu czekać - przeprosiła, podchodząc do niego i wyciągając rękę. Ujął jej dłoń, ucałował. Pachniała konwaliami. Na jedną chwilę zalały go wspomnienia. Otrząsnął się z nich, rzucając głową jak spłoszony ogier, jego harcapy smagnął powietrze.

- Cieszę się, że miałem chwilę na rozmowę z Claire - powiedział.

- Tak myślałam, że się pan z tego ucieszy. Czy nikt panu nie przygotował nic do picia?

- Ja nie umiem - wyznała ze skruchą Claire.

- Pani Caldurn dojdzie do tego - zapewniła ją z uśmiechem hrabina.

- Whiskey z wodą, milordzie?

- Proszę.

Szeleszcząc żółtymi jedwabiami, hrabina podeszła do kredensu. Zawsze poruszała się wyjątkowo wdzięcznie. Talię miała szczupłą jak młoda dziewczyna. Jej lśniące czarne kędziory tańczyły za każdym krokiem.

Carew oderwał od niej wzrok i wbił go we własne buty.

- Claire powiada, że monsieur Battier również nie kocha krajobrazów - odezwał się, żeby przerwać milczenie.

- Jest pod ogromnym wrażeniem talentu pana bratanicy. Proszę bardzo - przyniosła mu szklaneczkę.

Kiedy ją brał, palce ich się zetknęły i Gannon poczuł dziwne mrowienie. Niemal widział przeskakujące między ich dłońmi iskry. A niech to cholera, musi się wziąć w garść! Minęło dwadzieścia lat. Miał przez ten czas bardzo wiele kobiet. To nielogiczne... to niesprawiedliwe... żeby Christiane nadal tak silnie na niego wpływała.

Ale wystarczyło, że znalazł się w tym samym pokoju co ona, a jego nastrój ograniczył się do rozpaczliwej tęsknoty i pragnienia, przez które tak cierpiał w Paryżu. To matrona w średnim wieku, powtarzał sobie. Jest nauczycielką Claire.

Żaden z niej kameleon. Nie ma w sobie nic magicznego.

- Musi pan umierać z głodu - odezwała się Christiane, której czarne oczy błyszczały.

Gannon Finn poczuł, że jego męskość twardnieje.

- Może przejdziemy do stołu? - zaproponowała i zaprosiła go gestem dłoni.

- Ale oczywiście - udało mu się wykrztusić. Christiane zadzwoniła. Pokojówka... miała chyba na imię

Clarissa?... pojawiła się z wyrazem oślego uporu na twarzy.

- Niezbyt elegancko będziemy dziś wieczorzali, milordzie - oświadczyła Christiane, kiedy Clarissa z brzękiem postawiła przed nią wazę. - Mamy zupę z porów, a następnie peklowaną wołowinę z kapustą. To jeden ze specjalów naszej kucharki.

- W takim razie czeka nas wspaniały posiłek - oznajmił Gannon, odchrząknąwszy. - Bardzo rustykalny. Pasujący do *entourage*. - Dobry Boże, wyraża się jak jakiś oksfordzki profesor.

- Papa uwielbiał peklowaną wołowinę - napomknęła Claire.

- Naprawdę? - zapytała hrabina, nalewając zupę.
- Ale mama jej nie znosiła.

Gannon opanował się i nie wzdrygnął. Christiane nie była głupia. Co sobie pomyśli o takich wypowiedziach?

- Przekonałam się, że osobiste, związane ze smakiem preferencje są niesłychanie interesujące - powiedziała hrabina, okiem nie mrugnawszy.  
- Moja babka znieść nie mogła dziczyzny. Ja również jej nie znoszę, chociaż i matka, i ojciec spożywali ją z przyjemnością. Często zastanawiałam się, czy takie sympatie są jakoś w rodzinach przekazywane z pokolenia na pokolenie, podobnie jak kolor oczu czy włosów; zdarza się przy tym, że niekiedy przeskakują jakieś pokolenie albo ujawniają się niespodziewanie. Jak mi się zdaje, wspominał pan jednak przy ostatnim naszym posiłku, że smakują panu wszystkie potrawy, lordzie Carew.

I pomyśleć tylko, że ona to zapamiętała.

- Rzeczywiście tak mówiłem - przyznał. - Ale, jeżeli mam być szczery, skłamałem. Jest jedna potrawa, i tylko jedna, której nie znoszę.

- Naprawdę? Jaka?

- Szparagi.

- Jakie to dziwne, wujku! - wykrzyknęła Claire. - Ja też ich nie znoszę! Czy wuj wie, co Gwen mówiła o szparagach? Mówiła, że doktor Caplan powiedział jej, że istnieje w populacji pewien odsetek ludzi, którzy po zjedzeniu szparagów doświadczają... - Tu nagle urwała. - Ojej. Nie powinnam była poruszać tego tematu przy stole.

Hrabina zachęcająco kiwnęła ku niej głową.

- Mów dalej, *cherie*. Należy zawsze z atencją odnosić się do informacji naukowych.

- Mówiła, że...

- Pozwól mi zgadywać - zaproponował z szerokim uśmiechem lord Carew. - Chodzi o coś związanego z... efuzją konsumenta?

- Dokładnie! - zawołała Claire z zachwytem.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam. - Christiane miała zakłopotaną minę. - Co państwo możecie mieć na myśli?

Claire zerknęła na wuja.

- Czy mogę publicznie użyć słowa „mocz”?

- Musisz się zwrócić do Madame po odpowiedź na to pytanie.
- Już to zrobiłaś - zauważyła hrabina, lekko ściągając brwi.

Dziewczyna zmarszczyła nos.

- Rzeczywiście. A więc równie dobrze mogę mówić dalej. Gwen powiada, że po zjedzeniu szparagów mocz niektórych ludzi nabiera osobliwego zapachu. A na innych szparagi wcale tak nie wpływają, a jeśli nawet wpływają, to oni tego nie zauważają. Może z tą cechą sprawy mają się tak samo, Madame, jak z preferencjami dotyczącymi smaku, o których pani wcześniej mówiła. Przekazywana jest z pokolenia na pokolenie, niektóre z nich po drodze omijając, i niekiedy ujawnia się niespodziewanie.

Gannon Finn z trudem powstrzymywał się od śmiechu, widząc, jak hrabina walczy z własnymi, sprzecznymi reakcjami na tę przemowę. Z jednej strony temat ją wyraźnie zaintrygował, ale z drugiej...

- Sądzę, Claire - powiedziała ostrożnie - że temat ten bardziej nadaje się do omawiania na lekcji nauk przyrodniczych niż przy kolacyjnym stole. - Podniosła oczy na Gannona. - A pan powinien mieć na tyle rozumu, by jej nie zachęcać.

- Dlaczego, jeżeli poruszyła dokładnie ten aspekt sprawy, przez który nie znoszę szparagów?

Hrabina zaczerwieniła się. Przysięgłaby, że się zaczerwieniła. Ale zaraz się zmobilizowała i oświadczyła:

- Muszę powiedzieć, że na mnie wcale tak nie wpływają!
- Nie może mieć pani całkowitej pewności - zauważyła Claire. -

Niewykluczone, że pani po prostu tego nie czuje. Ja wyczuwałam ten zapach u Bess całkiem wyraźnie, chociaż ona przysięgała, że nie czuje nic.

Gannon pozwolił sobie na uśmiech.

- Czyż badania naukowe nie są cudowne?
- Jesteśmy już gotowi na drugie danie, Clarisso - powiedziała

hrabina do pokojówki, która przysłuchiwała się im z szeroko otwartymi oczami.

Peklowana wołowina stanęła na stole i trochę czasu zajęło krojenie mięsa, polewanie go sosem i rozdawanie talerzy. Tak się składało, że Gannon szalenie lubił peklowaną wołowinę z kapustą, chociaż nigdy w

życiu nie przyznałby się do tego hrabinie. Wystarczyło, że popatrzył na talerz pełen gotowanych kartofli, cebuli, zielonej kapusty i mieniącej się różowo wołowiny w kałuży chrzanowego sosu, a już popadał w wylewny nastrój.

- Zawsze zastanawiałem się, od czego wołowina nabiera takiego koloru - odezwał się, odkrawając potężny kęs.

- Od soli - odpowiedziała natychmiast Claire. - Pani Caldburn dała nam przepis. Ta wołowina nazywa się „peklowana”, bo pekluje się ją w ziarnach soli. To one nadają jej kolor. A czy wuj wiedział, że początkowo peklowano wołowinę, która się już odrobinę zepsuła? Pani Caldburn powiada, że ta metoda bardzo jest w takim przypadku użyteczna.

Gannon, który właśnie przeżuwał kawałek mięsa, podniósł wzrok.

- Mogę pana zapewnić... - zaczęła hrabina.

- Och, nie mam wątpliwości - powiedział, przełknąwszy.

- O Boże - jęknęła Claire. - Czy ja to znowu zrobiłam?

- Nadpsute mięso i wydaliny- mruknął Gannon, nabijając ziemniak na widelec. - Bardzo tu panie macie interesującą akademię. - Zauważył, że ciemne oczy hrabiny zamigotały. - To miał być komplement - dodał pospiesznie.

- Zawsze byliśmy zdania... zarówno ja, jak i pani Treadwell... że nie ma sensu ukrywać przed dziewczętami realiów życia.

Hrabia zawahał się z widelcem w pół drogi do ust.

- A jakie są właściwie te realia?

Piersi hrabiny, otulone kokonem z żółtego jedwabiu, uniosły się w westchnieniu. Wahala się przez chwilę.

- Pani Treadwell mówi - włączyła się w rozmowę Claire - że musimy nauczyć się zarządzać majątkiem, ponieważ mężczyźni, których poślubimy, zbyt będą zajęci, żeby przyzwoicie tę robotę wykonać.

- Czy aby - mruknął Gannon. - A cóż to nas tak zajmuje, jeżeli nie interesy?

- Hulanki - odpowiedziała krótko Claire.

- Rozumiem. - Gannon pociągnął duży łyk wina.

- Wydaje mi się, że Claire chodzi o to - wtrąciła hrabina - iż mężczyźni wykazują nadmierną skłonność do troszczenia się o swoją



pozycję w świecie.

Na to hrabia głośno się roześmiał.

- A kobiety nie? Po co więc wydają pieniądze swoich mężów na takie dyrdymałki, jak kapelusiki i pantofelki, i dokładają wszelkich starań, by prześcignąć jedna drugą?

Te czarne oczy spoglądały wprost na niego.

- Ponieważ mężczyźni tak bardzo ograniczyli domenę ich działania.

- Ależ droga pani - powiedział Carew i uświadomił sobie, że w jego głosie przebija ton jakiegoś nadętego profesorka z Oksfordu. - Wrodzone kobietom zainteresowania koncentrują się na sprawach domu. Dzieciach. Modzie. Plotkach.

- Nonsens - oświadczyła Claire, niesamowicie w tym momencie przypominając hrabinę. - Nie mówiłby wuj tak, gdyby poznał moje koleżanki. Petra to po prostu geniusz matematyczny. Gwen wie wszystko, co można wiedzieć o medycynie. A Bess pisze sonety takie wspaniałe jak Szekspir. Gannon zagapił się na Christiane.

- Co właściwie chcą panie przez to osiągnąć?

- Chcemy umożliwić naszym podopiecznym uzyskanie satysfakcji, jaką przynosi coś innego niż dzieci, moda i plotki - odparła natychmiast.

- Ale po co? Czy sądzi pani, że któraś z nich stanie się dzięki temu lepszą partią?

- Będą również umiały peklować wołowinę.

- Ale staną się...

- Staną się czym? - W czarnych oczach Christiane tańczyły iskierki wesołości.

Na Boga, ją ta rozmowa bawi! pomyślał Gannon, nie do końca pewien, jak powinien odpowiedzieć.

- Staną się wyobcowane ze społeczeństwa - dokończył.

- Jeżeli nawet tak, to straci na tym społeczeństwo, nie one - oświadczyła hrabina, sięgając po nóż, by dokroić mięsa. - Czy można panu zaproponować jeszcze kawałek, milordzie?

To właśnie najbardziej podobało mu się w niej w Paryżu, bardziej nawet niż loki, lśniące oczy i ukradkowy uśmiech: jądro niewzruszonych przekonań, będące podstawą jej charakteru. Nie udało mu się spotkać wtedy drugiej takiej kobiety. Po dziś dzień, mimo upływu tylu lat, takiej

nie spotkał.

Czekała na jego odpowiedź. Pokiwał głową, nie był się w stanie odezwać, przyglądał się tylko, jak jej małe dłonie o zręcznych palcach operują sztuccami przy krojeniu mięsa.

Koledzy opowiedzieli mu ze szczegółami o skandalu, który sprowadził pannę Roxell do Paryża - o tym, jak nakryto ją, doszczętnie skompromitowaną, w taniej gospodzie w Kent. Zapytał o to podczas jednej z rozmów, które toczyli, kiedy uparcie, dzień po dniu, zasiadał przy stoliku w Maison de Touton, po kryjomu przyglądając się, jak Christiane wykonuje swój zawód, i popijając francuskie wino. Uwierzył w to, co mu powiedziała: że inna debiutantka, zazdrosna o nią, zaaranżowała tę schadzkę i przekonała Christiane, iż jej ukochany chce spotkać się z nią w gospodzie, że planuje wspólną ucieczkę i potajemny ślub. Koledzy zaśmiewali się, kiedy bronił Christiane, i twierdzili, że jest głupcem.

Może i był wtedy głupcem. Nie, był nim z pewnością. Ale przez minione dwadzieścia lat szukał kobiety, dowolnej kobiety, która potrafiłaby wzbudzić w nim te same emocje co ona.

Czułość. Tęsknotę. Radość. Rozpacz.

Zerkał na nią teraz ukradkiem, słuchając, jak Claire opowiada o lekcjach jazdy konnej. Nadal miała w sobie ten lity, niewzruszony rdzeń przekonań, otoczony przez ten sam migotliwy ogień. Przypominała huragan, tajfun, wirujący chaos i blask, a w środku oka cyklonu panował bezgraniczny spokój. Chaosu udało mu się kiedyś zakosztować. Ale jak dotrzeć do jej wnętrza, pojęcia nie miał, i wątpił, czy udało się to któremukolwiek z mężczyzn.

Był przerażony, kiedy tu na Christiane trafił, grozą przejmowała go myśl o oddaniu Claire pod jej opiekę. Ale jeszcze bardziej martwił się tym, że może obudzić podejrzenia hrabiny, jeżeli odbierze bratanicę z akademii, uprzednio zdecydowawszy się ją tam zapisać.

Bał się jej wtedy, dwadzieścia lat temu. Bał się jej i teraz.

- Tak więc - kończyła Claire - dosiadłam tego gniadosza, chociaż okropnie się bałam, taki się wydawał dziki. I wie wujek, co się wydarzyło?

Gannon przeniósł spojrzenie na nią.

- Nie. Co się wydarzyło? - Wypowiedział te słowa tak cicho i tak miękko, że hrabina podniosła na niego oczy, zaskoczona.

- Zatriumfowałam - oznajmiła z dumą Claire. - Nagiał się do mojej woli. Uczyniłam siebie panem sytuacji. Stains twierdzi, że właśnie tak trzeba.

- A więc Stains jest bardzo mądry - zauważył Gannon.

- Zapanowanie nad kimś lub czymś - wtrąciła hrabina - stanowi istotną część naszego programu nauczania. Jeżeli dziewczęta chcą coś osiągnąć, nakłaniamy je, by do tego dążyły niezależnie od celu, jaki sobie stawiają. Przekonałyśmy się, że nic innego nie przynosi takiej satysfakcji.

Jakże pragnąłem zapanować nad tobą w Paryżu, pomyślał Gannon Finn, z oporami spoglądając hrabinie w oczy. Na Boga, nadal pragnąłbym tego dokonać.

Ale nie mógł pozwolić sobie na ujawnienie tych uczuć. Stawka była zbyt wysoka.

Do saloniku weszła Clarissa i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Chciałabym, żeby pan wiedział, milordzie, że robiłam, co mogłam, żeby zaplanowali tę tartę, co pan o nią prosił - oznajmiła wojowniczo, zabierając jego talerz. - Ale Madame powiedziała, że dodawanie kucharce roboty byłoby rzeczą niewłaściwą i tylko by ją rozdrażniło, więc mamy wiśniową roladę z bitą śmietaną.

- Ależ ja uwielbiam wiśniową roladę! - zapewnił ją Gannon. Clarissa się rozpromieniła. Do ciężkiej cholery, wszędzie, gdzie tylko się pojawił, kobiety uprzedzały jego życzenia, opiekowały się nim! Dlaczego hrabina musi być wyjątkiem?

I dlaczego nie przestawało to być dla niego ważne, że jest wyjątkiem?

Clarissa, kręcąc biodrami, wyszła z saloniku.

- Odnoszę wrażenie, że u pań nawet służba partycypuje w ogólnym programie bycia górą - zauważył Gannon. W czarnych włosach hrabiny dostrzegł cieniutkie pasemko bieli, tuż przy lewym uchu. Widział je wyraźnie. Oczarowało, go.

- Każdy z nas ma w życiu swoją sferę działania - oświadczyła hrabina, pociągając łyceczek wina z kieliszka. - Nie chciałabym mieć w służbie ludzi wyzutyh z aspiracji.

Gdyby Georgina choć raz zetknęła się z hrabiną, pomyślał Gannon, jak odmienne mogłaby mieć życie... i śmierć...

Jak bardzo Hugh nienawidziłby samej takiej myśli!

Claire odezwała się nagle, zupełnie jakby czytała w jego myślach.

- Papa zawsze mawiał, że ośmielanie osób niższego stanu prowadzi tylko do kłopotów. Czy nie obawia się pani, Madame, że Clarissa zacznie się wywyższać, uzna, że wyrosła ze stroju służącej?

- Przekonana jestem - powiedziała hrabina z powolnym, szerokim uśmiechem - że strój da się rozpuścić w szwach na tyle, ile trzeba. Bardziej martwiłabym się, gdyby stał się zbyt krępujący.

Gannon w tym momencie czuł wyraźnie, że dolne części jego garderoby stają się boleśnie krępujące.

- Rolada wiśniowa - oznajmiła dumnie Clarissa, wchodząc przez drzwi od kuchni i przynosząc deser.

scandalous

---

## Rozdział dziewiąty

---

W sumie, pomyślała Christiane, przyglądając się, jak lord Carew ze smakiem zajada roladę, posiłek dosyć się nawet udał. Nie pozwoliła mu zastraszyć się pytaniami, jakie znaczenie dla społeczeństwa będzie miał program nauczania w akademii. A jeszcze bardziej zadowolona była, iż hrabia zdradził się z tą brutalną męską wyższością, przez którą tak nie lubiła go w Paryżu. „Wyobcowane ze społeczeństwa”, też coś! A jakie teraz są jego zdaniem kobiety, na miłość boską? Nie po raz pierwszy już zastanawiała się, jak bardzo czują się zagrożeni mężczyźni przez edukację kobiet. Pomyślała o lekceważącym liście, jaki zaledwie wczoraj otrzymała od profesora matematyki z Oksfordu w odpowiedzi na pytania dotyczące Petry. „Nie widzę sensu w zachęcaniu niewiasty do zajmowania się wyższą matematyką”. A dlaczego nie? Ponieważ gdyby kiedykolwiek przedstawicielki jej płci otrzymały szansę, by stanąć do gry z panami tego świata na równych prawach, panowie tylko by na tym ucierpieli, myślała hrabina mrocznie. Niewiele mieli już teraz powodów do przechwałek i bardzo pilnie ich strzegli.

Claire zwróciła się do niej z jakąś uwagą. Hrabina uśmiechnęła się przepraszająco.

- Wybacz mi, proszę, *cherie*. Zamyśliłam się. Co mówiłaś?
- Tylko tyle, że jestem całkiem pewna, iż papa nigdy nie pozwoliłby mi uczęszczać do tej akademii. Czy wujek tak nie sądzi?

Gannon dostał nagłego ataku kaszlu.

- Pestka - powiedział i wypluł ją na łyżeczkę. - To prawda, że mój brat był negatywnie nastawiony do kształcenia kobiet.

- Ale mama była całkiem dobrze wykształcona, prawda? -zapytała Claire. Twarz jej się wykrzywiła. - Wiem, że czytała po łacinie i po grecku. Miała książki, które chowała w swoim pokoju. Pokazywała mi

je. Ale potem papa...

- Sądzę, Claire - powiedział cicho Gannon Finn - że pani hrabiny raczej nie interesują nasze prywatne sprawy rodzinne.

Hrabina przesunęła się do przodu na krześle.

- Wręcz przeciwnie, lordzie Carew, zachęcałam pana bratanicę, by opowiedziała mi, jak była wychowywana. Tu, w akademii, bardzo mocno wierzymy w...

- Za diabła nie miała pani prawa tego robić - niemalże warknął Carew; i Claire, i hrabina spojrzały na niego ze zdumieniem.

Zapadła na chwilę cisza. Potem hrabina złożyła serwetkę na talerzyku.

- Claire, widzę, że już dokończyłaś roladę. Wiem, że nie możesz doczekać się, aż będziesz mogła zamienić z wujem kilka słów na osobności. Ale czy bardzo miałabyś mi za złe, gdybym najpierw ja z nim w cztery oczy porozmawiała?

- Oczywiście, że nie, Madame - powiedziała półgłosem dziewczyna, odsuwając krzesło. - Będę na dziedzińcu, wujku Gannonie.

- Nie zajmie to długo - zapewnił ją i wstał, kiedy wychodziła z pokoju.

Claire zamknęła za sobą drzwi.

- Proszę usiąść - poleciła zimno Christiane.

- Proszę mi nie rozkazywać - odparł wojowniczym tonem, nadal stojąc.

- To pan ją tu przyprowadził. To pan powierzył ją mojej opiece.

- Co powinno wystarczyć jako dowód, że nie należę do upartych jak osioł tępaków, przekonanych, iż kobieta przez całe życie powinna być bosa i brzemienna. Niech to diabli, jestem pełen podziwu dla pani.

Podobnie jak wtedy, w Paryżu, tak samo i teraz.

Gniew hrabiny ulotnił się.

- Proszę, niech pan usiądzie - zmodyfikowała swoje polecenie.

Hrabia usiadł. Christiane zaczerpnęła powietrza. - W życiu nie uda nam się dojść, co jest dla Claire najlepsze, jeżeli nie przestaniemy ścierać się na oślepek jak dwa barany.

- A mnie się zdawało, że pani już do tego doszła. Ten jej talent malarski...

- ... to tylko początek, Gannonie! Jest cudowny i nieokiełznany, i



podniecający, ale jest równocześnie dowodem, że pojęcia nie mamy, do czego ona jeszcze może być zdolna.

Gannon pochylił głowę i wpatrywał się w splecione na kolanach palce.

- Nie mam żadnych obaw, co przyniesie przyszłość. Ale muszę panią prosić... - Urwał. - Muszę panią błagać, by nie szperała pani w jej przeszłości, w tym, jak była wychowywana.

- Nie wydaje mi się, żeby kilka prostych pytań o jej wychowanie można było nazwać szperaniem.

- Ale tak jest! - odparował Gannon i znowu wybuchnął gniewem, zanim zdążył wyczuć frustrację Christiane... czy nawet ją podzielić. - Powiedziałem pani już, że jej życie rodzinne nie było szczególnie szczęśliwe. Dlaczego nie może pani na tym poprzestać?

Christiane wyciągnęła do niego rękę przez stół.

- A gdzie, pana zdaniem, uczymy się ról mężczyzny i kobiety, które później przez całe życie odgrywamy? Przy domowym ognisku, u kolan naszych rodziców.

- Ludzie wyrastają ponad te doświadczenia. - Podniósł wzrok. W jego szarych oczach zobaczyła coś bliskiego przerażeniu. - Cały czas tak się dzieje.

- To prawda - zgodziła się. - Ale pod warunkiem, że świadomie stawiam im czoło; że spojrzę śmiało prawdzie w oczy, wyciągnę z niej naukę, a potem zostawię za sobą. A w sprawie przeszłości Claire wiąże mi pan ręce, nie wiem, dlaczego.

Gannon wpatrywał się w Christiane, kusilo go przez moment, żeby jej zaufać. Przecież sama była buntowniczką, czyż nie? Ze wszystkich ludzi ona właśnie potrafiłaby zrozumieć... Płomienie świec zachwiały się lekko w płynącym od otwartego okna powiewie. Napłynął znowu ten zapach: zapach konwalii. Nagle ogarnęło go przygniatające poczucie braku nadziei - dla siebie, dla Claire, dla całego świata. Wszędzie, na każdym kroku czaiło się niebezpieczeństwo, takie straszliwe niebezpieczeństwo; za drzwiami do salonów, w sypialniach, na ulicach, na balach kostiumowych. Musi być szalony, jeżeli sądzi, że uda mu się je pokonać samemu.

Ale nie miał wyboru. Nie wolno mu nigdy i nikogo obdarzyć

zaufaniem. Podjął tę nieodwołalną decyzję tamtego dnia, kiedy dopędził powóz, którym jechał jego brat z Geor-giną i Claire. Nie wolno mu zawrócić z raz obranej drogi.

- Christiane - powiedział ochryple. - Mogę tylko prosić, by pani uwierzyła... że postępuję w ten sposób dlatego, iż uważam, że tak będzie najlepiej.

Christiane po chwili pokiwała głową.

- Nie wątpię w to, Gannonie. Ale czy nie jest możliwe, że to, co pan wie o zaistniałej sytuacji, nie pozwala panu widzieć jej wyraźnie? Gdyby potrzebował pan przyjaciela... kogoś, z kim mógłby pan porozmawiać...

Przyjaciela. Mało brakowało, a Gannon byłby parsknął śmiechem. Opamiętał się jednak. To samo mówiła do niego w Paryżu: *Gannonie, przecież zawsze możemy być przyjaciółmi* Nie wystarczała mu wtedy jej przyjaźń. Nie wystarczała i teraz.

- Nie mam pojęcia, jak pani to robi - powiedział. Christiane szeroko otworzyła oczy.

- Co ja robię?

*Raz za razem każesz mi wierzyć w swoją uczciwość.* Ale tego nie mógł powiedzieć. Wstał.

- Muszę iść do Claire. Christiane również się podniosła.

- Jak pan sobie życzy. - Niewzruszona i spokojna jak oko cyklonu...

Wyciągnęła rękę. Ujął jej dłoń, musnął ją ustami. A potem, niemal zanim uświadomił sobie, co robi, objął Christiane w talii, przyciągnął do siebie i przywarł ustami do jej ust. Ukojenie... Boże, że też mogło istnieć coś, co go ukoi! Smakował przez jedną chwilę jej wargi... a potem Christiane go odepchnęła.

- Lordzie Carew! - krzyknęła wstrząśnięta.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział półgłosem, czerwieniąc się. - I proszę... niech pani nie karze Claire za moją głupotę.

- Ja... - zaczęła Christiane. Popatrzyli na siebie. Hrabia czekał z dygocącym sercem. Christiane nic już nie powiedziała.

- Pójdę do Claire.

- Tak będzie najlepiej. - Przyglądała suknię rękami.

- Dobranoc.

- Dobranoc, milordzie.

Wycofał się. Tym razem hrabina nie rozchyliła zasłon. Opadła na krzesło i uniosła palec do pulsujących warg. W saloniku pojawiła się Clarissa.

- Madame? - odezwała się niepewnie, widząc, że jej pani siedzi i wpatruje się pustym wzrokiem przed siebie. - Czy źle się pani czuje? Pani Treadwell mówiła, że podejrzewa, że ziemniaki mogły być stare.

Christiane przywołała się do porządku.

- Posiłkowi niczego nie brakowało. - Kto by pomyślał, że peklowana wołowina z kapustą...

Nie była tak do końca pewna, czego ten wieczór dowiódł. Ale Gannon pocałował ją, więc na pewno aż tak bardzo się jeszcze nie zestarzała i nie zramolała.

Scandalous

---

## Rozdział dziesiąty

---

- Naprawdę nie ma się czym przejmować - zapewniała Gwen, stając za plecami Claire, by pozawiazywać jej wstążki. - Bess i ja już z dziesięć razy przez to przechodziłyśmy. Na rautach u hrabiny Yarlborough jest zawsze tak tłoczno, że łatwo znaleźć sobie miejsce za palmami w donicach, stanąć tam i po prostu dać się ignorować.

- To bardzo wspaniała rezydencja, prawda? - bąknęła niepewnie Claire, wykręcając szyję, by rozejrzeć się po pokoju, który we trójkę dzieliły. - Tyle szkła. Tyle światła.

- Tylu bezużytecznych panów - wymamrotała Bess, wkładając haftowane pantofelki.

- Nie psuj Claire jej pierwszej wyprawy do hrabiny - skarciła ją łagodnie Gwen, poprawiając niesforny kosmyk czarnych włosów Irlandki. - To, że my dwie zanotowałyśmy wyjątkowy brak sukcesów, próbując poznać tu kogoś wartościowego, nie znaczy, że tak samo stanie się z nią.

- Wcale nie powinnam się tam pokazywać - mamrotała Claire nerwowo, szarpiąc za naszyjnik z pereł, który pożyczyła jej córka pani Treadwell, Vanessa, ich gospodyni. - To nie wypada. Jestem w żałobie.

- Minęło już sześć miesięcy - oświadczyła Bess z druzgocącym wręcz realizmem. - Czas wracać do życia.

- Jestem całkiem pewna, Claire - dodała nieco łagodniej Gwen - że twoja mama i papa nie chcieliby, żebyś się tak izolowała.

- Papa by tego chciał - odparła Claire otwarcie i niezłomnie. Ta niezłomność wytrącała niekiedy z równowagi jej przyjaciółki. - Poruszyłby niebo i ziemię, żebym się tylko nie pokazała w takim miejscu.

- Dlaczego? - zapytała z ciekawością Bess. Claire zmarszczyła

nosek.

- Ponieważ wy wszyscy... i wszyscy goście... to Anglicy.

- Ściśle rzecz biorąc, nie jest to prawda - zwróciła jej uwagę Bess. - Hrabina ma zawsze pod ręką kilku pieczeniarczy z kontynentu.

- Przestań być taka okropna, Bess - Gwen skończyła ze wstążkami, ale jej palce spoczywały wciąż na ramionach Claire. - Twoja matka była Angielką, mam rację?

- Tak - odpowiedziała lakonicznie Claire. Gwen chciała kontynuować temat, ale powstrzymała się. Najważniejsze, żeby przyjaciółka się uspokoiła. - Wyglądasz ślicznie. Prawda, że wyglądasz ślicznie, Bess?

- Oczywiście, że wyglądasz ślicznie. Zawsze wyglądasz ślicznie. Ma doskonałe włosy, doskonałą figurę, doskonałe zęby i oczy też. - Bess podniosła się z krzesła, potrząsając niesfornymi, rudymi lokami. - Bez wątplenia obdarzy ją swymi pełnymi żaru atencjami jakiś bogaty syn hrabiego, a my dwie będziemy sterczały za palmami w doniczkach.

- Mam nadzieję, że nikt na mnie nawet nie popatrzy - szepnęła Claire.

Bess przechyliła głowę na bok.

- Wiesz, okropnie jest ci trudno zazdrościć, kiedy tak skromnie usuwasz się w cień.

- Nie miałabym pojęcia, co zrobić. Nie miałabym pojęcia, co powiedzieć.

- Pani Caldburn... - zaczęła zachęcająco Gwen. Claire wbiła w nią szare, żalodne spojrzenie.

- Pani Caldburn nie ma pojęcia o życiu. Bess głośno się roześmiała.

- Nikt nigdy nie wypowiedział bardziej prawdziwych słów. Ale Gwen poczuła się zaintrygowana.

- Co przez to rozumiesz?

Claire wzruszyła szczupłymi ramionami. Ubrana była na czarno, obstawała przy tym, chociaż pani Treadwell wyraziła przekonanie, że sześć miesięcy aż nadto wystarczy na żałobne szaty. Młodej panie do twarzy było w tej poważnej sukni o wąskim stanie, która podkreślała alabastrową biel jej twarzy i harmonijnie współgrała z rzęsami i włosami.

- To ona ustala wszystkie reguły. Ale życie nie przebiega zgodnie z regułami, prawda? Jakże by mogło?

- Muszą istnieć reguły - zaprotestowała z pewnym powątpiewaniem Gwen. - Inaczej wszędzie panowałby chaos.

- Wszędzie panuje chaos - oświadczyła Claire.

- Ale... - zaczęła Gwen.

- Wszystko jedno - pocieszyła Bess Claire. - Wiem dokładnie, o co ci chodzi. Gwen czepia się reguł i zasad, bo ma naukowe skłonności. Coś dzieje się teraz, więc coś innego musiało wydarzyć się wcześniej.

- Naturalny porządek rzeczy - zgodziła się Gwen, kiwając głową.

- Gdyby to tylko mogło być takie proste - powiedziała tęsknie Claire.

W drzwiach pokazała się głowa hrabiny Yarlborough.

- Gotowe, panienki? - zapytała promiennie, uśmiech jej był równie olśniewający jak diamenty na szyi i w uszach.

- Niczym baranki idące na rzeź - wymamrotała Bess. Hrabina pogroziła jej palcem.

- Mam takie wrażenie, Elizabeth... takie przeczucie. Coś mówi mi... o, tutaj... - postukała się po piersi - że dzisiejszy wieczór będzie dla pani pomyślny.

Bess jęknęła.

- Powtarza to pani za każdym razem, kiedy składamy jej wizytę.

- Jestem niezachwianą optymistką - oświadczyła z wielkopańską miną hrabina. - A teraz proszę na dół. Ależ pani jest śliczna, panno... - Patrzyła na Claire. - Bardzo przepraszam. Zapomniałam pani nazwiska.

- Panna Becker. - To Madame wpadła na pomysł, że panna Finn nie powinna ujawniać swojej tożsamości. Claire, która w pierwszej chwili strawić nie mogła tego pomysłu, była teraz za niego wdzięczna.

Niełatwo jej było wyobrazić sobie, jak staje twarzą w twarz z tłumem, który przez cały wieczór zjeżdżał się powozami do Yarlborough Hall, a perspektywa, że każdy, komu zostanie przedstawiona, wygłosi współczujące uwagi na temat losu jej rodziców, byłaby już całkiem nie do zniesienia.

- Oczywiście. Panna Becker. Proszę mi wybaczyć. - Rzuciła Claire olśniewający uśmiech. - A pani, Gwen, jest równie promienna jak zawsze. Bess, czy nie może pani zrobić czegoś ze swoimi włosami?



- Absolutnie niczego - zapewniła ją Bess. - Jestem, jaka jestem. Dżentelmeni muszą mnie taką przyjąć lub odrzucić.

Cieniuteńka zmarszczka skaziła gładkie czoło Vanessy.

- Mam tylko nadzieję, że tym razem dwukrotnie sprawdziła pani, jak zawiązane są wstążki.

- Na ostatnim balu u pani hrabiny - wyjaśniła Gwen zdziwionej Claire - wstążki rozwiązały się, kiedy Bess tańczyła z pewnym wicehrabią.

Claire pozwoliła sobie na spłoszony uśmiech.

- Tak więc sama rozumiesz - dodała z pełnym spokojem Bess, ujmując ją za rękę - że niesłuchanie trudno będzie ci skompromitować się bardziej, niż to już zrobiłam ja.

Uśmiech Claire zrobił się ironiczny.

- Niewielka to dla mnie pociecha.

- Naprawdę? No tak, ty nie widziałas naszej Bess, jak stała na parkiecie w samych pantalonach. - Gwen szelmowsko się uśmiechnęła, wzięła Claire za drugą rękę i pociągnęła ją w stronę drzwi.

Na widok sali balowej hrabiny Claire ogarnęła groza. Stała w progu, a usta jej rozchyliły się na kształt okrągłutkiego „o”. Przez chwilę wpatrywała się w migoczące zyrandole, w lśniącą podłogę, w wielkie damy i dżentelmenów we wspaniałych strojach... i już chciała okręcić się na pięcie i uciec z powrotem na schody, ale Gwen i Bess trzymały ją w mocnym uścisku.

- Nie mogę - wyszeptała Claire, przerażona perspektywą zanurzenia się w tym morzu wesołych rozmów i muzyki.

- Możesz i musisz - nalegała Gwen.

Bess pochyliła się nad przyjaciółką z drugiej strony.

- Jeżeli ja ośmielałam się tu pokazać po tym, jak nieumyślnie rozebrałam się na parkiecie do pantalonów, to chyba ty zdołasz zdobyć się na tyle odwagi, by przemknąć stąd pod tamte palmy!

Claire łatwiej było poddać się niż walczyć, więc pozwoliła poprowadzić się po obwodzie sali. Oczy trzymała spuszczone, wpatrywała się w połyskujące czubki pantofelków, które wujek Gannon przywiózł jej z Londynu. Stojąca w gronie matron pani Treadwell rozpromieniła się na ich widok.

- Proszę przyprowadzić tu pannę Fi... to znaczy pannę Becker! - zawołała, podnosząc głos, by dziewczęta usłyszały ją przez panującą na sali wrzawę.

- Proszę, nie. Jeszcze nie - błagała Claire.

Gwen i Bess wymieniły spojrzenia, przychyliły się do jej prośby i skrzyły w kierunku kilku połączonych krzesełek, stojących tuż przy parawanie z palm.

Claire z entuzjazmem opadła na jedno z nich.

- Jakoś to poszło, prawda? - szepnęła zachęcająco Gwen. Claire już miała jej odpowiedzieć, kiedy zauważył je dosyć tęgi młody człowiek o włosach niemal równie rudych jak u Bess, oderwał się od swoich przyjaciół i pospiesznie ruszył w ich stronę.

- Panna Castairs! Panna Boggs! Co za radość! - wykrzyknął, pochylając się nad ich dłońmi.

- Dobry Boże, Roddy, co pan zrobił ze swoim krawatem? -zapytała Bess.

Słyszając jej pytanie, Claire ośmieliła się podnieść wzrok do wysokości piersi młodego człowieka, na której pienila się zdumiewająca kaskada nakrochmalonego jedwabiu.

- Sam to wymyśliłem - oświadczył Roddy z dumą. - Jak, zdaniem pań, powinienem nazwać ten sposób wiązania?

- „Poważnym błędem”? - podsunęła Gwen, a Bess się rozchichotała.

Roddy spuścił wzrok na swój tors, a na jego twarzy pojawił się cień niepewności.

- Czy jest aż taki niedobry?

- Nie, dużo gorszy - zapewniła go Bess. Młody człowiek popatrzył na Claire.

- A co pani o tym myśli? Och, bardzo przepraszam. Jeszcze nas sobie nie przedstawiono. Bessie, na litość boską, niechże pani okaże odrobinę dobrych manier.

Bess westchnęła.

- Panna Fi... Panna Becker. A to mój kuzyn. Mój bardzo daleki kuzyn, pan Farquar, panna Becker.

- Jestem oczarowany - powiedział pan Farquar, uśmiechnął się i sięgnął po dłoń Claire. Gwen musiała dać przyjaciółce sójkę w bok,

zanim ta przypomniała sobie, że należy mu tę dłoń podać. - Czy jest pani uczennicą akademii pani Treadwell, panno Becker?

- Oczywiście, że jest, głuptasie - prychnęła Bess.

- Zwracałem się do towarzyszkii pani - oświadczył żartobliwie Farquar.

- Możesz mu powiedzieć, Claire, żeby sobie poszedł - podsunęła Gwen. - Zawsze tak robimy.

- To prawda - zgodziła się Bess. - Niech pan sobie idzie, Roddy.

- A właśnie, że nie pójdę. Zamierzam poprosić pannę Becker, by ze mną zatańczyła.

Oczy Claire rozszerzyły się jak u spłoszonego królika. Odwróciła się bezradnie do Bess, która powiedziała:

- Ona zamierza czekać na lepszą propozycję. Prawda, Claire? I w tym momencie podeszło do nich trzech innych młodzieńców.

- Panna Boggs. Panna Castairs. Jakże mi miło - powiedział ten, który szedł na przedzie, bardzo wysoki i chudy, z gęstymi białoblond włosami.

- Tylko ostrożnie - ostrzegł nowo przybyłych Roddy Farquar. - Panienki pani Treadwell są dziś w opryskliwym nastroju.

- A czy zdarzyło im się kiedyś być w innym? - odparł ten wysoki.

- Simpson, proszę powiedzieć prawdę - zwróciła się do niego Bess. - Co pan sądzi o krawacie Roddy'ego?

- Jest po prostu koszmarny - odpowiedział bezzwłocznie pan Simpson. - Czy nie zamierza nas pani przedstawić?

Gwen niedbale machnęła ręką.

- Panna Becker. Lord Simpson. Lord Granville. Pan Laverleigh. I vice versa.

- Cóż za urocze maniery - prychnął Farquar.

- Czuję się zaszczycony, panno Becker - rzekł, kłaniając się, lord Simpson. - Czy jest pani w akademii od niedawna?

Claire zamarła w bezruchu i oniemiała. Gwen i Bess z humorem opisały jej swoje towarzyskie niepowodzenia, więc zakładała - naprawdę tak zakładała - że żaden z młodych ludzi i nawet się do nich nie odezwie. A przecież tym kawalerom deptali już po piętach następni; wykrzykiwali powitania, uśmiechali się i wszyscy wydawali się dobrze znać jej koleżanki.

Gwen trąciła Claire stopą. Panna Finn przełknęła i ośmieliła się zerknąć na lorda Simpsona, który górował nad nią jak wieża, czekając cierpliwie na odpowiedź. Kiwnęła głową, potem znowu spuściła wzrok na pantofelki.

- Gadatliwa jest ta pani nowa przyjaciółka, prawda? - zauważył Farquar.

- Niech się pan zamknie, Roddy - mruknęła Bess.

- Czy nie jest pani przypadkiem spokrewniona z Beckerami z Berkshire? - spytał któryś z młodych ludzi. Tym razem Claire potrząsnęła głową. - Pytam tylko dlatego, że ja jestem z nimi spokrewniony - wyjaśnił.

- Pan Custer - wtrąciła Bess, mimochodem dokonując prezentacji. - Oraz pan Blessingham. Co się panu stało w rękę? - Claire zobaczyła, że spoczywała ona na teblaku zrobionym z ciemnoniebieskiego jedwabiu.

- Odniosłem ranę na wojnie - rzekł lakonicznie pan Blessingham.

- Wojna się już skończyła - zauważyła Gwen po chwili milczenia.

- Nie ta wojna, którą Blessingham toczy z nadzwyczaj stromymi schodami, którymi wychodzi się z pokoju na tyłach domu gry pani Devlin - powiedział jej Farquar.

- Gdyby zobaczyła pani wyraz twarzy mojego drogiego papy, kiedy przyłapał mnie przy stoliku do faraona - powiedział z powagą Blessingham - zgodziłaby się pani, panno Carstairs, że to rana odniesiona na wojnie. Czy mógłbym liczyć na to, że da się pani nakłonić, by zatańczyć z inwalidą?

Gwen przekrzywiła głowę na bok i uważnie mu się przyjrzała.

- Przypuszczam, że nie bardziej będzie pan przez to niezgrabny niż zwykle. - Wszyscy młodzi ludzie ryknęli śmiechem. Gwen wstała i pozwoliła poprowadzić się na parkiet.

- Bessie? - zapytał z nadzieją Farquar.

- Mowy nie ma - odrzekła mu kuzynka.

Lord Simpson opuścił swą tykawatą postać na krzesło, z którego wstała Gwen, i przysunął je odrobinę bliżej do Claire.

- Czy mógłbym pani może coś przynieść, panno Becker? - zapytał usłużnie. - Może szklaneczkę ponczu?

- Niech pani ze mną zatańczy, Bess - błagał Farquar. - Próbuję

zwrócić na siebie uwagę panny Cavendish, a chyba nie uda mi się tego dokonać, dopóki tu będę tkwił.

- W ogóle się tego panu raczej nie uda dokonać - odparła Bess, rzucając okiem na młodą modniśnię, o której była mowa. - Ale jeżeli rzeczywiście chce pan popisać się przed nią tym swoim krawatem, nie będę pana powstrzymywała. Mogę cię zostawić, Claire?

Claire zakręciło się w głowie. Lord Simpson nadal pochylał się w jej stronę w oczekiwaniu na odpowiedź. Co sobie te przyjaciółki myślą, żeby tak ją porzucać, kiedy naokoło aż roi się od chłopców?

- Claire? - z pewną niecierpliwością powtórzyła Bess.

- Pójdę i przyniosę jej szklaneczkę ponczu - oświadczył lord Simpson.

- Dziękuję panu, Simpson - powiedziała z wdzięcznością Bess. - Niech to będzie poncz z szampanem. Wszystko się dobrze ułoży, Claire. Naprawdę.

- Ale... - To słowo nie głośniejsze było od szeptu. Bess i lord Farquar już odchodzili.

Następny młody człowiek - Claire usilnie próbowała przypomnieć sobie jego nazwisko - przysiadł na miejscu opuszczonym przez lorda Simpsona.

- Ze skóry mnie obedrze, że mu się tu wtrącam - mruknął, a potem podniósł głos, by go usłyszała przez głośną muzykę i rozmowy - ale czy miałaby pani ochotę zatańczyć?

Claire potrząsnęła głową, wbijając wzrok w lśniące pantofelki. Przyszło jej jednak na myśl, że - zgodnie z pouczeniami pani Caldburn - taka reakcja na zaproszenie nie wystarczy.

- Nie, dziękuję panu, panie Laverleigh. Chociaż to bardzo uprzejmie z pana strony, że mnie pan zaprosił.

Spodziewała się, że młody człowiek po tej odpowiedzi odejdzie. Tymczasem on przysunął krzesło jeszcze trochę bliżej.

- Jest pani z Irlandii, prawda?

Claire, spłoszona, podniosła na niego oczy.

- Poznałem to po pani głosie - ciągnął.

Claire ośmieliła się zaryzykować i powiedzieć coś jeszcze.

- Czy pan... przypadkiem... również pochodzi z Irlandii?

- Co to, to nie! - roześmiał się hałaśliwie pan Laverleigh. Lord Simpson wrócił z dwoma kryształowymi szklaneczkami ponczu.

- Zabieraj się stąd - rozkazał Laverleighowi i podał jedną szklaneczkę Claire.

- Masz ją do swej wyłącznej dyspozycji - wycedził Laverleigh, wstając. - To jest, jeżeli tego chcesz.

- Pewnie raczej nie będzie chciał! - parsknął śmiechem jakiś inny młodzieniec.

Lord Simpson miał zdezorientowaną minę.

- A któż nie chciałby siedzieć koło tak ślicznej damy? Ale tłumek już się rozpraszał, co Claire zauważyła z ulgą.

Pociągnęła łyżeczek ponczu. Był zimny, słodko-kwaskowaty i łaskotał w język.

- Smakuje pani? - zapytał lord Simpson przymilnie.

- Tak... tak Bardzo. Dziękuję panu.

Lord Simpson zamarł ze szklaneczką w pół drogi do ust.

- Skąd pani jest, panno Becker?

Claire poczuła ukłucie paniki. Pani Treadwell nie wspomniała, co powinna odpowiadać na takie pytanie. Ale ten młody człowiek był dla niej taki uprzejmy...

- Z Galway. Z Irlandii.

Zobaczyła, jak niebieskie oczy lorda Simpsona obojętnieją, a całe zainteresowanie jej osobą ulatnia się z trzaskiem.

- Z Irlandii - powtórzył. Przytaknęła. Lord Simpson przez moment siedział odchylony do tyłu. Potem się podniósł. - Zechce mi pani wybaczyć - powiedział. - Ale właśnie zauważyłem kogoś, z kim się po prostu muszę przywitać.

- Dziękuję panu za poncz - szepnęła Claire.

Ledwo jej skinął głową i odszedł, by przyłączyć się do przyjaciół, którzy zbili się w grupkę o jakieś dziesięć jardów od Claire, śmiali się i sporadycznie rzucali okiem w jej stronę.

Claire zwiesiła głowę, wyczuwała, że spotkało ją niepowodzenie. Ale co takiego zrobiła? Prawie słowem się nie odzywała. Młodzieńcy pytali ją tylko, czy jest Irlandką.

Stanął jej nagle przed oczami ojciec, jego okolona czarną brodą twarz



i usta, szeroko otwarte w ryku, który kierował do matki: *Ty cholerna angielska suko! Zachciało ci się na mnie patrzeć z góry, tak? Zamrugala powiekami, by pozbyć się tego obrazu, ale oczy napęłniły jej się łzami. Nie wiedziała, jak ma je otrzeć. W rękach trzymała szklaneczkę z ponczem, a chusteczka leżała w torebce, przy krześle. Gwen i Bess wirowały w tańcu ze swymi partnerami. Uniosła głowę, by poszukać pani Treadwell, ale nie udało jej się wypatrzeć przełożonej w tłumie. Poczula się nagle chora, przytłoczona. Usiłowała przełknąć jeszcze łyżeczek ponczu, ale dostała od niego kurczów żołądka. Było jej gorąco, zaczerwieniła się. Młodzi ludzie zerkali na nią, śmiali się...*

- Czy to miejsce jest zajęte? - zapytał cicho jakiś głos. Claire, wpatrując się nadal we własne pantofelki, nie udzieliła odpowiedzi.

- Bo jeśli nie jest - ciągnął głos, nadal cicho, ale z naciskiem - to pragnąłbym, usiadłszy na nim, przeprosić panią za ich głupotę. - Łzy Claire przelały się na policzki. - Doświadczenie nauczyło mnie - ciągnął głos - iż ludzie są jak szakale. W grupę się zebrawszy, dokonują tego, czego nigdy by się w pojedynkę nie dopuścili. Czy mogę zaproponować pani chusteczkę? - Claire nie odpowiedziała, a chusteczka znalazła się nagle na jej kolanach. Był to duży kwadrat ze śnieżnobiałego płótna, w jednym rogu wyhaftowano na nim ozdobiony zawijasami monogram: „W”. Potem czyjaś ogorzała od słońca dłoń o krótkich, kwadratowych paznokciach delikatnie wyjęła jej z dłoni szklaneczkę. - Bardzo proszę - zamruczał cicho głos. - Niechże im pani nie daje tej satysfakcji, by zobaczyli pani łzy.

Claire zerknęła spod oka na pana Simpsona i pana Laverleigh, chcąc się upewnić, że skierowali uwagę na kogoś innego.

Potem chwyciła chusteczkę i gwałtownym ruchem otarła oczy.

- Już lepiej - zapewnił ją głos. Właściciel głosu wyjął chusteczkę z ręki Claire, a ona wbiła znowu spojrzenie w swoje pantofelki. Ale tym razem zerknęła odrobinę bardziej na lewo i kiedy nieznajomy opuszczał się na krzeselko, zobaczyła jego buty. Nie były to pantofle balowe, tylko wysokie buty, czarne i nie za dobrze wypolerowane. Nogi młodzieniec miał chyba bardzo długie, wyciągnął je daleko przed siebie. - Nie widziałem pani wcześniej u hrabiny. Czy jest może pani jedną z uczennic jej mamy?

Claire zawahała się. Okazałaby chyba wielką nieuprzejmość, nie reagując wcale, więc kiwnęła głową.

- Ja... ja zaczęłam się tam uczyć dopiero kilka miesięcy temu. To moja pierwsza wizyta.

- Tym bardziej wstydzić się powinni ci, co zechcieli ją pani zepsuć. Proponuję, iżbyśmy ich zaszokowali tym, że niczego popsuć nie pozwolimy, zgodzi się pani? Jak się pani nazywa?

Już miała powiedzieć: „panna Becker”, ale nagle poczuła, że nie zniesie kłamstwa.

- Claire - wyjawiała, chociaż zdawała sobie sprawę, że tym samym pogwałciła zasady dobrego wychowania.

Nie wiedziała, kim jest nieznajomy, ale przyjął to, co powiedziała, ze spokojem.

- Jak się pani miewa? Ja nazywam się David. Czy już nie będzie pani więcej tego piła? - Claire zerknęła jeszcze bardziej w lewo i zobaczyła, że pokazuje na niemal pełną ponczu szklaneczkę. Pokręciła głową. - No i dobrze - rzekł David, a potem zrobił coś przedziwnego. Odchylił się jeszcze bardziej do tyłu na krzeselku, uniósł rękę i chlusnął zawartością szklaneczki w stronę lorda Laverleigh, oddalonego od nich o jakieś sześć do ośmiu stóp. Struga soku owocowego i musującego wina rozprysnęła się po pięknym fraku i starannie uczesanych włosach jego lordowskiej mości. Jednym swobodnym ruchem towarzysz Claire odstawił szklaneczkę na podłogę, chwycił panienkę za dłonie, pochylił się ku niej i powiedział nieco głośniej: - Och, ale tu nie mogę się z panią zgodzić! Zdaniem moim polityka regenta wobec walijskich kopalni cyny zasługuje na całkowite potępienie!

Claire tak była zdumiona, że w końcu podniosła oczy na jego twarz. Zobaczyła gęste, kędzierzawe kasztanowe włosy, parę roześmianych orzechowych oczu i wydatne pięknie wykrojone usta, które właśnie mówiły:

- Ostatecznie chodzi im tylko o prawo do zarabiania na życie. Czy nie uważa pani, że tak jest?

Kątem oka widziała, jak Laverleigh odwraca się niczym rozwścieczony byk i wzrokiem omiata salę.

- Niechże pani coś powie - nalegał szeptem jej towarzysz. I Claire

się odezwała. Powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła na myśl.

- Czy pan zwariował?

- A. Rozumiem, że pani sympatią cieszą się torysi. Szkoda. Ja osobiście jestem wigiem, i to w każdym calu.

Claire gwałtownie zachciało się śmiać. Ochota do śmiechu pierzchnęła jednak natychmiast, jak tylko zobaczyła, że podchodzi do nich rozwścieczony Laverleigh.

- Czy to pan, Wrede, mnie tym oblał? - zapytał ostro.

- Chociaż muszę przyznać - ciągnął towarzysz Claire, a potem podniósł oczy, jakby zaskoczony, że im przerwano. - Przepraszam pana, Laverleigh, o co pan pytał?

- Ja... - Rozwścieczony jak byk wpatrywał się przez chwilę we Wredego, a potem potrząsnął głową. - Wszystko jedno. Nie starczyłoby panu odwagi, prawda?

- Odwagi na co?

Laverleigh odwrócił się zde gustowany i ruszył przez tłum do swoich towarzyszy.

- Och, Laverleigh - zawołał za nim młody człowiek, który nadal mocno trzymał w rękach dłonie Claire. - Coś się panu rozlało po plecach fraka. Czy wiedział pan o tym?

Laverleigh przystanął, wyglądało na to, że zaraz powie coś więcej, ale poszedł dalej, mamrocząc tylko coś pod nosem. Młody człowiek puścił wreszcie trochę już spocone dłonie Claire.

- O czym to myśmy mówili? - zapytał bez troski. - A, pamiętam. O walijskich kopalniach cyny.

Claire zapatrzyła się w jego roześmiane oczy.

- Nic nie wiem o walijskich kopalniach cyny.

- Będę więc panią musiał pouczyć.

W tym momencie muzykanci przestali grać i z parkietu wróciła Gwen razem z Bess. Gwen przystanąła, widząc, kto towarzyszy Claire.

- Pan... pan Wede, prawda? - zapytała w końcu.

- Wrede - poprawił ją swobodnie. - Bardzo panią przepraszam. Czy zająłem pani krzesło?

- Co się stało, że Laverleigh się tak wpienił? - zastanawiała się Bess, bo najwyraźniej rozwścieczony młody lord oddalał się właśnie, by jakoś

uratować swój frak.

Pan Wrede wstał z wdziękiem i ustąpił miejsca Gwen.

- Czy pozwoli pani, że ją przeproszę, Claire? Ogromnie miło było mi panią poznać.

- Dziękuję... dziękuję panu - udało się wykrztusić pannie Finn, która bardzo pragnęła, by młody człowiek zatrzymał się przy nich na dłużej.

Gwen usadowiła się na krześle, a Bess zajęła miejsce po drugiej stronie Claire.

- Kto to był? - zapytała rudowłosa, przyglądając się, jak Wrede znika w tłumie. - I dlaczego nie poprosił cię do tańca?

- On jest kwakrem. Kwakrzy nie tańczą - wyjaśniła Gwen.

- Kwakrem? - powtórzyła zaintrygowana Claire.

- To sekta religijna. Towarzystwo Przyjaciół, taką nosi oficjalnie nazwę. Grono dziwaków. Nie przeklinają, nie służą w wojsku podczas wojny. Są pacyfistami. Przepadają za działalnością w słusznych społecznie sprawach: żeby wyjąć spod prawa gorzelnie, skończyć z prostytutką i niewolnictwem, takie różne.

- Trudno byłoby coś zarzucić takim dążeniom - oświadczyła Bess. - Ależ on ma cudowne włosy, zauważyłyście? Te loki... podobał ci się, Claire?

Claire sama nie wiedziała, co powiedzieć.

- On... był chyba bardzo miły - wyznała w końcu przyjaciółkom.

- Przepraszam, że porzuciłyśmy cię - powiedziała na to Gwen - ale ja ubóstwiam walca, nawet z Blessinghamem. Czy Roddy przydeptał ci obrąbek sukni, Bess?

- Tylko z pół tuzina razy - mruknęła z roztargnieniem Bess, nadal zapatrzona w oddalające się plecy pana Wrede. - Muszę powiedzieć, że nie rozumiem, po co ktoś, kto nie tańczy, miałby przychodzić na raut u Vanessy.

- Może lubi rozmawiać - podsunęła Gwen, z namysłem przyglądając się jaskrawym plamom czerwieni na policzkach Claire. - O czym rozmawialiście, Claire?

- O walijskich kopalniach cyny - odpowiedziała bardzo cichutko Claire. Koleżanki wytrzeszczyły na nią oczy.

- To bez wątpienia bardzo niezwykły manewr otwierający -

oświadczyła w końcu Bess. - A co ty wiesz na temat walijskich kopalni cyny?

- Nie mam o nich zielonego pojęcia - szepnęła Claire, którą paliły policzki.

Scandalous

---

## *Rozdział jedenasty*

---

Z panem Wrede zobaczyła się dopiero, kiedy wszystkich proszono do stołu. To wtedy wyrósł przy jej krzeselku jak spod ziemi.

- Czy, czyniąc mi tym wielki zaszczyt, zechciałaby pani pozwolić, bym jej towarzyszył przy kolacji? - zapytał, pochylając się do ucha Claire.

Claire zerknęła na przyjaciółki, ale Bess i Farquart docinali sobie właśnie nawzajem, a Gwen dopiero wracała z parkietu z panem Blessinghamem.

Podniosła oczy na pana Wrede.

- Ja... ja nie jestem pewna, co powinnam zrobić.

- No cóż - rzekł, podając jej rękę - zgodnie ze zwyczajem nakłada sobie człowiek na talerz coś do zjedzenia, znajduje jakieś miejsce, gdzie mógłby usiąść, a potem spożywa kolację.

- Nie, nie. Chodzi mi o to, że nie jestem pewna, co nakazuje etykieta.

- A. Etykieta. - Pan Wrede wymówił to słowo z nutką humoru. -

Wydaje mi się, że etykieta zależy w tym przypadku głównie od tego, czy człowiek ma apetyt na jedzenie, czy nie. A czy pani jest głodna?

Claire, która od rana czuła się tak, jakby w żołądku trzepotała jej się chmara motyli, i nie jadła przez to ani śniadania, ani obiadu, pokiwała powoli głową.

- Chyba jestem.

- No i dobrze. - Czekał. Claire zerknęła spod oka na Bess, która zachęcająco pokiwała głową. Potem ujęła dłoń pana Wrede i podniosła się z krzeselka. David kroczył obok niej w skromnym czarnym fraku i spodniach i wydawał jej się bardzo wysoki i potężny. Serce tłukło się dziewczynie w piersiach. Od jaskrawych świateł i hałasu głowa jej pękała. Ruszyli w stronę sali, w której przygotowano posiłek, ale w pół



drogi Claire nagle się zatrzymała. Wrede popatrzył na nią pytająco.

- Czy czuje się pani słabo? - zapytał. Claire znowu pokiwała głową. - Odrobina powietrza - zdecydował i zmienił kierunek. Poszli ku francuskim drzwiom, które prowadziły na taras.

Jak na kwiecień wieczór był ciepły. W tajemniczym świetle księżycy zobaczyli na zewnątrz również innych gości, którzy rozmawiali ze sobą ściszonymi głowami, tulili się do siebie, całowali. David przeszedł z Claire obok nich i sprowadził ją w dół po stopniach do ogrodu.

Dziewczyna głęboko wciągnęła powietrze. Unosiła się w nim jakaś rozkoszna woń: konwalie, uświadomiła sobie, kiedy podeszli bliżej do fontanny, obrośniętej tymi słodkimi kwiatkami. Naokoło stały ławki. David przystanął przy jednej z nich. Claire opadła z wdzięcznością na siedzisko.

Wrede usiadł obok i milczał. Milczał przez tak długi czas, że Claire zaczęło dręczyć poczucie winy. Wuj Gannon płacił za nią chesne w akademii w nadziei, że okaże się pociągająca dla jakiegoś konkurenta, który zdejmie mu kłopot w postaci bratanicy z głowy. Bo przecież nie z żadnego innego powodu. I oto siedzi obok niej życzliwy i rozsądny młody człowiek, który, co niesłychane, wydaje się gustować w jej towarzystwie, a ona za nic w świecie nie potrafi wymyślić, co mogłaby do niego powiedzieć. Może powinna zapytać o walijskie kopalnie cyny? Właśnie tak miała postąpić, kiedy David z zadowoleniem westchnął i rozprostował nogi.

- Muszę pani wyznać, Claire, iż z niesłychaną ulgą spotykam oto młodą niewiastę, która nie lęka się milczenia.

- Nie lęka się milczenia? - powtórzyła Claire ze zdumieniem.

- Tak. Dla większości ludzi zdaje się ono przerażające. Coś zmusza ich, by pustkę wypełniali. Ale mnie cisza cieszy. A czy cieszy ona panią?

Claire zastanawiała się nad tym tak długo, że David się roześmiał.

- Widzę, iż tak się właśnie sprawy mają!

Pannie Finn zdawało się, że wymyśliła w końcu coś, co nie zabrzmiało idiotycznie.

- Dlaczego pan w taki sposób mówi?

- Tak przemawiają Przyjaciele.

Claire przypomniała sobie słowa Gwen.

- Towarzystwo Przyjaciół. - Wrede przytaknął. - Pana religia.
- Wolimy o tym myśleć jako o sposobie życia.
- Jakim sposobie życia?
- Takim, który oddziela nas od reszty świata. - Jego głos był niski i spokojny.

- Nie tańczycie.

- Nie.

- Ale dlaczego nie?

- Bowiem Bóg powołał nas nie do rzeczy frywolnych, ale do ważkich.

- Bóg powołał nas - powtórzyła i tak ją to zaciekało, że ośmieliła się znowu podnieść wzrok i popatrzeć w jego orzechowe oczy. - Ale skąd wiecie, co Bóg mówi?

- Przysłuchujemy się... w ciszy.

- Ja należę do kościoła anglikańskiego - wyznała Claire. David bez skrępowania pokiwał głową.

- Większość ludzi do niego należy.

- Czy to jest trudne? Chodzi mi o to, że jest się innym od wszystkich.

- Czasami tak.

Claire nad tym również zastanawiała się przez jakiś czas.

- Ale pana zdaniem warto się różnić - powiedziała w końcu. - Dlaczego?

- Bo to łatwiejsze niż być takim samym. - Podciągnął znowu nogi pod ławkę i pochylił się, by otrzeć z kurzu wysokie, zmatowiałe buty. - Chodzi mi o to, że łatwiejsze dla serca. Niech pani weźmie sprawę uczestniczenia w wojnie. To dlatego Laverleigh ze mnie drwił. Sądzi, że jestem tchórzem: Ale żeby zabić kogoś dla własnych przekonań... zabić kogokolwiek, kiedykolwiek... to czyn karygodny wobec Boga, który jest dawcą życia i od którego pochodzi przykazanie: nie zabijaj.

- A gdyby ktoś próbował pana zabić... co by pan zrobił? Wrede szeroko się uśmiechnął.

- Próbowałbym mu to wyperswadować. My, Przyjaciele, wielce jesteśmy gadatliwi.

- Kiedy się nie przysłuchujecie ciszy. Rozśmieszyła go tym.
- Bardzo dużą część ciszy w ten sposób wypełniamy, to prawda.

Może nawet więcej, niż powinniśmy.

- W jaki sposób poznał pan naszą gospodynię? - pytała zadziwiona Claire.

David się znowu roześmiał.

- To niewiasta, która w pojedynkę całe zastępy ciszy wypełnić potrafi, nieprawdaż? Jestem ubogim krewnym jej męża, hrabiego Yarlborough. Z jego punktu widzenia, pożałowania godnym krewnym. Ale małżonka hrabiego okazuje nam bardzo wiele życzliwości. Chodzi mi o Towarzystwo.

Claire zadumała się na chwilę nad tą cząstką charakteru hrabiny, którą już poznała, a która wydawała jej się bez reszty frywolna.

- Jak pan sądzi, dlaczego miałyby wam okazywać życzliwość? - zapytała, łamiąc sobie nad tym głowę.

- Zdarza się, że sroka, co najgłośniej skrzeczy, najbardziej też tęskni za pociechą, jaką niesie cisza. - Popatrzył na Claire w słabym świetle księżyca. - Z życia, wypełnionego komfortem i bogactwem materialnym, niekoniecznie raduje się dusza.

- Czy zawsze mówi pan aforyzmami? - zapytała Claire, marszcząc nosek.

David znowu się roześmiał. Jak na kogoś przeciwnego frywolności miał śliczny śmiech, niski i mocny.

- Czy tak robiłem? Proszę o wybaczenie. Ja... - Tu urwał i gwałtownie odwrócił głowę. Ścieżka prowadziła dalej w mroczny od cieni ogród. Gdzieś z tych cieni dobiegł do Claire dziewczęcy głos, słaby, protestujący:

- Nie. Proszę, nie. Proszę, sir! Błagam pana. Ja...

David Wrede zerwał się i ruszył w kierunku głosu. Claire zaintrygowana poszła za nim w stronę kępy wierzb. Usłyszeli znowu ten dziewczęcy głos, tym razem bardziej piskliwy, bardziej natarczywy:

- Nie! Ja nie chcę... proszę, milordzie! Proszę, sir! Nie! Niech pan...

Wrede dał nura pod wierzbowe gałęzie i odezwał się z mocą, a mimo to jakoś łagodnie:

- Co się tutaj dzieje?

W nisko zwisających gałęziach coś się zatrzepotało, szarpnęło. Potem wyskoczyła stamtąd dziewczyna w białym fartuszk służącej. Włosy miała rozczochrane, ramiona skrzyżowała na rozchełstany staniku sukienki. Rozszerzonymi oczami spojrzała w oczy Claire. Płakała.

- Czy nic ci nie jest? - zapytała Claire, podchodząc do niej.

- Wracaj tu! - zawołał inny głos, męski, bełkotliwy od nadmiaru alkoholu. Claire aż się wzdrygnęła, kiedy go sobie przypominała. To odezwał się Simpson. Młody lord chwiejnie wyszedł z zarośli wierzbowych, spodnie miał opuszczone aż do kolan. - Wracaj tu, ty mała szelmo!

Dziewczyna przemknęła za Claire, starając się schować. Simpson zobaczył ją jednak i rzucił się ku niej, podciągając po drodze spodnie. Zatrzymał go Wrede, chwytając za poły fraka.

- Nie tak szybko, milordzie - powiedział tym razem grzmiącym głosem, tak donośnym, że w ciszy nocnej odpowiedziało mu echo.

- Puszczaj mnie! - dyszał Simpson. - To nie twój cholerny interes.

Ale siła głosu kwakra przyciągnęła innych. Zaczęli pojawiać się w ciemnościach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zbierali się, mamrotali coś. Za plecami Claire łkania dziewczyny cichły. Simpson pozapinał wreszcie spodnie. Wymachując pięściami, zaatakował Wredego.

- Niech diabli porwą twoją wścibską duszę! - krzyczał, a Claire drgnęła, widząc, jak mocno uderzył Davida.

Wrede potraktował atak spokojnie. Był równie wysoki jak białowłosy lord, ale dużo mocniej zbudowany. Przyjął cios na pierś i nawet się nie zachwiał.

- Sugerowałbym, lordzie Simpson, by zajął się pan wieczerzą. - Jego dźwięczny głos zagłuszył paplaninę gapiów.

- A ja bym sugerował, żebyś sobie załatwił jaja, ty tchórzliwy zdrajco!

W tłumie podniosły się ciche okrzyki. Damy wycofały się, dziewczyna za plecami Claire jęknęła.

Wrede się uśmiechnął. Claire widziała to bardzo wyraźnie, chociaż świecił tylko księżyc. Nie był to nienawistny uśmiech ani nawet groźny. Był to uśmiech człowieka, który jest górą i ma co do tego pewność.

- Kiedy następnym razem będzie pan brał niewiastę w zarośla, Simpson, niech się pan wcześniej przynajmniej upewni, czy jej pustka moralna jest równie wszechogarniająca jak pańska.

Simpson zaczął coś odpowiadać, potem zamilkł, ogłupiał.

- Jej moralna...

- Chodzi mu o to, ty cholerny idioto, żebyś upewnił się, czy dopadłeś chętną dziewczkę - odezwał się z tłumu jakiś inny mężczyzna; Claire rozpoznała w nim Blessinghama, z którym wcześniej tańczyła Gwen. - Chodźże już, na miłość boską. Kanarki masz na mózgu. Ale Simpson jeszcze nie skończył.

- Wyzwę tego człowieka - oświadczył, chociaż Blessingham i jakiś inny młodzieniec chwycili go za ramiona i próbowali powstrzymać. - A więc pojedynek! Zaczynamy!

- On nie będzie z tobą walczył - powiedział pogardliwie Blessingham. - To zatracony kwakier. Z zabojadami też nie walczył, prawda? Chodź już; szkoda na niego twojego czasu. - Simpson nie ustawał w fanfaronadzie; nie przestawał szydzić i rzucać wyzwania nawet wtedy, kiedy przyjaciele już odciągnęli go na bok. Claire odwróciła się, chcąc jakoś pomóc służącej, ale przekonała się, że ta tymczasem cichaczem się wymknęła, więc tylko stała zmieszana w świetle księżyca.

Tłum się powoli rozpraszał, odpływał w cienie, ludzie coś do siebie mówili półgłosem, sporadycznie, ukradkiem zerkali na Wredego, który spokojnie poprawił frak i przesunął dłonią po wijących się włosach.

W końcu zostali przy wierzbach sami, tylko ona i on. Cisza wydawała się trwać już za długo.

- Czy... czy to bolało, kiedy pana uderzył? - zapytała niespokojnie Claire.

- To zawsze boli, kiedy jedno z boskich stworzeń podniesie rękę w gniewie na inne. Mój ból mniejszy był niż ból Stwórcy - powiedział spokojnie Wrede, otrzepując przód fraka z kurzu.

Claire dech zapało. Na jego słowa wezbrała w jej wnętrzu fala przerażenia i rozlała się w czarne morze, grożąc, że ją pochłonie bez reszty. Nie potrafiła sobie wyobrazić, skąd wzięła się ta trwoga, ale była ona tak przerażająca, tak wszechobejmująca, że panna Finn puściła się rozpaczliwym biegiem z powrotem do pałacu.

- Claire! - zawołał za nią David. - Claire, niech pani zaczeka! Claire nie miała odwagi się odwrócić, żeby jej nie dopadła ta ciemność. Biegła i biegła, po schodach na taras, przez salę balową i prosto na piętro. Nie zatrzymała się, dopóki nie dobiegła do pokoju, który dzieliła z Gwen i Bess, nie wskoczyła do łóżka, nie wpełzła pod przykrycia i nie nakryła się nimi szczelnie razem z głową.

Scandalous



---

## Rozdział dwunasty

---

- Poproszę o raport, jeśliś tak łaskawa - powiedziała rzeczowo hrabina d'Olivieri, kiedy pani Treadwell weszła do saloniku; jej podopieczne zdążyły się już rozproszyć do swoich kwater w akademii. Przełożona wyglądała na wyczerpaną.

- Nie było tak źle, jak poprzednim razem - oświadczyła z ulgą. - Żadnej panience nie porozwijały się wstążki na parkiecie podczas tańca. Z duszy serca chciałabym ci donieść, że Gwen i Bess oczarowały cały zastęp konkurentów. Ale przeważnie rozmawiały i żartowały z kuzynem Bess, Roddym Farquarem, i jego znajomkami.

- A co z Roseanne i Mariah?

- Wykazały się obydwie takim opanowaniem aż miło. Roseanne kilkakrotnie poprosił między innymi pan Haggarty, a Roddy Farquar zatańczył z Mariah walca. Chociaż podejrzewam, że stało się tak z podpuszczenia Bess.

- To pocieszające, że nasze dziewczęta dbają o swoje koleżanki. A co z Petrą?

- Nie mam pojęcia, co zrobić z Petrą - wyznała przełożona. - Och, jest pełna życia i taka ładna, jeżeli nie szarpie się za włosy. Ale niech tylko zacznie coś mówić, zawsze do jej wypowiedzi jakoś trafiają liczby. A wtedy Petra podnieca się tak, że młodzieńcy się płoszą.

- Jakim cudem rozmowa na raucie u Vanessy mogłaby zejść na liczby? - nie mogła nadziwić się hrabina.

- Dam ci przykład. Byłam przy tym obecna i na własne uszy słyszałam, jak lord Willoughby prosił ją do tańca. W pierwszej chwili nie zwróciła na niego uwagi. Wydawała się czymś zaabsorbowana. Kiedy biedaczysko odchrząknął i powtórzył swoje słowa, wzdrygnęła się, uśmiechnęła do niego i powiedziała: „Bardzo pana przepraszam.

Liczyłam właśnie, ile razy powtarza się wzór na parkiecie. Czy zdawał pan sobie sprawę, że jodełka odwraca się co dwanaście, a za każdym powtórzeniem środkowy romb zmienia się z klonu na czereśnię, albo odwrotnie? Szacuję, że sala może mieć sto dwadzieścia stóp długości; jeżeli założymy, że jeden element jodełki ma dwa cale szerokości, a romby mają po cztery cale, to cały wzór, z jodełką odwróconą i nieodwróconą i jednym rombem klonowym i jednym czereśniowym...

- Błagam cię, przestań! - zawołała hrabina i gwałtownie przycisnęła dłonie od uszu.

- Bardzo to przypomina reakcję lord Willoughby, tylko że on był zbyt uprzejmy, by ją po sobie pokazać. Wprawił Petrę w straszne zakłopotanie, kiedy przeprosił i zaczął się wycofywać. „Przecież nie doszłam nawet jeszcze do obwódki z różanego drewna!”, tylko tyle miała do powiedzenia.

Hrabina roześmiała się, potem spoważniała.

- A co z Claire?

Dłonie Evelyn zatrzepotały.

- Żałuję, że w jej przypadku nie mam lepszych wiadomości.

- Okazała się nieśmiała?

- Niesłychanie.

- Tego się należało spodziewać. Na ile się zdołałam zorientować, ta dziewczyna nie ma za sobą żadnych porównywalnych doświadczeń towarzyskich.

- Jest gorzej, niż myślisz. Bess powiedziała mi w zaufaniu, że Claire mówiła, że z niej drwili. Między innymi ten zatracony Laverleigh. Za to, że urodziła się w Irlandii.

Christiane zbladła.

- Och, Evelyn. Przez myśl mi nie przeszło, by przestrzec ją, że istnieje taka możliwość. Jak ona... się przy tym zachowała?

- Bess mówiła, że doprowadzili ją do łez. Dobrą wiadomością, jak mi się zdaje, jest to, że znalazła sobie orędownika.

- Nie wydajesz się tym nadmiernie zachwycona - zauważyła hrabina.

- To był pan Wrede - wyznała pani Treadwell.

- Wrede? - zastanowiła się Christiane. - Jego nazwisko nic mi nie mówi.

- Jest jednym z kuzynów męża Vanessy. Dalekich kuzynów - podkreśliła z naciskiem pani Treadwell.
  - Dobry Boże. Jak rozumiem, ta dalekość jest z punktu widzenia Vanessy czymś bardzo pożądanym.
  - Nie tyle może Vanessy, co jej małżonka. Wrede'owie to wypróbowani i wierni Przyjaciele.
  - Mieć przyjaciół jest rzeczą cudowną - powiedziała hrabina nieco zdezorientowana.
  - Nie, nie. Towarzystwo Przyjaciół. Kwakrzy - rozwinęła pani Treadwell swoją wypowiedź.
  - Och! - zrozumiała hrabina i pociągnęła jeszcze łyżeczek wina. - Niewiele wiem o tym ruchu. Popierają abstynencję i modlitwę, czyż nie? Wydaje się to nieszkodliwe, nieprawdaż?
  - Towarzystwo z wyższych sfer spogląda na nich z krańcową odrazą - rzekła Evelyn.
  - Naprawdę? Nie potrafię zrozumieć, dlaczego. - Kąciki warg Christiane opadły. - Te damy o niczym innym ze mną nie mówiły, prócz abstynencji i modlitwy.
  - Kwakrzy to pacyfiści - wyjaśniła pani Treadwell. - Wzbraniają się iść na wojnę. Tak więc podczas całej tej zawieruchy z Napoleonem zostali powszechnie potępieni jako zdrajcy.
  - Pacyfiści, nawet wobec napoleońskiego zagrożenia? Cóż za intrygująca idea. Jestem pewna, że nigdy nie spotkałam żadnego kwakra. A czym jeszcze się wyróżniają?
  - Potępiają wszelką frywolność, a muzykę i tańce uznają za frywolne.
  - A więc Claire nie tańczyła ze swoim kwakerskim kawalerem. A co dokładnie robiła?
  - Niekiedy trudno jest odtworzyć dokładną sekwencję wydarzeń z tego, co opowiadają dziewczęta.
- Christiane parsknęła śmiechem.
- Zachwyca mnie to, Evelyn, kiedy wyrażasz się w tak subtelny i wyważony sposób. Czy chcesz powiedzieć, że dotarła do ciebie wyłącznie jedna wielka gmatwanina plotek i insynuacji?
  - Bezsporny jest chyba fakt - oświadczyła rzeczowo pani Treadwell -

że w ogrodzie Vanessy miała miejsce jakaś scysja pomiędzy lordem Simpsonem a panem Wrede.

- A mnie się zdawało, że mówiłaś, że kwakrzy to pacyfiści.

- Pan Wrede chyba interweniował, kiedy atencje lorda Simpsona względem jednej z dziewcząt służebnych okazały się nie w pełni odwzajemnione.

- Niech mu Pan Bóg da zdrowie! Gdyby tylko częściej zdarzała się taka niezłomność charakteru! Ale bądź tak dobra i powiedz mi, w jaki sposób interweniował, skoro jest pacyfistą?

- On... się za nią ujął.

- On co?

Pani Treadwell przeprasza ją pomachała ręką.

- Wiem. To się nie wydaje prawdopodobne. Ale tyle udało się dowiedzieć od Bess i Gwen. Wrede najwyraźniej usłyszał, że ktoś protestuje w zaroślach, upewnił się, że młoda niewiasta, o którą chodziło, nie do końca skłonna była ulec temu, co miał w planach lord Simpson, i... ujął się za nią. Na cały głos. Tak, że zebrał się tłum ludzi, a dziewczyna uciekła.

- Ależ to cudowne - szepnęła hrabina. - Jakże straszliwie odważnie z jego strony.

Pani Treadwell nie wydawała się aż tak zachwycona.

- Christiane. Na miłość boską. On jest absolutnie nieodpowiedni.

- Dlaczego?

- Nie jest *bon ton!* Nie nadaje się!

- Z jakiej rodziny pochodzi?

- Szacownej, jak na kwaków - przyznała mrocznie przełożona. -

David pomaga ojcu prowadzić wysoce dochodową kompanię spedycyjną, która handluje z Nowym Światem. Są całkiem zamożni. Mają jeszcze dwóch młodszych synów i jedną albo dwie córki.

- A mąż Vanessy zaprasza go na rauty tylko przez te koligacje rodzinne?

- Właściwie to zaprasza go raczej Vanessa. Wzięła Davida pod swoje skrzydła. Powiedziała mi kiedyś, że dzięki niemu świadoma jest, iż ma duszę.

- To imponujące, zwłaszcza jeżeli zna się Vanessę. Ale dlaczego

miałby przychodzić na jej przyjęcia, jeżeli potępia zabawy?

- Kwakrzy to ponad wszystko sekta praktyczna - zauważyła pani Treadwell. - Wrede rozmawia z dżentelmenami o interesach, a do tego intryguje damy; powiadają, że potrafi ciekawie dyskutować na niemal każdy podany temat. A przy sposobności obserwuje, do jakich to fatalaszków wykazują skłonność wielcy świata tego, jakie podają wina i likiery, jakimi smakołykami zastawiają swoje stoły. Potem składa w firmie ojca zamówienia na większe ilości wyżej wymienionych.

Hrabina roześmiała się.

- Jakie to sprytne! A co Claire ma na jego temat do powiedzenia?

Pani Treadwell zmarszczyła czoło.

- Trudno powiedzieć. W pierwszej chwili, jak powiedziały mi Bess i Gwen, chyba bardzo spodobało jej się towarzystwo Davida. Ale po incydencie w ogrodzie uciekła od niego. Bess i Gwen donoszą, że zastały ją później w łóżku, kompletnie wytrąconą z równowagi. Z trudem dawało się zrozumieć, co mówi. Nie mogła nawet zejść następnego dnia rano na śniadanie.

Hrabina zamyśliła się.

- To możliwe, że ostre starcie Simpsona z panem Wrede obudziło w Claire niemiłe wspomnienia. Czy rozmawiałaś z nią?

- Wiesz, ile mam zawsze trudności, żeby nawiązać kontakt z Claire - powiedziała ze skruchą pani Treadwell. - Tak bardzo jest zamknięta w sobie. - Przyłożyła dłonie do czoła. - Czuję się do imentu wyczerpana, Christiane. Kiedy przez tydzień muszę opiekować się sześcioma młodziutkimi panienkami, serdecznie żałuję, że nie jesteś milej widziana w towarzystwie!

- Jakże mi przykro - uśmiechnęła się z ironią Christiane.

- Nie żeby wina leżała po twojej stronie - dodała pospiesznie przełożona.

- W przypadku pana Wrede wydaje się być podobnie - mruknęła pod nosem hrabina.

- Przypuszczam, że na dodatek jest moim obowiązkiem poinformowanie lorda Carew, iż jego bratanica zadaje się z renegatami - zakończyła z ciężkim sercem pani Treadwell.

Christiane, która nie widziała Gannona Finna ani nie rozmawiała z

nim od tamtego pocałunku, pokiwała głową.

- Ja się tym zajmę - zaproponowała.
- Dzięki. - Przełożona była szczerze wdzięczna.
- Ale najpierw chyba będę musiała porozmawiać z Claire - zauważyła hrabina.

Christiane zaczekała do następnego dnia i dopiero po kolacji, kiedy służące sprzątały ze stołu, napomknęła Claire, że chciałyby zobaczyć się z nią w swoim saloniku. Irlandka krótko skinęła głową i posłusznie przyłączyła się do Madame. Z opuszczoną nisko głową i jaskrawymi wypiekami na policzkach usiadła na zaproszenie hrabiny na kanapie.

- Jestem ci winna przeprosiny - powiedziała Christiane. Claire gwałtownie uniosła głowę i z popłochem spojrzała na hrabinę.

- Och, nie! To ja powinnam panią przeprosić... i panią Treadwell również.

- Z jakiego to powodu? - zapytała łagodnie Christiane.
- Ponieważ nie odniosłam sukcesu na przyjęciu u hrabiny

Yarlborough.

- Sukces można mierzyć na wiele sposobów. Ale ja winna ci jestem przeprosiny, ponieważ nie przestrzegłam cię, że niektórzy członkowie towarzystwa mogą żywić do ciebie uprzedzenia z powodu kraju, w którym się urodziłaś.

Claire znowu zwiesiła głowę.

- Papa przestrzegał mnie - wyszeptała. - Powtarzał to wielokrotnie. To dlatego nie chciałam, żebym nauki pobierała w Anglii. „Oni zawsze będą z góry na ciebie patrzeć”, tak mi mówił. - Zaczerwieniła się. - Nie wierzyłam mu. A mama mówiła, że przesadza. Zawsze to powtarzała.

Christiane zajęła miejsce na kanapie obok uczennicy.

- Towarzystwo... - zaczęła i urwała. Boże, jakie to było trudne! - Towarzystwo to mała grupka - zaczęła znowu. - Chcę powiedzieć, iż liczy sobie niewielu członków w porównaniu z całym narodem, żeby już nie wspominać o świecie. Ma swój sposób życia. Jeżeli poczuje, że ten sposób życia jest zagrożony przez czyjąś odmienną czy jakieś odstępstwo, zaczyna się tego bać. Kiedy się nad tym zastanowi, ich reakcja jest właściwie żalosa. Członkowie tego grona muszą poniżać innych, by odczuwać swoją wyższość. Za odmienną czy odstępstwo



uznają całe mnóstwo cech. Narodowość jest tylko jedną z nich.

Claire niespodziewanie pokiwała głową.

- Szydzili również z pana Wrede, ponieważ jest od nich inny. Zachowywali się w stosunku do niego zupełnie okropnie. Dużo gorzej niż wobec mnie.

- A czy rozumiesz, dlaczego z niego kpili?

- Gwen mi to wytłumaczyła. Troszkę. On wyznaje inną religię.

- Dokładnie rzecz biorąc, nie. Jest chrześcijaninem, podobnie jak oni. Tylko że wyznaje wiarę w inny sposób.

- Moim zdaniem w lepszy - powiedziała porywczo dziewczyna. - Nawet kiedy wszyscy jawnie z niego szydzili, był taki opanowany, taki łagodny. A gdyby nie przyszedł na ratunek tamtej nieszczęsnej dziewczynie, kto wie, co by się mogło stać? A ona mu nawet nie podziękowała. Czy potrafi sobie pani to wyobrazić?

Christiane, odrobinę zaskoczona gwałtownością Claire, uśmiechnęła się.

- Wydaje mi się, że zrobił na tobie bardzo miłe wrażenie.

- Myślę, że to najbardziej wspaniały i cudowny człowiek, jakiego w życiu poznałam. - Poszukała wzrokiem oczu hrabiny. - Mnie się wydaje, że on może być Bogiem.

- Dobrze nieba. Bardzo byś go takim poglądem zażenowała, sądząc po tym, co opowiedziała mi o kwakrach pani Treadwell. Wydaje się, że to niesłychanie skromni ludzie. Ale powiedz mi, Claire, dlaczego uciekłaś od niego z ogrodu? I dlaczego nie zeszłaś na śniadanie?

- Bolała mnie głowa.

- Kiedy? W ogrodzie czy rano?

- Jedno i drugie. - Claire umknęła spojrzeniem w bok.

- Czy miałabyś ochotę znowu go zobaczyć?

Na drobnej, żywej twarzy dziewczyny wyraźnie odmalowała się walka między tęsknotą i lękiem. Po chwili odpowiedziała:

- Nie. Christiane pokiwała głową.

- A więc podzielasz powszechną opinię, że należy do ludzi, którzy wykręcają się od swoich obowiązków. Że jest tchórzem.

- Nie! Wcale nie o to mi chodzi. I tak już powiedziałam za dużo!

- A więc dlaczego miałabyś nie chcieć się z nim zobaczyć? -

Dlatego, że... że... - Claire nagle wstała i zaczęła tam i z powrotem chodzić po małym saloniku. - Bo on jest dla mnie za dobry.

- Większość ludzi powiedziała by, że jest nie wystarczająco dobry - zauważyła hrabina.

- To tylko dowód, jak niewiele ta większość wie.

- Nigdy nie spotkałam pana Wrede. - Hrabina wstała również i podeszła do biurka. - Jak on wygląda, czy mogłabyś mi powiedzieć?

- Jest wysoki... taki bardzo wysoki - odpowiedziała natychmiast Claire. - Ma orzechowe oczy i kędzierzawe kasztanowe włosy.

Wspaniałe włosy, tak wyraziła się Bess. I jest dobrze zbudowany. Nie chudy, nie tęgi. Mocny.

Christiane ukryła uśmiech.

- A jak się ubiera?

- Bardzo skromnie. Poważnie. Gwen mówi, że to charakterystyczne dla kwaków. - Claire zawahała się. - Tak się zastanawiam... czy przypuszcza pani, że przyszedł mi w pierwszej chwili na ratunek dlatego, że ja też byłam na czarno? Może myślał, że jestem kwakierką.

- Może i tak. W tej chwili, Claire, martwi mnie jedno: czy zechcesz wziąć udział w następnym balu u Vanessy?

- Nie - powiedziała zdecydowanie dziewczyna.

- Jeżeli będziesz izolowała się od towarzystwa...

- Nie zależy mi.

Hrabina podeszła bliżej i ujęła ją za rękę.

- Nie możesz pozwalać, by poskromili cię małostkowi ludzie, żeby cię pokonali...

- Oni byli okropni! Koszmarni. Wszyscy. Poza nim jednym, oczywiście.

Christiane pokiwała głową, uściśnęła dłonie dziewczyny, a potem je puściła.

- To dla ciebie takie nowe i boleśnie świeże. Może, jeżeli się jeszcze nad tym trochę dłużej zastanowisz...

- Nie zmienię zdania. Nie wrócę tam.

- A jak masz nadzieję znaleźć męża, jeżeli zamkniesz się tutaj?

- Po co mi mąż? Gwen i Bess wydają się całkiem szczęśliwe, chociaż nie mają konkurentów - odpowiedziała buntowniczo Claire.

- Czy uczciwie tak myślisz?

- A pani nie? Czy zostało to gdzieś wyryte w kamieniu, że bez mężczyzny kobieta jest niekompletna? Po co potrzebny mężczyzna, zwłaszcza takim kobietom jak Bess i Gwen, bystrym i wykształconym? Czy nie taki w sumie ma cel ta akademia?

Hrabina westchnęła.

- Nie każdej dziewczynie... nie każdej kobiecie potrzebne jest do szczęścia małżeństwo. Ale odpowiada ono nad podziw dobrze potrzebom większości z nich. W końcu małżeństwo daje dzieci. Gdyby każda panienka traktowała je tak pogardliwie, jakim cudem przetrwałyby ludzkość? A jeśli już o tym mowa, to dlaczego twoim zdaniem Gwen i Bess nie przestają brać udziału w balach hrabiny Yarlborough, chociaż nie spotkały jeszcze młodych ludzi, których uznałyby za godnych siebie?

- Claire już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. - Gdybyś je zapytała - ciągnęła łagodnie Christiane - myślę, że przekonałabyś się, iż bardzo pragną kogoś poślubić, chociaż są inteligentne i wykształcone. Dusza człowieka tęskni za tym, by mieć towarzysza, Claire. Wydaje się, że całe nasze jestestwo przeplecione jest tą tęsknotą.

- Ale czy towarzystwo kobiet nie wystarczy? - zapytała smętnie Claire. - Ani pani, ani pani Treadwell nie wyszłyście powtórnie za mąż po owdowieniu.

- Ale każda z nas doświadczyła radości, jaką niesie małżeństwo. - Tu Christiane zdusiła skrupuły. Pani Treadwell zaznała w małżeństwie niewiele szczęścia, a ona sama wyszła za mąż właściwie tylko z wyrachowania, bo po śmierci Jean-Baptiste'a nie potrafiła sobie wyobrazić innej możliwości. Pamięć nieproszona podsunęła obraz Gannona Finna, który pochyła się, by dotknąć wargami jej ust. Ten jeden krótki pocałunek obudził w sercu Christiane tęsknotę, której, jak sądziła, nigdy już poczuć nie miała.

Ale nie o Gannona teraz chodzi, tylko o Claire. Zestarzałam się, powiedziała sobie Christiane. To, co się ze mną będzie działo, jest nieistotne. A Claire dopiero wyrusza w tę wielką podróż, którą jest życie. Hrabina zdecydowana była nie pozwolić na to, by dziewczyna od życia uciekała, stroniła. Pozbierała myśli i właśnie miała się znowu odezwać,

kiedy rozległo się stukanie do drzwi.

- O co chodzi? - zapytała poirytowana. Clarissa wetknęła głowę do saloniku.

- Bardzo przepraszam, psze pani, ale przyszedł gość do panny Finn.

- Wujek Gannon! - Dziewczyna poderwała się z kanapki rozpromieniona.

- Nie, panienko. Jakiś pan nazwiskiem Wrede. Nie miał przy sobie wizytówki. I pytał o „pannę Claire”. - Zesnurowane usta pokojówki dowodziły niedwuznacznie, co sądzi o takim odstępstwie od norm towarzyskich.

Christiane uniosła brwi.

- No, no! Nie traci czasu, prawda?

Claire zrobiła się blada jak opłatek.

- Nie mogę się z nim zobaczyć.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem! Bo... - Głęboko odetchnęła. - Boję się go. Proszę, Clarisso, usprawiedliw mnie jakoś. Powiedz, że się już położyłam.

- Nie ma jeszcze ósmej - wtrąciła z powątpiewaniem pokojówka.

- Powiedz, że jestem chora! Powiedz cokolwiek!

- Clarisso - zabrała głos hrabina, przejmując inicjatywę. - Poproś tu pana Wrede.

Claire popatrzyła na hrabinę, jakby ta ją uderzyła.

- A ja myślałam, że pani stoi po naszej stronie - wyszeptwała.

- Stoję - przytaknęła hrabina. Przyglądała spódnicę, sprawdziła, czy włosy się nie rozburzyły, a potem popatrzyła na Claire. - Zawsze.

Nieodmiennie. Ale czasami musisz mi zaufać.

- Pan Wrede - zapowiedziała Clarissa.

Christiane podniosła się z krzesła i po raz pierwszy zobaczyła młodego człowieka, o którym była mowa.

Rzeczywiście jest wysoki, pomyślała, podchodząc do niego z wyciągniętą dłonią. I naprawdę ma wspaniałe włosy, o intensywnym, rudobrazowym kolorze, chociaż ubrany jest dziwacznie, w strój bardzo ciemny, a nawet bury. W sumie jednak, chociaż najwyraźniej nie podąża za modą, robi bardzo dobre wrażenie; zresztą może właśnie dlatego.

- Jak się pan ma, panie Wrede? Jestem hrabina d'Olivieri. To bardzo

uprzejmie z pana strony, że pan nas odwiedził.

Złotobrzazowe oczy pana Wrede spojrzały w oczy hrabiny.

- Przepraszam, że paniom przeszkadzam. - Głos miał śmiały i mocny, a nawet fascynujący. Przeniósł spojrzenie na Claire. - Martwiłem się o panią, kiedy nie ujrzałem jej ponownie. Obawiałem się, że jakoś panią musiałem obrazić.

- Nie - powiedziała Claire ledwo dosłyszalnym głosem. - Nie. Wcale nie.

Wrede powoli pokiwał głową. Każdy jego ruch i każda wypowiedź robiły wrażenie niespiesznych, mocnych, pewnych, ale całkowicie pozbawionych zarozumiałości; wyraźnie też odbiegały od norm kwiatu elit towarzyskich.

- A przecież uciekła pani - zauważył.

Claire wtuliła się w kanapę, wydawało się, że zmalęła. Christiane zastanawiała się, czy nie wkroczyć w rozmowę, ale doszła do wniosku, że pozwoli, by dwoje młodych rozegrało do końca tę scenę na własną rękę.

David Wrede czekał. Przez długą chwilę panowało milczenie. Hrabina musiała ugryźć się w język. Dlaczego Claire czegoś nie powie, czegokolwiek? Ale Wrede chyba się nie niecierpliwił. Po prostu stał w swoim czarnym surducie, kapelusz trzymał w rękach i czekał. Christiane już myślała, że jego cierpliwość nie zostanie chyba nagrodzona, kiedy Claire odezwała się gwałtownie.

- Bardzo podziwiałam pana za to, co zrobił pan dla tej biednej dziewczyny w ogrodzie. I wdzięczna jestem, że pan tak życzliwie się mną zajął. Ale chciałabym... - I tu głos w końcu ją zawiódł.

- Czego by pani chciała, Claire? - zapytał swoim głębokim, dźwięcznym głosem.

- Wolałabym, żeby pan nie przychodził. Wrede z namysłem pokiwał głową.

- Jeżeli pani sobie zażyczy, mogę odejść.

- Tak. - Wrede już zaczął się odwracać. - Nie, to nieprawda. Nie chcę, żeby pan odszedł! - Claire popatrzyła żałośnie na hrabinę.

David Wrede mógł dysponować nieprzebranymi zasobami cierpliwości, ale Christiane nie, zwłaszcza w obliczu tak wspaniałego

kawalera.

- Zdecyduj że się na coś, Claire - powiedziała z nutką irytacji w głosie.

Śmiech Davida był niski, bogaty, głęboki.

- To przywilej kobiety, by zmieniać zdanie, czyż nie? Christiane jeszcze bardziej go za ten śmiech polubiła.

- Tak powiadają. Ale jeżeli zadał pan sobie aż tyle trudu, by tu przychodzić...

- Ja go wcale nie zapraszałam! - oświadczyła Claire, jakoś strasznie wzburzona.

- Może nie powinienem był składać wizyty bez uprzedzenia - powiedział Wrede i uśmiechnął się. Miał bardzo ujmujący uśmiech, zauważyła hrabina. - Jeżeli chce pani, mogę odejść, napisać list tak, jak wypada, i poczekać na pani odpowiedź. - Claire się nie odezwała. - Czy odpisałaby mi pani? - naciskał.

Odpowiedzią było znowu milczenie.

- Może zechciałby pan usiąść, panie Wrede, na czas, kiedy panna Finn obmyśla swoją odpowiedź? - zapytała odrobinę zjadliwie Christiane.

Claire rzuciła jej rozpaczliwe spojrzenie.

- Tylko nie panna Finn - syknęła, zapominając, że sama wcześniej przedstawiła się Davidowi tym nazwiskiem. Christiane zauważyła, że nazwisko Claire uderzyło w pana Wrede niczym cios noża.

- Panna Finn. - Urwał, przyswajając sobie tę informację dopiero teraz. - Czy pani jest... ale musi pani być. Dobry Boże na niebiesiech. Proszę przyjąć moje przeprosiny... i wyrazy współczucia z powodu śmierci rodziców. Nie miałem pojęcia.

Claire blada była jak światło księżycyca, cała krew uciekła jej z twarzy.

- Bez wątpienia - powiedziała rozedrganym głosem - uważa pan, że to było... frywolne z mojej strony, że poszłam na ten bal.

Wrede spojrział hrabinie w oczy.

- Ani trochę - oświadczył następnie stanowczo. - Myślę, że nauczyciele udzielili pani słusznej rady. Żałość tak wielka musi być niemal nie do zniesienia. Szukać ucieczki, dowolnej ucieczki w tragicznych okolicznościach, jak te... żałuję tylko, że nie wiedziałem o



tym wcześniej.

- Dlaczego? - wybuchnęła nieoczekiwanie z wściekłością Claire.
- Claire - zaczęła hrabina strofująco.

Ale David Wrede nie wydawał się ani trochę stropiony.

- Żebym mógł spróbować panią pocieszyć - powiedział. Teraz Claire rozpląkała się.

- Ja nie chcę pocieszania. Ja chcę... Och, Boże, gdybym ja wiedziała, czego chcę!

Christiane ruszyła w jej stronę, ale Wrede był szybszy. Podniósł Claire z kanapy, zamknął w mocnych ramionach i przytulił do szerokiej piersi.

- No, no - mówił półgłosem, gładząc po czarnych włosach, jakby była dzieckiem, które płacze, bo rozbiło sobie kolano. - Skąd mogłaby pani wiedzieć, co czuć? Co mogłoby panią na taki cios przygotować?

- A co pan może o tym wiedzieć? - Wyrwała się z jego objęć. - Co pan może o tym wiedzieć? Jest pan tylko tchórzem, tak jak o panu mówili!

- Claire! - szepnęła przerażona Christiane.

Ale Wrede się tym nie przejął. Chwycił Claire za przeguby, przytrzymał je mocno i wpatrywał się prosto w jej oczy.

- Nie będę pani pocieszał fałszywą nadzieją. U źródeł każdej ze spraw znaleźć można przyczynę, ale nie każda z tych przyczyn pochodzi od Boga. Musi pani słuchać ciszy i szukać spokoju, który leży wewnątrz pani. Tam znajdzie pani odpowiedzi.

Claire cofnęła się od niego z wyrazem takiej rozpaczony na twarzy, że Christiane aż dech zapało.

- We mnie nie ma niczego poza ciemnością.

- Niech pani poszuka głębiej. Poszuka Wewnętrznego Światła, Wewnętrznego Objawienia.

- Nie ma światła! - krzyknęła udręczona Claire.

- Jest Światło. - David położył Claire dłoń na policzku i objął go delikatnie palcami. - Światło jest zawsze.

- Mówi pan aforyzmami - prychnęła pogardliwie. Uśmiechnął się do niej lekko.

- Aforyzm to tylko przepracowana prawda.

- Widzi pan? Znowu! Wrede puścił ją i cofnął się.  
- Chciałbym znowu panią odwiedzić, Claire. Chciałbym wyjść z panią.

- Wyjść? - zapytała słabiutko Claire.

- Spacer to skromna namiastka kwakerskich zalotów - wyjaśnił David Wrede. - Ponieważ nie tańczymy. Czy mogę panią odwiedzić, Claire?

- Nie.

- Proszę?

- Nie!

- A więc nie wyjdzie pani ze mną?

- Nigdy.

Christiane, która im się przyglądała, już miała się rozgniewana wtrącić; czy ta dziewczyna oszalała? Czy myśli, że konkurentów takich jak ten łatwo da się znaleźć? Ale Wrede nie tracił optymizmu.

- Gdyby miała pani zmienić zdanie - powiedział cicho, ochryple - to zaproszenie będzie nadal ważne.

Claire cicho płakała.

- Nie zmienię zdania - oświadczyła.

- Gdyby je pani zmieniła, będę na panią czekał. Dziewczyna uniosła zalaną łzami twarz.

- Proszę tak nie mówić. Niech mnie pan nie zmusza, bym panu uwierzyła.

- Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę. - Wrede pochylił głowę przed nią, a potem przed hrabiną. - Teraz się pożegnam. Claire...

Ale Claire potrząsała głową, i załamywała ręce. Wrede przez chwilę wahał się, potem je zostawił. W saloniku zapanowała cisza - rozpaczliwa, niepewna cisza, przerywana tylko ciężkim łkaniem Claire.

- Wydaje się niesłychanie przyzwoitym młodym człowiekiem - zaczęła hrabina.

- No właśnie - szepnęła Claire, ocierając oczy. - Zasluguje na coś dużo lepszego niż ja.

I z tymi słowy wybiegła z saloniku, zostawiając hrabinę, która w samotności zastanawiała się, jaką, u licha, przyczynę mogło mieć takie zachowanie dziewczyny.

---

## *Rozdział trzynasty*

---

Posłała po Gannona, to oczywiste. Przekonana była, że nie ma innego wyjścia. Ale nie zawracała sobie głowy planowaniem intymnej kolacyjki. Po prostu poprosiła, żeby złożył wizytę wcześniej, a nie, jak zwykle, w niedzielę. Napisała, że musi z nim porozmawiać w bardzo pilnej sprawie. Wysłała list we wtorek rano. Gannon pojawił się we środę, kiedy się właśnie zmierzchało.

- Nie ociągał pan się - zauważyła, gdy Clarissa wprowadziła hrabiego do saloniku. Musiał jechać chyba bardzo szybko, bo włosy i ubranie miał w nieładzie; wyglądał z tym niesłychanie męsko, na co hrabina usilnie starała się nie zwracać uwagi.

- Przeraziła mnie pani tym listem. - Ujął jej dłoń i lekko pocałował. - Co się stało?

- Niech się pan lepiej napije whiskey. - Nalała mu, kiedy sadowił się w fotelu.

Carew wziął szklaneczkę i uniósł w jej stronę.

- Zdrowie. - Oczy miał zielonoszare, jak ocean podczas burzy.

- Chodzi o Claire - powiedziała hrabina; twarz Gannona przelotnie się zmieniła, pojawiła się na niej jakaś emocja, mogło to chyba być rozczarowanie. Potem skinął głową, przyjmując do wiadomości jej słowa.

- Czy ona... źle się zachowała?

- Nie, nie, nic takiego. Właściwie to nawet wręcz przeciwnie. Ma konkurenta.

Hrabia patrzył na Christiane szeroko otwartymi oczami.

- Żartuje pani chyba.

Hrabina poczuła się urażona, w imieniu Claire.

- Nie rozumiem, jak może pan tak reagować. Claire jest prześliczna.

Ta obfitość czarnych włosów... te oczy... - Twoje oczy, Gannonie.

- Oczywiście, że jest prześliczna. Nie to miałem na myśli. Tylko że poczułem się... zaskoczony. Wydaje mi się taka nieśmiała i zamknięta w sobie. Żeby miała wabić jakiegoś młodego człowieka... tego nie jestem w stanie sobie wyobrazić.

- I właśnie z tego powodu poprosiłam pana o wizytę. Ona go nie zachęca... a nawet wręcz przeciwnie. Prawdę mówiąc, powiedziała, że nie chce go już więcej widzieć.

- Dlaczego nie? Czy jest nieodpowiedni?

- To chyba zależy, jak się to pojęcie zdefiniuje. Pochodzi z dość dobrej rodziny. Nawiasem mówiąc, jest krewnym męża córki pani Treadwell.

- Hrabiego Yarlborough? Powiedziałbym, że w takim razie po prostu musi być odpowiedni!

- Jedna tylko rzecz przemawia przeciw niemu, jedna jedyna, na ile zdołałam się zorientować, kiedy go poznałam.

- Jaka?

- Jest kwakrem.

Gannon Finn powoli pokiwał głową, przetrawiając tę informację.

- Rozumiem. A Claire uznała ten fakt za nie do przyjęcia?

- Och, nie. Nie sądzę, by o to chodziło. No, zresztą może. W pewien sposób.

Hrabia rzucił jej uśmiech, równie olśniewający jak zawsze.

- Wie pani, mówi pani zagadkami. Christiana poszła nalać sobie whiskey.

- Proszę mi wybaczyć. Nie było to moim zamiarem. Ale, prawdę mówiąc, samej jest mi trudno się w tym połapać. Oto co, się wydarzyło, a raczej co udało mi się zrozumieć z opowieści pani Treadwell, innych dziewcząt oraz samej Claire. - Przekazała mu, czego dowiedziała się o raucie u Vanessy, o młodych ludziach, którzy pogardliwie potraktowali Claire, o tym, jak David Wrede przyszedł jej na ratunek, i jeszcze o tym, jak później w pałacowym ogrodzie Yarlborough udzielił pomocy ofierze Simpsona. Gannon słuchał uważnie, bacznie.

- A więc poznała go pani u hrabiny? - zapytał, kiedy przerwała.

Christiane się zaczerwieniła.

- Nie byłam tam obecna. Musi pan pamiętać, że z akademią nic mnie oficjalnie nie wiąże. Zawdzięczam to pewnym... nieprawidłowościom, związanym z moim przeszłym życiem.

- Biedna Christiane. Wciąż jeszcze płaci pani za tę chwilę szaleństwa z lordem Weatherstonem. Ile to już lat minęło od chwili, kiedy towarzystwo skazało panią na banicję?

- Niech pana cholera - wyszeptała.

- Mówiłem całkiem szczerze. - Przez dłuższą chwilę panowało między nimi milczenie. Carew przerwał je pierwszy. - A więc gdzie poznała pani pana Wrede?

- Przyszedł tutaj, do akademii. Żeby jej złożyć wizytę. Żeby poprosić, by się z nim przeszła.

- Jak pani go znajduje?

- Wydał mi się czarujący - powiedziała zgodnie z prawdą Christiane.

- Robi wrażenie uczciwego, prostolinijnego, odważnego, wrażliwego...

- Ale przystojny to nie jest. - Gannon kiwnął głową, jakby już wszystko zrozumiał. - Wszyscy takich znamy.

- Wręcz przeciwnie! - Christiane cała się zjeżyła. - To wspaniały mężczyzna! Bardzo przystojny moim zdaniem... i zdaniem innych dziewcząt oraz pani Treadwell również! Żeby już nie wspominać o Claire. Z najwyższym uniesieniem opisywała mi jego włosy i sylwetkę.

- Claire? - zapytał znowu ze zdumieniem Carew.

- Claire.

- Jakie ma więc zastrzeżenia, skoro nie chodzi o jego religię, powierzchowność ani maniery?

- Miałam nadzieję, że to pan będzie w stanie rzucić nieco światła na ten problem - rzekła Christiane. - Mnie wyjaśnienie z pewnością umyka.

Hrabia odchylił się do tyłu na fotelu, wyciągnął przed siebie długie nogi w wysokich butach. A potem wygłosił następującą, niezwykle uwagę:

- Może jej się za bardzo podoba.

- Przepraszam pana?

- Spotkałem się już wcześniej z taką reakcją. Kobieta przekonuje się, że mężczyzna ją pociąga, jest tym faktem przerażona, więc robi, co może, żeby się swej skłonności wyprzeć.

Christiane wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Jeżeli chce pan insynuować, że kiedyś pan mnie w taki sposób pociągał...

Carew uniósł w górę czarną brew.

- Prawdę mówiąc, wcale o pani nie myślałem. Chociaż skoro już pani o tym wspomniała, porównanie wydaje mi się trafne.

- Pochlebia pan sobie - syknęła. Gannon Finn wzruszył ramionami.

- Nadal się pani tego wypiera, jak widzę. Christiane rozwścieczona zerwała się na równe nogi.

- W życiu nie spotkałam takiego egocentryka! Powiedziałam to panu dwadzieścia lat temu i teraz muszę powtórzyć. Oto ze wszystkich sił staram się, by jakoś zabezpieczyć przyszłość pana bratanicy, a pan nic tylko drwi ze mnie i się ze mną droczy!

- To pani zaprosiła mnie do swojej sypialni - stwierdził nieustępliwie, głos miał niski i szorstki. - To pani skusiła mnie swymi atencjami. To pani mnie omamiła.

- Ja zaprosiłam pana do mojej sypialni... jeden raz!... bo gdyby Jean-Baptiste znalazł pana ze mną na dole po godzinach, gardło by panu poderznął - udało się wykrztusić Christiane.

- Byłby próbował. Zapach konwalii...

- Co?

- Takich używała pani perfum. Wciąż jeszcze ich pani używa.

Doprowadzały mnie wtedy do szaleństwa. Podobnie jak teraz. - Wstał i ruszył w jej kierunku. Christiane cofała się przed nim, drżąc, dopóki nie wpadła na parapet okienny. Chwyciła się go kurczowo. - Dlaczego nie chciała mu pani powiedzieć?

- Powiedzieć mu czego?

- Że mnie pani kochała. Kochała mnie, a nie jego.

- Zwariował pan.

- Czy tak, Christiane? Na co miałaś nadzieję, czego oczekiwałaś, kiedy on i ja spotkaliśmy się wtedy świtem w Lasku Bulońskim?

- Oczywiście tego, że Jean-Baptiste wygra! - Właśnie tego sobie życzyła, na pewno. Wszystko inne było nie do pomyślenia. Do teraz pamięta przecież, jak serce jej drgnęło, kiedy usłyszała, że wygrał Gannon.



Podszedł jeszcze bliżej.

- Czy wiesz, dlaczego wygrałem, Christiane? - Potrząsnęła z lękiem głową. - Bo to ja ciebie bardziej kochałem - wyszeptał jej do ucha.

Położyła dłonie na zakurzonym surducie Gannona i odepchnęła go.

- Nie rozumiem, dlaczego chcesz mnie w ten sposób dręczyć.

Hańbić pamięć... o zmarłym. - Wzrok miała wbity w podłogę.

- Może dlatego, że tak bardzo pragnę, byś się przyznała. Ja naprawdę bardziej ciebie kochałem, Christiane.

- To stare dzieje - wyszeptała.

- Czy na pewno? - Pochylił się znowu w jej kierunku.

- Prosiłam, żebyś przyszedł porozmawiać o Claire!

- Wiem, dlaczego mnie tu zaprosiłaś. - Przywarł ustami do warg Christiane. Objął ją ramionami.

- Gannon - szepnęła. - Nie...

Jęknął tylko i przycisnął ją mocniej do siebie.

- O Boże. - Jego pocałunek palił jak ogień, dłoń pieściliwie muskała policzek, gładziła czarne włosy. - Tak za tym tęskniłem...

- Puść mnie! - Christiane zaczęła szarpać się w uścisku hrabiego.

- Czy pamiętasz? - szeptał jej do ucha. - Tamta noc... ja pamiętam ją całą. Każdą sekundę. Każdą chwilę...

- To było szaleństwo! To był błąd, potworny błąd!

- Dlaczego tak mówisz? Nie uda ci się przekonać mnie, że w to wierzysz! Kiedy mnie obejmowałaś... kiedy przelałem siebie w ciebie... - Przywarł do niej biodrami. - To, jak chwytalaś powietrze, jak się mnie czepiałaś... Drzwi do saloniku gwałtownie się otworzyły-

- Wujku Gannonie! - zawołała Claire i zamarła, widząc, jak dorośli odskakują od siebie. - Ja... bardzo przepraszam - wyszeptała. - Gwen mówiła mi, że widziała z okna, jak wujek przyjechał. Ja... ja myślałam, że to ze mną przyjechał się wujek zobaczyć

Christiane usilnie starała się opanować, przyglądała dłonią rozmiarzone loki.

- Posłałam po twego wuja, Claire, z związku ze sprawą pana Wrede.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się. Najwyraźniej wciąż jeszcze usiłowała połapać się w tym, co dostrzegła, wchodząc do saloniku: hrabina w objęciach wuja, ich czuły uścisk.

- Nie miała pani prawa tego robić - oświadczyła. Tu wkroczył w sprawę Gannon.
- Musisz zrozumieć, Claire, że jesteśmy z hrabiną starymi przyjaciółmi. I...
- Chodzi mi o posyłanie po niego. - Patrzyła teraz ze spokojem prosto na Madame.
- Claire. Pan Wrede wydaje się jak najbardziej odpowiednim młodym człowiekiem. On...
- Powiedziałam już jemu... i pani... że nie życzę sobie go więcej widzieć.
- Ależ dokładnie z tego powodu posłałam po twego wuja. W nadziei, że może jemu uda się ciebie przekonać.
- Jest dla mnie oczywiste, dlaczego pani po niego posłała.
- Claire! - wykrzyknął zaszokowany i zaskoczony Gannon.
- Wydaje się wujowi, że ze mnie takie niewiniątko, prawda? - Głos Claire brzmiał pogardliwie. - Może to dlatego zasugerował wuj, żeby mnie zapisać do tej akademii. Może zaskoczenie, jak wuj okazał na widok Madame, było tylko oszukaństwem.
- Claire, mylisz się! - zawołała Christiane, a Gannon jak echo powtórzył:
- Przysięgam ci, że...
- Na Boga, nie przysięgajcie mi - przerwała dziewczyna ciężko, smutno. - Od was wszystkich, co do jednego, przez całe moje życie, słyszałam tylko przysięgi. Przysięgaliście, że wiecie, co jest dla mnie najlepsze. Przysięgaliście, że jeżeli tylko okażę się cierpliwa, wszystko się zmieni na dobre. Tak zawsze mówił papa. Tak zawsze również mówiła mama. Ale nigdy tego nie mówili, kiedy zostawali we dwójkę w pokoju. Przysięgali mi tylko wtedy, kiedy byli ze mną sami, kiedy nie było tego drugiego.
- Och, Claire. - Gannon miał taki głos, jakby mu serce pękało. - Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, jak to z tobą było?
- Po co jeszcze jeden człowiek miałby przysięgać, że wie, co dla mnie najlepsze! Zechce mi pani wybaczyć, Madame, że państwu przerwałam - powiedziała Claire z lodowatą uprzejmością. - Proszę, niech państwo wrócą do swoich zajęć. Pożegnaj się teraz. Dobranoc,

wujku Gannonie. - Odwróciła się na pięcie i zostawiła ich, zamykając za sobą drzwi w sposób ostateczny i nieodwracalny.

- Chryste - jęknął Gannon Finn, odpychając z czoła czarne włosy. - Co ja narobiłem? - I uderzył pięścią w ścianę z taką siłą, że tynk zaczął się łuszczyć. - Diabli nadali! Diabli to wszystko nadali!

Chociaż Christiane czuła się wstrząśnięta, wyprostowała się w ramionach.

- Musimy jej pomóc, Gannonie. Musimy raz na zawsze zapomnieć o naszych problemach, i to w tej chwili, i pomóc jej.

- Ale jak? - zawył niemal zwierzęcym głosem.

- Moglibyśmy zacząć od tego, że powiesz mi prawdę. Dlaczego Georgina zatrzymała się u ciebie, w twoim majątku, kiedy była brzemienna z Claire?

- Kto ci powiedział?

- To bez znaczenia. Czy nie potrafisz zrozumieć, że minął już czas, byś troszczył się o takie pozbawione konsekwencji drobiazgi? Chcę jej pomóc, Gannonie! Chcę, żeby jakoś przez to przebrnęła, żeby jakoś znalazła szczęście. A nie uda mi się, jeżeli nie będziesz ze mną szczery.

Gannon rzucił się na fotel, miał przerażająco ponury wyraz twarzy.

- Nie rozumiesz. To sprawy rodzinne.

- *Eh bien* - odparła Christiane. - A więc zabierz ją ze sobą i radźcie sobie z problemem *en familie*. Ale nie obarczaj mnie odpowiedzialnością i nie spodziewaj się, że dokonam cudów, nie mając pojęcia, co spowodowało, że jest taka nieszczęśliwa.

Hrabia sięgnął po whiskey. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w szklaneczkę, potem z wyzywającą miną pociągnął haust alkoholu.

- Mój brat pił - powiedział.

- Większość mężczyzn pije. Spiorunował ją wzrokiem.

- W nadmiarze.

- Większość mężczyzn również i to robi, jak uczy mnie doświadczenie.

- Mogłabyś okazać chociaż trochę miłosierdzia! - warknął.

- Czas na miłosierdzie już minął. Gannon Finn wpatrywał się w podłogę.

- Kiedy pił, czasami stawał się... nieznówważony.

- Czy możesz mówić bardziej szczegółowo?
- Boże, Christiane! Co ty chcesz ode mnie usłyszeć?
- Czy molestował swoją córkę?
- Nigdy! - wybuchnął Gannon.
- Czy robił krzywdę żonie?

Gannon milczał. Christiane pokiwała powoli głową.

- A więc o to chodzi? Bił Georginę. Bił ją, a ona przez to ronila. A kiedy była brzemienna z Claire, udała się do ciebie, żebyś ją chronił.
- Nie chcę, żebyś nabrała fałszywego wyobrażenia o Hugh, żebyś go widziała w złym świetle.
- A może zechciałbyś mi łaskawie powiedzieć, jakie światło byłoby dobre, by przedstawić pozytywnie takiego człowieka? - ucięła Christiane.

- Sytuacja nie była całkiem jednoznaczna. Ona go prowokowała. Czarne oczy Christiane rozпалиły się gniewem.

- Żadna prowokacja nie usprawiedliwia takiego postępowania!

Gannon westchnął i odchylił się do tyłu na fotelu.

- Nie. Nie usprawiedliwia. Masz całkowitą rację. Ale z nich była taka dziwna para... on ze swoją irlandzką dumą, ona ze swoją angielską wyniosłością... powiadam ci, jedno wielkie bagno. Byłem w rozterce, nie wiedziałem, co zrobić. Próbowałem interweniować. I Bóg mi świadkiem, że interweniowałem. Rozmawiałem z nim. Próbowałem przekonywać ją. Ale oni utknęli... - Poszukał wzrokiem oczu Christiane. - Tkwili razem w jakiejś wyniszczającej grze, której nie rozumiałem. I nie sądzę, żeby sami ją rozumieli.

Christiane przyłapała się na tym, że mu współczuje.

- Tak więc przyjąłeś ją pod swój dach.

- Hugh zawsze tak bardzo chciał mieć potomka. Myślałem... miałem nadzieję... Może zmieni się, kiedy uzyska już to, o czym marzył. Zacznie łagodniej traktować Georginę.

- A zaczął?

Gannon potrząsnął głową.

- Dlaczego ona od niego nie odeszła?

- Nie wiem. Mówiłem jej, że powinna. Ze względu na Claire, jeżeli nie z żadnych innych względów. Ale nie chciała mnie słuchać. Czy

wiesz, co tak uczciwie myślę? Że była zbyt dumna, by przyznać się, że popełniła błąd. Gdyby go opuściła, byłoby to równoznaczne z przyznaniem, że wszystko, przed czym ostrzegali ją przyjaciele w Londynie, było prawdą, że Irlandczycy to niecywilizowane bestie. - Dostrzegł błysk jakiejś emocji, która zamigotała w oczach Christiane, i dodał posępnie: - Proszę. Sama byś ją przed tym ostrzegała. Zawsze się mnie bałaś.

- Ale nie tego się w tobie bałam! - pospieszyła wyjaśnić Christiane.

- Przyznaj się. W Paryżu uważałaś, że jestem nierozsądny. Że jestem szaleńcem.

Christiane wzdrygnęła się. Przecież takiego samego wyrażenia użyła w rozmowie z Evelyn. Ale Gannon rozmawiał z nią uczciwie. Była mu winna to samo.

- Uważałam, że jesteś... irytujący. Nie, może nie dokładnie irytujący. Ale nikt przy zdrowych zmysłach...

- No i proszę - przerwał jej. - Krótko i węzłowato. Kiedy my, Finnowie, zapałamy jakimś uczuciem, to już na zabój. - Wstał, podszedł do okna, szarpnięciem rozsunał zasłony i zapatrzył się na pociemniały dziedziniec. - A kiedy zapałamy nim tak na zabój, spodziewamy się, że... kiedy wszystkie nadzieje i marzenia zwiążesz z jedną osobą, czy można brakiem rozsądku nazywać nadzieję, iż ta osoba będzie w stanie wyczuć twoją desperację? A przynajmniej docenić jej wagę?

- Ja... byłeś taki młody, Gannonie - powiedziała Christiane załamującym się głosem. - Miałeś przed sobą wiele lat na konkury i zaloty. A ja już osiadłam na laurach. Znalazłam swoje miejsce.

- U boku żonatego Francuza, który przy pierwszej lepszej okazji żądlił na prawo i lewo?

- Jego naród był w stanie wojny! Istnieją ważniejsze sprawy...

- Nie! - odwrócił się do niej gwałtownie Gannon. - Żadna sprawa nie jest ważniejsza niż wołanie jednego serca do drugiego! I nic nie powinno od nich wołać głośniejsz. Ja to wiedziałem, chociaż ty nie wiedziałaś. To dlatego wygrałem z nim tamtego ranka w lasku. Powiadam ci, Christiane, kochałem cię bardziej.

Christiane przemogła się i odezwała spokojnym głosem:

- Właśnie takie szaleństwo było przyczyną, że odrzuciłam twoje

awanse.

- Dlaczego? - krzyknął Gannon. - Dlaczego odmawiać takiej miłości, takiemu pragnieniu?

Uśmiechnęła się leciutko.

- Daj spokój, Gannon. Przez te dwadzieścia lat zrobiłeś wielką karierę jako hultaj. Nikt inny nie potrafi tak łamać kobiecych serc jak ty.

- Nie stałoby się tak, gdybyś ty nie złamała mojego.

Te właśnie słowa wyobrażała sobie, marzyła o nich. Ale poczuła się do głębi duszy wstrząśnięta, kiedy usłyszała, jak Gannon je wypowiada, tak popędliwie, tak pewnie. Zbyt ciężka to była odpowiedzialność, by mogła czy chciała ją udźwignąć.

- Nie mówisz tego serio - wyszeptwała.

- Skarz mnie Bóg, jeżeli nie.

- Byłeś zaledwie dzieckiem. Lekkomysłnym, nieodpowiedzialnym dzieckiem!

- Byłem mężczyzną - powiedział z powagą. - Ty ze mnie zrobiłaś mężczyznę.

Christiane głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Gannonie. Zastanów się przez chwilę. Pomyśl. Bądź rozsądny. To, co nas połączyło, było tylko ulotnym romanssem.

- Może dla ciebie. Dla mnie miało większe znaczenie.

- Zaprosiłam cię tutaj, bo martwię się o Claire.

- A sądzisz, że ja się nie martwię?

- Jeżeli tak, to dlaczego musisz w rozmowie wracać wciąż do spraw, które dawno minęły? - zapytała żałośnie.

- Działania niosą za sobą konsekwencje. Ty wzięłaś mnie do łóżka.

- Być może poczujesz się tym zaszokowany, ale brałam do łóżka niejednego mężczyznę. - Popatrzyła na niego wyzywająco.

- Ta kolacja, którą tu dla mnie przygotowałaś. Suknia, którą wtedy miałaś na sobie. Czy zaprzeczysz, że próbowałaś mnie uwieść?

Christiane westchnęła.

- Uczciwie? Tak. Nie uwieść. Może... zauroczyć. Czułam się stara, Gannonie. Zramolała. Znalazłam we włosach siwiznę.

- Ty się nigdy nie zestarzejesz - wtrącił szybko. Czarne oczy zerknęły na niego z ukosa, Christiane się uśmiechnęła.



- To samo mówiłeś przed dwudziestu laty. Różnica była wtedy nawet większa. Nie zaprzeczę... kiedy spotkaliśmy się po tak długim czasie, byłam ciekawa. Przyłapałeś mnie w dołku. Wpadłam na dziki pomysł, by przekonać się, czy nadal uznasz mnie za... ponętą, za urzekającą.

- Uznaję. - Zbliżył się do niej.

- Ale czas na to już minął! - stwierdziła z energią Christiane.

- Czy musi tak być? Wciągnęła głęboko powietrze.

- A co z panną Delaney, z którą jesteś zaręczony?

- Ona wie... a przynajmniej powinna wiedzieć... że nic z tego nie będzie.

- Nie może pociągać mnie mężczyzna, który igra z uczuciami kobiet.

- Nawet jeżeli ty sama jesteś przyczyną jego zachowania?

- Nie masz prawa - zawołała - zrzucić na mnie takiego brzemienia!

Ja tylko raz się z tobą kochałam... jeden raz! Raz! A z iloma kobietami ty spałeś przez te minione lata?

- Z dziesiątkami - odpowiedział szczerze. - Może ze stoma. Ale przez całe moje życie kochałem się tylko z tobą.

Hrabina odwróciła się do okna, potem znowu do Gannona, popatrzyła mu prosto w oczy.

- Gannon. Ty nie kochasz mnie. Kochasz to, czym byłam dwadzieścia lat temu, kiedy przyjechałeś do Paryża. Kochasz tę nieosiągalną, zagadkową Angielkę, która za granicą kierowała jaskinią hazardu. Kochasz wspomnienie: kandelabry, szampan, jedwabie, satyny, pióra...

- To wszystko prawda - zgodził się. - Ale ciebie też.

- Nawet mnie nie znasz.

- Wystarczająco dobrze cię znam.

- W ogóle nic nie wiesz. - Nie była pewna, skąd bierze się wypełniająca ją moc, ale z radością to poczucie siły przyjęła, upajała się nim. - Nigdy mnie nie znałeś. Bo gdybyś mnie znał, uświadomiłbyś sobie, że nasze problemy są niczym w porównaniu z problemami, jakie ma Claire. To na Claire musimy skupić uwagę. Na Claire, której całe życie przewróciło się przez śmierć rodziców do góry nogami. Na Claire, która w tak oczywisty sposób boi się pokochać.

Uśmiechnął się do niej olśniewająco.

- Mówisz, że cię nie kocham. A przecież wyrażasz się dokładnie tak, jak wyrażałaby się kobieta, którą pokochałbym.

- Jesteś niemożliwy - powiedziała po chwili.

- Wszystkie damy tak mi mówią. A najczęściej Greer.

- Dlaczego... dlaczego zaręczyłeś się z taką kobietą, Gannon? - zapytała niepewnie.

- Ponieważ w najmniejszym stopniu nie groziło mi, bym zakończył to narzeczeństwo ślubem.

- Och, ależ z ciebie podlec.

- Jeżeli kiedyś się ożenię, to tylko z kobietą, którą kocham. - Wpił w nią spojrzenie, wydawał się sięgać nim aż do jej duszy. Christiane wzdrygnęła się przerażona. Jeszcze dwa tygodnie temu o niczym nie marzyła tak, jak o tym, by wyznał jej miłość. Ale teraz...

- Oczywiście - ciągnął spokojnie, z wyszukaną elegancją - nie będzie to możliwe, dopóki ona sama przed sobą nie przyzna się, że wszystko, co w przeszłości nazywała „miłością”, było fikcją. Dopóki nie otworzy serca na nowe możliwości.

- Jak śmiesz - powiedziała gorzko. - Nic nie wiesz o tym, co działo się w mojej przeszłości. Ani o tym, jakie uczucia żywiłam do męża, ani do Jean-Baptiste'a.

- Jak możesz być taka pewna? No, dobrze. Przyjmijmy pewne założenia. Zostałaś wyrzucona z towarzystwa. Jedziesz do Paryża. Bierze cię pod swoje skrzydła pewien mężczyzna, starszy mężczyzna, żonaty. Zgadzasz się na jego awanse, tęskniąc za poczuciem pewnej...

- Przestań - rozkazała.

- ... pewnej stabilizacji. Finansowej stabilizacji.

- W życiu nie przyjąłabym Jean-Baptiste'a dla pieniędzy! - krzyknęła Christiane. - Ja go kochałam!

- Był żonaty z inną kobietą - podkreślił nieustępliwie Gannon Finn. - To ona nosiła jego nazwisko. To ona rodziła mu dzieci. To ona...

- Nienawidzę cię! - wrzasnęła Christiane i wybuchnęła płaczem.

Gannon przyglądał się jej, a kiedy łkania ucichły, powiedział bardzo cicho:

- Ja nigdy nie prosiłbym cię, żebyś dzieliła mnie z inną kobietą.

Nigdy bym ciebie w taki sposób nie zhańbił.

Christiane pozbierała myśli. Zaczepnęła powietrza raz, potem drugi raz. Udało jej się nawet roześmiać.

- Gannon. Jesteś teraz równie szalony jak wtedy.

- Szalony na twoim punkcie.

- Nie znasz mnie - powtórzyła znowu, nieco smutno. - Nie jestem tym, czym byłam w Paryżu, a i wtedy niewiele o mnie wiedziałeś. Jedź do domu, pogódź się z Greer. Ożeń się z nią. Bądź szczęśliwy.

- Nie rozumiem, jak możesz udawać, że uczysz swoje uczennice prawdziwego życia, jeżeli sama wzbranasz się spojrzeć mu w twarz.

Hrabina przechyliła głowę na bok.

- Czy to fakt, że jesteś Irlandczykiem, powoduje twoją tępotę?

Czego trzeba, by dotarło do ciebie, co mówię? To była jedna noc, jedna głupia, nieodpowiedzialna chwila słabości z mojej strony.

- To było twoje przeznaczenie. Parsknęła śmiechem.

- Naprawdę spodziewasz się, że uwierzę, iż przez te wszystkie lata usychałeś z tęsknoty za mną?

- Dokładnie tak było.

Christiane głęboko wciągnęła powietrze.

- A więc ogromnie sam siebie oszukujesz. Przekonałam się, że w porównaniu z innymi moimi partnerami okazałeś się całkiem marny.

Zobaczyła, że na skroni Gannona zaczęła drgać żyłka. Wykrzywił pogardliwie usta.

- Kłamiesz.

Christiane kpiąco się do niego uśmiechnęła.

- Taki jesteś pewny swojej jurności? Przecież byłeś młody, a do tego prawiczek?

- Nie byłem...

- A właśnie że byłeś. - Podeszła do parapetu, wzięła znowu szklaneczkę z whiskey, pociągnęła łyk, poczuła się dużo pewniej.

Widziała, jaki był niedoświadczony. A z pewnością uda się go przekonać, ile miał braków. W końcu tego najbardziej obawiał się każdy mężczyzna.

- Ty... dałem ci szczęście - obstawał przy swoim. - Widziałem to.

- Widziałeś? - Christiane na wpół przymknęła oczy, przesunęła

językiem po wargach, by je zwilżyć, a potem cicho, miękko jęknęła: - Oooh. Aaach. O Boże, nie przestawaj! - Głos jej robił się coraz bardziej przenikliwy. - Och, och, och! Oooo. O tak. Tak, Boże, tak!

- Przestań! - rozkazał, najwyraźniej wstrząśnięty. - Co z ciebie za kobieta?

- Taka, która potrafi odróżnić mężczyznę od chłopca - powiedziała niedbale, poprawiając luźne pasemko włosów. - Może teraz będziemy mogli wrócić do sprawy Claire.

Gannon gwałtownym ruchem się podniósł. Twarz mu poczerwieniała. Dłonie zacisnął w pięści.

- A więc oni wszyscy mieli rację. Jesteś tylko ladacznicą.

- Wolę myśleć o sobie jako o kobiecie praktycznej. Takiej, która robi to, co robić trzeba, żeby przetrwać w świecie rządzonym przez mężczyzn.

- I tego właśnie uczysz swoje uczennice? Głos Christiane lekko się załamał.

- Nie. Oczywiście, że nie. Uczymy je, żeby w siebie wierzyły. Żeby były wierne... - Tu Gannon pogardliwie prychnął. Christiane przemogła się i dokończyła. - Żeby były wierne sobie.

- Wierne sobie jak ty. Wtedy. I teraz. - Widziała, że jest wściekły, ale cieszyła się z tego. Może znowu zapanuje między nimi stara, pocziwa wrogość i zdołają powrócić do tematu Claire.

- Przyszło mi na myśl - powiedziała chłodno - że podczas wspaniałej kariery hultaja nie udawał pan zapewne seksualnego zaspokojenia. Ale z pewnością udawał pan miłość. Które z nich nazwałby pan cięższym grzechem?

Carew stał i patrzył na nią. Christiane czuła, jak pod jego granitowoszarym spojrzeniem uwypukła się każda jej wada: każdy siwy włos, kurze łapki w kącikach oczu, już nie tak doskonała figura i cera. Ale odpowiedziała na jego nieustępliwe spojrzenie z równą determinacją. Będzie górą, i już.

I rzeczywiście, to on pierwszy odwrócił wzrok.

- Wydaje się, że byłem cholernym głupcem - zauważył lakonicznie i dopił whiskey. - Proszę mi wybaczyć, jeżeli wytrąciłem panią z równowagi, chociaż wątpię, czy tak się stało.

Christiane przemogła się i lekko uśmiechnęła.

- Ależ Gannonie. Niesłuchanie pochlebił pan starej flammie tego wieczoru. Wcale się nie obraziłam. Pan również niech się nie obraża. Proszę się na mnie nie złościć.

- Nie złościć się... - Gannon powoli potrząsnął głową. -A czy kiedyś budziła pani we mnie jakieś inne uczucie? - Roześmiał się cicho.

Zachęcona tym podeszła do kredensu.

- Czy napije się pan jeszcze?

- Nie. Dziękuję pani. Chyba porozmawiam teraz z Claire. Jeśli chodzi o pana Wrede, proszę postąpić tak, jak uzna pani za słuszne. Zaczyna mi się wydawać, że tam, gdzie chodzi o sprawy serca, moje kwalifikacje są dalece niewystarczające.

Zranił ją tym do głębi. Przez jedną chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu prawdy o wspólnej paryskiej nocy. Ale zwalczyła ten impuls. Życie należy do młodych. Jej czas, jak to powiedziała Evelyn, już minął.

- Doceniam pokładane przez pana we mnie zaufanie, zwłaszcza w tych okolicznościach - udało jej się wykrztusić.

- Wygląda na to, że przez cały czas wiedziała pani, co pani robi - odparł, kierując się do drzwi. - Odżałować tylko nie mogę, że wtedy, o świcie, zraniłem pani mężczyznę.

---

## Rozdział czternasty

---

Christiane wypila w samotności jeszcze jedną malutką whiskey. Potem zadzwoniła po Clarissę.

- Czy lord Carew już pojechał?

- Tak, psze pani.

- A gdzie jest panna Finn?

- U siebie w pokoju. Dopiero co tam wróciła.

- Czy zechciałabyś ją do mnie przyprowadzić?

- Słucham, psze pani. - Pokojówka dygnęła i wyszła. Kiedy Irlandka zjawiała się w saloniku, oczy jej miały dziwny, nieodgadniony wyraz.

- Claire - zaczęła Christiane. - Przepraszam za sytuację, w której... w której zastałaś mnie i twojego wuja. Nie chciałam ci sprawić przykrości.

Claire wzruszyła ramionami.

- Wuj mówił to samo. Powiedział, że zrobił z siebie głupca i że mam się tym nie przejmować.

Christiane drgnęła.

- Surowo się osądza. To niedokładnie tak było. Wiesz, że przed wielu laty znaleźliśmy się z twoim wujem. - Dziewczyna przytaknęła. - Wydaje się, że wciąż żywi do mnie pewną... sympatię. Rozmawialiśmy o tym. Czułam się jego atencją mile polechtana. Ale wyjaśniłam mu, jak bardzo jest ona nie na czasie.

- Dlaczego? Christiane westchnęła.

- Ponieważ nie jesteśmy w tej chwili tymi samym ludźmi co wtedy.

Minęło tyle lat.

- Czy myśli pani... - zaczęła Claire, potem urwała.

- Czy myślę, że co?

- Czy myśli pani, że kiedy się kogoś pokocha, to zawsze w końcu robi mu się krzywdę, zadaje mu się ból?



- Och, nie! - pospiesznie zapewniła ją Christiane. - Miłość to najbardziej cudowna rzecz na świecie!

- Mnie się tak nie wydaje. Mama i papa, pani i wuj Gannon...

- Twój świat był bardzo ograniczony, *cherie*. Brak ci danych, by to osądzać. - I w tym momencie Christiane dech zapało. - Czy dlatego nie chcesz się zgodzić, żeby pan Wre-de składał ci wizyty? Bo się boisz, że go zranisz?

- On jest taki bardzo dobry - wyszeptała dziewczyna, oczy jej rozszerzyły się z przerażenia. - Był taki bardzo dobry dla mnie.

Christiane poczuła wdzięczność za to, co Gannon powiedział jej o Hugh i o Georginie.

- Nie wolno ci myśleć... absolutnie nie wolno!... że miłość ma zawsze tragiczne zakończenie. Miłość, prawdziwa miłość, znieśie wszystko, przetrzyma wszystko... - I urwała, bo przypomniało jej się palące spojrzenie Gannona.

- Znieśie wszystko - powtórzyła Claire i Christiane zaczęła zastanawiać się, jakie koszmary z dzieciństwa sobie przypomina.

- Prawdziwa miłość - powtórzyła i ujęła drżące dłonie Claire. - Prawdziwa miłość to w dzisiejszych czasach rzadkość. Kiedy ją znajdziesz... jeżeli będziesz miała tak wielkie szczęście, że ją znajdziesz... musisz się jej trzymać, wczepić się w nią. Och, *cherie*. - Zgarnęła kruchą dziewczynę w objęcia, już od dawna pragnęła to zrobić. - Czy myślisz, że mogłabyś pokochać pana Wrede?

- Nie mogę! Jeżeli go pokocham, to na pewno zrobię mu krzywdę!

- Nie, nie - uspokajała Christiane, gładząc ją po czarnych włosach.

- Boję się, że tak.

- Pan Wrede wydaje mi się wystarczająco mocny, żeby stawić czoło komuś takiemu jak ty. Wydaje się mężczyzną, który dobrze siebie zna.

- Nie potrafię tego zrozumieć... dlaczego jemu miałoby zależeć, żeby mnie odwiedzać.

Christiane roześmiała się i leciutko pocałowała Claire w czoło.

- Bo jest mądry i wymagający. A ty jesteś śliczna i życzliwa.

- Wcale nie jestem życzliwa - powiedziała dziewczyna głosem, z którego przebijała groza.

- Ależ oczywiście, że jesteś!

Chmurne oczy Claire, tak podobne do oczu Gannona, spojrzały prosto w twarz Christiane.

- Ale nawet jeżeli nie jestem, mogłabym postarać się być.
- Jeżeli tak wolisz o tym myśleć, w porządku. Możesz dążyć do tego, żebyś stała się godna Davida.

Claire uniosła brodę do góry. Miała zacięty, zdeterminowany wyraz twarzy. Skinęła głową.

- Dobrze. Będę dążyła. Bo on jest mi... bardzo drogi.
- A więc napiszę do niego - powiedziała z satysfakcją hrabina. - Zaproszę go, by znowu przyszedł z wizytą. Powiedzmy, w sobotę?
- Gdyby pani zechciała. Byłoby to... byłoby... - Urwała i nie mogła słowa wykrztusić.

Christiane się uśmiechnęła.

- No widzisz? To musi być prawdziwa miłość, skoro taka jesteś wytrącona z równowagi! A teraz do łóżka. Napiszę do niego jeszcze dziś wieczorem, nie zwlekając.

- Dziękuję pani - powiedziała Claire. Ale nadal stała w saloniku bez ruchu, spojrzenie miała nieobecne. - Nie wiem, co ja mu powiem.

- Ośmielę się przypuszczać, że znajdziecie całe mnóstwo tematów do rozmowy - zapewniła ją hrabina.

- On lubi milczeć. Na szczęście - zauważyła Claire, przygryzając wargę.

Pan Wrede pojawił się w akademii w sobotę, punktualnie o trzeciej, czyli o godzinie, którą zaproponowała Christiane. Bess i Gwen pomogły się Claire ubrać w szarą jedwabną suknię spacerową i krótki płaszczyk, a Gwen ułożyła włosy przyjaciółki w bardzo twarzowy kok. Claire cała dygotała, schodząc po schodach do salonu, gdzie czekał jej konkurent. Ubrany był w poważną czerń, na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, spod którego nie było widać kasztanowych loków. Ale w oczach tańczyły mu radosne błyski.

- Dzień dobry, panno Finn - powitał ją oficjalnie, kiedy weszła.
- Pan Wrede - wyszeptała i rzuciła niespokojne spojrzenie na panią Treadwell, która czyniła honory domu.
- Proponowałam już panu herbatę - rzekła niefrasobliwie Evelyn - ale odmówił. No to maszerujcie oboje na dziedziniec.

- Miałem nadzieję - powiedział swoim głębokim głosem pan Wrede - że moglibyśmy zapuścić się nieco dalej. Przyniosłem ze sobą laskę.
- Gdybyście mieli wyjść poza obręb tych murów - zareagowała żywo pani Treadwell - potrzebna by wam była przyzwoitka. Obstawiamy przy zachowaniu zasad nienagannego zachowania, panie Wrede. Jestem pewna, że pan to zrozumie.
- Oczywiście, A więc na dziedziniec. - Skłonił głowę przed przełożoną i wziął Claire pod rękę. Claire robiła, co mogła, żeby się przestać trząść.
- Tędy - wyszeptała i wyprowadziła go na zewnątrz. Wrede przystanął pod łukiem, przez który wychodziło się na dziedziniec, i głęboko odetchnął.
- Cudowny dzień, czyż nie? Bóg nas pobłogosławił przepięknym słońcem.
- Tak, cudowny. - Claire popatrzyła na kwadrat trawy i bluszczu. Wydawał się okropnie mały. Serce jej się ścisnęło. Co teraz zrobią: będą chodzili tam i z powrotem? Trzeba o czymś rozmawiać; inaczej David poczuje się znudzony do łez. Ale może lepiej, żeby od samego początku orientował się, jaka jest naprawdę.
- Na balkonie u góry rozległ się tupot nóg. Jakieś uczennice z niższych klas wyszły, żeby się na nich pogapić.
- Czy to konkurent Claire? - zapytała jedna z nich bardzo wyraźnym głosem. - Czy on jest przedsiębiorcą pogrzebowym?
- Clare zrobiła się szkarłatna. Ale Wrede tylko się roześmiał, trzymając ją pod rękę.
- Czyżbym był aż tak ponury? - zapytał. Claire spuściła oczy na swoją gołąbkową suknię.
- Ja również niezbyt jestem modna.
- A gdyby nie była pani w żałobie - zapytał, spoglądając na nią - w co by się pani ubierała?
- Nie mam pojęcia - wyznała Claire. - Moda to dla mnie wielka zagadka. Inne dziewczęta paplają o kroju rękawów, o linii stanika... a ja czuję się całkiem tak, jakby mówiły po chińsku. Mama sama szyła wszystko, co nosiłam. Ale teraz nie mam serca w tym chodzić. Więc wujek Gannon załatwił z Madame, żebyśmy pojechała do krawcowej w

Hartin, do pani Tattersall. Ona chyba bardzo lubi kratki. A od czasu do czasu wuj przysyła mi coś z Londynu. Właśnie on mi to przysłał.

- Moim zdaniem to śliczna suknia - oznajmił z powagą David Wrede.
- Ale taka bura. Szary kolor jest bury.
- Ale przy nim pani oczy robią się całkiem zielone.

Że też on coś takiego zauważył. Claire również tak pomyślała, kiedy popatrzyła na siebie w lustrze.

- Tak mi mówiono, że zmieniają kolor - powiedziała półgłosem.
- I tak jest. Zaciekawilo mnie to. Moje są zawsze takie same. -

Przeszli na drugą stronę dziedzińca. David obrócił Claire i ruszyli tam, skąd przyszli.

- Ale pana włosy się zmieniają - zwróciła mu nieśmiało uwagę Claire.

- Czy tak?
- Tak. Niekiedy są brązowe, a niekiedy mają rudawy połysk. -

Podniosła na niego oczy. - A kiedy zaświeci na nie słońce, robią się bardzo rude.

- W szkole chłopcy zawsze mi z ich powodu dokuczali. Przezywali mnie kędzierzawym barankiem.

- Mnie się pana loki podobają. One są... są jak fale na morzu. Wyrósł przed nimi mur. Wrede znowu zawrócił razem z Claire.

- Jest pani bardzo poetycka - powiedział potem.
- Och, nie. To Bess jest poetką. Pisze przepiękne wiersze.
- A czy pani nauczyciele zachęcają do pisania wierszy?
- Bess zachęcają. Zachęcają nas do wszystkiego, w czym jesteśmy

dobre. Do jakiej szkoły pan chodził?

- Do szkoły Przyjaciół.
- A czy nauczyciele byli milczący? David roześmiał się.
- Wręcz przeciwnie. Mieli dużo do powiedzenia.
- Jakich się pan uczył przedmiotów?
- Gramatyki. Łaciny. Matematyki. - Skrzywił się. - Jak na mój gust

za dużo matematyki.

- Kiedy trzeba rachować, jestem całkiem do niczego - wyznała Claire. - Ale Petra... to inna z moich koleżanek... ma zupełnie niezwykle zdolności do liczb! Potrafi rozwiązywać długie równania... i to w

głowie!

- To ciekawe, nieprawdaż, w jak różny sposób umysły przyjmują różne przedmioty?

- Dla mnie to tajemnica - wyznała szczerze Claire.- A pan w czym jest najlepszy?

- Och, mam trochę zdolności do języków.

- Naprawdę? Potrafi pan mówić innym językiem? - David przytaknął. - Jakim?

- Po niemiecku. Francusku. Hiszpańsku. Troszkę po portugalsku i rosyjsku. Przydaje się to w interesach. Prowadzę korespondencję w firmie. A kiedy za granicą powstaje jakiś problem, to wysyła się mnie, bym go spróbował rozwiązać.

- Zapuszcza się pan za granicę? A gdzie pan już był?

- Na kontynencie. Na Karaibach. W Ameryce. W Azji Mniejszej. No i raz w Indiach.

- Pomyśleć tylko! - Claire była pod wielkim wrażeniem. - A ja nigdy nigdzie nie byłam. A gdzie się panu najbardziej podobało?

David zastanawiał się przez chwilę.

- W Grecji - powiedział w końcu. - Przez te zabytki. - Doszli już znowu prawie do muru i zawrócili. - Więc pani instruktorzy zachęcają, byście się zajmowały tym, w czym jesteście najlepsze. A w czym pani jest dobra, Claire?

- W niczym wielkim. W większości przedmiotów, których się uczymy, jestem beznadziejna. Moi rodzice... - Tu przełknęła. - Mój ojciec nie pochwałał kształcenia dziewcząt.

- Dlaczego nie? Czy pani wie?

- Myślę... - Zerknęła na niego znowu, mrużąc oczy w niskim już słońcu. - Myślę, że dlatego, że bał się, że mama jest mądrzejsza od niego.

David przetrwał jej słowa, kiwając głową.

- A była?

- Nie - wyszeptała Claire. - Wcale nie była mądra. - Znowu spuściła oczy, potem je zamknęła, wspominając książki, które stały w ukryciu, gazety z Londynu, które jej ojciec dał na strzępy, kiedy je znalazł, otepiające zajęcia, którymi na jego naleganie miała zajmować się matka:

dojenie, skubanie drobiu, gręplowanie, tkanie. Gdyby była mądra, uciekłyby z powrotem do Anglii. Gdyby była mądra, nigdy by za niego nie wyszła.

Doszli po raz kolejny do muru. David zawrócił. Jego dłoń, leżąca na ręce Claire, była taka łagodna, taka lekka.

- Na pewno umie pani dobrze robić mnóstwo rzeczy. Do czego zachęcają panią nauczyciele?

- Mówiłam panu... w niczym nie jestem dobra.

- W to nie uwierzę. Claire roześmiała się.

- Obawiam się, że to prawda. Doprowadzam moich nauczycieli do rozpaczki. Poza... poza monsieur Battier.

- A jakiej dziedziny jest on znawcą? - Przystanął na środku dziedzińca, patrzył na nią i uśmiechał się tym swoim szerokim, nieśpiesznym uśmiechem.

- On uczy sztuk pięknych - odpowiedziała z pewnymi oporami Claire.

David uniósł brwi.

- Chyba sobie wyobraża, że mam coś w rodzaju talentu - wyjaśniła z jeszcze większą niechęcią. - Podobają mu się moje karykatury.

David powoli pokiwał głową. Claire przyszło na myśl, że on wszystko zwykł robić powoli. W domu cały świat wydawał się zawsze pędzić przed siebie. A tutaj, w akademii, trzeba się spieszyć z lekcji na lekcję, zajęcia przeplatane są posiłkami, dzwonki dzwonią co godzina, wyznaczając mijający czas, jakby był czymś, przez co należy przebrnąć jak najprędzej, odrzucić od siebie, odhaczyć na kalendarzu.

David Wrede wydawały się takie rozważania nie dotyczyć. Doszli znowu do muru. Drażniło ją to ograniczenie przestrzeni, po której spacerowali, ale on po prostu okręcił się na pięcie, gotów po raz kolejny przemierzać dziedziniec.

- Czy nie doprowadza pana do szału - nie mogła się powstrzymać i zadała to pytanie - że tak chodzimy tam i z powrotem, tam i z powrotem?

David uśmiechnął się do niej szeroko.

- Nie. Mógłbym tak chodzić bez końca, dopóki towarzyszyłaby mi pani.



Claire zalała się rumieńcem.

- Dałbym się jednak od tego odwieść - napomknął z psotnym uśmiechem - gdyby mi pani coś narysowała.

To przynajmniej połóż kres spacerom.

- Musiałabym pójść na górę i przynieść szkicownik i ołówek.

David puścił jej łokieć. Claire dała nura pod łuk, popędziła na górę po schodach i wpadła do pokoju. Jak tylko otworzyła drzwi, rzuciły się na nią Gwen i Bess.

- Jak ci idzie? - syknęła Bess.

- Właściwie nie wiem. David musi już chyba być znudzony do łez, ale nie wygląda na to. Ale ja mam dość tego dreptania tam i z powrotem. Zaproponował, żebym mu coś narysowała. - Chwyciła szkicownik. - Och, gdzie jest mój ołówek?

- Masz - podała jej ołówek Gwen. - Co narysujesz? Claire zbladła.

- Nie mam pojęcia.

- Narysuj jego - zaproponowała Bess.

- Nie, nie. Nie umiałabym.

- Czemu nie? Przecież to umiesz najlepiej, rysować ludzi.

- A czy któraś z was chciałaby mi pozować? Gwen z namysłem potrząsnęła głową.

- Myślę, że Bess ma rację. Myślę, że musisz narysować pana Wrede.

- Czy nie przekroczyłabym tym samym zakazów pani Caldburn, dotyczących granic intymności?

- Nie rozumiem, jakim cudem miałabyś je przekroczyć - powiedziała jej Gwen. - Przecież to tylko papier i ołówek.

- Za bardzo bym się denerwowała - przyznała Claire. Bess uśmiechnęła się przebiegle.

- A więc ci się podoba.

- Ja... tak. Chyba tak.

- Wiesz - zaczęła Gwen - jeżeli kiedyś uda mi się znaleźć mężczyznę, który mi się spodoba, to będę chciała zademonstrować mu, co najlepiej umiem. Na nieszczęście w moim przypadku musiałby odnieść jakąś niemal śmiertelną ranę, żebym go mogła uleczyć.

- Biorąc to wszystko pod uwagę, Claire - dodała sucho Bess - masz lepiej niż Gwen. Idź i narysuj pana Wrede. - Claire nadal się wahała. - A

jeżeli nie potrafisz, to narysuj bluszcz. Tylko idź już i zrób coś; wygląda tam na dziedzińcu okropnie samotnie!

- Bardzo dobrze - wyszeptała słabiutko Claire, ruszyła w dół po schodach i wyszła znowu na dziedziniec.

- Jest pani - powiedział z uśmiechem David Wrede, kiedy przyłączyła się do niego. - A ja już zaczynałem myśleć, że doszła pani do wniosku, że nie wart jestem pani uwagi.

Oczy Claire otworzyły się szeroko ze zdumienia.

- Nigdy bym czegoś takiego nie mogła pomyśleć...

David pokazał głową na szkicownik.

- Co pani zamierza dla mnie narysować?

Claire patrzyła, jak stoi przed nią w poważnym, czarnym ubraniu i kapeluszu z szerokim rondem.

- Myślałam, żeby może... ten bluszcz na ścianach.

- To będzie ślicznie.

Czy tylko jej się wydawało, czy usłyszała w jego głosie rozczarowanie?

- Albo mogłabym...

- Co by pani mogła? Claire zaczerpnęła powietrza.

- Mogłabym spróbować narysować pana.

Na twarzy Davida odbiło się zaskoczenie - nie, to było coś więcej niż zaskoczenie. Szok.

- Mnie? Dlaczego miałyby pani chcieć coś takiego zrobić? Claire roześmiała się, podniesiona na duchu. Nie spodziewał się tego.

- Żeby pokazać panu, jak pana widzę.

- Nie jestem pewien, czy chciałbym taką podobiznę zobaczyć - mruknął i skrzywił się. Ale Claire już przysiadła na obramowaniu fontanny i przyłożyła ołówek do papieru.

- Proszę stać bardzo spokojnie - powiedziała.

- Jak mam stanąć?

- Tak jak pan stoi w tej chwili.

- Ale ja nie robię nic szczególnego.

- Wiem. Tak będzie najlepiej. - Nie przestając szkicować, zerknęła na niego. - Czy może wolałby pan przyjąć jakąś heroiczną pozę?

- Och, nie. To by do mnie całkiem nie pasowało. Claire uśmiechnęła

się, grafit poruszał się szybko po kartce. - I to mi się właśnie w panu podoba, wie pan. Jest pan heroiczny, a nie robi pan z tego wielkiej sprawy.

- Ani trochę nie jestem heroiczny.

Claire przerwała i odsunęła do tyłu pasemko włosów, które wymknęło się z koka.

- Dla mnie pan jest.

- Czy dlatego, że chlusnąłem ponczem na lorda Laverleigh?

Chciałbym, żeby pani wiedziała, iż gryzą mnie od tego czasu wątpliwości. Czy nie był to akt przemocy? Jeżeli był, zgrzeszyłem.

- Nie zrobił pan temu człowiekowi najmniejszej krzywdy - zwróciła mu uwagę.

- Uraziłem jego godność.

- On nie ma żadnej godności - powiedziała, zakreskując cień pod podbródkiem Davida. - A tak czy owak, ja nie o tym myślałam.

Myślałam o tej młodej kobiecie w ogrodzie, którą uchronił pan przed takim... - Głos jej przycichł.

- Nie jestem pewien, czy naprawdę ją uchroniłem - stwierdził szczerze David - jeżeli w ogóle chętna była pójść z nim w zarośla.

- Proszę nie ruszać głową.

David posłuchał i przestał mówić. Claire szkicowała dalej gorączkowo. Już niemal go miała - ten poważny surdut, wygięcie szerokich ust, wesołe oczy pod rondem kapelusza...

- Jak na kogoś tak świątobliwego - zauważyła - ma pan w sobie odrobinę diabelstwa.

- Ja?

- Tak, pan.

- To musi być jakaś pomyłka. - I w tym momencie ruszył z miejsca i zajrzał jej przez ramię. - Dobrze nieba!

- Nie najlepiej udało mi się uchwycić usta pana - przeprosiła, wymazując gumką jakąś kreseczkę. - Prawda jest taka, że nie mogłam się zdecydować, czy mają się uśmiechać, czy zostać poważne.

- Pani dłoń jest lustrem - powiedział zadziwiony. - Tylko że stanowczo za bardzo przystojnie wyglądam.

Claire podniosła na niego oczy.

- Ja tak pana widzę.
- To bardzo pochlebne. - Zawahał się. - Chciałbym, żeby pani

narysowała siebie.

Claire spuściła oczy na szkicownik.

- Nie jestem pewna, czy chciałabym to zobaczyć.
- Byłaby pani... piękniejsza niż światło gwiazd.

- Och, nie. Nie ja. - David chwycił ją mocno za rękę. Claire dygotała. Pochylił się i dotknął ustami jej warg... delikatnie, ledwie je musnął. Claire odchyliła się zaskoczona.

- Proszę mi wybaczyć - przeprosił, na jego twarzy malowała się skrucha, ale oczy psotnie połyskiwały. - Nie mogłem się powstrzymać. To się już nie powtórzy.

- Już nie? - zapytała Clarie i przeraziła się rozczarowaniem, które słychać było w jej głosie.

- Nie... chyba żeby pani sobie tego życzyła.

I w tym momencie spod arkady szybkim krokiem wyszła pani Treadwell. Claire miała nadzieję, że przełożona nie widziała pocałunku. Pragnęła jeszcze przez krótką chwilę hołubić go w sercu.

- Już niemal pora na kolację, Claire - powiedziała energicznie pani Treadwell.

David Wrede zrozumiał aluzję.

- Muszę już iść, obawiam się.
- Tak szybko? - zapytała żałośnie Claire. Pani Treadwell roześmiała się.

- Minęły niemal dwie godziny!

Niemożliwe, pomyślała Claire, a potem spojrzała w oczy panu Wrede. Malował się w nich żal - i wcale nie były zawsze tego samego koloru. Akurat w tej chwili późne słońce budziło w nich błyski czystego złota - na ten widok aż kolana się pod nią ugięły.

- Przyjdę w przyszłą sobotę, dobrze? Albo może...
- Tak? - zapytała zachęcająco pani Treadwell.
- Czy sądzi pani, że Claire mogłaby pójść ze mną na zebranie?
- Co, na kwakerskie zebranie? - Mało brakowało, a przełożona

parsknęłyby śmiechem, ale się opamiętała. - Tu w okolicy nie ma niczego takiego, jestem pewna.

- W Swanley, gdzie chodziłem do szkoły, planowane jest takie zebranie. Często w szabat tam jeżdżę.

- Z pewnością musiałyby towarzyszyć jej przyzwoitka - zauważyła pani Treadwell, ale zaraz złagodniała. - Może Madame będzie wolna, by wziąć w tym udział.

- Nie wiedziałabym, co mam robić - zająknęła się Claire. - Kiedy uklęknąć... kiedy wstać...

- Niczego takiego na spotkaniach nie ma. - Uśmiechnął się do niej pocieszająco.

- Porozmawiam o tym z hrabiną - obiecała mu pani Treadwell. - Tak czy owak powiadomimy pana. Pożegnaj się teraz, Claire.

- Do widzenia, panie Wrede.

- Do widzenia, panno Finn. - Ale nie poruszył się. - A więc nie dostanę pani szkicu?

- Ja... ja chciałam pokazać go panu Battier - powiedziała cichutko Claire, zastanawiając się, czy David wie, że skłamała.

Popatrzył wprost na nią i już wiedziała, że tak - ale uświadomiła sobie również, że jest zadowolony.

- No, jeżeli chce go pani zatrzymać... - Nie pochylił się w ukłonie, tylko bardzo lekko skłonił głowę, a potem włożył z powrotem kapelusz.

- Pożegnaj teraz panie. Mam nadzieję, że wybierze się pani ze mną na to zebranie. Odbędzie się w niedzielę o ósmej. Dziękuję, że pozwoliła się pani odwiedzić.

- Dziękuję, że pan przyszedł - powiedziała Claire.

---

## Rozdział piętnasty

---

- Nigdy jeszcze nie byłam na zebraniu kwaków - oświadczyła hrabina, kiedy w następną niedzielę Stains wiozł je w stronę Swanley. Kwietniowy poranek był tak chłodny, że na oknach opactwa mróz wymalował lodowe gałązki. - W ogóle niewiele wiem o kwakach. Ale trochę sobie o nich poczytałam. Leon... doktor Caplan... jest naprawdę pełen podziwu dla Wyznawców Światła. Pożyczył mi kilka traktujących o nich książek, łącznie z pismami Williama Penna. Ten Penn nawet mnie zaniepokoił. Jak się wydaje, jego wielki, rozpoczęty w Ameryce eksperyment, odnosi niesłychane sukcesy.

- Co to za eksperyment? - zapytała Claire z roztargnieniem, bo właśnie rozpamiętywała dotyk ust pana Wrede, muskających jej wargi. Podciągnęła ciepły, przygotowany w powozie koc aż na ramiona. Naprawdę zrobiło się bardzo zimno.

- Przecież to właśnie tam założono kolonię, Pensylwanię, w której pozwala się człowiekowi wielbić Boga na każdy, upragniony przez niego sposób.

- Nie może być chyba tych sposobów aż tak wiele - zauważyła, marszcząc brwi, Claire.

Hrabina popatrzyła na nią.

- Zdziwiłabyś się.

- Większość służących u nas w domu to byli papiści. Mama ich miała w pogardzie - powiedziała Claire z namysłem. - Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego. Wydawali się dużo bardziej świątobliwi niż my. Ciągłe się żegnali i chodzili na msze, i mamrotali pacierze.

- Osiągnięty przez Anglię rekord tolerancji religijnej wciąż jeszcze pozostawia wiele do życzenia - westchnęła hrabina. - Trudno zrozumieć, jakim sposobem Boże przesłanie o pokoju i miłości mogło tak często



doprowadzać do rozlewu krwi. A właśnie tę cechę doktor Caplan ceni sobie najwyżej u kwaków: nacisk, jaki kładą na fakt, iż „nie zabijaj” znaczy dokładnie to, co znaczy. Oczywiście lud doktora, to znaczy Żydzi, straszliwie ucierpiał od prześladowań.

David Wrede taki był zadowolony ze szkicu, jaki mu zrobiłam, przypomniała sobie Claire i poczuła, że policzki jej się rumienia.

- Podobnie jak kwakrzy - napomknęła Christiane.

Dotyk dłoni Davida na policzku... szmer jego oddechu...

Dojechali na przedmieścia Swanley.

- No i gdzie to może być? - zawołał z kozła Stains.

- Zgodnie ze wskazówkami, jakie przesłał mi pan Wrede, powinniśmy zobaczyć szkołę w każdej... a! Tam jest!

Panna Finn popatrzyła w okno.

- Gdzie?

- Ten budynek tuż przed nami.

Claire wyciągnęła szyję i zobaczyła skromny prostopadłościan z czerwonych cegieł, z długimi, na biało wykończonymi oknami i dwuspadowym dachem, krytym łupkową dachówką.

- A gdzie jest kościół? - zastanawiała się, a potem zapomniała o wszystkim, bo zobaczyła pana Wrede, który, jak zwykle w czarnym surducie i kapeluszu, stał przy białym płocie ze sztachet, okalającym ceglane pudło.

- Tam jest - szepnęła. - Och, Madame. Jak ja wyglądam?

- Jak na mój gust trochę buro - powiedziała sucho hrabina, przyglądając się surowemu, szaremu płaszczowi z czesankowej wełny i skromnemu, słomkowemu kapelusikowi w rustykalnym stylu, z którego Claire starannie usunęła wszystkie wstążki. Ona sama ubrała się na czarno: w najskromniejszą suknię, jaką miała, z węzełkowego jedwabiu, z bardzo, jej zdaniem, odpowiednią, prostą, czarną jedwabną pelerynką, obszytą aksamitem. - Ale sądząc po współuczestnikach zebrania pana Wrede, możemy okazać się nadmiernie wystrojone. - Kobiety, które wysiadały przy szkole z powozów, a nawet zwykłych wozów, wszystkie miały na sobie stroje czarne, szare lub ciemnobrązowe, bez żadnych ozdób, a do tego białe wiejskie czepki.

- Naprawdę tak pani uważa? - zapytała niespokojnie Claire. - Nie

chciałabym, żeby się poczuł zażenowany... za nic w świecie!

- Nie myślę, żebyś się tego musiała obawiać - zapewniła ją Christiane, która zdążyła już zobaczyć, jak rozpromienia się szeroka, przystojna twarz pana Wrede na widok Claire w oknie powozu. Ruszył ku nim drogą, jego długie nogi szybko pokonały dzielącą ich odległość. Otworzył drzwiczki.

- Przyjechała pani - powiedział i uśmiechnął się, zaglądając Claire w oczy. Widząc, jak David patrzy na Claire, Christiane poczuła ukłucie czegoś... niewykluczone, że zazdrości. Czy istnieje na tym świecie uczucie równie słodkie jak pierwsza miłość? Ale to oczywiste, że ona takie sprawy zostawiła daleko za sobą.

Claire wyciągnęła do Davida ręce i zadygotała, kiedy zsadzał ją na ziemię. Stali obok siebie przez chwilę ze złączonymi dłońmi i patrzyli sobie w oczy. Christiane z pewną irytacją odchrząknęła, a pan Wrede opamiętał się i jej również pomógł wysiąść.

- Dziękuję, że ją pani przywiozła - powiedział żarliwie.

- Sama jestem ciekawa, bo jeszcze nigdy nie byłam na kwakerskim zebraniu.

Wrede podał ramię każdej z dam i ruszyli w kierunku ceglanego budynku.

- Hej, pani - zawołał za nimi Stains - a co ja mam robić?

- Proszę z nami pójść - zaprosił go przez ramię Wrede.

- Co to, to nie - prychnął stary stajenny.

- Tam jest anglikański kościół. - Pan Wrede pokazał na wieżę. - A dalej, przy ulicy High, znajdzie pan gospodę Pod Pięcioma Piórami. W niej pana nakarmią.

- To już lepiej - oświadczył Stains, nieco udobruchany. - O jakiej porze mam wrócić?

- To raczej trudno powiedzieć - powiedział mu pan Wrede. - Sami pana odszukamy, dobrze?

- Jak tam sobie chcecie. - Stains cmoknął na zaprzęg, strzelił lejcam i pospiesznie odjechał.

Pan Wrede patrzył w ślad za nim, a potem przeniósł wzrok na panie.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że jesteśmy wcielonymi diabłami - rzekł, a kąćki ust uniosły mu się w charakterystycznym, niespiesznym

uśmiechu. - Proszę tędy.

Przeprowadził je przez furtkę na dziedziniec. Znali go tam chyba wszyscy. Claire w ciągu dziesięciu minut została przedstawiona większej ilości ludzi, niż... o ile jej pamięć nie zawiodła... poznała przez całe swoje dotychczasowe życie. Wszyscy, co do ostatniego, wyrażali się w taki sam sposób jak Wrede, stylem trochę biblijnym. Byli tam starsi ludzie, młode panny i liczni chłopcy, uczniowie szkoły, jak się domyślała Claire; wykrzykiwali coś głośno do swego gospodarza i żartowali z nim. Claire ze wszystkich sił starała się uśmiechać i reagować na ich pozdrowienia, ale czuła się okropnie onieśmielona.

A potem, zupełnie jak na dany znak, chociaż nie usłyszała dzwonka, weszli jeden za drugim w białe drzwi na końcu czerwonego, ceglanego budynku. Claire znalazła się w kwadratowej sali. W koło, pod ścianami, stały rzędy drewnianych ław. Nie zobaczyła żadnego ołtarza ani organów. Nie było stall nakrytych poduszkami z czerwonego welwetu ani witraży w oknach. Słońce wlewało się do środka przez gładkie szkło, w jego promieniach błyskały blado drobinki kurzu. Claire, Madame i pan Wrede zajęli miejsca na ławce w pobliżu środka kwadratu.

Usiedli. Nic się nie działo, absolutnie nic. Nie wszedł żaden ksiądz. Nie było pieśni. Wszyscy zebrani, razem może około pięćdziesięciu osób, po prostu siedzieli w milczeniu. Sytuacja była taka dziwaczna, że Claire zerknęła za pana Wrede, na Madame, która uniosła brwi i jakby leciuteńko wzruszyła ramionami. Milczenie trwało. Claire zaczynała się niecierpliwic, przyłapała się na tym, że przytupuje, a potem uświadomiła sobie, że to słycać. Szybko opanowała ruch nogi. Siedzący u jej boku pan Wrede uśmiechnął się do niej z zadowoleniem. Już miała go szeptem zapytać, na co czekają, kiedy jakiś stary człowiek, siedzący po drugiej stronie sali, wstał.

- Składałem Bogu dzięki za ten cudowny wiosenny czas - oznajmił. - A przekonany jestem, że piękniejszego nigdy nie widział.

Wśród zebranych podniósł się pomruk aprobaty. Mężczyzna usiadł. Znowu milczenie.

Potem podniósł się jakiś blondyn, tuż na lewo od Claire.

- Pani Clafton leży chora na febrę. Wspomnijmy ją w modlitwie do Boga.

Znowu potakiwanie i pomruki. Blondyn usiadł.

Wstał mężczyzna w pierwszym rzędzie naprzeciw Claire.

- Naszych braci w Czechach czeka straszliwe prześladowanie. Oby Bóg przyszedł im z pomocą i dał im siłę.

- Amen - powiedział David Wrede, kiwając głową.

- Amen - wyszeptała Claire, biorąc z niego przykład. Nastąpił bardzo długi okres kompletnego milczenia.

Claire walczyła z pokusą, by potupać w podłogę. U jej boku pan Wrede siedział zdumiewająco spokojnie. Na ławkach bez oparcí wcale nie było wygodnie. Popatrzyła na okna po drugiej stronie sali, przyglądała się powolnemu tańcowi drobinek kurzu. Już jej się zdawało, że za nic nie zdoła dłużej utrzymać w bezruchu swoich stóp, kiedy podniósł się następny starszy pan, siwowłosa, i westchnął.

- Nie przestaje mnie trapić fakt, iż naród nasz importuje towary, produkowane przez niewolników - oznajmił. - To wszeteczne w obliczu Boga. Grozą napawa, kiedy któreś z jego stworzeń rości sobie prawa do innego. Modliliśmy się i interweniowaliśmy. Co więcej możemy zrobić, by skończyć z tą niegodziwością?

Ku zdumieniu Claire podniósł się pan Wrede.

- Niechaj ci, którzy interesy prowadzą, zawiadomią swoich dostawców jak najdobitniej, iż nie będziemy zajmowali się towarem skalanym hańbą niewolnictwa - oświadczył, potem usiadł, a w sali zabręczało od potakujących głosów.

- Niechaj nikt nie wyraża zgody na kupno kawy, bawełny i cukru - dodał inny mężczyzna - jako że handel nimi zasada się na ludzkim nieszczęściu.

- Niech zostanie wystosowana petycja do Jego Królewskiej Mości - podsunął jeszcze inny. - Aby zajrzał we własne sumienie, modlił się o oświecenie i również odrzucił takie towary.

Na to podniósł się dosłyszalny szum komentarzy.

- Lepiej nie - odezwała się cierpko jakaś młoda kobieta po drugiej stronie przejścia. - Mało prawdopodobne, by się do tej petycji zastosował, a wystawiłaby ona tylko Przyjaciół na niebezpieczeństwo.

Claire była zdumiona. Nigdy dotąd nie słyszała, żeby niewiasta publicznie wypowiadała się w kościele. Zerknęła na pana Wrede,

spodziewając się, że na jego twarzy zobaczy podobne zdumienie  
zuchwałością młodej kobiety. Ale on tylko potrząsał głową.

- Skrupuły panny Stapleton z pewnością mają swoją wagę -  
oświadczył, znowu wstając. - Ale czyż Pan nie żąda on nas, byśmy  
zrobili wszystko, co w naszej mocy?

Panna Stapleton jeszcze stała.

- Szuka pan następnych męczenników, panie Wrede?

- Szukam drogi Bożej.

Teraz odezwała się inna kobieta, tym razem stara.

- Pan stąpa po innych niż my ścieżkach. A przecież nawet wróbel nie  
spadnie, żeby On o tym nie wiedział. Jego ręka wszystko prowadzi.

- Jak mamy gotować bez cukru? - zapytała panna Stapleton.

Ze swojego miejsca zerwał się jakiś chłopak.

- Moglibyśmy hodować pszczoły.

Teraz Claire poczuła się już kompletnie dezorientowana. Co to za  
kościół, że omawia się w nim takie sprawy, a na dodatek chyba każdy  
uważa, iż ma prawo wyrazić swoje zdanie?

- Doskonała sugestia - oświadczył pan Wrede, uśmiechając się do  
chłopaka.

- A co z herbatą? - zapytała ubrana na czarno matrona. - Co z  
biednymi pogańskimi Chińczykami, pozbawionymi przewodnika, który  
wskazałby im drogę do Światła?

- To też problem - zgodził się poważnie jakiś starzec. Po czym  
znowu zapadło milczenie.

W końcu przerwała je jakaś dziewczyna, nie starsza od Claire, która  
wstała ze swego miejsca i najwyraźniej wcale nie onieśmielona  
powiedziała:

- Rezygnacja z kawy i herbaty, i cukru wydaje się wielkim  
poświęceniem. Ale może tego właśnie wymaga od nas Bóg. Jeśli my nie  
zajmiemy stanowiska, któż to uczyni?

- Nie powinno być ogólnej prohibicji - odezwał się z z troskaniem  
jakiś mężczyzna. - To sprawa osobistego sumienia.

- Obawiasz się, że za bardzo będzie ci brakowała porannej herbatki,  
Josiah? - mruknął półgłosem ktoś za plecami Claire. Na sali podniósł się  
wesoły śmiech. Christiane zaczęła zastanawiać się, kiedy ostatnim razem



słyszała coś takiego w kościele.

- Gdybym sądził, że wyrzekając się ich, mógłbym komuś ulżyć w cierpieniu - powiedział Josiah stanowczo - zrezygnowałbym z gotowością. Ale nie ma nas tylu, by doprowadzić do prawdziwej zmiany.

- To byłby jakiś początek - zauważyła panna Stapleton, a pan Wrede pokiwał potakująco głową.

- Nawet najmniejszy kamyk, wrzucony do oceanu, wywoła zmarszczkę na jego powierzchni - zauważył. - Ale, jak mówi Josiah, jest to sprawa sumienia. Niech każdy z nas zajrzy w swoje i postępuje według jego wskazań. W końcu nie mamy prawa niczego sobie nawzajem narzucać.

Claire znowu zerknęła na Madame. Hrabina siedziała na skraju ławki, plecy miała proste, jakby kij połknęła, śledziła to, co mówili przemawiający tak, jak niektórzy śledzą tenisa na trawie, z najwyższym skupieniem.

- Jak już o sumieniu mówimy - wtrącił starszy pan po drugiej stronie sali. - Mam strapienie. Wielu mężnych żołnierzy, którzy walczyli w wojnach Jego Królewskiej Mości, wróciło do ojczyzny i przekonało się, że obiecany im żołd nie istnieje. Z rozczarowania zajęli się zbójowaniem. Rabują i krzywdzą. Przerwał, by zaczerpnąć oddechu.

- Tak sobie pościelili - powiedziała ostro niezłomna panna Stapleton - kiedy zaciągnęli się, by mordować stworzenia boże.

Stary człowiek wpatrywał się w nią bacznie.

- Ufam, iż wszyscy jesteśmy zgodni, panno Stapleton, że nie ma usprawiedliwienia ten, co zabiera życie bliźniemu, nawet podczas wojny. A przecież Jego Królewska Mość na licznych z tych żołnierzy, skazanych za zbrodnie, wydał wyrok śmierci. Codziennie w Tower kogoś wieszają. Czyż nie jest naszym obowiązkiem zaprotestować przeciw złu?

- Co ma pan na myśli, Siksie? - zapytał na to David Wrede.

- Sam nie wiem - przyznał mówca. - Ale sumienie nakazuje mi coś zrobić, bym per procura nie był winien przelania ich krwi.

- Może petycja do Jego Królewskiej Mości? - zaproponował ktoś inny.

- Moglibyśmy puścić ją w obieg po innych zebraniach - podsunęła



jakaś kobieta o szerokiej twarzy, siedząca naprzeciw Claire.

- Nie posłucha. Nie obejdzie go to - syknęła zjadliwie panna Stapleton. - To naczynie nieczystości...

- Proszę, panno Stapleton! - odezwał się Wrede, rzucając niespokojne spojrzenie na Claire.

Claire siedziała, załamując ręce, które nagle zrobiły się wilgotne. Kiedy wchodziła na salę, uznała, że jest tam bardzo chłodno, ale teraz wydawało się nieznośnie gorąco. Widziała, jak drobinki kurzu płyną w dół w kaskadach słonecznego blasku. Słyszała, jak do rozmowy przyłączają się ze swym zdaniem następne głosy, jak się spierają, ale dochodziły z bardzo daleka. Zachwiała się lekko na ławce. Jej stopa drgała i tupiała w podłogę w szalonym, dzikim rytmie. Zęby dzwoniły. Sama nie wiedziała, czy zgrzała się, czy zmarzła. Morze otaczających ją twarzy to przyplýwało, to odpływało, oblicza wykrzywiały się, zniekształcały, zmieniały. Panna Stapleton znowu wstała, żeby coś powiedzieć. Claire miała wrażenie, że usta tej młodej kobiety otwierają się i zamykają, otwierają i zamykają bezdźwięcznie, jak pysk ryby. Czuła tysiące różnych zapachów: pastę do butów, mydło, pot, pomadę. Zachwiała się znowu, zobaczyła, jak płynie ku niej twarz pana Wrede, jego złotobrazowe oczy zrobiły się olbrzymie, usta przypominały ziejącą otchłań. Wydało jej się, że woła ją po imieniu.

Wstała. Po omacku wyciągnęła ręce, by chwycić się hrabiny.

- Ja... - zaczęła mówić, ale jakoś słowo to zmieniło się w krzyk. A kiedy już zaczęła krzyczeć, nie potrafiła tego krzyku powstrzymać.

Morze twarzy wpatrywało się w nią, oskarżycielsko, potępiająco.

Claire zacisnęła mocno powieki, by tego nie widzieć. A potem wszystko gdzieś odpłynęło.

---

## Rozdział szesnasty

---

- Ogromnie mi przykro - powiedziała szeptem Christiane do Gannona, kiedy stanęli przy łóżku w zaciemnionym pokoju. - Nie wyobrażałam sobie... zresztą kto by pomyślał? Robiła wrażenie zadowolonej, wesołej. Bardzo się ucieszyła, że może go zobaczyć, on również.

- Tak bez uprzedzenia... najmniejszego - powtarzał ubrany na czarno młodzieniec, który siedział, mocno trzymając Claire za rękę.

- A co mówi doktor Caplan? - zapytał Gannon.

- Że to jakaś odmiana hysterii... opóźniona reakcja na śmierć rodziców - przekazała mu hrabina.

- Nie cielesna dolegliwość?

- Doktor nie sądzi. Nie ma żadnych oznak choroby.

Gannon zapatrzył się posepnie na nieruchomą postać bratanicy.

- Jakie są rokowania, jego zdaniem?

- Nie wie - wyszeptała Christiane. - Tak mi przykro, Gannonie. Czuję, że to ja ponoszę odpowiedzialność za jej chorobę.

- Nie pani. Ja - powiedział zdecydowanie pan Wrede. - To ja zasugerowałem, żeby przyjechała na spotkanie. Mógł w ten sposób zadziałać na nią chłód... przeziębienie...

Gannon poczuł, że robi mu się zimno na sercu.

- A co dokładnie się wydarzyło?

Wrede wzruszył ramionami, na jego twarzy malował się paniczny strach i dezorientacja.

- Ona... po prostu wstała. Pochyliła się ku hrabinie. A potem upadła.

- Czy paliły się tam może kadzidła? Albo silnie pachniały kwiaty? .

- Niczego takiego nie ma na naszych zebraniach.

- A co jest? - zapytał niecierpliwie Gannon.

- Oni tylko rozmawiają - hrabina starała się uspokoić lorda Carew. - To była dyskusja. Mówili o pogodzie i o tym, kto spośród nich zachorował, i o problemach społecznych.

Mdlące uczucie we wnętrzu Garinona nasiliło się.

- Jakich społecznych problemach? - udało mu się wykrztusić.

- O niewolnictwie - wyjaśnił Wrede. - I o tym, czy powinniśmy przestać kupować kawę i cukier, żeby przeciw niemu zaprotestować. I... i... - popatrzył bezradnie na hrabinę. - Nie potrafię sobie nawet przypomnieć.

- O karze śmierci. I o żołnierzach, którzy zeszli na drogę przestępstwa - przypomniała mu.

- Rzeczywiście. O weteranach wojennych, których Jego Królewska Mość skazał na śmierć za zbrodnie, a oni powiadają, że popełnili je, bo nie wypłacono im żołdu.

Christiane cicho krzyknęła.

- To mogło być to... och, to musiało być to! Pewnie przypomniały jej się potwory, które napadły na jej rodziców!

- Do głowy mi nie przyszło... - jęknął żałościwie pan Wrede, mocno ściskając drobną rączkę Claire. - Nie pomyślałem nawet...

Gannonowi udało się jakoś na chwilę oderwać się od własnych obaw i zlitować nad młodym człowiekiem.

- Oczywiście, że pan nie pomyślał, Wrede. Nikt nie ma panu za złe. Czy Claire w ogóle odzyskała zmysły?

- Tak naprawdę to nie - Christiane z niepokojem przygryzła wargę. - Chociaż od czasu do czasu wypowiada... jakieś zupełnie szalone słowa.

O Chryste.

- Jakie słowa? - zapytał przejęty zgrozą Gannon. Christiane podniosła oczy na Wredego, który, zająkując się, powiedział:

- Konie. Coś o białych koniach. Że już nigdy nie będą takie same.

Gannon przymknął oczy, by pozbyć się obrazu krwi, która spryskała białe boki zaprzężonych do powozu brata zwierząt.

- Gannon? - odezwała się niespokojnie Christiane, dotykając jego łokcia. - Czy nic panu nie jest? - I ten przelotny kontakt z drugim człowiekiem, ta jej łagodność niemal doprowadziły go do łez. *Czy nic mi nie jest? Jest, bo umieram. Żywcem mnie to pożera...*

Otworzył oczy, popatrzył na hrabinę, próbował się uśmiechnąć. Kiedy przyprowadził do tej akademii Claire i zobaczył Christiane, wydało mu się, że świat się kończy. A teraz nie potrafił sobie wyobrazić, żeby jego bratanicą opiekował się ktokolwiek inny.

- Przyczyną musiała być ta rozmowa o zbójcach - starał się ich pocieszyć. - Zapominamy niekiedy... wszyscy powiadają, że młodzi ludzie szybko dochodzą do siebie. Ale Claire doświadczyła tamtego dnia tak wielkiej grozy... czy komukolwiek z nas wolno twierdzić, że rozumie, jakie blizny pozostawiła ona na jej umyśle, albo które słowa mogą na nowo pootwierać rany? Będziemy musieli poruszać się ostrożnie, robić co w naszej mocy, by ją chronić.

- Ja będę ją chronił - zapowiedział niezachwianie pan Wrede.

- Ma szczęście, że trafiła na pana. Drzwi za ich plecami otworzyły się.

- Już wróciłem - powiedział cicho, ale pogodnie Leon Caplan, wchodząc ze swoją nieodstępną czarną torbą. - Jak tam pacjentka?

- Uspokoila się - poinformowała go Christiane.

- To pewnie pod działaniem laudanum. - Lekarz podszedł do łóżka, wziął wolną rękę Claire, poszukał pulsu, położył dłoń na czole dziewczyny, delikatnie czubkami palców uniósł najpierw jedną powiekę, potem drugą. Claire nawet nie drgnęła. - Oddech ma regularny - oznajmił - i nie jest już rozpalona. Jedno i drugie jest dobrym objawem. Źrenice są rozszerzone, ale tego należało się spodziewać. Jeżeli zrobi się niespokojna, możecie jej państwo podać jeszcze kilka kropel tej tynktury. Nie częściej jednak niż co cztery do pięciu godzin. Nie chcemy, żeby nabrała nawyku.

- To znaczy że co? - zapytał Gannon, Christiane wkroczyła do rozmowy.

- Bardzo przepraszam. Nie dokonałam prezentacji. Panie doktorze, to jest wuj panny Finn, lord Carew.

- Jak się pan miewa - powiedział Gannon, podając lekarzowi rękę. - Dziękuję panu bardzo, że zajął się pan moją bratanicą.

- Żałuję, że nie mogę bardziej jej pomóc. Nawyku, lordzie Carew, nabiera się w wyniku wielokrotnego podawania narkotyku. Ciało pragnie go w coraz większych ilościach, żeby osiągnąć pożądany rezultat. Za

pewien czas...

- A jak długo, pana zdaniem, będzie on jej potrzebny?  
- Nie da się tego przewidzieć. Reakcja na nieznanym nam bodziec, który wywołał u pacjentki tę niepoczytalność...

- Nie - krzyknął Gannon i opanował się, widząc, że Claire podrażniona poruszyła się na łóżku. - Niech pan nie używa takiego słowa. Ona nie jest niepoczytalna.

- Bardzo pana przepraszam - rzekł po chwili milczenia doktor Caplan. - To określenie medyczne. Nie zamierzałem okazać braku szacunku. Rzecz w tym, że jej reakcja była niesłychanie silna, sądząc po opowieści pani hrabiny i pana Wrede. Jeszcze kiedy przywieźli ją do domu, była nieprzytomna, oddychała płytko, a puls miał wysoką częstotliwość.

- Zabraliśmy ją do gospody tam na miejscu, w Swanley - wyjaśniła Gannonowi Christiane - ale kiedy mijała godzina za godziną, a jej stan nie poprawiał się... do tego tamtejszy lekarz to kompletny idiota... pomyślałam, że najlepiej będzie wrócić tutaj, pod opiekę doktora Caplana.

- Nie mam zamiaru kłócić się z pani oceną, Christiane, przynajmniej nie tym razem - odpowiedział Gannon z bladym uśmiechem.

I w tym momencie Claire usiadła na łóżku z taką gwałtownością, że wszyscy obecni lekko się wzdrygnęli. Mieli zupełnie takie wrażenie, jakby nieboszczka powstała z martwych. Dziewczyna otworzyła oczy, ale ich nie widziała. Usta jej otworzyły się również, wpatrywała się gdzieś przed siebie.

- Konie - wyszeptała. - Takie śliczne, śliczne konie. Och, te biedne konie!

Pan Wrede pochylił się, gładząc ją po dłoni. Ale Claire strząsnęła jego rękę i chwyciła w garście pościel z taką siłą, aż kostki jej pobieleły.

- Konie! - krzyknęła, spojrzenie wbijała uporczywie nie wiadomo w co. - One już nigdy nie będą takie same! - Po jej policzkach potoczyły się łzy, zaczęły kapać na kołdrę. Gannonowi zdawało się, że serce mu zaraz pęknie.

- Niech jej pan da więcej laudanum - zwrócił się do lekarza.

- Nie mogę. Za mało czasu minęło od ostatniej dawki.

- O Boże, konie! - zawodziła Claire. Wrede próbował ją jakoś pocieszyć, tuląc do siebie. Claire opadła na jego pierś, łkając: - Konie. Te śliczne białe konie. Konie. Konie!

- Zróbże pan coś, do cholery! - błagał Gannon. Wrede mocno tulił Claire, ale ona zaczęła szarpać się w jego objęciach, usiłując się uwolnić. Christiane również podeszła do łóżka, próbując jakoś uspokoić dziewczynę.

- Wszystko w porządku, Claire. To był tylko sen - mówiła półgłosem.

- Nieprawda! To nie był wcale sen! Gannon patrzył spode łba na lekarza.

- Jak może pan stać i patrzeć, kiedy ona cierpi? I pan siebie nazywa lekarzem?

- Ja zajmuję się ciałem - powiedział bezradnie Caplan. - Nie mam żadnego wpływu na umysł.

- Konie. - Claire teraz szeptała, pojękując. - Co się stanie z końmi? I tu niespodziewanie odezwał się pan Wrede.

- Claire. Konie są u nas. Wszystko z nimi w porządku. Odwróciła się do niego,

- Naprawdę? - zapytała bez tchu.

- Naprawdę.

- I nic nie widać?

Młody człowiek popatrzył na lekarza, który wzruszył lekko ramionami i skinął głową.

- Nic - podjął z przekonaniem Wrede. - W ogóle nic nie widać.

Na moment Claire wydawała się odzyskiwać zmysły.

- Pojęcia nie mam, jak się tego panu udało dokonać - wymamrotała zadziwiona i pozwoliła położyć się znowu na poduszce. - Różne rzeczy mogłabym sobie wyobrazić, ale żeby pan...

- Och, ja mam bardzo dobrą rękę do koni - zapewnił Wrede.

- Musi pan mieć. - Pozwoliła, żeby otulił ją znowu kołdrą.

- Niech pani teraz śpi, Claire - powiedział jej. - Musi pani wypocząć. Ja zajmę się końmi.

- Dobrze... dopóki są pod pana opieką... - Są.

- Taka jestem zmęczona - wyszeptała Claire.



- Śpij więc, kochanie moje. - Wrede zerknął spod oka na Gannona, jakby spodziewał się, że ten go skarci. Ale lord Carew wpatrywał się w młodego człowieka z czymś w rodzaju nabożnej czci. Claire westchnęła, uśmiechnęła się i znowu zasnęła.

Drzwi ponownie się otworzyły.

- Pora na moją zmianę - oznajmiła wesoło pani Treadwell. - Christiane, naprawdę musisz trochę odpocząć. Pan również, panie Wrede.

- Chciałbym tu zostać - zaprotestował i znowu popatrzył na Gannona. - To jest, jeżeli pozwoli na to lord Carew.

- Jeżeli pozwolę? Do diabła, pewnie, że pozwolę - zareagował dosyć wybuchowo Gannon. A w duchu dodał: Gdybym tylko mógł, w jednej chwili sprowadziłbym tu duchownego, który daje śluby kwakrom. Niechby wyszła za ciebie nawet przez sen.

- Jeszcze ze dwie godziny muszą minąć, zanim będzie można podać jej następną porcję laudanum - wtrącił doktor Caplan. - Wpadnę tutaj z samego rana.

- Dziękuję panu - szepnęła Christiane. - Czy mogę zaproponować kolację? Albo herbatę? Kawę? Może coś mocniejszego?

Ale Caplan potrząsnął głową.

- Pani Treadwell nakarmiła mnie już wcześniej. A w wiosce obydwa bliźniaki pani Lalley mają krup. Muszę do nich zajrzeć.

Gannon opamiętał się i sięgnął po portfel.

- Powiniennem pana jakoś wynagrodzić za ten kłopot, panie doktorze. - Zaczął odliczać banknoty, ale Christiane go powstrzymała.

- To zostało już załatwione - powiedziała cicho. - Proszę ze mną, Gannonie. To panu potrzebna jest kolacja... i whiskey, jeżeli się nie mylę.

- Nie chciałbym jej zostawiać.

- Ależ ona jest w doskonałych rękach - uśmiechnęła się do pana Wrede pani Treadwell.

---

## Rozdział siedemnasty

---

Jadł to, co postawiła przed nim na stole w saloniku Clarissa, metodycznie, bez apetytu. Słyszał, że Christiane na różne sposoby próbuje wciągnąć go w rozmowę. Wypił podczas jedzenia trzy szklaneczki whiskey. Ostatnia z nich wreszcie podziałała: Gannon poczuł, że znowu może oddychać. Christiane przepraszała go.

- Powinnam była oczywiście zasięgnąć pana rady, zanim pojechałyśmy...

- Dość już - warknął, a ona, siedząc po drugiej stronie stołu, wbiła w niego spojrzenie. Oczy miała w świetle świec olbrzymie, jak bezdenne jeziora fioletowej czerni. Przemógł się i podjął bardziej już cywilizowanym tonem: - Nie zrobiła pani niczego złego, Christiane. Tylko to, co uważała pani za najlepsze.

- Tak, ale może...

Gannon nabił kawałek placka z jeżynami na widelczyk, podniósł go, ale nie włożył do ust, tylko nań popatrzył i odłożył.

- Ten młody człowiek dobrze na nią wpływa, prawda? - powiedział.

- Ale chyba jedynie on. - Zawahała się. - Czy pan... nie chciałabym pana poganiać, ale czy pan już skończył? Dobrze byłoby pozwolić Clarissie się położyć.

- Która godzina?

- Dochodzi druga.

- Miłosierny Boże. Tak. Skończyłem. Oczywiście. - Odsunął talerzyk. Christiane zadzwoniła po pokojówkę, która pojawiła się, ziewając.

- To wszystko na dzisiaj - powiedziała jej Christiane.

- Przykro mi, że narobiłem tyle kłopotów - przyłączył się Gannon i obdarzył służącą najpiękniejszym uśmiechem. - Placek był bardzo dobry.

Muszę powiedzieć, że dorównywał tarcie z pigwami. - Ale Clarissa była zbyt znużona, by zdobyć się na cokolwiek poza kiwnięciem głową.

- Jeszcze jedną whiskey? - zaproponowała Christiane, kiedy pokojówka ich zostawiła.

Potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję, ale przydałoby mi się łóżko. Christiane zmarszczyła brwi.

- Wizytujący nas dżentelmeni zatrzymują się Pod Białym Lisem, w wiosce.

- A Wredemu pozwala pani zostać.

- Ma pan rację, pozwalam. Niech siedzi tak długo, jak zechce.

- Uważa pani, że powinienem tam z nią być. Hrabina westchnęła.

- Wcale nie to miałam na myśli. Pani Treadwell powiadomi nas, gdyby zaszła jakakolwiek zmiana.

- Czy nie będzie pani przeszkadzało, jeżeli zapalę? - Christiane potrząsnęła głową. Gannon wyjął krótkie cygaro i przez chwilę z namysłem mu się przyglądał.

- Gannonie - zaczęła Christiane bardzo miękko - naprawdę musi pan...

- Proszę nie prawić mi kazania - przerwał gwałtownie. - Nie zniósłbym tego. - Podniósł wzrok na hrabinę. - Wiem, że ją zawiodłem.

- Nie, nie! Wcale jej pan nie zawiódł! Zamierzałam prosić, żeby nie był pan dla siebie taki surowy.

- A jednak ją zawiodłem.

- Nie rozumiem, jak pan może coś takiego mówić. Odwiedzał pan ją wiernie. Zawsze się cieszyła, kiedy miała pana zobaczyć.

- Nie sądzi pani, iż dzisiejsze wydarzenia dowodzą, że Claire nie jest... szczęśliwa?

- Nie mam pojęcia, czego dowodem są dzisiejsze wydarzenia - wyznała Christiane. Nie podobało jej się to, że Gannon tak siebie obwinia. Przemogła się i z ożywieniem, energicznym tonem dodała: - Tak dobrze jej się układa z koleżankami w klasie. Przynosi radość pani Treadwell i mnie. A zachwyty monsieur Battiera, że w końcu trafił na utalentowaną uczennicę, po prostu nie zna granic.

- Czy musi pani dokładać aż takich starań, żeby mnie podnieść na

duchu?

Christiane się roześmiała.

- Aż tak łatwo to zauważyć?

- Aż tak. - Spuścił wzrok na trzymane w palcach cygaro. - Czy mogę prosić panią o ogień?

- O ogień. Tak. Proszę. - Podeszła do stojącej w rogu szafki, przyniosła zapalki, potarła jedną z nich i podała mu ogień. Carew wpatrywał się w płomyk.

- Gannon?

Uniósł głowę. Oczy ich się spotkały. Zajrzawszy w szare głębie oczu Gannona, Christiane poczuła fizyczny wstrząs, jakby zderzyła się z czymś twardym i nieustępliwym jak skała, z czymś, co zawsze w nim było, ale czego nigdy wcześniej nie dostrzegła.

Zapalka w jej palcach syknęła i rozbłysła.

- Sparzy się pani - ostrzegł. Jakoś było jej to obojętne.

Carew ściągnął wargi, potem je wydał. Miękka, wyokrąglona krzywizna dolnej podkreślała surową linię górnej. Nie mogła oderwać od nich wzroku.

Jednym błyskawicznym ruchem zdmuchnął płomyk, posadził sobie Christiane na kolanach i przycisnął usta do jej warg.

W pierwszym odruchu chciała odskoczyć, cofnąć się... nie, nie tego chciała w pierwszym odruchu, ale tak zareagowała.

- Gannon... nie - szepnęła, usiłując wyrwać się z uścisku.

- Dlaczego nie? - zapytał płomiennie. Otoczył ręką jej ramiona i pieścił wypukłość piersi przez czarną jedwabną suknię. Znalazł sutek, uszczypnął go. Christiane poczuła, jak rozkwita w niej pożądanie, nieodparte, szalone.

- Bo nie wolno nam... - zaczęła, ale uciszył ją znowu pocałunkiem. Potykał językiem ust Christiane pożądliwie, z mocą, równocześnie zsuwając jej suknię z ramienia. Czubkami palców pogładził nagą skórę, lekko i delikatnie. Potem wtulił w nią twarz i rozpaczliwie westchnął.

- Gannon, proszę cię! - syknęła, słysząc na korytarzu kroki. - Ktoś wejdzie tu i nas zobaczy!

- Chryste, jeżeli tylko to cię martwi... - wyciągnął rękę i palcami pogasił świece na stole. Okryła ich zasłona ciemności. Christiane

szarpała się w ramionach Gannona, ale zamarła, słysząc, że kroki ucichły pod drzwiami.

- Jaśnie pani? - rozległ się zakłopotany głos Clarissy. Gannon trzymał dłoń na ustach Christiane, która na wpół siedziała, na wpół leżała mu na kolanach. Słyszała jego ochryply, ciężki oddech tuż przy uchu, przez spódnicę czuła twardą jak skała męskość. Zawahała się, wydało jej się nagle, że jest szaloną, nieposłuszną młodą dziewczyną. Wszystkie zmysły wyostrzyły się: ze wzmożoną intensywnością odbierała dotyk jego szorstkiej dłoni, szmer oddechu, zapach skóry, muśnięcie włosów na nagim ramieniu, zupełnie jak wtedy, kiedy pierwszy raz została sam na sam w ciemnościach z mężczyzną. Uniósł jej dłoń do ust.

- Gaszę tylko świece, Clarisso - usłyszała swój własny głos... i poczuła, jak usta Gannona rozciągają się w uśmiechu tuż przy jej szyi.

- No to dobranoc! - zawołała Clarissa, po tonie można było zorientować się, że wzrusza ramionami.

- Dobra niewątpliwie - zamruczał Gannon, na co Christiane cicho się rozchichotała. W głowie jej się kręciło. Gannon sięgnął do stanika na plecach i zaczął go rozpinąć, całując ją przy tym zapamiętale.

Teraz już Christiane równie gorąco jak on pragnęła złączenia. Szarpnęła krawat Gannona, odwinęła go z szyi i odrzuciła w przyjazny mrok. Palce nie chciały jej słuchać, kiedy rozpiniała mu guziki przy koszuli, obnażała tors. Gannon zsunął tymczasem suknię aż do talii i walczył z gorsetem. Jedna haftka... druga... jeszcze jedna...

- O Boże - szepnął, nakrywając dłońmi jej piersi, kiedy je wreszcie uwolnił. Gładził ich krągłość, obejmował, potem uniósł jedną, chwycił wargami napięty sutek i possał tak mocno, że Christiane aż cicho krzyknęła. Ale on tylko głębiej wciągnął go do ust, dysząc ciężko.

- Poręcz... poręcz fotela - zaczęła Christiane. Wbijała jej się ta poręcz w obnażone plecy.

- Masz całkowitą rację - mruknął i wypchnął spod nich fotel tak, że oboje spadli na podłogę. Wylądowali w plątaninie ubrań. Fryzura Christiane całkiem się rozpadła. Hrabina nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Zachowujesz się jak wyposzczony seksualnie osiemnastolatek! -

wyszeptała, kiedy po ciemku starał się podsunąć do góry jej spódnice.

- Tam, gdzie chodzi o ciebie, jestem wyposzczonym seksualnie osiemnastolatkiem. - Trafił wreszcie na rąbek sukni, przekopał się przez barykadę z halek do okrytej pończochą łydki, zaczął ją pieścić. - Au! Cholera! Czy to twój obcas wbił mi się właśnie w krocze?

- Obawiam się, że tak.

- Musimy zdjąć ci te buty, zanim pozbawisz mnie męskości. - Ukląkł i szarpnął za sznurówki.

- Przestań ciągnąć. Zaciśniesz tylko mocniej węzły.

- Za czorta nic nie widzę - mruknął zniecierpliwiony.

- Czekaj. - Usiadła, odsunęła go i rozsznurowała trzewiki. Przez cały ten czas Gannon dotykał jej, pochylał się, by ją pocałować, gładził po niesfornych lokach. - Szybciej bym skończyła, jakbyś przestał - zasugerowała.

- A komu się spieszy? - Ale już ściągał jej buty, i to razem z pończochami. Odrzucił do góry spódnice z takim rozmachem, aż powiało, i położył dłoń prosto na wzgórku wenery. Przez cieniutki batyst pantalonów czuła ciepło jego palców. Wciąż jeszcze nad nią klęczał, wolną ręką rozpinając guziki przy spodniach. Zsunął je z siebie jednym szarpnięciem. Christiane wyciągnęła rękę, odszukała palcami jego męskosc. Była równie wspaniała, jak w jej wspomnieniach. Gannon ostro wciągnął powietrze, kiedy zamknęła na niej palce.

- Zaczekaj. Nie tak szybko - przestrzegął. Christiane odrzuciła jednak wszelką ostrożność na cztery wiatry i aż kipiała namiętnością, zapamiętaniem. Zaczęła go gładzić i musiał siłą oderwać jej rękę.

- Jeszcze nie - wyszeptał z napięciem.

- Nie chcę czekać - odparła.

- Ale ja chcę, żebyś czekała. - Ukląkł teraz nad nią okrakiem, podpierając się jedną ręką. Drugą rozwiązał tasiemki przy pantalonach i zsunął je z bioder Christiane.

- Taki wyczyn robi wrażenie u mężczyzny w twoim wieku - zauważyła.

- Już ja ci pokażę, co potrafi mężczyzna w moim wieku - prychnął.

Naprawdę zamierzał zmusić Christiane do czekania. Niespiesznie lizał i obsypywał pocałunkami jej piersi, drażniąc ich czubeczki językiem, aż



tchu chwycić nie mogła. Potem, nie przerywając tych pieszczot, wsunął dłoń między uda Christiane.

- Już zwilgotniałaś dla mnie - zauważył z satysfakcją, wemknął się kciukiem w jej gniazdko i sięgnął w głąb przyrodzenia. Christiane wyrwał się krótki, ostry jęk rozkoszy. - Przypominam sobie, że to lubiłaś - powiedział, kiedy drżała pod jego dotykiem. Jakim cudem mógłby pamiętać? Przecież to było tak dawno...

- I to też. - Miejsce kciuka zajęły delikatnie dwa palce, ich czubki leciutko jak piórkami łechtaly ciepłe, gładkie, wilgotne wnętrze. Christiane pojękiwała coraz częściej. Biodra jej zaczęły się poruszać, unosić na spotkanie pieszczot i wirować powoli, przywierając do jego dłoni.

- I to. - Nie przestając pieścić jej tymi długimi palcami, odnalazł kciukiem zamykający szparę migdałek rozkoszy. Plecy Christiane wygięły się z przeciągłym, bezgłośnym westchnieniem. Płonęła. Uwolnił w jej wnętrzu całe rzeki, całe oceany pożądania. Oszalała z niecierpliwości odszukała po omacku jego męskość, wymacała na czubku kropelkę płynu, roztarła ją palcami po gładkiej skórze i po nabrzmiałych żyłami bokach. Gannon przeszedł dreszcz.

- Teraz - szepnęła, przyciągając go do siebie.

- Nie. Nie. Jeszcze nie. Jeszcze tak wiele pragnę zrobić... dla ciebie.

- Zrób dla mnie to. Teraz. - Rozsunęła kolana, poczuła szorstkość dywanu pod nagimi pośladkami. Boże, co powiedziałyby Evelyn? Na samą myśl zaczęła się śmiać.

- Co? Co się stało? - W głosie Gannon pojawił się ton podejrzliwości, jakby obawiał się, że Christiane śmieje się z niego.

Dotknęła dłonią jego twarzy, pogładziła po policzku, poczuła pod palcami szczecinkę zarostu.

- Nic - powiedziała płomiennie. - Wejdz we mnie. Chodź... - I złagodniała na tyle, by dodać: - Proszę cię.

- No, skoro tak ładnie prosisz... - Uniósł się i wbił się w nią głęboko, sięgając chyba samej duszy.

- Och! - krzyknęła Christiane, kiedy ją wypełniał. - Och... - Gannon z wielką delikatnością położył jej dłoń na ustach, by uciszyć ten krzyk, a równocześnie wycofał się i wbił się w nią znowu. Christiane zagryzła

wargę, a mimo to wymknął się jej cichy, chciwy jęk.

- Kłamałaś, mówiąc mi, że tamtej nocy udawałaś rozkosz, prawda? - wyszeptał, wycofując się ponownie.

Christiane próbowała go do siebie przyciągnąć, ale wznosił się nad wygięty łuk, nieporuszony.

- Prawda? - zapytał bardziej natarczywie.

- Tak. Tak! - Zrobiłaby wszystko, powiedziała wszystko, byle ją tylko znowu wypełnił. Zresztą tak czy owak była to prawda.

Gannon, usatysfakcjonowany, opuścił się znowu niżej, wpasował się w nią, pogrzyżył, biodra ich się zwały. Powtarzała jego ruchy, naśladowała je, unosila się coraz wyżej, by otworzyć się przed nim jak najszerzej, niczym kwitnący nocą kwiat. Teraz na niego przyszła kolej, by jęknął, niemal szalony z pożądania.

- Wiedziałem, że to było kłamstwo - powiedział, wycofując się i uderzając znowu. Christiane oplótła go nogami, pragnąc wciągnąć jeszcze głębiej w siebie, a on całował ją po włosach, po szyi, po czole. I nagle oboje odnaleźli rytm, który im odpowiadał - szaleńcze, porywające tempo ruchów. Wbijał się w nią raz za razem, a ona przyjmowała go, wychodziła mu na spotkanie, dorównywała mu, poganiała jeszcze gorączkowymi, coraz szybszymi, coraz bardziej urywanymi westchnieniami. Gannon objął dłońmi jej pośladki, podciągnął ją wyżej - i oboje oddali się bez reszty temu ruchowi, tańcowi, pędowi do ostatecznej rozkoszy. Christiane dotarła na sam szczyt błogości na moment przed nim i rozchyliła wargi w bezsłownym krzyku radości, kiedy nasienie Gannona wytrysnęło w jej wnętrzu z rozpalonym do białości pośpiechem. Gannon stęknął, przywarł do niej ze wszystkich sił i zamarł w bezruchu, napełniając ją sobą, a ona, obejmując go, wtulała mu twarz w ramię, by stłumić rozkoszne westchnienia.

Opadł na nią wyczerpany; Christiane, wsunawszy mu dłonie pod koszulę, przyciskała go mocno do siebie. Może nie powinni, ale było cudownie!, pomyślała. Serce jej nadal waliło jak szalone. Jeszcze bardziej cudownie niż wtedy, w Paryżu, bo tym razem był taki władczy, taki pewny siebie...

Odwrócił lekko głowę i polizał ją po uchu.

- Mmm - wyszeptała, wyprostowała się na tyle, na ile mogła pod

jego ciężarem, i wyciągnęła rękę, by pogłodzić go po włosach. Gannon wtulił nos w jej szyję, a ona dziękowała Bogu, że ciemności kryją przed jego wzrokiem wszystkie szkody, które przez dwie dekady wyrządził czas. Nie zobaczy kurzych łapek przy oczach, białych włosów, zwiotczalej skóry na udach i piersiach. Dla niego jest dokładnie taka jak wtedy, jaką zachował na zawsze w pamięci. Przez moment czuła się jak oszustka. Potem otrząsnęła się z tej myśli. Trochę zaczynał jej ciążyć, ale chyba nie miał ochoty się ruszyć.

- Marzyłem o tym - powiedział, dotykając wciąż ustami jej ucha. - Częściej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. - Potem sturlał się z niej, uniósł dłoń i wziął Christiane pod brodę. - Nie przypuszczam, żebyś ty... żebyś kiedykolwiek marzyła o mnie.

Co miała na to powiedzieć? Poczowała znowu wdzięczność dla łaskawej ciemności.

- Kiedy zobaczyłam cię znowu... - zaczęła.

- Tak? - zapytał szybko.

- Miałam wrażenie, żeś się wcale nie zmienił. - To nie była prawda. - Pomyślałam, że zrobiłeś się jeszcze bardziej przystojny - wyznała, dziwnie onieśmielona.

- Wcale nie wiedziałem, że wtedy, w Paryżu, uważałaś mnie za przystojnego - wyszeptał ochryple i pocałował ją. - Gdybym to wiedział, może moje życie potoczyłoby się inaczej.

- Nie traktowałam cię dobrze. - Brakowało jej tchu. - Przykro mi z tego powodu.

- Ale z nawiązką to dziś wyrównałaś. - Przekręcił się nagle na plecy i przyciągnął ją do piersi. - A co teraz? Czy będziemy musieli czekać następne dwadzieścia lat, by ten wyczyn powtórzyć?

- Ja... - Christiane zamarła. Na korytarzu znowu rozległy się kroki. Zerknęła niepewnie w stronę drzwi.

Gannon usłyszał je również. Przesunął się i starał się podciągnąć spodnie do góry. Ale zanim zdążył to zrobić, drzwi otworzyły się nagle, w szczelinie pojawiło się światło, szczelina rozszerzyła się i jasność przelała się za próg.

- Naprawdę wydaje mi się, że mały kieliszek sherry w tych okolicznościach - mówiła wesołym tonem pani Treadwell,

wprowadzając do środka pana Wrede.

Dwie zmieszane, leżące na dywanie osoby miały się dziko, usiłując doprowadzić ubrania do ładu. Usłyszawszy szelest, przełożona przystanęła.

- Kto tam jest? - zapytała, szybko podeszła do stołu, poszukała stoczków i zapaliła zapalniczkę. Dotknęła płomieniem knotu, a potem z przerażeniem wpatrzyła się w scenę, która w świetle świec pokazała się jej oczom. - Dobry Boże, Christiane! Lord Carew! Czy wy wstydu nie macie?

Swawoląc z Gannonem, Christiane poczuła się znowu młoda. Zaszokowana mina przełożonej uświadomiła jej, i to gwałtownie, jak skandalicznie się zachowała.

- To... to nie jest tak, jak myślisz - wymamrotała, rozpaczliwie starając się pozapinać stanik sukni.

Evelyn piorunowała ją wzrokiem.

- A jak inaczej mogłoby być?

Pan Wrede wycofywał się przez drzwi.

- Może wrócę do panny Finn...

Evelyn stała nad nimi wyprostowana i sztywna jak jakaś Walkiria.

- A co do pana, lordzie Carew... kiedy pana bratanica leży bezradna i chora...

- To nie ma nic wspólnego z Claire - zaprotestował, zbierając się na nogi i wciąż jeszcze zapinając spodnie.

- O to właśnie mi chodzi! Jest rzeczą oczywistą, że wy dwoje myśleliście o wszystkim, tylko nie o niej! Potraficie przejmować się tylko waszymi egoistycznymi, niskimi namiętnościami!

*To wcale nie tak*, chciała jej powiedzieć Christiane. *Ani trochę. To się po prostu stało...* Ale coś we wściekłym spojrzeniu Evelyn ostrzegało ją, by lepiej trzymała buzię zamkniętą.

- Cała wina leży po mojej stronie. - Lord Carew pozapinał wreszcie spodnie i narzucił znowu na siebie surdut.

- Mam co do tego bardzo poważne wątpliwości! - oświadczyła Evelyn, a jej niebieskie oczy przeszły Christiane ostrym spojrzeniem. - Wiesz, zawsze się czegoś takiego obawiałam. Obawiałam się, że twój związek z akademią w końcu ją zrujnuje...

Och, to było niesprawiedliwe.

- Beze mnie żadnej akademii by nie było! - wykrzyknęła Christiane.
- Może nie... i może tak byłoby najlepiej!
- Na miłość boską, Evelyn! Przyjaźnimy się od trzydziestu lat. -

Christiane starała się sprowadzić rozmowę na rozsądny poziom, ale przeszkadzał jej w tym nieco fakt, że nie zdążyła jeszcze pozapinać na sobie gorsetu. - Z pewnością nie zamierzasz pozwolić, by jedna mała chwila słabości...

- Czy to właśnie coś takiego było? - zapytał lord Carew, głos miał zaiste bardzo chłodny.

- Och, Gannon, nie chciałam powiedzieć... Evelyn, proszę, nie patrz tak na mnie!

Ale przełożona miała w swoich niebieskich oczach tę samą diamentową twardość, z jaką kiedyś spoglądały na Christiane tygrysice z towarzystwa, zanim ją wyгнаły.

- Mówiąc szczerze, to w ogóle nie mam ochoty na ciebie patrzeć - powiedziała krótko. - I nie potrafię... po prostu nie potrafię wyobrazić sobie, co pan Wrede musi myśleć o was dwojgu. Musisz pójść i jakoś mu to wyjaśnić. - Odwróciła się i przeszła z kolei wzrokiem lorda Carew. - A już całkiem przekracza moje zrozumienie, że pan mógłby chcieć narażać na szwank najlepszą szansę na szczęście pańskiej bratanicy dla... dla takiej taniej igraszki.

- Evelyn - szepnęła błagalnie Christiane.

- Niedobrze mi się robi, jak na was dwoje patrzę - rzekła z pogardą przełożona, odwróciła się na pięcie i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Christiane tymczasem pozapinała już gorset. Teraz podciągnęła rękawy na ramiona, palce jej dygotały.

- Chwila słabości? - powiedział Carew, patrząc na nią gniewnie.

- Oczywiście, że tak! - warknęła. - Dorośli nie miewają stosunków na podłodze salonu! Pojęcia nie mam, co mnie opętało, że pozwoliłam, by pan mi to zrobił!

- Że pozwoliłaś, bym ja... - W głosie Gannona słychać było niedowierzanie. - Błagałaś mnie o to! „Wejdz we mnie, weź mnie, proszę” - przedrzeźniał, całkiem udatnie naśladowując jej urywany głos.

- Ty draniu! - warknęła Christiane i zamachnęła się, by dać mu w



twarz. On jednak chwycił ją w przegubie za rękę i przytrzymał.

- Dlaczego wzbranasz się przyznać, co do mnie czujesz?

- Niczego nie czuję do pana poza pogardą - powiedziała, głos miała już opanowany. - Evelyn ma rację. Jakie świadectwo wystawia sobie człowiek, mający tak nieprzyzwoite pragnienia, kiedy jego najbliższa krewna leży na progu śmierci?

- Ach, więc teraz stajesz po stronie tygrysic! Jakie to dziwne, skoro przed kilkoma chwilami z taką radością przyjmowałaś moje uściski. - Christiane otworzyła usta. - I żebyś mi się nie ośmieliła mówić - zagrział - że tym razem udawałaś!

- Zaskoczył mnie pan. Narzucił mi pan swoje.... - Ale sama świadoma była, jak fałszywie to zabrzmiało. Carew już się cofał, śmiejąc się i potrząsając głową.

- Zaczynam dawać wiarę opowieściom lorda Weatherstona - powiedział - kiedy rozgłaszał w towarzystwie, że jest pani ładacznicą. Nie mogę mieć pewności co do innych mężczyzn, ale Bóg mi świadkiem, że osobiście przekonałem się, iż pani linia obrony nie jest zbyt trudna do sforsowania.

- Och! Proszę mi zejść z oczu! - wrzasnęła na niego Christiane! - Nienawidzę pana! Nienawidzę!

- Z radością. W końcu dostałem to, po co przyszedłem - oświadczył Gannon Finn z pełnym satysfakcji uśmiechem.

Gdyby miała przy sobie jakąś broń, pistolet albo może nóż, naprawdę by go zabiła. Po prostu oniemiała z wściekłości.

Gannon podciągnął spodnie, poprawił sobie krawat, podszedł do stołu, wziął pozostawione tam cygaro i dopił wino.

- Życzę jaśnie pani dobrej nocy - zwrócił się do niej pogardliwie. - Nawiasem mówiąc, zaczęła pani odrobinę siwieć. Wiedziała pani o tym? - Skierował się do drzwi. - Gdyby mnie Claire potrzebowała, będę Pod Białym Lisem. Oczywiście, gdyby potrzebowała mnie pani, również tam będę. - Tu puścił do niej lubieżnie oko.

Christiane rzuciła się z furią w jego stronę, unosząc pięści. Ale ruchy jej spowolniły splątane spódnice i Gannon wyslizgnął się za drzwi z ukradkowym, znaczącym uśmiechem na twarzy, a ona została w saloniku zaczerwieniona, zasapana i bezgranicznie zawstydzona.



---

## *Rozdział osiemnasty*

---

Noc była naprawdę okropna. Christiane leżała na swoim wąskim łóżku, to wspominając ze zgrozą incydent na podłodze w saloniku... dobry Boże, ona naprawdę go o to błagała!... to z przerażeniem oczekując, co przyniesie ranek. Co powie w ramach ekspiacji... co może powiedzieć Evelyn? Jej stara przyjaciółka ma rację; okazała się niewymownie, niewybaczalnie rozwiązała.

Zmarnowałam wszystko, wszystko, pomyślała tchórzliwie i poczuła, jak łzy powoli spływają jej po policzkach. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz płakała. Ale kiedy już raz zaczęła płakać, jakoś nie mogła przestać. Łzy po prostu płynęły, a ona ukryła głowę pod poduszką, by stłumić łkanie.

Po długim czasie... wydawało jej się, że musiało minąć kilka godzin... rzeka leż w końcu wyschła, a kiełkować zaczęło poczucie sprawiedliwego gniewu. Postąpiła źle, to prawda, ale kto ponosił tu większą winę, ona czy Gannon? Przecież to on wszystko zaczął, kiedy zupełnie bez uprzedzenia posadził ją sobie na kolanach. Na dodatek przekonana była, że wie, dlaczego tak się zachował: chciał odplacić jej za to, jak postąpiła z nim przed dwudziestu laty w Paryżu. Żeby się w taki małostkowy sposób próbować mścić! Spójrzcie tylko, jak się z niej wyśmiewał, wychodząc; jak okrutnie szydził z jej włosów!

Dziwne, ale gdy spojrzała na całą sprawę w tym świetle, łatwiej jej było jasno myśleć. Wiedziała teraz, co musi rano powiedzieć Evelyn. To była jedyna szansa, by naprawić sytuację.

Zgodnie z planem pojawiła się w saloniku przed śniadaniem, wiedząc, że zastanie tam przyjaciółkę.

- Evelyn.

Przełożona nie podniosła nawet wzroku, po prostu dalej przeglądała

kwity do wciąganego do rejestru rachunku. Christiane podeszła bliżej i dotknęła jej ramienia.

- Evelyn. Jest coś, co muszę ci powiedzieć.
- Że składasz rezygnację, mam nadzieję - rzekła krótko pani

Treadwell, odwracając kartę w rejestrze.

- Złożę ją, jeśli sobie życzysz.
- Bardzo dobrze. Przyjmuję. Wypisałam ci czek na twój udział w zyskach do końca tego roku. Czy to cię satysfakcjonuje?
- Nie chcę pieniędzy. Chcę... Evelyn, chciałam ci coś wyznać.
- Coś więcej? - zapytała kwaśno przełożona. - Nie wydaje mi się, żebym to chciała usłyszeć.

Christiane zaczerpnęła powietrza.

- Pytałaś mnie kiedyś, czy spałam w Paryżu z lordem Carew... odpowiedziałam ci wymijająco w taki sposób, że cię wprowadziłam w błąd. Spaliśmy ze sobą.

- Dlaczego nie czuję się zaskoczona?
- Ale chodzi o okoliczności...
- Och, podziel się ze mną wszystkim. Zapoznaj mnie z lubieżnymi szczegółami aż do ostatniego.

Chociaż sytuacja była taka poważna, Christiane nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Kocham to, kiedy przywdziewasz pełny rynsztunek damy z towarzystwa, Evelyn.

Przełożona westchnęła i skrzyżowała ręce na biurku.

- Lepsze to niż tarzać się nago po podłodze z pierwszym lepszym...
- Byłam całkowicie cnotliwa... aż do wczoraj wieczór... przez niemal pięć lat! - zapewniła gorąco Christiane.
- Wielka mi rzecz. Ja jestem wdową od ośmiu lat, a już wcześniej wiele tych lat minęło, od kiedy ostatni raz dzieliłam z Everlym łożo.
- Czy nigdy nie czułaś się... samotna?
- Jeżeli się czuję samotna, wypijam kieliszek sherry - rzekła energicznie przełożona.

- Próbowałam. Na mnie to nie działa.
- Albo ukierunkowuję nadmiar energii na pracę.
- Ja pracuję równie ciężko jak ty, Evelyn! Czy nie potrafisz okazać

mi trochę litości?

- Za co? Za ten bezwstydy pokaz, którym uraczyłaś nas ostatniej nocy? Raczej nie wydaje mi się, by dawał on podstawy do litowania się nad tak nieumiarkowanym pławieniem się w moralnym rozkładzie!

Christiane westchnęła.

- Masz oczywiście absolutną rację. Oczekiwałam jednak, że zgodzisz się, bym ci wyjaśniła... och, Evelyn, wysłuchaj mnie, proszę! Opowiadałam ci, jak mnie Carew prześladował w Paryżu. Ale nie wyznałam ci, że... z upływem czasu złamał mój opór. Jego upór zaczął mi pochlebiać. A Jean-Baptiste ciągle gdzieś daleko wyjeżdżał, noc po nocy, dzień za dniem, zajęty wojną. I...

- Nie jestem całkiem pewna, czy chcę tego słuchać.

- Ale musisz. Koniecznie musisz zrozumieć... była jedna taka noc, tylko jedna, przysięgam. Czułam się porzucona przez Jean-Baptiste'a. Czułam się tak, jakby bardziej zależało mu na Napoleonie niż na mnie. Lord Carew grał na moich wątpliwościach. Był... jest... bardzo mądry. Flirtowałam z nim trochę. Może go nieco prowokowałam. - Jej przyjaciółka uniosła brew. - Bardzo dobrze. Prowokowałam go. Co mogę powiedzieć? Byłam młoda i głupia. Siedzieliśmy przy stoliku. Dom już zamknięto i wszyscy sobie poszli. Piliśmy szampana. Potem pojawił się Jean-Baptiste, całkiem niespodziewanie. Carew oznajmił, że chce go wyzwać. Próbowałam temu zapobiec. Uprowadziłam go do moich pokoi. Zamierałam tylko zapobiec starciu, Bóg mi świadkiem, że tak było! Ale potem... no cóż... jedno prowadziło do drugiego. I doszło między nami do zbliżenia. Oczy Evelyn zrobiły się okrągłe jak spodeczki.

- Kiedy Jean-Baptiste był na dole?

- Kazałam pokojówce powiedzieć mu, że źle się czuję i nie wolno zakłócać mi spokoju. - Christiane zarumieniła się, ale popatrzyła przyjaciółce w oczy. - Och, przyznaj się, Evelyn! Czy nigdy w życiu nie zrobiłaś czegoś, czego byś się teraz wstydzila?

- Mogę cię zapewnić, że czegoś podobnego na pewno nie! - Na moment zapadło milczenie. Potem: - No i jak było? - zapytała przełożona.

- W życiu nie miałam tak wspaniałego kochanka jak on. Evelyn

prychnęła.

- Trudno byłoby mi równać się z tobą w bogactwie doświadczeń, jako że moje kontakty ograniczały się do ślubnego małżonka. Ale muszę przyznać, że seksualne złączenie z nim nigdy nie wydało mi się na tyle frapujące, bym miała ochotę szukać więcej, niż z konieczności musiałam przyjąć.

- Nigdy nie szczytowałaś?

- Nigdy nie co?

- Nigdy nie miałaś orgazmu? No wiesz. *Le petit mort*. „Małej śmierci”.

- Jeżeli chodzi ci o to, co czułam, to się śmiertelnie nudziłam.

- Och, Evelyn! - Christiane była przerażona. - Nie cieszyło cię to? Nigdy?

- Z całowaniem mogłam się jakoś pogodzić. Ale cała reszta... to dżganie i parcie, to obłapianie, to, jak pan Treadwell stękał i oblewał się potem... jeżeli mam być szczerą, wydawało mi się obrzydliwe. Nie wspominając już, że obrane z godności.

Christiane z rosnącą desperacją zaczęła uświadamiać sobie, jak bardzo niezrozumiałe było jej zachowanie ubiegłej nocy dla przyjaciółki.

- Musisz mi uwierzyć na słowo, Evelyn: kochanie się może być najniezwyklejszym, najcudowniejszym, najbardziej porywającym przeżyciem...

- To właśnie próbują nam zawsze wmawiać mężczyźni, czyż nie? - powiedziała sztywno pani Treadwell.

- Ale to prawda!

- Czego dowiodła twoja schadzka z lordem Carew w Paryżu

- Tak - przytaknęła dzielnie Christiane. - Tak się złożyło, że masz rację. Przerosła ona wszystko, co kiedykolwiek przeżyłam z Jean-Baptistem.

- Ciekawe więc, że nie rzuciłaś natychmiast swojego żołnierza dla lorda Carew - zauważyła Evelyn głosem bardzo cierpkim.

- Może powinnam była. Ale nie zrobiłam tego. Evelyn odwróciła się w fotelu.

- Ale dlaczego, Christiane?

Hrabina gwałtownym ruchem odwróciła się, podeszła do okna,

rozsunęła zasłony i zapatrzyła się na dziedziniec.

- Carew zawsze wprawiał mnie w zakłopotanie. Potrafił mnie skołować. Myślałam... miałam nadzieję... chciałam tylko, żeby już odszedł, żeby mnie zostawił w spokoju. Jean-Baptiste i ja byliśmy szczęśliwi, zanim się pojawił. A potem... tak się bałam. - Urwała. - Zeszłej nocy, kiedy mnie chwycił, posadził sobie na kolanach... nie spodziewałam się tego. Dlaczego miałabym się spodziewać? Minęło dwadzieścia lat. A przecież pamiętał takie... - Znowu się zaczerwieniła. - Powinnam była okazać się silniejsza. Ale on umie żerować na mojej słabości. Zawsze to umiał. - Wyprostowała się w ramionach. - Więcej mu się to już jednak nie uda.

- A cóż wywołało tę gigantyczną przemianę? - zapytała pani Treadwell, nie przekonana.

- Kiedy mnie obejmował... kiedy się ze mną kochał... - mówiła, zająkując się, Christiane - czułam się znowu jak... lekkomyślna, szalona dziewczyna. Dopóki nie zapaliły się świece. A kiedy je zapaliłaś, Evelyn... zaczął szydzić ze mnie. Ciebie już wtedy nie było. Drwił, że jestem stara, że mam siwe włosy. Dał mi wystarczająco jasno do zrozumienia, że uwiódł mnie tylko po to, by się w ten sposób zemścić. - Zwiesiła głowę. - Wiem, że zasługuję na wszystkie szorstkie słowa, którymi chcesz mnie obrzucić. Zeszłej nocy sama siebie karciałam tak samo i jeszcze dużo gorzej. Okazałam się straszliwą idiotką. Okręła twarz Evelyn nieco złagodniała.

- No, no. To prawda, ale której z nas się coś takiego nigdy nie zdarzyło? Mówiłam do ciebie ostro... może i byłam odrobinę o ciebie zazdrosna. Żaden mężczyzna nie rzucił mnie nigdy na dywan w saloniku, by się ze mną kochać. Nigdy bym mu, oczywiście, nie uległa, nawet jakby tak postąpił. Jednak ty miewałaś przygody. Miewasz je nadal. A mnie się to... nigdy nie zdarza.

Christiane wyczuła, że sytuacja jest uratowana. Jej ciemne oczy zwięzły się szatańsko.

- Lord Carew bez wątpienia skwapliwie skorzysta z okazji, by dodać ciebie do listy swoich podbojów. Gdybyś chciała, żebym mu szepnęła słówko...

- Christiane! Jesteś zupełnie okropna! - Przełożona równocześnie

zarumieniła się i rozchichotała. A potem twarz jej przybrała nieco smętny wyraz. - Co on właściwie robi takiego cudownego?

- Dokładnie?

- No... w granicach przyzwoitej rozmowy.

- Jeśli tak, nic ci nie mogę powiedzieć. Usta Evelyn otwały się ze zdziwienia.

- Ale przecież to wszystko tylko ręce i wargi, i... i niewymowne części ciała. Czymże może się tam różnić jeden mężczyzna od drugiego?

Christiane zastanowiła się głęboko, jak to wyjaśnić. I nagle ją olśniło.

- Próbowalaś szarlotki z czekoladowym kremem naszej kucharki.

- Co czwartek od trzech lat.

- I co o niej sądzisz?

- Jest całkiem smaczna - zauważyła Evelyn, nieco zdezorientowana.

- Może odrobinę przyciężka.

- A czy próbowałaś czekoladowej szarlotki, jaką podają u Gaillarda w Londynie?

- Oczywiście, że próbowałam! U Gaillarda przyrządzają ją po prostu niebiańsko. To w ogóle coś innego... taka intensywna w smaku i gęsta, a przecież lekka jak... - Oczy jej się rozmarzyły, głos ucichł, na chwilę zapadła cisza. A potem powiedziała: - Och... Rozumiem.

- A przecież to tylko śmietanka, cukier i czekolada, nic więcej - wzruszyła ramionami Christiane.

- No cóż! Muszę przyznać, że to niezwykle pouczająca analogia. Co gorsza, będzie mi się przypominała za każdym razem, kiedy skosztuję tego ciasta. Mimo to sądzę, że ograniczę swoje doświadczenia do królestwa smaków. I bardzo bym pragnęła, byś i ty to samo zrobiła na przyszłość.

- Czy to znaczy, że mi przebaczasz?

- Tak.

- Och, Evelyn, słów mi brak, jaka jesteś dobra! - Hrabina objęła przyjaciółkę i z wdzięcznością ją uścisnęła.

- Jednak pod warunkiem - dodała surowo przełożona, wciąż jeszcze stojąc w jej objęciach - że mnie zapewnisz, iż coś takiego absolutnie nigdy się już nie powtórzy!

- Och, przyrzekam. Przysięgam! Tak czy owak od dziś nie popatrzę



na lorda z żadnym uczuciem poza pogardą za okrucieństwo, jakie okazał mi zeszłej nocy.

- Czy naprawdę wyrzucił ci, że masz siwe włosy?

- Prosto w twarz!

- Mężczyźni to diabelskie nasienie - syknęła pani Treadwell.

- Prawda - zgodziła się z nią mrocznie Christiane. - A on jest z nasienia głównodowodzącego diabła. Nigdy, nigdy już nie pozwolę mu się wykorzystać.

- Pozostaje wciąż jeszcze sprawa pana Wrede - zauważyła niespokojnie Evelyn. - Muszę wyznać, że nie miałam odwagi poruszyć z nim wczoraj w rozmowie incydentu, którego był świadkiem w saloniku.

- Czy chciałabyś, żebym go przeprosiła?

- Och, gdybyś się na to zdobyła! Christiane przytuliła znowu przyjaciółkę.

- Oczywiście, że się zdobędę. Nie wydaje się to wygórowaną rekompensatą za to, że przyjął znowu marnotrawną partnerkę pod swój dach!

Na odkładaniu tak niemiłego obowiązku na później Christiane nic by nie zyskała. Poszła więc prosto z saloniku do pokoju, w którym położyły Claire. Pchnęła cicho drzwi i zobaczyła, że pacjentka leży na łóżku, nieruchoma i blada. Pan Wrede siedział u jej boku, wciąż trzymał ją za rękę, a na jego twarzy malował się zdumiewający wyraz pełnej zachwytu koncentracji.

- Przepraszam pana - szepnęła Christiane i poczuła, że rumieniec oblewa jej twarz.

Pan Wrede odwrócił się do niej.

- Czuje się lepiej dziś rano, tak mi się zdaje. Puls ma bardziej miarowy. I już nie majaczyła. Czy nie wygląda lepiej?

Hrabina z pewnym onieśmieleniem podeszła do łóżka i położyła dłoń na czole Claire.

- Nie ma gorączki, prawda?

- Nie. Najgorsze minęło, jak sędzę. Chwała Bogu. Christiane z trudem złapała oddech.

- Rzeczywiście. Ale dla mnie najgorsze jeszcze nie minęło, panie Wrede. Ja... uważam, że muszę przeprosić pana za to, czego świadkiem

był pan w ubiegły wieczór. - Wrede patrzył wprost na nią, spokojnie i otwarcie. Głos Christiane przycichł niemal do szeptu. - Tak bardzo się wstydzę.

- Wstydzi się pani? - Tu uśmiechnął się lekko. - Za to, że uczciła pani boży dar cielesnej rozkoszy?

- No... tak.

- On mógł nas uczynić niemymi i pozbawionymi czucia, jak rośliny.

A przecież tego nie zrobił.

Christiane zaczerwieniła się.

- Wie pan, oczywiście, że lord Carew i ja nie jesteśmy w żaden sposób ze sobą związani.

- Wydawali mi się państwo bardzo silnie ze sobą związani.

Rumieniec pogłębił się.

- Chodzi mi oczywiście o związki formalne. Przeciwnie wprost, zaręczony jest z inną kobietą.

- Tak. Z panną Delaney. Claire nie ma o niej dobrego zdania, jak zrozumiałem. Jednak do pani jest bardzo przywiązana. Powiedziała mi, że bez pani i pani Treadwell oraz przyjaźni, które tutaj nawiązała, czułaby się po śmierci swoich rodziców kompletnie zagubiona.

- Pana... pana nie zaszokowało to - udało się z trudem wykrztusić Christiane - czego był pan świadkiem, kiedy razem z panią Treadwell weszli państwo do saloniku?

- Byłem świadkiem, jak dwoje dorosłych ludzi za obopólną zgodą zaangażowało się w konsensualny postępek. - Tu nagle przeszedł go dreszcz. - On nie narzucił się pani, prawda? Bo gdyby się narzucił...

Christiane uznała, że takie podejrzenie najlepiej będzie zdusić w zarodku.

- Nie. Ani trochę. Lord Carew i ja jesteśmy... - Urwała. Już miała powiedzieć „starymi przyjaciółmi”, ale z pewnością określało to stan rzeczy bardzo niedokładnie. - To nie kwestia przemocy - zająknęła się na zakończenie. - Tylko zapomnieliśmy się na chwilę. I on, i ja.

Pan Wrede pokiwał głową.

- Miłość to wielka potęga, czyż nie?

- Ale ja nie... - Urwała gwałtownie. - Zaraz, chwileczkę - ogarnęło ją nagle oburzenie. - Pan i Claire chyba nie...

- Oczywiście, że nie! - Wyprostował się w ramionach, obrażony. - Sytuacje te różnią się od siebie zdecydowanie. Ona jest jeszcze bardzo młodziutka.

Christiane skrzywiła się.

- Rozumiem. Takim starszkom jak lord Carew i ja wolno, pana zdaniem, oddawać się do woli uciechom cielesnym. Czy tak wygląda nauka kwaków?

- Moim zdaniem uczy tego zdrowy rozsądek - powiedział pan Wrede ani trochę nie stropiony. - Jedyną doktryną Przyjaciół jest: słuchać własnego serca. To serce obrał sobie Bóg za rezydencję i człowiek musi ufać sercu.

- Cóż za cudownie elastyczna religia.

- Tak pani sądzi? Ciekawe. A mnie się wydaje bardzo zaiste trudna.

Christiane zamilkła na chwilę, by sprawę przemyśleć. Gdyby słuchała tylko podszeptu serca, gdzie byłaby dokładnie w tej chwili?

W łóżku Gannon.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego Korona tak często uważa Przyjaciół za niebezpiecznych - odezwała się z ożywieniem. - Moim zdaniem serce jest organem, na którym najmniej można polegać.

Uśmiech pana Wrede był olśniewający.

- Z pewnością bardziej można na nim polegać niż na rozumie.

- Ależ co pan chce przez to powiedzieć?

- Tylko tyle, że wiemy, wyczuwamy w głębi siebie, co jest słuszne, a co nie jest. Sumienie musi być naszym przewodnikiem. Może posłużyć się naszą zdolnością czy talentem, by przeciągnąć rozum na swoją stronę, ale fakt pozostaje faktem: wiemy, kiedy popełniamy błąd.

- Z pewnością popełniłam błąd, kiedy ubiegłej nocy pozwoliłam lordowi Carew na takie poufałości!

Claire zaczęła wiercić się na łóżku. Pan Wrede uśmierzył jej niepokój dotknięciem ręki i odsunął z szyi dziewczyny długi, czarny, niesforny lok. Po chwili podniósł oczy na hrabinę.

- Tylko pani może to osądzić.

Christiane przygryzła wargę. Czy żałowała tego, na co pozwoliła Gannonowi, czy tylko tego, że ich przyłapano? Wciąż jeszcze czuła na sobie jego ciężar i tę oszałamiającą rozkosz, kiedy wbijał głęboko w nią

swój oręż. Jak mogłaby żałować takiej ekstazy?

- Jest pan obrazoburcą, prawda, panie Wrede? - zapytała z ironią.
- Wierzę w bycie uczciwym. Wobec świata i wobec siebie samego.
- Pani Treadwell martwiła się, że może pan zrezygnować ze starań o

Claire po tym, czego był pan świadkiem.

David zerknął z ukosa na Christiane, jego orzechowe oczy miały psotny wyraz.

- Sądzę, że raczej byłbym skłonny podwoić te starania. Christiane z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Naprawdę jest pan okropny. Będę musiała pilnować, byście się państwo nigdzie nie ruszali bez przyzwoitki.

- Może pani i lord Carew zechcielibyście posłużyć w tej roli.

- Chyba niezbyt się nadajemy! - zachichotała znowu hrabina.

- A przecież... - Na twarzy Wredego pojawił pełen namysłu wyraz. - Jeśli pani Treadwell spodziewa się, iż będę zaszokowany, to pewnie dobrze bym zrobił, udając, że jestem wstrząśnięty.

- Ależ panie Wrede! To chyba trudno pogodzić z uczciwością wobec samego siebie!

- Wcale nie. Sumienie nakazuje mi, bym zadawał innym na tym świecie jak najmniej bólu, zarówno fizycznego, jak duchowego. Jeżeli więc pani Treadwell poczuje ulgę, wyobraziwszy sobie, iż czuję się wstrząśnięty, zrobienie jej tej grzeczności będzie w pełni zgodne z moimi przekonaniem.

Christiane patrzyła na niego z czymś w rodzaju nabożnej czci.

- Rzadki z pana ptaszek, panie Wrede. Claire miała niesłychane szczęście, że udało jej się na pana trafić.

Uśmiechnął się do niej na to, potem popatrzył na Claire, która spała teraz spokojnie.

- Wręcz przeciwnie. Za szczęśliwca uważam siebie.

---

## Rozdział dziewiętnasty

---

Przez kilka następnych dni Christiane usilnie starała się krzątać gdzieś na uboczu, kiedy lord Carew przychodził odwiedzić swoją bratanicę. Glaire powracała systematycznie do zdrowia, a pani Treadwell z ogromną ulgą przekonała się, że scena, na którą przypadkiem trafili w saloniku, nie odstraszyła konkurenta panny Finn.

- Powiedział mi - zwierzyła się Christiane - iż po tym, jak był świadkiem twojego tak skandalicznego zachowania, jeszcze mocniej jest przekonany, że ma obowiązek bacznie nad Claire czuwać.

- Mnie powiedział z grubsza to samo - potwierdziła Christiane, uśmiechając się ukradkiem.

Chociaż z taką determinacją unikała spotkań z lordem Carew, w końcu jednak natknęła się na niego, co było nieuniknione. Stało się to na drodze do Hartin. Ona wracała z przejażdżki ze Stainsem, który został gdzieś w tyle. Carew, siedząc na grzbiecie wspaniałego karego ogiera, z grzmotem kopyt pędził w stronę Białego Lisa. Kiedy ich wierzchowce zbliżyły się do siebie, oczy jeźdźców się spotkały. Christiane postanowiła, że nie ona pierwsza odwróci wzrok, i wpatrywała się prosto w hrabiego. Carew ściągnął wodze, kiedy podjechał bliżej, karosz zatupał i zatrzymał się.

- Mam nadzieję, że zastaje pan bratanicę w coraz lepszym zdrowiu?  
- zapytała zimno hrabina.

- Tak jest.

- Cieszę się. - I już dawała koniowi ostrogę. Kiedy go mijala, chwycił jej wodze.

- Christiane...

- Nie mam panu nic więcej do powiedzenia, lordzie Carew.

- Gdybyś nie miała...

- Nic więcej - powtórzyła, wyszarpując wodze z jego ręki,
- Suka - powiedział cicho.
- Sukinsyn - odpaliła i pojechała dalej z wysoko uniesioną głową.  
Ku jej przerażeniu Carew zatoczył koniem i pojechał za nią.
- Czy wie pani, na czym polega pani problem, milady? Wiedziała, że popełnia błąd, ale wdała się z nim w rozmowę.
  - Nie, milordzie. Proszę, niech mnie pan z łaski swojej oświeci. Na czym dokładnie polega mój „problem”?
  - Że brak pani odwagi.  
To kazało jej się zatrzymać.
  - Jak pan śmie coś takiego mówić?
  - Opowiada pani, że wpaja uczennicom wiarę w siebie, że uczy je pani przeciwstawiać się narzucanej przez społeczeństwo moralności. Ale to tylko takie gadanie, prawda?
  - Nie mam pojęcia, o co panu może chodzić.
  - Ukrywa się pani.  
Christiane siedziała z rękami na łęku siodła i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w hrabiego.
  - Oczywiście, że się ukrywam. Nie mam wyboru. Gdyby dowiedziano się o moich związkach z akademią...
    - Ja o nich wiem.
    - A kiedy pan je odkrył, groził pan, że nie zapisze Claire do nas!
    - Mimo to jednak w końcu ją zapisałem. A panu Wrede wydaje się pani obecność nie przeszkadzać, chociaż tamtej nocy widział przelotnie w saloniku to, co widział. - Christiane zaczerwieniła się i zaczęła się modlić, by Gannon tego nie zauważył. - Myślę, że brak pani odwagi przekonał - ciągnął, doprowadzając ją do szału. - Myślę, że boi się pani towarzystwa.
      - Nie boję się nikogo i niczego! - *No, może poza tobą...*
      - Niech pani tego dowiedzie - rzucił jej wyzwanie. - Jak?
      - W przyszłą sobotę wydaję w Londynie fetę. Niewielkie przyjęcie: karty, drinki, tego typu rzeczy. Proszę na tę fetę przyjechać.
      - Dlaczego, na miłość boską, miałabym coś takiego zrobić? - zapytała zaskoczona.  
Carew wzruszył ramionami.



- Spodziewałem się po pani dokładnie takiej reakcji. Jednak pani się boi.

- A pan jest idiotą! - ucięła. - Rodzice panienek z akademii masowo zaczęłyby je odbierać, gdyby kiedykolwiek się dowiedzieli, że mam z nią coś wspólnego.

- Jakim cudem ktoś, kto przychodzi do mnie na karty, miałby dowiedzieć się, że ma pani coś wspólnego z akademią? Chyba że przez pomyłkę pani samej coś się wymknie.

- Dotychczas udawało mi się wystarczająco dobrze zachować dyskrecję - powiedziała wyniośle Christiane.

- No to dlaczego nie ośmieli się pani opuścić kryjówki i stanąć twarzą w twarz ze światem?

- Niczego świata nie muszę udowadniać.

- A ja sądzę, że ma pani coś do udowodnienia.

- Jak pan śmie wyobrażać sobie, że to, co pan sądzi, ma dla mnie choćby najmniejsze znaczenie? - Tama pękła. - A zresztą dlaczego miałby pan chcieć, żebym przychodziła na pana fetę, skoro jestem taka stara, zramolała i siwa?

- Przepraszam za to - powiedział, a kiedy uniosła dłoń, by osłonić oczy przed promieniami zachodzącego słońca, zobaczyła, że na jego twarzy rzeczywiście maluje się skrucha. - Byłem rozwścieczony. Jak mogła pani powiedzieć pani Treadwell, że to, co nas połączyło, było tylko chwilą słabości?

- Bo było.

- A mnie się wydawało przeżyciem... jedynym w swoim rodzaju.

Boże, czy to możliwe, żeby on też... ale nie ośmieliła się pójść dalej tą ścieżką.

- Poza tym wątpię, czy panna Delaney byłaby nadmiernie zachwycona, gdybym miała wziąć udział w pana przyjęciu - rzekła z energią.

- Panna Delaney bawi w Kornwalii w odwiedzinach u siostry.

- A więc kiedy kota nie ma...? - zapytała urągliwie. - Za jaką kobietę pan mnie uważa?

- Jak tylko wróciłem z Irlandii, powiedziałem Greer, że nie mógłbym z czystym sumieniem kontynuować tego narzeczeństwa. To dlatego

pojechała do Kornwalii odwiedzić swoją siostrę. A jeśli chodzi o to, za jaką kobietę panią uważam... powiedziałbym, że za tchórzliwą, jeżeli nie przestanie się pani tutaj ukrywać. - Christiane już zaczynała odpowiadać, ale dech jej zaparło na jego następne słowa. - Ale również i taką, o której nie potrafię przestać myśleć, acz mówię to z żalem.

Szkoda, że słońce świeci tak jasno.

- Szuka pan tylko następnej okazji, żeby mnie upokorzyć.

- W jaki sposób panią upokorzyłem?

- Kpił pan ze mnie! Żartował pan z moich włosów!

- Uważam, że ta siwizna jest dystygowana. - Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę, by dotknąć loków pod jej kapelusikiem. Christiane cofnęła się. - Na miłość boską. Christiane. Żadne z nas nie jest już tak młode, jak wtedy, w Paryżu. Ale faktem pozostaje to, że marzyłem o tobie przez dwadzieścia lat. - Pochylił się bardziej i czubkami palców pogładził jej policzek.

- A panna Delaney?

- Jedna z rzeszy żalonych substytutów.

- Należałoby jej raczej żałować, czyż nie?

- Tej pannie nie zależało na mnie ani odrobinę.

- A myśli pan, że mnie zależy?

Gannon chwycił Christiane za loki i przyciągnął jej głowę do swojej.

- Sama mi na to odpowiedz.

Pocałunek był mocny, nieustępliwy, pełen napięcia. Christiane walczyła z Gannonem, próbowała go od siebie odepchnąć. Wierzchowce niespokojnie przebierały pod nimi nogami. A Gannon nie przestawał jej całować. Moc jego wygłodniałych ust była tak wielka, że opór Christiane się ulotnił. Położyła mu nieśmiało rękę na ramieniu.

Puścił ją na moment, by zaczerpnąć powietrza.

- Jeżeli zamierza mnie pan znowu ukarać... - szepnęła.

- Ukarać cię?

- Za to, co stało się w Lasku Bulońskim. Za Jean-Baptiste'a. Czy nie dlatego zrobił pan to, co pan zrobił... tamtej nocy? Żeby się na mnie zemścić?

- Zrobiłem to, co zrobiłem, bo nic na to nie mogłem poradzić.

Ponieważ budzisz we mnie pożądanie.... jakiego nigdy żadna inna

kobieta nie budziła. - Jego oczy połyskiwały w słońcu.

- Dobrze nieba, Gannonie! - szepnęła Christiane bez tchu. Ale on już znowu ją całował.

Stains w końcu ich dogonił. Zobaczyła nad ramieniem Gannona, jaką ma zaszokowaną minę. Zaczęła się wyrywać, potem zmieniła zdanie. W końcu Stains to tylko stajenny.

- Obiecuj, że przyjedziesz do Londynu - szepnął jej Gannon do ucha.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie?

- Mam inne obowiązki.

- Jaki obowiązek może być ważniejszy niż odzyskanie dobrej opinii w oczach towarzystwa?

Na to odsunęła się od niego.

- Nie ma żadnej możliwości, bym kiedykolwiek ją odzyskała!

- Ale musisz - nalegał.

- Dlaczego? Jestem całkowicie zadowolona...

- Ale ja nie jestem. Chcę spacerować po Londynie z tobą u boku.

Chcę towarzyszyć ci do Vauxhall. Kupować ci fatałaszkę u Farringdona. Jadać z tobą u Gaillarda.

Christiane pomyślała, że Gannon chyba się z nią droczy, ale na jego twarzy malowała się powaga.

- Ty... ty nie rozumiesz - wyszeptała zawstydzona. - Nikomu nie udało się odzyskać reputacji po popełnieniu takiego błędu.

- Bądź więc pionierem na tym polu - przekonywał, uśmiechając się olśniewająco. - Co masz do stracenia? Obiecuj, że przyjedziesz w sobotę.

- Kto tam będzie? - zapytała podejrzliwie.

- Elita, starannie dobrana grupa obywateli o otwartych umysłach.

Stains pochrząkiwał za plecami Christiane. Gannon Finn chwycił jej dłoń w rękę i gładził ją.

- Christiane. Przyjedź. Ze względu na mnie, tak. Ale jeszcze bardziej ze względu na siebie.

- Evelyn nie będzie tego pochwalać - powiedziała bez tchu.

- Wy tłumacz się jakoś. Powiedz, że jedziesz odwiedzić Violet Westin.

- Pewnie mogłabym to zrobić...
- Świetnie! - Wyprostował się w siodle. - A więc załatwione. Czy wiesz, gdzie jest mój dom w mieście? Przy Berkeley Square, numer pięćdziesiąt cztery.
- Przy Berkeley Square? - powtórzyła oszołomiona. Gannon skradł jej ostatni pocałunek. Potem roześmiał się i zawołał:
  - Stains, całą zabawę nam psujecie! Możecie już teraz ją zabrać! Christiane, proszę pamiętać, żeby mi nie zrobić zawodu!
  - Ja... - Ale on już zatoczył koniem i oddalał się galopem w stronę zachodzącego słońca.
- Christiane odwróciła się do Stainsa. Stajenny minę miał zdecydowanie ponurą.
  - To stary przyjaciel - powiedziała. Nie pomogło, wyraz twarzy stajennego nie zmienił się. - Mimo to, Stains, byłabym wam bardzo wdzięczna, gdybyście nie wspominali pani Treadwell o tym, co właśnie zobaczyliście.
- Stain splunął hałaśliwie na ziemię.
  - Taż bym myślał, że pani będzie miała dość rozumu, żeby zostawić takie bzdury tym, co są młodzi - wymamrotał. - Taż bym myślał, że będzie pani na to miała dość rozumu w pani wieku.
  - Nie jestem jeszcze antykiem - warknęła.
  - Ale żaden z pani wiosenny szczypiorek - odpalił i wbił piętę w boki starego, zmęczonego Achillesa. - Prosi się pani o kłopoty i tyle, jak pani tak robi za plecami przełożonej.
  - Och, zajmijcie się raz swoimi sprawami - poleciła mu krótko Christiane, trzepnęła wodzami i po raz kolejny zostawiła Stainsa i Achillesa w chmurze kurzu za sobą.

---

## Rozdział dwudziesty

---

Nie pojedzie, to chyba oczywiste.

Christiane wróciła do akademii, poszła do swoich pokoi i zdjęła żakiet i kapelusz. Potem powoli, z namysłem podeszła do lustra. Loki rozsypały jej się podczas jazdy, swój udział miały w tym również dłonie Gannona. Policzki zarumieniły się od wiatru albo może z podniecenia, albo nie wiedzieć od czego. Przyglądała się krytycznie swemu odbiciu. Nie wyglądała wcale źle.

Jednak szaleństwem było to, co on proponował. Udało jej się tutaj stworzyć dla siebie swego rodzaju szczęście, z Evelyn i dziewczętami. Musiałaby rozum stracić, żeby zakłócać taki stan równowagi... i to w imię czego? Kilku partyjek wista w rezydencji lorda Carew? Dlaczego miałyby coś takiego zrobić?

Może dlatego, pomyślała smętnie, rozpinając guziki przy staniku, że to, co Carew powiedział, było prawdą. Rzeczywiście się ukrywała. Perspektywa znalezienia się twarzą w twarz z panią Bartlesbury albo lady Calhoun, które potraktują ją jak powietrze, nadal przepelniała ją grozą, chociaż minęło tyle lat.

- Nie mają prawa mieć nade mną takiej władzy! - wyszeptała z wściekłością, wpatrując się w lustro. A przecież miały. Dlaczego? *Bo zaatakowały mnie, kiedy byłam taka młoda, taka bezbronna. I dlatego jeszcze, że nie zrobiłam niczego złego. Nie byłam nawet winna.*

Czy jednak rzeczywiście nie była? Co prawda nie doszło między nią a lordem Weatherstonem do zbliżenia, które z taką brutalnością rozgłosił wszem i wobec, ale aż nazbyt chętnie zgodziła się na spotkanie z mężczyzną, w którym się zadurzyła, z Haroldem Hainesworthem, w pierwszej lepszej gospodzie, kiedy Weatherstone kusił ją perspektywą ucieczki z ukochanym. Dlaczego? Co ją skłoniło, by wyraziła zgodę i

tym samym stała się ofiarą mściwego planu Weatherstone'a?

Przycupnęła na skraju łóżka i pomyślała o rodzicach. Bardzo rzadko sobie na to pozwalala. Jej ojciec... miała cudowne wspomnienia o ojcu, ale trzynastu lat nie skończyła jeszcze, kiedy umarł. Została z samą matką, kobietą, której marzenia o społecznym awansie zostały beznadziejnie pokrzyżowane przez fakt, że ojciec Christiane, wiejski pastor, okazał się mniej ambitny, niżby sobie życzyła. Po jego śmierci matka wyszła za mąż z nieprzyzwoitym pośpiechem za wojskowego, majora Thorntona, który miał trzech dorosłych synów. Scalenie rodzin w jedną przebiegało z najwyższym trudem. Brutalni synowie majora tak nieustępliwie, chociaż ukradkiem, gonili za swoją nową przyrodnią siostrą, starając się przyłapać ją w ciemnym kącie, pocałować i popieścić, że rozpaczliwie czekała już na swój debiut.

Pracowała ciężko, by przyswoić sobie lekcje zachowania i etykiety, ale każdą wolną chwilę spędzała, ślęcząc nad książkami, które stały w bibliotece ojca. Nauczyła się czytać po francusku, włosku i łacinie. Pochłaniała Dantego, Wergiliusza i św. Augustyna. Borykała się ze zrozumieniem naukowych dzieł i upajała sztukami i poezją. A potem ukryła całą tę wiedzę, nie mogąc doczekać się, kiedy ucieknie ze swego nieszczęsnego domu. Przyssała się do gburowatego Harolda Haineswortha, jak tylko zwrócił na nią uwagę, i wmówiła w sobie, że to wrażliwy i mądry, i życzliwy młodzieniec.

Emily Madden, wcześniejsza adresatka westchnień Haineswortha, poczuła się urażona, że nowo przybyła weszła jej w paradę, i ułożyła paskudny plan, mający Christiane zrujnować. Pomógł jej w tym aż nazbyt chętnie Weatherston, młodzieniec tak zdeprawowany, że nawet Christiane, pomimo całej swej desperacji, odrzuciła jego atencje. A zaraz potem, marząc o czymś w rodzaju samodzielnego życia, wpadła w pułapkę, jak prowincjonalna idiotka.

*No cóż*, dumala teraz, biorąc szczotkę i zaczynając przeciągać nią po splątanych włosach. *Byłam prowincjonalną idiotką*. Mimo to zaszokowały ją reperkusje podróży z Weatherstone'em do gospody Pod Czarnym Ogierem, z której miała uciec z Haroldem Hainesworthem do Gretna Green, a przynajmniej tak sądziła. Do tej chwili aż kurczyła się na wspomnienie, że tak radośnie mknęła na górę po rozklekotanych



schodach do pokoju, w którym, jak zapewniał ją Weatherstone, czekał Harold.

Tymczasem do środka wszedł za nią Weatherstone, zamknął drzwi na klucz, a potem robił, co mógł, żeby ją zgwałcić. Gdyby nie nabrała takiej wprawy, broniąc się przed przyrodnimi braćmi, pewnie byłoby mu się to udało. Ale odniesione z wielkim trudem zwycięstwo - zostawiła go na podłodze, gdzie kurczowo ścisnął swoje części intymne, krwawiąc przy tym dość obficie z nosa - okazało się daremne. Weatherstone natychmiast rozgłosił wszem i wobec, że zrobił z nią, co chciał, a towarzystwo mu uwierzyło. Matka Christiane, przejęta grozą, odtrąciła córkę. Christiane wciąż jeszcze robiło się niedobrze na wspomnienie rozmowy, którą odbyły, kiedy pełna triumfu, chociaż z suknią w nieładzie wróciła do domu i natychmiast dowiedziała się, że cnota jej została nieodwracalnie skompromitowana. Nie otrzymała zaproszeń na cały szereg przyjęć, młodzi ludzie na każdym kroku chichotali za jej plecami, uciekła więc z domu i wsiadła na statek do Francji.

Założyła akademię, by oszczędzić innym młodym kobietom tak burzliwych przeżyć. Wierzyła w swoją pracę i odnosiła dające satysfakcję sukcesy. Nichola Hainesworth, córka jej dawnej nemezis, poślubiła szczęśliwie lorda Boru. Katherina Devereaux, niesłychanie dumna dziedziczka księcia Marne, z ogromną radością połączyła się z Alainem Montclair. Gwen zasługiwała na licencję lekarza, Petra codziennie robiła postępy w naukach matematycznych, a ostatnia ze sztuk pióra Bess została przyjęta na próbę przez ulubioną trupę regenta - oczywiście, anonimowo. Jak śmie Gannon oskarżać ją, że się ukrywa? Przecież mozoli się codziennie nad tym, by dać odpór absurdalnym rygorom towarzystwa - i na dodatek doskonale jej to wychodzi! Wychowanki Christiane nie padają ofiarą pierwszego lepszego przystojniaka, który próbuje zdobyć ich uczucie. Myślą samodzielnie. Stają w obronie swoich przekonań. Mają odwagę spojrzeć przyszłości prosto w twarz.

*A przecież cię kryją,* odezwał się w jej wnętrzu dręczący głosik. Kłamią dla ciebie, udają, że nie istniejesz, chociaż znają całą twoją historię. Tam, gdzie chodzi o towarzystwo, jesteś doskonałym dowodem, że z nimi nie można naprawdę wygrać!

Bo przecież nie można! Prawda? Popatrzyła do lustra. Na odbitej w nim twarzy malował się wyłącznie strach. *Przecież to tylko kupa dokuczliwych matron, zazdrosnych i wypaczonych...*

Tego właśnie uczysz dziewczęta. Ale co w takim razie oznacza fakt, że każesz im przysięgać, iż zachowają w tajemnicy to, że tu jesteś?

Byłam okropną hipokrytką, uświadomiła sobie Christiane, upadając na duchu. Więcej wymagałam od nich niż od siebie.

Krótko mówiąc, Gannon miał rację.

Czy zdobędzie się na to, by pognać swoje przeciwniczki? Czy ośmieli się? Serce jej się ścisnęło na samą myśl o tym. W uszach zadźwięczały słowa Gannona: *Chcę spacerować po Londynie z tobą u boku. Chcę towarzyszyć ci do Vaux-hall. Kupować ci fatalaszki u Farringdona. Jadać z tobą u Gaillarda.*

*Słuchaj głosu serca.*

Przypomniały jej się słowa Davida Wrede. Musi to być cudowne uczucie, pomyślała z żalem, kiedy jest się tak pewnym jak on, co podpowiada własne serce.

*Słuchaj głosu serca.*

A gdyby tak postąpiła?

Stała całkiem bez ruchu, czując niespokojne łomotanie pulsu w skroniach. Co mówi jej serce?

*Wcale nie wiedziałem, że wtedy, w Paryżu, uważałaś mnie za przystojnego. Gdybym to wiedział, może moje życie potoczyłoby się inaczej.*

*Czy będziemy musieli czekać następne dwadzieścia lat, by ten wyczyń powtórzyć?*

Jej serce wierzyło Gannonowi. Jej serce mu ufało. Jej serce należało do niego.

Pojedzie.

Jeżeli tylko wytrwa w tym postanowieniu do następnej soboty.

---

## Rozdział dwudziesty pierwszy

---

Wsiadając do powozu, który wezwał dla niej lokaj Violet Westin, i podając adres: „Berkeley Square numer pięćdziesiąt cztery”, Christiane cała dygotała. Spędziła kilka godzin nad swoją toaletą, co było całkiem do niej niepodobne. Wiedziała już teraz, w czym jest jej do twarzy, a w czym nie. A przecież w ten wieczór popadła w żalną rozterkę. Zapakowała trzy możliwe zestawy: surową, niczym nie ozdobioną suknię z czarnego krepdeszynu; toaletę z batystu w kolorze kości słoniowej, która, kiedy założyła ją przed lustrem w swoim pokoju u Violet, wydała jej się odrobinę za bardzo przejrzysta; i jasnozieloną *charmeuse*; ta z kolei, po porównaniu z rękawami Violet, robiła wrażenie nieco niemodnej. W końcu zdecydowała się na czarną. Miała nadzieję, że jest wystarczająco skromna, by nie wywoływać komentarzy. I dekolt miała najmniejszy. W sumie to chyba dobrze. Zwinęła niesforne loki w jak najciaśniejszy kok, nie pozwalając, by wymknęło się choć jedno pasemko - i natychmiast zaczęła zastanawiać się, czy nie jest uczesana zbyt surowo. Starła się złagodzić ten efekt, zakładając kolczyki i naszyjnik z pereł, które hrabia d'Oliveri podarował jej na prezent ślubny. Perły były wspaniałe, aż poczuła skrupuły, czy przypadkiem nie są dla niej za strojne. Ale przydzielona przez Violet pokojówka pochwaliła klejnoty tak gorąco, że podniosła Christiane na duchu. Hrabina pragnęła, by tego wieczoru nikt i nic jej nie zastraszało, a perły dodawały pewności siebie. Właśnie po to nosi się przecież klejnoty.

Niemniej jednak, kiedy stangret podjechał na Berkeley Square i zaklął na widok długiej, powoli posuwającej się procesji powozów, wątpliwości Christiane znowu się ujawniły. To niemożliwe, żeby te wszystkie powozy kierowały się do Gannona. Któryś z jego sąsiadów

musi również wydawać przyjęcie. Albo, co bardziej prawdopodobne, kilku sąsiadów, pomyślała, kiedy przyłączyli się do pełzającego w żółwym tempie szeregu. Wpatrywała się w mijane domy - wysokie, eleganckie, z niezliczonymi oknami i wesoło oświetlonymi drzwiami. Przez ponad dwadzieścia lat nie była na wieczorku w takiej londyńskiej rezydencji.

- Co to był za numer? - zapytał stangret, wyciągając, szyję by popatrzeć na nią.

- Pięćdziesiąt cztery - powiedziała półgłosem.

- O rany. Niech no paniusia spojrzy na ten ogon.

Christiane spojrzała. Kilka starannie dobranych osób, zapewniał ją Gannon. A rząd powozów, które czekały, by wysadzić gości przed numerem pięćdziesiąt cztery, ciągnął się przez dwie przecznice. On chce mnie oszukać, zdała sobie sprawę Christiane. Zawstydzić mnie; W takim tłumie muszą się znaleźć goście, którzy hrabinę rozpoznają, którzy będą ją pamiętali. Którzy ją napiętnują. Nabrała tchu i już miała kazać stangretowi zawracać, kiedy jakiś mężczyzna, jadący w kariołce za nimi, wstał i zaczął jak szalony wymachiwać rękami.

- Lady d'Oiveri? - zawołał do niej. - Czy to naprawdę pani? Ku swojemu zdumieniu poznała Leona Caplana.

- Doktorze! - odrzyknęła. - Co pan tutaj robi? Caplan wyskoczył z powoziku, zapłacił stangretowi i podszedł do niej.

- Na dobrą sprawę pojęcia nie mam - powiedział. - Dostałem od lorda Carew zaproszenie na fetę na dziś wieczór. Przypuszczam, że w ten sposób chce podziękować mi, iż zająłem się jego bratanicą. A pani?

- Ja... ja też je otrzymałam. Jestem pewna, że z tego samego powodu.

Leon uśmiechnął się. Szedł obok powozu, który wolniutko podjeżdżał pod dom.

- Ośmielę się wątpić.

- Nie mam pojęcia, dlaczego miałby pan coś takiego mówić.

- On i ja wymienialiśmy listy z informacjami, dotyczącymi stanu zdrowia panny Finn - rzekł doktor. - To niesłychanie interesujący mężczyzna. Przekonałem się, że wykazuje niezwykle dogłębne zrozumienie ludzkiej natury.

Christiane wpatrywała się w niego oniemiała.

- Przekonał się pan?
- Ależ oczywiście. A pani nie?
- Byłam o tym przekonana do dziś wieczór - mruknęła Christiane raczej ponuro.
- Co też pani może mieć na myśli?  
Christiane zawahała się, potem zdecydowała się ujawnić wszystko.
- Lorda Carew i mnie łączył w przeszłości pewien... związek, Leonie.
- Wiem. Pisał o tym w swoich listach. Jak on śmiał?
- A co panu napisał? - zapytała ostro. Doktor Caplan znowu się uśmiechnął.
- Musi pani zdawać sobie sprawę, Christiane, co lord Carew do pani czuje.
- Wiem, że żywi pewne złudzenia, jakoby się we mnie zakochał.
- Dlaczego nazywa pani jego uczucie złudzeniem? Christiane szerokim gestem ogarnęła szereg powozów.
- Ponieważ nalegał, bym naraziła się dziś wieczorem na coś takiego! Powiedział, że będzie to ciche, prywatne przyjęcie. Karty i drinki, tak mówił.
- Bez wątplenia będą i karty, i drinki.
- Ale ja nie mogę pokazać się w takim tłumie!
- Dlaczego nie?
- Bardzo dobrze pan wie, dlaczego - odparła.  
Doktor Caplan podrapał się z roztargnieniem po brodzie.
- Jak zrozumiałem z korespondencji jego lordowskiej mości, martwi się on, że pozwala pani, by życie przepływało obok pani.
- Niczego takiego nie robię. Po prostu dokonałam wyboru i cały swój wysiłek skupiłam na powierzonych mej opiece dziewczętach. A pan doskonale wie, że gdyby moje powiązania z akademią pani Treadwell kiedykolwiek wyszły na jaw, oznaczałoby to koniec wszystkiego, nad czym pracowałam!
- A może na dzisiejszy wieczór zapomniałaby pani o akademii? - podsunął doktor.
- Zapomnieć o... czy chce pan powiedzieć, że powinnam to przemilczeć?

- A czemu by, u diabła, nie?

Zanim zdążyli przedyskutować tę sprawę, powóz podjechał pod drzwi. Christiane popatrzyła na jasno oświetlone okna, usłyszała dobiegające z wnętrza dźwięki muzyki i śmiech. Serce jej przepelniała ogromna tęsknota, by wysiąść z powozu i przyłączyć się do uczestników zabawy - a najbardziej pragnęła zobaczyć znowu jego, Gannona. Ale przecież...

Doktor Caplan podał jej rękę.

- Idziemy?

- Ja... chyba nie.

- Och, Christiane. - Oczy lekarza błyszczały w świetle latarni. - Ja zabiłem Chrystusa. Czymże są przy tym pani grzechy?

- A nie boi się pan? - wyszeptwała.

- Że mną pogardzą? Tak. Trochę. Ale bardziej się boję, że więcej takiej szansy mogę nie otrzymać.

- Szansy na co?

- By wyrazić swoją opinię. By dowieść własnym zachowaniem i konwersacją, że nie żaden ze mnie demon, i że, co za tym idzie, inni Żydzi też nimi nie są. - Uśmiechnął się do niej szeroko. - Mogłaby pani to samo dziś wieczór zrobić dla ladacznic.

Odźwierny i dwóch chłopaków czekało na nich z rosnącym zniecierpliwieniem. Christiane przyłożyła dłoń do pereł na szyi i z trudem przełknęła.

- Bardzo dobrze - powiedziała i pozwoliła, by doktor pomógł jej wysiąść.

Kiedy przestąpili próg, pelerynę od Christiane odebrała uśmiechnięta irlandzka pokojówka.

- Nazwiska, jeśli państwo łaskawi? - zapytała, przykucając w dygu.

- Doktor Caplan - powiedział dźwięcznym głosem lekarz - i hrabina d'Oliveri.

- Tak, sir. - Dygnęła znowu i półgłosem przekazała informację kamerdynerowi, który podprowadził ich do drzwi zatłoczonego salonu.

- Doktor Caplan - oznajmił kamerdyner tłumowi - i hrabina d'Oliveri!

W zgromadzonym tłumie nie odwróciła się w ich stronę ani jedna



głowa. Christiane ośmieliła się znowu odetchnąć.

Doktor wziął hrabinę pod rękę i wprowadził do pokoju. Salon był tak zatłoczony, że na moment ogarnęła ją panika. Szukała nerwowo wzrokiem twarzy, które się obawiała zobaczyć, pani Minton, lady Calhoun, pani Bartelsbury, tych okropnych tygrysic z towarzystwa. Właściwie to spodziewała się, że rzucą się na nią, będą wytykać palcami, szydzić, ogłaszać światu, jak w przeszłości zgrzeszyła. Ku jej bezgranicznemu zdumieniu nic takiego nie miało miejsca. Prawdę mówiąc, nikt na nią i doktora nie zwrócił uwagi, poza...

Ktoś przepychał się przez tłum w ich kierunku - wysoka, biuściasta kobieta o sfalowanych, siwych włosach i niesłychanie arystokratycznym wyglądzie. Christiane cofnęła się z przerażeniem. Kolana się pod nią ugięły, więc uczepliła się ramienia Leona. Siwowłosa matrona, roztrącając gości na boki, sunęła w ich stronę nieubłaganie, aż wreszcie przed nimi stanęła.

- Czy to pani, Christiane Roxell? - zapytała głosem tak donośnym, że prawie echem odbił się od krokwi.

Hrabina się skuliła.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę przypomnieć sobie...

- Lady Custis - odpowiedziała lakonicznie matrona. - A chciałabym dowiedzieć się, co stało się z tym burdelem, który prowadziła pani w Paryżu?

- To nie był...

- Bo mój Eliot zwykle przy pani stolikach wygrywał, a tu, w Anglii, nigdy mu się to nie zdarza! - ciągnęła kobieta z oburzeniem. - Bardzo bym chciała, żeby pogadała pani od serca z tymi tutejszymi kabotynami i pouczyła ich, jak prowadzić porządną jaskinię hazardu. Cienia przyzwoitości już nigdzie znaleźć nie można!

Doktor Caplan zachichotał. Christiane dała mu sójkę w bok.

- Bardzo dziękuję pani, lady Custis, za komplement... chyba - odpowiedziała.

- Ach, cóż, nic nie jest już takie, jak było dawniej, prawda? - wygłosiła żalobnym tonem lady Custis.

- Nie. Rzeczywiście chyba nie jest. Ale mimo to bardzo szykownie i ślicznie pani wygląda.

Matrona rozpromieniła się.

- Tak pani uważa? Zachwycona jestem pani suknią. Francuska, jak przypuszczam.

- Tak. Francuska.

- Francuskiego kroju nie da się pomylić z niczym innym. Teraz, kiedy ta cholerna wojna się skończyła, pewnie znowu zaczniemy was doganiać. A kim jest pani rozchichotany przyjaciel?

Christiane zerknęła na doktora Caplana, który wciąż jeszcze się śmiał.

- Lady Custis, doktor Caplan - dokonała prezentacji na tle paplaniny i muzyki.

Thum nagle przegrupował się, porwał ze sobą Christiane i zaniósł ją na środek pokoju.

I niespodziewanie znalazła się twarzą w twarz z Gannonem.

- Okłamał mnie pan - powiedziała.

- Jak to?

- „Małe, skromne przyjętko” - przypomniała mu.

- Lord Carew! - wepchnęła się między nich matrona o śnieżnobiałych włosach. - Podaje pan zupełnie wspaniałego szampana! A przystawki są wręcz rozkoszne. To musi być szynka z Westfield. Jestem dziewczyną z Suffolk. Poznałabym ten rodzaj szynki na końcu świata.

- Ma pani absolutną rację, panno Russ. Panno Russ, czy poznała już pani hrabinę d'Oliveri?

- Coś mi się zdaje, że nie. - Panna Russ skłoniła głowę przed hrabiną. - Śliczna kruszyna z pani. Cudowny ma pani kapelusz.

- Dż... dziękuję. - Christiane dygnęła i lekko się zarumieniła. - Pani jest również bardzo piękny.

- Panna Russ wydała ostatnio powieść - zauważył lord Carew.

- Naprawdę? - Christiane popatrzyła na nią zdumiona. Panna Russ uśmiechnęła się.

- Naprawdę. Ale nie pod własnym nazwiskiem, tylko jako pan John Russell.

- Została bardzo dobrze przyjęta. Miała wspaniałą recenzję w „Gazette” - dodał lord Carew.

- Czytałam tę recenzję! - wykrzyknęła Christiane zdumiona. - Była

pióra lorda Bertranda, prawda? Opisał pani książkę jako „dowcipną, ciętą i...

- ... i dzieło genialnego chłopca" - dokończyła panna Russ z gardłowym chichotem. - Gdyby tak wiedział!

- Jakim cudem udaje się pani zachować tajemnicę? - nie mogła nadziwić się Christiane.

- Wcale się o to nie staram - wyjaśniła panna Russ. - Chyba że wobec lorda Bertrand i jemu podobnych.

W tym momencie przepchnął się do nich przez tłum wysoki, wychudły mężczyzna i postukał czubkiem palca pannę Russ po ramieniu.

- Wspaniała recenzja, Joan! Chociaż gdyby takiemu nudziarzowi jak Bertrand podobała się moja robota, trochę bym się martwił.

Panna Russ parsknęła śmiechem.

- Rozumiem twój punkt widzenia, Samuelu. Ale darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Pocieszam się myślą, że milord mógł tak naprawdę nie przeczytać dzieła w całości. Czy wpadła ci może w oko diatryba lorda Hornsby'ego przeciw poetkom, zamieszczona w „Post”?

- Oczywiście. Od wieków się tak nie uśmiełem. A ty? Christiane przyglądała się, jak kobieta i chudzielec odchodzą razem.

- Kim jest ten pan, z którym rozmawia panna Russ? - zapytała Gannona.

- To pan Coleridge, autor dramatu „Remorse”, który w tym roku odniósł taki ogromny sukces w Drury Lane.

- Samuel Coleridge?

Lord Carew uniósł jedną brew.

- Zna go pani?

- Nie, ale ubóstwiam jego wiersze.

Rozmówca hrabiny rozejrzał się, a następnie ściszył głos.

- W wyższych sferach niechętnie go przyjmują, przez ten niefortunny nałóg palenia opium. Ale jest zycziwy i inteligentny, mnie jego towarzystwo cieszy.

- Kogo poznam w następnej kolejności... lorda Byrona? Gannon spojrział na nią z wysokości swego wzrostu.

- Z pewnością nie. Mam pewne standardy.

Wcale nie była taka całkiem pewna, czy sobie żartuje, czy nie.

- Ale jego dawna muza, lady Lamb, jest gdzieś tutaj - zauważył. - Biedaczka. Od kiedy ją tak brutalnie porzucił, nie może się pozbierać.

- Kim pan jest... zbawcą zbłąkanych duszyczek? - To pytanie zabrzmiało ostrzej, niż zamierzała. Czyżby uważał ją za właśnie coś takiego: za zbłąkaną duszę?

Szare oczy Gannona spojrzały na nią chłodno.

- Nie zbawcą. Może raczej kolekcjonerem.

- Lord Carew! - okrzyknął gospodarza przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna z brązowymi węsami. - Właśnie wracam z pana ogrodów. Są naprawdę zupełnie wspaniałą. Dobrze przemyślana, różnorodna aranżacja. A ta świątynka dumania: niezwykła!

- Dziękuję panu, Brown. Ale obawiam się, że nie mogę przypisać sobie najmniejszych nawet zasług. Hrabino, czy przedstawiono już pani pana Roberta Browna, znanego botanika i bibliotekarza Stowarzyszenia Linneusza?

- Jak się pan ma, panie Brown? - Christiane podała mu rękę, a Brown ucałował ją z roztargnieniem.

- Pan Brown odbył ostatnio podróż do Australii i sporządził katalog tamtejszych roślin - powiedział lord Carew.

- Naprawdę pan tego dokonał, sir?

- Miałem ten wielki przywilej.

- Czy przekonał się pan, iż tamtejsza flora bardzo różni się od angielskiej? - zapytała uprzejmie Christiane.

Pan Brown zawahał się, choć miał odpowiedź na końcu języka. Lord Carew parsknął śmiechem.

- Niech pan nie zaczyna, Brown! - przestrzegł. - Znalazł tam i opisał ponad cztery tysiące gatunków nowych roślin, pani hrabino. Jest rzeczą niebezpieczną zapraszać eksperta, by rozwodził się nad swoją dziedziną wiedzy.

- Z radością będę czekał, by któregoś dnia omówić z panią ten temat bardziej obszernie, lady d'Oliveri - powiedział tęsknie pan Brown.

- Ja również się na to cieszę - zapewniła go z uśmiechem. Lord Carew wziął ją pod rękę i odprowadził na bok. - Dokąd idziemy? - zapytała, kiedy następni goście pozdrawiali go okrzykami i machaniem

rąk.

- Gdzieś, gdzie uda nam się porozmawiać, nie krzycząc.
- Czy nie powinien pan sprawować obowiązków pana domu?
- Wszystko wydaje się samo toczyć swoim trybem. Wie pani, to

największa zaleta małego, ścisłego grona towarzyskiego. Wystarczy ich zaprosić, a każdy, bez wyjątku, wie, co ma robić. - Wyminął zastawione stoły bufetu, przy których panował tłok, i ruszył w kierunku francuskich drzwi.

- To bardzo elegancki dom - zauważyła Christiane, przyglądając się otoczeniu.

- Co takiego? - Muzykanci właśnie zaczęli grać, hałas panował niesamowity.

- Wszystko jedno - mruknęła i dała się wyprowadzić na zewnątrz.

Za drzwiami był szeroki taras, wychodzący na ogrodzony murem ogród. Christiane dostrzegła wysoki żywopłot i trawniki, obwiedzione równiutkimi, ceglanymi ścieżkami. Tuż pod schodami migotała w świetle księżycy sadzawka z rybkami. Obejrzała się na osłonięte welwetem drzwi.

- Czy pan od dawna tu mieszka?

Popatrzył na nią.

- Dziwne, że pani pyta. Objąłem ten dom w posiadanie dopiero przed dwoma tygodniami. Czemu się pani chciała dowiedzieć?

- To taka bardzo angielska rezydencja. W niczym pana nie przypomina.

- Kiedy go wybrałem, myślałem o Claire. Uznałem, że będzie chyba właściwy na jej debiut.

- A gdzie wcześniej mieszkał pan w Londynie?

- Miałem apartament w cieszącym się nie najlepszą sławą pensjonacie dla dżentelmenów.

Christiane nie potrafiła powstrzymać uśmiechu na jego szczerość. Gannon wziął ją za rękę i poprowadził w stronę schodów.

- To bardzo niewłaściwe, jeżeli gospodarz zostawia swoich gości, nieprawdaż? - zapytała, wpatrując się w sadzawkę. W jej głębinach mignęło coś srebrzyście, usłyszała głośny plusk.

- Poradzą sobie beze mnie całkiem nieźle, dopóki szampan będzie

płynął szeroką strugą. Nie znoszę tłumów, nigdy ich nie lubiłem. -  
Pociągnął hrabinę za sobą w stronę jednej z ceglanych ścieżek.

- Dokąd idziemy? - zapytała, odrobinę brakowało jej tchu.
- Czy nie ma pani ochoty obejrzeć mojej świątynki dumania?

Christiane zwolniła, starając się nie wychodzić z kręgu światła, które wylewało się z okien. Nie miała chęci wstępować w cień.

- Widziałam już w życiu wiele świątyniek ku czci szaleństwa wszelkiego rodzaju.

- Podobnie jak ja - powiedział, przystając na ścieżce. - A i sam niejednokrotnie bywałem przyczyną szaleństwa. Dobrana z nas para, czyż nie?

- W jakim sensie dobrana?

- No, na początek w takim. - Pocałował ją.

- Lordzie Carew! - wykrzyknęła Christiane, starając się go odepchnąć.

- Och, na Boga, Christiane, przestań mnie lordować. Oboje wiemy, po co tu dziś wieczorem przyjechałaś.

Christiane spłonęła rumieńcem.

- Jeśli chce pan powiedzieć, że po to, by tarzać się w różanych krzewach, to się pan myli.

- Co innego miałem na myśli. - Puścił ją, pozwalając nieco się odsunąć. - Ale jaki sens ma wypieranie się tego, co do siebie czujemy?

- Wydaje się pan dużo bardziej pewien, co do siebie czujemy, niż ja. Powiedział mi pan, że będzie to dla mnie okazja, by stawić czoło przeszłości. A jak mam to zrobić, jeżeli będę z panem tutaj baraszkować?

- Baraszkować? - uniósł brew.

- Wpływy pani Treadwell - przyznała Christiane.

- Miałem na myśli coś więcej niż baraszkowanie.

- Tego się właśnie obawiam. Gannon uczeplił się jej słów.

- Dlaczego? Czego się obawiasz?

Christiane westchnęła i cofnęła się o kilka kroków.

- Po prostu nie widzę w tym żadnego sensu.

- Żadnego sensu w zakochaniu? - zapytał Z niedowierzaniem.

- Kto jest zakochany?



- Ja jestem. - Spuścił wzrok i lekko, czubkiem buta zaczął kopać w grudkę ziemi. - A ty nie?
- Miłość jest dla pańienek w wieku szkolnym - odrzekła krótko.
- Kto tak powiada? Pani Treadwell?
- Nie możesz chcieć się ze mną ożenić.
- A dlaczego, do wszystkich diabłów, nie? Teraz Christiane spuściła wzrok.
- Jestem już w pewnym wieku... - I chociaż z wielkim trudem, przemogła się jednak i ciągnęła: - Nie mogę dać ci tego, po co mężczyźni się żenią.
- Chodzi ci o dzieci? - Christiane przytaknęła zawstydzona. - I Bogu niech będą dzięki!
- Ty nie chcesz mieć dzieci?
- Nigdy nie chciałem. Nigdy nie będę chciał.
- Och, mówisz tak teraz. Ale kiedy będziesz stary i zramolały, i samotny...
- Dlaczego miałbym być samotny? Czy ciebie przy mnie nie będzie? Był naprawdę niemożliwy.
- Skąd mam to wiedzieć? - warknęła. - Różne się rzeczy zdarzają, Gannonie! Ludzie umierają!
- Nam to się nie zdarzy. - Uśmiechnął się szeroko, sięgając znowu po jej dłoń.
- Powinieneś ożenić się z Greer. Naprawdę powinieneś.
- Nie kocham Greer. Kocham ciebie.
- Bardzo bym chciała, żebyś przestał tak mówić.
- A ja bardzo bym chciał, żebyś przestała walczyć z tym, co kryje się w twoim sercu, a o czym sama dobrze wiesz. Kochasz mnie równie mocno, jak ja kocham ciebie od spotkania w Paryżu. - Pociągnął ją za sobą. - Chodź, będziemy świętować. Już straciliśmy zbyt wiele czasu. Dwadzieścia lat, Christiane! Pomyśl, czego przez te dwadzieścia lat mogliśmy dokonać.
- Mogliśmy się znienawidzić, jeżeli inni mają tu być jakimś wzorem - powiedziała cierpko.
- A od kiedy to któreś z nas przyjmuje innych za wzór? - Ciągnął Christiane za sobą, nie wypuszczając jej dłoni.

Świątynka ukryta była za wysokim, bukszpanowym żywopłotem. Christiane nie zdołała powstrzymać cichego okrzyku, kiedy wyszła z zakrętu i zobaczyła, jak budynek mieni się w świetle księżyca. Spodziewała się zwyczajnego zwaliska pseudogreckich ruin, które były ostatnim krzykiem mody. Zamiast tego zobaczyła prostokątną sadzawkę, zaprojektowaną tak, by odbijała się w niej lśniąca kopuła z widmowo białego alabastru, ozdobiona delikatnymi łukami i wprawiona między cztery igliczki. Była malutka, nie wyższa niż na dwadzieścia stóp, ale zdumiewająco śliczna.

- Zbudowana przez poprzedniego właściciela - powiedział jej Gannon. - Miał w Indiach przędzalni bawełny jak mrówek. Wiesz, co to jest? - Christiane potrząsnęła głową, upajając się widokiem. - To Tadź Mahal, oczywiście pomniejszony, nie w pełnym wymiarze. Pierwowzór został zbudowany przez cesarza Szahdżahana, jako grobowiec dla jego królowej. Potrzeba było dwadzieścia dwa lata i dwadzieścia tysięcy ludzi, żeby go wznieść.

- Boże - szepnęła Christiane.

- Żona człowieka, który sprzedał mi ten dom, umarła, kiedy jej mąż był w Indiach i robił wielki majątek - dodał Gannon. - Wrócił do domu i wznosił tę miniaturę ku jej pamięci.

- Jakież to strasznie smutne. Gannon popatrzył na nią.

- Tak. To jest smutne, kiedy pozwalamy, by miłość przeszła obok nas. Kiedy możemy już tylko wznosić pomniki ku jej pamięci. - Księżyc wisiał na niebie, u ich stóp, w marszczonej leciutkim powiewem sadzawce lśniło jego bliźniacze odbicie. Ręka Gannona dotknęła talii Christiane. - Christiane, towarzystwo to coś więcej niż panie u Almacka. To są na przykład moi przyjaciele. Może polubiłabyś moich przyjaciół.

- Ty nie rozumiesz - powiedziała cicho. - To nie tylko społeczeństwo. To również Evelyn i obowiązki, jakie wzięłam na siebie.

- Wierzysz w to, czego uczysz te dziewczęta...

- Oczywiście, że tak!

- A więc czy nie pora już, byś stanęła w obronie tego, w co wierzysz? Poza tym - pogładził ją po policzku, położył na nim dłoń. - Nie będziesz sama. Będziesz miała mnie u boku.

Christiane spojrzała za jego ramię na połyskliwą, alabastrową kopułę.

Potem zwiesiła głowę.

- Boję się.

- A myślisz, że ja nie? Ale dla ciebie zaryzykuję wszystko. Muszę. Nie mam innego wyboru. Bez ciebie nie ma dla mnie spokoju, i tak było od chwili, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem. Jeżeli mam jakąkolwiek szansę na szczęście, to tylko z tobą.

- A co, jeżeli... - zaczęła i urwała.

- Mów dalej - nalegał. Christiane beznadziejnie westchnęła.

- A co, jeżeli tylko w marzeniu o mnie jesteś zakochany? Ja nie... sam wiesz, że daleka jestem od ideału. Nawet dalsza niż wtedy, kiedy miałam lat dwadzieścia trzy. Nic na to nie poradzę: wydaje mi się, że nie widzisz mnie takiej, jaką jestem, że widzisz tylko miraż z przeszłości, wokół którego oplotły się twoje marzenia.

- To absurd.

- Nie. Popatrz na mnie, Gannonie. - Popatrzył i się uśmiechnął. - Nie, popatrz na mnie tak naprawdę, realnie! Mam zmarszczki w kącikach oczu! Siwieję! Robię się stara!

- Chcę mieć tylko zaszczyt przyglądania się, jak się to dzieje.

Bezustannie.

- Tak mówisz teraz. Ale za następne dziesięć, dwadzieścia lat...

- Jeśli Bóg pozwoli, wasza akademia, twoja i pani Treadwell, będzie nadal robić wiele hałasu w Anglii. Ale ty wieczorami będziesz wracała do domu, do mnie.

Christiane potrząsnęła głową.

- Po prostu nie da się z tobą rozmawiać, prawda?

- Nie. I dlatego zmuszony jestem zadać sobie pytanie: czemu tracimy czas? - Z uśmiechem przyciągnął Christiane mocno do siebie i delikatnie uniósł czubkami palców jej brodę, a potem pocałował z cichą, jakby uroczystą natarczywością, od której nogi się pod nią ugięły. Napierał językiem na jej wargi, szukając wejścia, i wsunął go do ust, jak tylko je rozchyliła w proteście. Jęknął. Czują przez suknię, jak nabrzmiała jego męskość. Sięgnął do stanika Christiane, objął pierś i zaczął pieścić jej czubek przez kokon gładkiego, czarnego jedwabiu. Christiane poczuła, jak głęboko w podbrzuszu rozpała się nieprzewyciężony płomień pożądania; resztkami sił czepiała się zdrowego rozsądku.

- Nie - wyszeptała głosem, który niezbyt był stanowczy. Ku jej zdumieniu Gannon się cofnął.

- Masz całkowitą rację. Musimy najpierw zająć się naszymi gośćmi. Ale potem... - Przycisnął ją do siebie po raz ostatni i złożył na jej szyi z boku tak namiętny pocałunek, że przeszedł ją dreszcz rozkoszy. - Potem podporządkuję cię swej woli. - Christiane wciąż nie mogła złapać tchu... (Dlaczego on tak na nią działa? W głowie jej się kręciło, czuła się oszołomiona i gotowa, tak bardzo gotowa...) Gannon roześmiał się, chwycił ją w ramiona i w triumfie poprowadził z powrotem do domu.

Przez całą resztę wieczoru Christiane w zawrotnym tempie zaskakiwały nieoczekiwane i miłe wydarzenia. Gannon trzymał ją blisko, tuż przy sobie, i nie puszczał na krok, z dumą przedstawiając każdemu, kogo tylko spotkali, a więc całej zgrai pisarzy, muzyków, artystów wszelkiego typu i autoramentu, od czasu do czasu jakiemuś biznesmenowi czy wojskowemu albo aktorce - a niektóre były naprawdę prześliczne. Kilkoro gości zdawało się rozpoznawać jej nazwisko, ale było ich niewielu, a kiedy Gannon napomykał, że dopiero niedawno wróciła z Francji do Anglii, wszyscy gorliwie nalegali, by opowiedziała o francuskich zwyczajach i modzie. Napoleon był ich śmiertelnym wrogiem, ale bardzo go również podziwiano.

Najgorszy moment nastąpił przy kolacji, kiedy posadzono ją obok lorda Cobblesby. Jego budząca respekt połowica należała, zdaniem pani Treadwell, do jednej z najbardziej wymownych tygrysy, które potępiały Christiane za jej przygody za granicą. Lord Cobblesby za to był częstym gościem w Maison de Touton, kiedy przyjeżdżał w interesach regenta do Paryża. Zachwycił się bliskością starej znajomej i nie omieszkał pochylić się przez stół do swojej żony i oświadczyć:

- Czyż nie mówiłem ci zawsze, że jest skończoną damą? Gdyby nie podobne tobie niewiasty, w ogóle nie musiałyby wyjeżdżać do Francji. Jakim więc prawem narzekacie, że poradziła sobie tam w ten a nie w inny sposób?

Widząc, że lady Cobblesby zeszywniała, Christiane szybko wtrąciła:

- Ależ, milordzie, lady Cobblesby miała wszelkie powody, by mnie potępiać. Byłam niemądrą, upartą dziewczyną.

- Całkowita racja - prychnęła lady Cobblesby. A potem, ku

zdumieniu Christiane, pochyliła się ku niej i szepnęła: - Miała pani jednak stuprocentową rację, moja droga, w sprawie tego krętacza Weatherstona. Wszyscy o tym teraz już wiedzą. Czyż nie doprowadził do tego, że Amanda Feathers znalazła się w odmiennym stanie? A była czysta jak lilia, zanim go spotkała. Nic więc dziwnego, że ktoś taki, jak pani, padł jego ofiarą. Christiane usłyszała, że u jej boku Gannon krztusi się ze śmiechu. Zachowała opanowanie, acz z trudem.

- To haniebne, czyż nie, milady, jak mężczyźni wykorzystują kobiety?

- Bez dwóch zdań - zgodziła się stara dama, cmoknęła, złożyła serwetkę i wstała z krzesła. - Niech mi ktoś teraz powie, gdzie tu, u diabła, grywa się w wista?

- Tędy, proszę. - Gannon pokazał na drzwi do karcianego pokoju.

- Proszę ze mną, sir - rozkazała milady mężowi. - Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć stolik.

- Przemięło było pana znowu spotkać, lordzie Cobblesby! - zawołała Christiane, kiedy jego małżonka stanowczo wyprowadzała go do drugiego pokoju. - Ależ oni złagodnieli! - nie mogła się nadziwić, gdy lordostwo znaleźli się już poza zasięgiem słuchu.

Palce Gannonna zacisnęły się mocniej na jej łokciu.

- Może nie wszyscy i nie do końca. - Podchodziła do nich właśnie płowiejąca blondynka, która praktycznie wlokła za sobą wysokiego, tęgiego mężczyznę z monoklem w oku. Christiane podupadła na duchu, ale robiła dobrą minę do złej gry.

- Przecież to lord i lady Hainesworth - powiedziała. - Jak się państwo macie!

Harold Hainesworth, w którym tak rozpaczliwie zadurzyła się w wieku osiemnastu lat, zaczerwienił się i wymamrotał coś niezrozumiałego. Jego żona była bardziej bezpośrednia.

- Dobry wieczór, lordzie Carew, Christiane. Proszę mi powiedzieć, Christiane, czy wciąż jeszcze ma pani powiązania z akademią pani Treadwell? - Christiane otworzyła usta, ale żadne słowa nie przychodziły jej na myśl. Na szczęście baronowa nie czekała na odpowiedź. -

Ponieważ muszę pani powiedzieć, że nie przestaję jej w najgorętszych słowach polecać wszystkim moim przyjaciółom. Nie uwierzyłaby pani,



jaka cudowna jest obecnie nasza Nichola! A te bliźniaki! Śliczniejszych dzieci nigdy nie było, prawda, Haroldzie?

- Mmf - wybełkotał baron.

- Pojechaliśmy ich odwiedzić na Boże Narodzenie, a oni w sierpniu będą towarzyszyli nam do Bath. Tak się na to cieszę! Przyznaję, że w pierwszej chwili lord Boru nie wydawał nam się zbyt dobrą partią, ale kiedy teraz patrzę, jak wspaniale traktuje naszą córkę, jakby była prawdziwą księżniczką... - zerknęła znacząco spod oka na męża, a potem ściszyła głos i znowu się pochyliła. - Dał jej rubinowy naszyjnik, który jest w jego rodzinie od pięciuset lat. Musi być wart chyba z dziesięć tysięcy funtów. A ona zakłada go na polowanie! Po całym ich domu płaczą się psy... Och, nasza Nichola jest taką buntowniczką. Ale są razem szczęśliwi...

Głos jej przycichł tęsknie. Baron polerował monokl chusteczką do nosa.

- Ogromnie mnie cieszą pani słowa - rzekła ciepło Christiane.

- Nie jestem małostkowa i mam nadzieję, że stać mnie, by przyznać się, kiedy popełnię błąd - oświadczyła baronowa. - Oczywiście w moich rekomendacjach wspominam przy damach tylko o pani Treadwell, nigdy o pani!

- Naprawdę bardzo wysoko sobie to cenię. Baronowa puściła do niej oko.

- To nasz mały sekret. Czyż nie tak, milordzie?

- Mmf - stęknął baron. - Napiłbym się czegoś, co?

- Powiedziałabym, że dość na dzisiaj wypileś. - Ale mąż boczkiem się już wmykał. Baronowa pochyliła się ku Christiane po raz ostatni. - Mówiłam tak już wcześniej, Christiane, i powtórzę raz jeszcze: powinnam była pozwolić, żeby go pani sobie wzięła, kiedy go pani chciała. Pięciu synów, nie wspominając już o Nicholi, a nie więcej zwraca na mnie uwagi niż na kuchenne drzwi. Muszę iść i go powstrzymać, zanim upije się do nieprzytomności i zrobi z siebie widowisko. Niech pani na siebie uważa. - I ku zdumieniu Christiane baronowa cmoknęła ją w policzek, a potem pospiesznie oddaliła się za mężem.

Gannon wybuchnął śmiechem i wziął hrabinę pod rękę.



- No i masz tę swoją przeszłość, której tak bałaś się stawić czoło. Wydaje mi się, milady, że winna jest mi pani taniec. - I poprowadził Christiane na zatłoczony parkiet.

Scandalous

---

## Rozdział dwudziesty drugi

---

Zanim ostatni maruderzy skierowali się do drzwi wyjściowych, dochodziła już trzecia nad ranem. Christiane wiedziała, że powinna czuć się wyczerpana, a tymczasem czuła się nieprawdopodobnie ożywiona, pełna werwy, jakby wszystkie jej nerwy napięły się do granic wytrzymałości. Stała w drzwiach u boku Gannona i machała ostatnim gościom na pożegnanie. Gannon objął ją ramieniem, kiedy lokaj pomagał wsiąść poczerwieniałej na twarzy lady Cobblesby i jej mężowi do powozu.

- Przyniosła mi pani szczęście, Christiane! - wołała stara smoczyca wesoło. - Wygrałam prawie dwieście funtów! Lordzie Carew, kiedy będzie pan wydawał następne przyjęcie, proszę jej tutaj nie zapomnieć ściągnąć!

- Och, nie omieszka - zapewnił ją pan domu. Zagrzmiały końskie kopyta, powóz oddalił się i ulica opustoszała. - Szlag by to trafił - wymamrotał Gannon.

- Co się stało?

- Wcale nie miała wygrać. Zapraszam tę damę tylko po to, żeby moi przyjaciele, którym rozpaczliwie brakuje funduszy, mogli ją trochę oskubać. Ma aż nadto pieniędzy i zwykle gra całkiem okropnie.

- Zapraszasz ją tylko po to, żeby twoi przyjaciele mogli na niej zarobić? - zapytała ostro hrabina.

- No przecież nie z powodów estetycznych.

- Ale dlaczego ona przyjeżdża, skoro przegrywa?

- Należy do kobiet, które lubią uważać siebie za konesera w dziedzinie sztuki. Nieodmiennie próbuje pokazać biednemu Coleridge'owi swoje wiersze.

Christiane parsknęła śmiechem i odsunęła się, kiedy chciał ją objąć.

- Muszę już jechać. Violet będzie szalała z niepokoju.
- Jesteś dorosłą kobietą.
- Tak. Ale postąpiłabym nieładnie, zostawiając ją w niepewności, gdzie mogłam się podziać.
- Jeszcze jeden ostatni kieliszek szampana - nalegał. - Czy nie mówiłaś, że pojechała do Prinny'ego? On na pewno jeszcze nie przerwał swoich igraszek. - Wciągnął hrabinę do środka, zamknął drzwi i dał znak znużonemu kamerdynerowi. - Proszę nam już tylko przynieść butelkę Veuve Cliquot, O'Malley, i dwa kieliszki, a potem może pan iść do łóżka. Kuchni też proszę przekazać, że mogą się położyć.
- Ale sprzątanie, milordzie...
- Zaczeka do rana. Proszę już iść.
- Słucham, jasnie panie. - Kamerdyner ziewnął szeroko, kierując się do kuchni.

Gannon wprowadził Christiane do olbrzymiego, opustoszałego salonu i usadowił się obok niej na wyściełanej kanapce. O'Malley wrócił z tacą, na której stała butelka i kieliszki.

- Sam ją otworzę - powiedział mu Gannon. - Zrobił pan dzisiaj kawał wspaniałej roboty. Jestem za to wdzięczny.

- Cała przyjemność po mojej stronie, milordzie. - Kamerdyner ukłonił się i już go nie było.

Gannon z pełnym satysfakcji błyskiem w szarych oczach odkorkował butelkę i napełnił wysokie, smukłe szampanki.

- Chyba i tak już za dużo wypiałam - zaprotestowała Christiane.

- Szkoda. Miałem nadzieję, że zechcesz odwiedzić ze mną powtórnie świątynkę. - Stuknął się lekko z nią kieliszkiem. Szkło delikatnie zabrzęczało.

- Powinnam już iść - powtórzyła.

- Dlaczego ty się mnie tak boisz?

- Wcale się ciebie nie boję. - Ale słyszała, że głos jej drży, i wiedziała, że on również to usłyszał.

Gannon ujął jej dłoń w swoją rękę. Gładził miękką białą skórę po wewnętrznej stronie przegubu.

- Chcę się z tobą kochać, Christiane. Chcę znowu przeżyć to, co nas połączyło wtedy w akademii. Chcę słyszeć, jak wzdychasz, chcę czuć,

jak dygoczesz i chcę sam dygotać, kiedy odwzajemnisz moją namiętność.

- To był błąd - oświadczyła stanowczo.

- Błąd? Nie sądzę. - Położył dłoń na jej udzie, przez śliski jedwab czuła siłę jego palców. - Marzę o tobie. Co noc - wyszeptał. - Marzę o tym, by zanurzać się w tobie, by cię wypełniać, marzę o twojej słodkiej kapitulacji. - Przesunął czubkami palców po nagim ramieniu hrabiny, jego dłoń osunęła się niżej, wślizgnęła pod chłodny, czarny jedwab, aż wreszcie dotknął...

Christiane zerwała się na równe nogi.

- Dziękuję ci najserdeczniej, żeś mnie dziś tu zaprosił - powiedziała. Wiedziała, że papele coś bez sensu. - Przyjęcie było uroczne. A teraz, gdybyś zechciał wezwać dla mnie powóz...

- Wykluczone.

- Nie mam pojęcia, o co ci może chodzić!

- Och, myślę, że masz.

Christiane wzięła się pod boki i spiorunowała go spojrzeniem.

- Jak ja mam, twoim zdaniem, odzyskać reputację, skoro znowu zacznę się źle prowadzić?

- Ach - szepnął i wyciągnął rękę, by pogłodzić ją po policzku. - W tym cały urok. Jesteś już teraz wystarczająco dorosła, by mieć swoje zdanie. I nikt nie będzie sprawdzał, kogo wzięłaś do łóżka.

- Violet z pewnością...

- Violet wróci od Prinny'ego z okropnym bólem głowy i uda się prosto do swoich pokoi.

- Ale służba...

- A. Rozumiem. Jesteś skłonna zgodzić się, by pogarda pokojówki ograniczała twoją swobodę.

Christiane westchnęła rozzłoszczona.

- W twoim przypadku sprawy mają się inaczej! Ty jesteś mężczyzną!

- Jestem - potwierdził spokojnie. - Mężczyzną, który aż do bólu pragnie mieć ciebie w swoim łóżku. Nie na podłodze saloniku w akademii. Nie w pokojach, które dzieliłaś z Jean-Baptistem w Paryżu. Ale tutaj, na moim własnym gruncie. Na moich własnych warunkach.

- I wyobrażasz sobie, że to będzie jakaś różnica? - zapytała odrobinę wyzywająco.

- Myślę, że to będzie ogromna różnica.

Christiane patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Odpowiedział jej spokojnym spojrzeniem. Widziała wypukłość z przodu jego spodni. Zaczęła odwracać się do drzwi.

- Jeżeli teraz odejdziesz, nie będę cię więcej niepokoił.

Wypowiedział te słowa z nieposzlakowaną uprzejmością i spokojem, ale pobrzmiwała w nich stalowa nuta; Christiane wiedziała, że Gannon nie żartuje. Zatrzymała się, zawahała, usiłowała podjąć decyzję. Problem polegał na tym, że wiedziała dokładnie, czego chce, ale nie była pewna, czy starczy jej odwagi, by się przed nim do tego przyznać. A on zamierzał zmusić ją, by to powiedziała. Niczego nie będzie jej ułatwiał.

- Gannonie - odezwała się i zająknęła. Był bezlitosny.

- Tak?

- Bardzo ciebie chcę - wyszeptała zawstydzona. Surowa twarz Gannona rozjaśniła się w promiennym uśmiechu.

- Bogu niech będą dzięki - powiedział, wstał z kanapy i ujął ją za rękę.

Razem wspięli się po zaciemnionych schodach na górę.

Gannon otworzył drzwi do swoich pokoi. Christiane dech zaparło. Na kominku płonął ogień; w jego migotliwym świetle zobaczyła olbrzymie łoże ze słupkami i zasłonami z bogatego jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Carew usiadł na łóżku, ściągnął buty i pończochy, potem zdjął frak i rzucił go na wyściełane krzesło. Christiane bardzo niepewnie postawiła torebkę na biurku.

Pan domu wstał i zaczął rozpinać spodnie.

- Myślę, że trochę gry wstępnej... - podsunęła półgłosem.

- Wybacz moją niecierpliwość. - Zdjął spodnie.

- Gannon - zaprotestowała.

Gannon odrzucił krawat i zaczął rozpinać płócienną koszulę.

- Powinieneś mnie uwodzić!

- Uwodzę cię.

- Wcale nie. Ty się rozbierasz. Ty... - Gannon zdjął bieliznę. Stał przed nią nagi. Jego męskość sterczała, prosta i twarda, w pozycji na

baczność. Christiane odwróciła wzrok... a potem ukradkiem spojrzała znowu, wspominając...

Uśmiechnął się, podszedł do łóżka, odrzucił przykrycie, położył się i wyciągnął na całą długość z rękami pod głową.

Naprawdę chyba nigdy nie istniał drugi tak niemożliwy mężczyzna. Jeżeli spodziewa się, że Christiane wpłźnie tam do niego jak jakaś dziewczka...

- Co ty sobie właściwie wyobrażasz? - zapytała gniewnie.

- Daję ci dostateczną ilość czasu, żebyś sprawę przemyślała. Żeby tym razem nie było mowy o chwilowym zapomnieniu się i pomyłkach.

Christiane spuściła oczy na dywan.

- Chcesz mnie zawstydzić - wyszeptwała.

- Nie. Nigdy, Christiane. Chcę tylko mieć pewność, że to będzie twój wybór.

- I co, spodziewasz się, że tak po prostu się przy tobie położę? Powinieneś mnie całować i pieścić, i rozebrać. Szeptać, że mnie kochasz!

- Kocham cię! - wykrzyknął z taką gwałtownością, że aż odskoczyła.

- Dlaczego miałbym to szeptać? - Zerwał się z łóżka i podszedł do zasłon, szarpnął je na boki i otworzył okno. - Kocham hrabinę d'Oliveri!

- ryknął prosto w noc.

- Na miłość boską, Gannonie! - Przerazona rzuciła się zamykać okno. - Co sobie pomyslą twoi sąsiedzi?

Popatrzył na nią.

- W głębi duszy wcale nie różnisz się od tygrysic z towarzystwa, prawda? Ograniczają cię te same zasady. Wierzysz w to samo, co one.

- Wierzę w... w przyzwoite zachowanie, tak! W obyczajność.

Uśmiech Gannona był leniwy i czarujący.

- No to dlaczego jesteś tu, w mojej sypialni, z moją rozebraną do naga osobą?

- Bo ty wszystko wywracasz do góry nogami! - zawodziła Christiane. - Stawiasz cały świat na głowie. Nie potrafię jasno myśleć, kiedy jestem z tobą,

Carew podszedł do okna i, chociaż czepiała się jego, ramienia, otworzył je znowu.



- Kocham hrabinę d'Oliveri - oznajmił ponownie na cały Berkeley Square - chociaż trochę z niej mantyka!

- Czy mógłbyś przestać? - Na zewnątrz rozszczękał się jakiś pies. Za szybą na piętrze po drugiej stronie ulicy zabłysło światło. Christiane skuliła się i odsunęła od okna, jednym szarpnięciem zasuwając zasłony.

- Jest jeden pewny sposób, żebym się zamknął. - W oczach tańczyły mu wesołe ogniki.

- Zwariowałaś?

Po twarzy Gannona przemknął cień, tak przelotny, że nie była pewna, czy rzeczywiście go zobaczyła. Potem się roześmiał.

- Zwariowałem na twoim punkcie. - Wskoczył znowu do łóżka. - Bierz mnie albo rzuć.

- Przerażasz mnie.

- To dobrze. Powinnaś być przerażona. To będzie rekompensata za wszystko, co przez ciebie przecierpiałem. Przyjdiesz wreszcie do łóżka?

- Czy ty mnie kochasz... czy nienawidzisz? - zapytała z trwogą.

- Czy zostaniesz moją żoną?

- Czy musisz ciągle zmieniać temat?

- Wcale nie zmieniam tematu! Czy chciałbym się z tobą ożenić, gdybym cię nienawidził? - Pochylił się ku niej, wyciągając rękę. - I co powiesz?

Christiane nie wiedziała, czy ma się roześmiać, czy przed nim uciekać.

- Czy to poważne oświadczenia?

- Poważniejszych się ode mnie nie doczekasz. Popatrzyła na Gannona. Długie, zgrabne ciało hrabiego połyskiwało w świetle ognia. Poczwała, że serce zaczyna jej szybciej uderzać. Przypomniała sobie, co czuła, kiedy ten jego oręż, z którym tak bezwstydnie się afiszował, wbijał się głęboko w nią, usłyszała echo swoich własnych krzyków.

- Gannonie - szepnęła, zająkując się. - Gannonie. Bardzo się boję.

- Wiem - powiedział.

- Z Jean-Baptistem... i z hrabią... wciąż jeszcze mogłam zachować część siebie. Nigdy nie żądali wszystkiego. Nie żądali mnie całej. Ale ty...

- Wszystko albo nic, Christiane. Nie pomogę ci się ukrywać. Ale

zawsze będę stał przy tobie.

- Zawsze?

- Zawsze. - Tu szeroko się uśmiechnął. - Czasem nawet wtedy, kiedy pewnie wolałabyś, by mnie u twego boku nie było.

- Konkurent Claire... pan Wrede... - Tak?

- Powiedział, że kwakrowie wierzą, iż trzeba słuchać nie świata, tylko własnego serca.

- Coraz bardziej podobają mi się ci kwakrowie. A co mówi twoje serce?

- Że ja... - Urwała, przełknęła. - Że ja cię kocham.

Gannon podniósł się z łóżka. Podszedł do Christiane. Pocałował ją, delikatnie kładąc dłoń na jej włosach. Oddała mu pocałunek, wargi jej rozchyliły się pod jego ustami. Rozpiął naszyjnik z pereł, wyjął ze swobodną wprawą kolczyki z uszu, i odłożył jedno i drugie starannie na nocny stolik.

- Śliczne perły - rzekł półgłosem, sięgając do wstążek. - Podarunek od jakiegoś innego mężczyzny?

- Od mojego męża. - Przemogła się, nie skuliła i powiedziała to z dumą.

- Miał doskonały gust. Pod wieloma względami. - Ściągnął z niej czarne jedwabie przez głowę. Pod spodem ubrana była również na czarno: w cieniutki, czarny, ciasno zesnurowany gorset i pantalony od kompletu. Uszyto tę bieliznę dla niej w Paryżu. Nie miała jej na sobie już od lat. - O rany - szepnął Gannon, upajając się widokiem. - Mamy gwiazdkę. Nie będziesz miała nic przeciw temu, że rozpakuję swój prezent? - W jego oczach pojawił się taki błysk, że Christiane nie mogła powstrzymać chichotu. Powoli rozluźnił gorset, obrysowując kciukami wypukłość piersi nad jedwabistym materiałem, a potem wsunął je pod spód i zatoczył krąg wokół sutków, które pod jego dotykiem natychmiast stwardniały. - Aach - wyszeptał. Gorset zsunął się na podłogę. Gannon schylił się i zsunął pantalony Christiane przez biodra. Opadły z lekkim trzepotem, kiedy pogładził ją dłońmi po pośladkach. Potem ukląkł i zdjął z niej pończochy oraz eleganckie pantofelki na wysokim obcasie. Wstając, ucałował po drodze gęstwinę czarnych loczków między udami ukochanej. Teraz, kiedy stała boso, był od niej dużo wyższy.

Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Niemalże idealnie - wyszeptał i powyciągał jej spinki z włosów, jedną, drugą, aż czarną falą wymknęły się z koka. - No - rzekł z satysfakcją, wsuwając dłonie w masę loków i potrząsając nimi, jakby je uwalniał. - Nie chesz się więcej tak. - Christiane już miała się najeżyć na ten rozkaz, ale złagodził go tak delikatnie tęsknym „proszę”, że zamiast tego się uśmiechnęła.

- Czy mnie również będzie wolno dyktować, jak masz wyglądać? - zapytała.

- Niewątpliwie. - Gannon uśmiechnął się krzywo. - Gdybyś kazała mi całkiem ogolić sobie głowę, zrobiłbym to. Tyle masz nade mną władzy.

Na tę myśl Christiane lekko zakręciło się w głowie. Ale może to tylko szampan domagał się w końcu swoich praw. Ogień na kominku trysnął iskrami, rzucił na nich oboje smugi światła i cienia. Gannon wyciągnął ręce.

- Chodź do łóżka.

Ona położyła się pierwsza. Prześcieradła były jedwabście gładkie. Poduszki przypominały puchowe obłoczki. Gannon wyciągnął się obok Christiane, odwrócił się do niej, uśmiechnął i przykrył ich oboje. Dotyk jego nagich członków w tym morzu miękkości zapierał dech w piersiach. Położyła mu dłonie na ramionach, poczuła twardość mięśni. Żelazo i jedwab... Opuścił usta na jej pierś, ssał ją tak słodko, tak cudownie delikatnie, wodząc równocześnie dłońmi po talii i udach. Jego ruchy nabierały intensywności, aż skrzyła się pod tą pieśczętą i objęła go nogą, by poczuć na brzuchu twardą męskość. Palce Gannona natychmiast wślizgnęły się głęboko w jej przyrodzenie, gładząc, podsycając płomień, aż Christiane zabrakło tchu. Jeden długi palec odnalazł migdałek intymny, trącał go, okrążał, drażnił bezlitośnie. Pożądanie zerwało w sercu hrabiny wszystkie tamy. A on wciąż nie przestawał jej podniecać, dopóki nie wczepiła się w niego, nie mogąc doczekać się, kiedy ją wypełni...

I oto wypełnił ją - uniósł się nagle i wbił twardy oręż głęboko w jej wnętrze. Christiane poczuła rozkosz tak wielką, że graniczącą niemal z desperacją. Lędźwie Gannona przywarły do niej w szaleńczym

pożądaniu, a ona otwierała się przed nim niecierpliwie, z zapalem, bez reszty. W duszy jej roztańczyły się i splątały blask ognia, promienie księżycy i jeszcze to trzecie, to cudowne światło, które paliło oczy nawet przez zamknięte powieki.

- Boże, o Boże, Christiane - stęknął, za każdy słowem zagłębiając się w niej gwałtownie. Głowę odrzucił do tyłu, ściągnięte wargi odsłaniały zęby, włosy rozwiały mu się w nieładzie.

- Teraz! Teraz! - błagała, przywierając mocniej, podporządkowując się rytmowi jego ruchów, odpowiadając pchnięciem na pchnięcie. Z lędźwi Gannona wytrysnęła jaskrawa fala ognia. Christiane poczuła, jak wlewa się w nią i ogarnia ją całą w chwili, kiedy jej własna rozkosz sięgnęła zenitu. - Och! - krzyknęła w zachwyceniu. To musi chyba być widać, że cała płonie, że się jarzy. Nasienie Gannona wlało się w jej wnętrze i ukochany osunął się na nią. Oboje zadyszani padli na pościel.

Przez długą chwilę nie odzywali się do siebie. Potem Gannon uniósł się na łokciu.

- Umieram z głodu - oznajmił, uśmiechając się. - A ty nie zjadłabyś czegoś?

Okazało się, że zjadłaby. Za bardzo się denerwowała, by coś jeść podczas wspaniałej kolacji. Ale zaraz wyobraziła sobie, co by to za sobą pociągało: człapiąca po pokoju z półmiskami służba, biedaczysko O'Malley wyrwany z łóżka. Potrząsnęła głową.

- Nie. Nie przełknęłabym ani kęsa.

- Szkoda - mruknął Gannon, wylazł z łóżka i sięgnął po szlafrok. - Naprawdę muszę coś zjeść. - Ruszył do drzwi.

- Gdzie ty idziesz? - zapytała z niepokojem.

- Do kuchni.

- Chcesz powiedzieć... pójdziesz tam osobiście? Nie będziesz posyłał po służbę?

- Chryste, nie! Po co miałbym ich trudzić? Wrócę za chwilę.

- Zaczekaj! - zawołała. Gannon odwrócił się, unosząc wysoko brwi.

- Pójdę z tobą. Gdybyś tylko mógł pożyczyć mi jakiś szlafrok.

Z bardzo zadowoloną miną przeszukał szafę i znalazł to, czego szukał.

- Pewnie będzie za długi - przeprosił.

Christiane ubrała się. Szlafrok uszyto z miękkiej, kremowej,

irlandzkiej wełny. Był przytulny i ciepłutki, ale na jej drobnej figurze wydawał się taki olbrzymi, że Gannon parsknął śmiechem, kiedy go zawiązywała.

- Bardzo ci w nim do twarzy - stwierdził, podając jej rękę. Razem wyszli na korytarz i ruszyli w kierunku schodów.

Christiane usłyszała, że na dole coś się rusza.

- Co to było? - wyszeptała, chwytając go za rękę.

- Na pewno Homer. - Zagwizdał cicho i coś wielkiego rzuciło się ku nim po schodach. Christiane zdusiła okrzyk przerażenia, kiedy to coś skoczyło w jej kierunku, a potem nagle zatrzymało się i zaczęło z zadowoleniem obwąchiwać rąbek szlafroka. Miała przed sobą irlandzkiego wilczarza, olbrzymiego, ale bezgranicznie potulnego.

- Lubisz psy? - zapytał Gannon, drapiąc Homera po uszach.

- Niektóre tak. - Ten okaz grzbietem sięgał jej talii.

- Homer wie, że mam zwyczaj po nocy plądrować kuchnię w poszukiwaniu jedzenia i że zwykle przy tej okazji coś mu skapnie.

- Dobry piesek - mamrotała Christiane nerwowo, wyciągając rękę, by poklepać psa, który natychmiast stanął na tylnych łapach i polizał ją po policzku, dokumentnie go obśliniając.

- Polubił cię - zauważył radośnie Gannon. - Nie wszystkich lubi.

- Niech dobry Bóg ma w swej opiece tych, których ten zwierzak nie polubi - mruknęła Christiane półgłosem, spychając łapy psa z piersi. - Nie pamiętałam, że Claire wspominała, że twój brat hodował wilczarze.

- Hugh bardzo był przywiązany do swoich psów. Zerknęła na ukochanego spod oka w migotliwym świetle lampy.

- A ty do swoich nie jesteś aż tak przywiązany?

- Istnieje pewna różnica między posiadaniem jednego dobrego psa a posiadaniem całej ich sfory.

Homer jak oszalały machał ogonem, wpychając się między nich.

- A więc masz tylko tego jednego - powiedziała z nadzieją w głosie Christiane.

- Jest jeszcze Chloe.

- Chloe?

- Jego towarzyszka. Nie zrobiłoby mu to dobrze, gdyby był samotny, prawda? A oto i Chloe! - Następna olbrzymia bestia z łomotem wbiegała



na schody. - Jest nieco bardziej drażliwa niż Homer - wyjaśnił Gannon, kiedy nowo przybyła wpatrzyła się w Christiane połyskliwymi, złotymi oczami i wydała odgłos, który niewątpliwie był warczeniem. - Trzeba jej dogadzać.

- Dogadzać jej, ale jak?

- Najlepszy sposób to ją nakarmić. Ale żeby to zrobić, musimy zejść na dół. Hej, Chloe! - Tu gwizdnął przesywająco. Dźwięk odbił się echem od kamiennych ścian. Suka sprężyła się w oczekiwaniu. Gannon wyciągnął coś z kieszeni szlafroka i rzucił w dół po schodach. Obydwa psy rzuciły się za tym czymś, łomocząc łapami. - Pójdziemy? - zapytał Gannon, podając Christiane ramię.

Ujęła je bardzo niepewnie i pozwoliła sprowadzić się na dół.

- Co im rzuciłeś?

- Nic. Wystarczy sam ruch, żeby wystartowały. Wilczarze nie są za mądre. Ale powinno nam to dać dość czasu, byśmy bezpiecznie weszli do kuchni, jeżeli się pospieszymy. - Dotarli na dół. Psy wciąż jeszcze prowadziły poszukiwania w półmroku. - Chodź! - przynaglił ją ze śmiechem i na bosaka przebiegli po zimnej marmurowej podłodze. Zdążyli skrócić w następny korytarz, zanim psy zorientowały się, że je oszukano, i rzuciły się w pogoń za nimi. - Bezpiecznie u celu! - zawołał Gannon i pchnął drzwi ramieniem tak, że otworzyły się szeroko. Chloe i Homer już ich dogoniły, śliniąc się i sapiąc. Christiane pomyślała, że Chloe patrzy na nią tak, jakby zastanawiała się, czy aby ten kąsek będzie mięciutki.

Gannon pośpiesznie zapalił lampę na długim, szerokim stole, a potem się rozejrzał.

- Och, popatrz tylko! Kucharka odłożyła kości z rosółu! - oznajmił i wyciągnął ze stojącego w zlewie garnka dwie golonki. Psy natychmiast zamarły, pyski im się tylko lekko spieniły. Gannon zerknął na Christiane. - Czy wolałabyś, żebym wypuścił je do ogrodu?

- Jeżeli mam być szczerą, wolałabym - przyznała.

- Nie każdy lubi wilczarze - zgodził się Gannon, otworzył kuchenne drzwi i rzucił kości na trawnik. Homer skoczył za nimi z zapalem, ale Chloe ociągała się, spoglądając podejrzliwie na pana.

- Nie oszukałbym cię dwa razy pod rząd, moja damo - zapewnił



sukę, potarł jej szerokie boki i pogładził po nosie. Chloe powęszyła, raz szczerknęła, a potem wyszła za Homerem na zewnątrz. Gannon zamknął za nimi drzwi, a Christiane odetchnęła z ulgą. - One są bardzo dobrze ułożone - zwrócił jej uwagę Gannon.

- Jestem pewna, że przynoszą ci zaszczyt - powiedziała z powątpiewaniem.

Gannon szeroko się uśmiechnął, a potem podniósł kopulastą pokrywę z półmiska na stole.

- Och! Paszteciki z krabem, były przepyszne. Czy jadłaś je przy kolacji? - Christiane potrząsnęła głową. Podsunął jej jeden do ust, a ona grzecznie je rozchyliła. Rzeczywiście, paszteciki były bardzo dobre.

Gannon wrzucił sobie do ust trzy, zanim zajrzał pod następną pokrywę.

- Tarta ze szparagami! Nie sądziłem, że coś z niej jeszcze zostało. Czy przypominasz sobie naszą rozmowę z Claire o szparagach? - Ukroił mały trójkątny kawałek dla Christiane, a dla siebie większy.

- Czy nie sądzisz, że moglibyśmy wziąć talerze? - zapytała niepewnie.

- A co to za zabawa, splądrować kuchnię, jeżeli ma się przy tym zachować dobre maniere? Słuchaj, czego chciałabyś się napić? Mamy w piwnicach wina wszelkiego rodzaju. No i jest jeszcze piwo albo cydr, albo mógłbym zrobić czekoladę.

- Ty byś ją zrobił?

- Oczywiście. To wcale nie jest trudne. A więc dobrze, napijemy się czekolady. - Podeszedł do kominka, ogień na palenisku ledwie się tlił. - Chyba że wolałabyś szampana.

- Mam wielką ochotę na czekoladę.

Przyglądała się, jak Gannon rozdmuchuje ogień, dorzuca drewna i wybiera miedziany garnek z niezliczonych naczyń, które pomywaczki zostawiły na kredensie do wyschnięcia, a potem odmierza mleko, kakao, cukier i wanilię.

- W życiu nie pomyślałabym, że jesteś taki udomowiony - zauważyła, kiedy odstawił puszkę z kakao do szafki.

- Właściwie to jest ze mnie całkiem przyzwoity kucharz. Jako chłopiec często przesiadywałem w kuchniach. - Przerwał i umknął

spojrzeniem w bok. - Nasi rodzice niewiele mieli dla nas czasu. Właściwie chowała nas służba.

Christiane ugryzła kawałek trzymanej w ręku tarty.

- Ja nigdy nie nauczyłam się gotować - wyznała. - Moja mama uważała, że to poniżej godności damy, robić w kuchni cokolwiek poza wydawaniem poleceń. A nasza kucharka była wyzutym z talentu tyranem. W konsekwencji przez cały czas, kiedy dorastałam, jadałam zupełnie okropne potrawy.

- Nic dziwnego, że pokochałaś Francję.

- To było istne objawienie. Oczywiście doceniam Anglię. Ale w sprawach smaku Francuzi tak bardzo nas przewyższają.

- Czego Claire uczy się w akademii, jeśli chodzi o gotowanie? - zapytał, mieszając zawartość garnuszka.

- Niestety, pani Treadwell ściśle trzyma się programu „dama w kuchni”. Ale zauważyłam, że całkiem sporo panienek zbiera się przy kucharce, kiedy mają trochę wolnego czasu. Wiesz, nasza kucharka jest fantastyczna w swoim fachu. A pani Caldburn pilnuje, żeby poznały podstawy: chleb, piwo, pieczona baranina, Yorkshire pudding. Porządne brytyjskie jedzenie.

- Tylko podstawy? Szkoda. Gotowanie może być bardzo kreatywne, nie sądzisz? - Światło ognia połyskiwało na jego czarnych włosach. Wyciągnął łyżeczkę z czekolady i oblizał ją. Christiane przyglądała się, zafascynowana, jak chłopcze napój językiem. - Już prawie jest gotowa. Lubię, jak do niej dodać odrobinę brandy. Co na to powiesz?

- Brandy nie zaszkodzi.

Uśmiechnął się do niej.

- Bratnia dusza z ciebie. - Zdjął butelkę z kredensu i nalał trochę do garnuszka.

Psy już łomotały łapami w drzwi.

- Potwory - wymamrotał i, podnosząc pokrywy z półmisek ustawionych wzdłuż stołu, zaczął szukać, czym by ugłaskać Homera i Chloe. - A! Pieczona wołowina! - Nabił wielki kawał na widelec, podszedł do drzwi i otworzył je. Christiane zebrała się w sobie, oczekując ataku. Ale obydwa psy najwyraźniej bardzo dobrze obeznane były z nocnymi zwyczajami swego pana i stały, śliniąc się, dopóki nie

rzucił im mięsa.

- Czy nie pobiją się o nie? - zapytała.

- Nie. One się nigdy nie biją. To para na całe życie. Homer weźmie tyle, na ile ma ochotę, a Chloe dostanie resztę.

- Nie wydaje mi się to całkiem sprawiedliwe. Gannon uniósł głowę.

- Pewnie nie jest, jak się nad tym zastanowić.

- Ale to dosyć dobre podsumowanie losu Angielki na tym świecie.

- Och, pełna jesteś goryczy, czyż nie? - Posmakował czekolady jeszcze raz, kiwnął głową, wziął złożony ręcznik, żeby zdjąć garnek z ognia, i przelał jego zawartość do dwóch kubków. - Chyba jest już gotowa.

- Dziękuję ci. - Wzięła podawany przez niego kubek, dmuchnęła i pociągnęła łyżeczkę. To była bardzo dobra czekolada. - Masz talenty, o jakich mi się nigdy nie śniło - przyznała, wypijając większy łyk.

Ale Gannon znowu zaglądał pod pokrywy.

- Tak naprawdę to szukani tych ciasteczek, które kucharka przyrządza z lukrem czekoladowym i z kremowym nadzieniem. Chociaż pewnie nic z nich nie zostało. - Miał okropnie smętną minę.

Christiane podniosła pokrywę z półmiska tuż obok siebie.

- Och, popatrz. To twój szczęśliwy dzień.

Musiała się uśmiechnąć, widząc, jak się rozpromienił, całkowicie, natychmiast.

- A niech mnie cholera! Nie, ty pierwsza. One naprawdę są wspaniałe.

Christiane poczęstowała się ciasteczkiem i skosztowała go.

- Mmm - zgodziła się i zaczęła zlizywać lukier z palców.

- Ja to zrobię - zaproponował i wykonał, wpatrując się w jej oczy.

Rozbroił tym Christiane do reszty.

- Tak naprawdę wcale nie jesteś hultajem, prawda? - wyszeptała, kiedy pochłonął jeszcze z tuzin tych ciasteczek, jedno po drugim.

- Ależ jestem. Jestem okropnym hultajem - upierał się z ustami pełnymi słodkiego kremu.

- Okropnym blefiarzem, to byłoby bliższe prawdy.

- Przyłapałaś mnie - wyznał scenicznym szeptem. - Przez całe moje rozwiązłe życie pragnąłem tylko jednego: ustatkować się z odpowiednią

dziewczyną.

*Dziewczyną.* Ten dobór słów zwarzył dobry humor hrabiny. Odłożyła niedojedzone ciastko na bok.

- Jeżeli tak jest - powiedziała ostrożnie - to musiałeś też tęsknić za wszystkim, co towarzyszy marzeniom o domu.

- To znaczy?

- Za dziećmi. - Już zaczynał coś mówić, ale Christiane przerwała mu niecierpliwie. - Bądź uczciwy, Gannon. Każdy mężczyzna chce mieć dzieci. Potomka... dziedzica, by ród przetrwał. Leży to w człowieczej naturze.

Gannon przysiadł na blacie długiego stołu, między półmiskami.

- Ja nigdy za tym nie tęskniłem.

- Nie potrafię w to uwierzyć.

- Może gdyby twoje dzieciństwo było równie... równie okropne jak moje...

- Ale z ciebie byłby taki cudowny ojciec!

- Nie. Nie byłby - stwierdził zdecydowanie.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Wiem... i ty równie dobrze to wiesz... że uczymy się, jak być rodzicami, obserwując naszych własnych rodziców. Nie mamy żadnego innego przykładu. To, czego oni nas uczą, nie jest powierzchowne, sięga do głębi - Wyciągnął rękę po następne ciastko, zważył je w dłoni. - Czy wiesz, co myślę? Myślę, że cała ta gadanina, że ja chcę dzieci, dowodzi tylko tego, że ty ich pragniesz.

- Czasami żałuję, że nie miałam dzieci - przyznała odważnie. - A ty nie?

- Nie. Niech ród przetrwa dzięki Claire... z Davidem Wrede, jeżeli będzie jej chciał. On będzie na pewno dobrym ojcem. Ja nie byłbym. Nie wiedziałbym, jak.

Christiane wpatrywała się w swoje bose stopy. Kamienna podłoga była zimna.

- Co on ci zrobił? - zapytała cicho.

- Nie mnie. Mojej matce.

- A więc jej.

Gannon przełknął wielki haust czekolady, potem potrząsnął głową.

- Rodzinne sekrety. Nie nadają się do ujawniania.
- Poprosiłeś mnie dziś w nocy, żebym za ciebie wyszła - przypomniała mu.
  - A ty powiedziałaś: nie. - Podniósł na nią wzrok tak żywo, że serce w niej zamarło. - Czy powiedziałaś: tak, gdybym je ujawnił?
  - Tego nie będę wiedziała, dopóki mi nie powiesz. Gannon odwrócił wzrok i westchnął głęboko.
    - To pewnie było tylko zwykłe, krańcowe bestialstwo, nic więcej. Rozumiesz. Bicie. Lekceważenie. Gdybyś przeczytała o tym w jakiejś książce, powiedziałaś: „Och, to”. Ale jeżeli z tym żyjesz, patrzysz na to, jeżeli cię to przeraża i chcesz pomóc, ale nie wiesz jak...
    - Czy Hugh był podobny do niego? Gannon popatrzył na nią ostro.
    - Skąd takie przypuszczenie?
    - Z tego, co mówiła Claire.
    - Hugh miał taki sam charakter - przyznał ponuro.
    - Dzięki Bogu, że ty nie masz.
    - Tak - powiedział po chwili. - Dzięki Bogu. - Uśmiechnął się do niej, kiedy oparła się o stół. - Wyglądasz zjawiskowo w tym szlafroku. Jeszcze odrobina pożywienia i powiedziałbym, że będę cię znów gotów posiąść.
    - To istny cud, że nie zrobiłeś się wielki jak ten dom - zauważyła Christiane, przyglądając się, jak Gannon nadgryza kanapkę z szynką na ostro.
      - Pilnuję się, żeby mieć mnóstwo ruchu - powiedział figlarnie, rozśmieszając ją. - Czy jesteś pewna, że nie masz ochoty na trochę szynki? - Potrząsnęła głową. - Odrobinę gołąbka na zimno? Trochę kompotu z melona?
        - Nie miałam aż tyle... ruchu co ty.
        - Prawda, ale od teraz zamierzam to naprawić. Musisz podtrzymywać siły.
        - Dam ci znać, kiedy zaczniesz mi się robić słabo. Objęła dłońmi kubek z czekoladą i przyglądała się, jak Gannon z radością wyjada resztki z uczy. A kiedy się tak przyglądała, ogarnęło ją przedziwne uczucie. Ta emocja była tak obca, że minęło kilka minut, zanim zdołała nadać jej nazwę. Czuła się do głębi

duży zadowolona. Kiedy ostatni raz tak się czuła? Podczas małżeństwa z hrabią? Nie. W głębi serca zawsze wiedziała, że przyjmując go, godzi się na coś pośledniejszego niż pełnia zadowolenia. On oczywiście również był tego świadom. Ich małżeństwo było *tres a la mode*, wygodne dla obojga, połączyli się w nim bardziej umysłem niż sercem. Co do Jean-Baptiste'a... och, zadowolenie odgrywało niewielką rolę w tych zwariowanych, gorączkowych zalotach, a do tego zawsze, niczym mur, stały między nimi jego żona i dzieci, oraz obowiązek wobec kraju. Była tam namiętność, ale niewiele spokoju. Trzeba młodego serca, żeby wytrzymać rany, jakie nieodmiennie niesie taki romans.

A kiedy serce nie jest już takie młode?

Wtedy być może największe szczęście daje właśnie coś takiego: stać bosą na chłodnej kamiennej podłodze i przyglądać się, jak mężczyzna, z którym się właśnie kochałaś, rozbiera palcami pierś gołębia.

Poczuła się wstrząśnięta, bo do oczu napłynęły jej łzy.

Gannon wyciągnął ku niej rękę z kawałeczkiem mięsa.

- Jesteś pewna, że nie dasz się skusić... Christiane. Ty płaczesz?

- Oczywiście, że nie - powiedziała, pospiesznie ocierając pięścią oczy. - Jestem senna i tyle. - Ale łzy nie chciały przestać płynąć.

Gannon odłożył pierś gołąbka i zeskoczył ze stołu.

- Kłamczucha. Płaczesz. - Już miał ją objąć, kiedy zauważył, że palce ma poplamione sosem; wytarł je w szlafrok. - Słuchaj, co się stało? Czy powiedziałem coś? Czy coś zrobiłem?

Czy coś zrobił? Otworzył okno i rzucił jej wyzwanie, by wyjrzała przez nie i popatrzyła na życie, którego nawet w wyobraźni nie pozwalała sobie widzieć, od kiedy skończyła osiemnaście lat. Ale nie wiedziała, jak ubrać to w słowa.

Wziął ją w ramiona, gładził po rozpuszczonych, splątanych włosach.

- Nie wolno ci płakać - powtarzał, głos miał przerażony. - Nie pozwolę na to. Chcę tylko twojego szczęścia. Tylko tego zawsze chciałem. Nawet wtedy, we Francji. Wydawało mi się, że on daje ci go za mało, że nie jesteś przy nim tak szczęśliwa, jak na to zasługujesz. A wiedziałem, że przy mnie byłabyś. Przecież ja cię tak kochałem.

- Idiota - wykrztusiła Christiane stłumionym głosem, bo twarz wtulała w jego pierś. - Płaczę dlatego, że jestem szczęśliwa.



- Jesteś? - Odsunął się troszkę, by na nią popatrzeć. - Jesteś na pewno? - Christiane przytaknęła, łzy płynęły jej po policzkach, chociaż równocześnie zaczęła się śmiać, bo Homer i Chloe znowu załomotały łapami w drzwi.

- Pewnie skończyły już pieczeń wołową - powiedziała i pociągnęła nosem.

- Przyzwyczyły się sypiać ze mną. - Położył dłoń na policzku Christiane i otarł go z łez. Jego własne oczy podejrzenie lśniły. - Ale noc jest całkiem ciepła. - Puścił ją nagle, odwrócił się do stołu i zaczął resztki ze wszystkich półmisek zsypywać na jedną tacę. Żeby ją podnieść, potrzebował obu rąk. - Czy mogłabyś... - Pokazał głową na drzwi. Christiane spełniła jego życzenie, pilnując się, by stać z boku. - Macie, zwierzaki! Boże Narodzenie przyszło wcześniej w tym roku! - Cisnął zawartość tacy przez drzwi. Psy, zdumione taką pańską szczodrością, wpatrywały się przez chwilę w jedzenie, a potem rzuciły się na nie tak, jakby od wielu dni już nic nie jadły.

- Ciekawe - dumiała Christiane, patrząc, jak Chloe pożera pół tarty ze szparagami - jaki będzie miała wpływ na mocz wilczarza?

- Z pewnością się o tym przekonamy; naznaczy cały ogród. - Kopniakiem zamknął drzwi, rzucił tacę z powrotem na blat i podał jej rękę. - Czy zechce pani pozwolić, bym ją znowu wziął do łóżka, milady?

- Czy jest pan pewien, milordzie, że wystarczająco pan się wzmocnił?

Zamiast odpowiedzieć, pociągnął ją za sobą na schody.

---

## *Rozdział dwudziesty trzeci*

---

Pani Treadwell przyglądała się Christiane znad kieliszka sherry.

- Muszę powiedzieć, że ten weekend w Londynie cudownie ci zrobił - zauważyła. - Cała się po prostu jarzysz. Co się tam takiego działo?

Christiane zarumieniła się.

- Och, właściwie to nic takiego.

- Czy Violet ma się dobrze?

- Bardzo dobrze. Przesyła serdeczności.

- A Peter i Martha?

- Prawdę mówiąc, nie miałam się czasu z nimi spotkać.

- Szkoda. Czy Violet przyjmowała?

Christiane potrząsnęła głową i przysiadła na kanapce.

- Nie. Spędziłyśmy w piątek spokojny wieczór we dwójkę. Ale na sobotę zaproszona była do Prinny'ego, a ja, oczywiście, nie mogłam jej towarzyszyć. Słuchaj, jak się ma Claire?

- Nieźle. - Przełożona wciąż przyglądała się podejrzliwie swojej partnerce. I nagle twarz jej się rozjaśniła. - Już wiem! Kazałaś sobie ufarbować włosy!

Christiane parsknęła śmiechem.

- Mało prawdopodobne.

- No to złożyłaś wizytę w którymś z kurortów, gdzie robią masaże i stosują mineralne kąpiele i kremy do twarzy. - Christiane potrząsnęła głową i przygryzła wargę. - Zresztą wszystko jedno, muszę powiedzieć, że... - Urwała i nagle ostro zaczerpnęła powietrza. - Dobry Boże. Tylko nie mów mi, że widziałaś się z nim.

- Z jakim nim? - zapytała Christiane, równocześnie przypominając sobie ich rozstanie, gorące pocałunki Gannona i to, z jakim wdziękiem prosił, by nie odjeżdżała.

- Oczywiście z lordem Carew. O to chodzi, mam rację? - Na okrągłej twarzy pani Treadwell malowała się zgroza. - A obiecałaś mi, że tego nie zrobisz! Czy ty w ogóle nie myślisz o naszych dziewczętach? O naszej akademii?

Christiane westchnęła. Spodziewała się, że będzie mieć trochę więcej czasu, by przygotować się do nieuniknionej, ostatecznej rozmowy. Ale skoro już do konfrontacji doszło, pragnęła jak najszybciej mieć ją za sobą.

- Jeżeli musisz wiedzieć, Evelyn, masz rację. Widziałam się z lordem Carew. Zaprosił mnie na wieczorek do swojej rezydencji.

- A ty mi ani słowa nie powiedziałaś! Jak mogłaś być tak dwulicowa? - zawodziła pani Treadwell. - Wieczorek! Otwarty dla ogółu towarzystwa!

- Gdybym o tym z tobą porozmawiała, ze wszystkich sił starałabym się przekonać mnie, bym nie jechała - zareagowała żywo Christiane. - A gdybym nie pojechała, popełniłabym błąd poważniejszy niż wszystkie inne, jakie popełniłam w życiu.

- Dlaczego? - wyszeptała pani Treadwell.

- Ponieważ... ponieważ było absolutnie cudownie. Niewyobrażalnie cudownie...

Pani Treadwell gapiała się na nią zdumiona. Ciemne oczy hrabiny błyszczały coraz mocniej.

- Ty chyba musisz być pomyłona - oświadczyła przełożona. - Jak mogłaś coś takiego zrobić?

- No cóż, lord Carew zwrócił mi uwagę, zupełnie zresztą słusznie, że nikt tam nie będzie miał pojęcia o moich powiązaniach z akademią. I rzeczywiście, nikt o nich nie wiedział, poza Emily Hainesworth, a ona dokładała wszelkich starań, by zapewnić mnie, że bezustannie i z przekonaniem rekomenduje nas znanym sobie mamusiom. Nie wymieniając przy tym oczywiście mojego nazwiska.

- Kto jeszcze był na tym wieczorku?

- Wzięli w nim udział lord i lady Cobblesby. Panna o nazwisku Russ, która pisze książki. Pan Coleridge, ten poeta. Och, przyszedł też doktor Caplan. Świetnie się bawiłam. - Pani Treadwell bliska była omdlenia. - Muszę powiedzieć, że wszyscy okazywali mi wielką

uprzejmość. Usłyszałam od Emily, że serdecznie żałuje, iż nie pozwoliła, bym wzięła sobie Harolda wtedy, kiedy go chciałam. A lady Custis wyraziła nadzieję, że otworzę jaskinię gry po tej stronie Kanału.

Przełożona pociągnęła potężny łyk sherry.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co się z tym społeczeństwem dzieje. Christiane uśmiechnęła się do Evelyn.

- Nie tyle może idzie o to, co się dzieje ze społeczeństwem, ile o to, co stało się z lady Cobblesby i lady Custis, i Emily... i ze mną... o to, czym my się stałyśmy.

- A czym żeście się stały?

- Ależ to oczywiste, kobietami w pewnym wieku! Mamy już za sobą te pełne zazdrości i złości sprzeczki, które tak zajmowały nas, kiedy byłyśmy młodsze. - Sięgnęła po dłoń przyjaciółki. - Wydaje mi się, że kiedy opromienia nas blask młodości, za nieprzyjaciół uważamy inne kobiety. Ale im się robimy starsze, tym mocniej uświadamiamy sobie, że walczymy z niewłaściwym wrogiem. Mężczyźni... to mężczyźni są wrogami! To przez nich robimy z siebie idiotki, ograniczamy nasze życie, tracimy figurę przy porodach, a potem bezsilnie patrzymy, jak gonią za młodszą spódniczką.

- Mężczyźni nie są naszymi wrogami - powiedziała powoli pani Treadwell. - Oni nas chronią! Są naszymi rycerzami w lśniącej zbroi!

- I to dlatego pan Treadwell wyzionął ducha w ramionach swojej kochanki?

Przełożona ostro wciągnęła powietrze.

- Nie masz prawa...

- Och, Evelyn, powiedziałaś mi o tym, kiedy pierwszy raz omawiałyśmy sprawę założenia tej akademii! Powiedziałaś mi również, jaka byłaś zrozpaczona, kiedy Vanessa poślubiła

Yarlborougha, że okazała się niemądra i lekkomyślna, bo postawiła wyżej jego tytuł i majątek niż osobowość. A potem dodałaś, że nie możesz mieć o to do niej pretensji, bo sama dałaś jej fatalny przykład, pozwalając mężowi na skoki w bok i nigdy nie broniąc swojego stanowiska. Nie zaprzeczaj, tak było!

- Mam wrażenie, że umówiliśmy się, iż będziemy dążyć do naszych celów potajemnie! - odparła przełożona. - Że nie przyszła jeszcze pora,

by Anglia uznała, że kobiety zasługują na szacunek! Że podniesiemy bunt, ale w sekrecie. A tu dowiaduję się, że wyprowadziłaś oddziały na ulicę, by tak to ująć.

Christiane spojrzała jej prosto w oczy.

- Może myliłyśmy się. Może byliśmy zbyt nieśmiałe.

- Nie bądź śmieszna. Gdyby którykolwiek z panów dowiedział się, że Gwen kroїła prosiaki...

- A pan Wrede? - przerwała jej Christiane. - On bez wątpienia zapoznał się już wystarczająco dobrze z programem nauczania w naszej akademii, a nie spowodowało to, by zrezygnował z ubiegania się o rękę Claire.

- Pan Wrede jest społecznym pariasem. Hrabinie udało się opanować.

- Czasy się zmieniają, Evelyn - zwróciła przyjaciółce uwagę, nawet dość łagodnie. - Maniery ulegają zmianom. Niewykluczone, że już na nas pora.

Evelyn zesznurowała wargi.

- A więc to tak. Masz nowego kochanka. Musisz być z siebie bardzo dumna.

Christiane ugryzła się w język, by nie udzielić cierpkiej odpowiedzi, o którą aż prosiła się pruderia przyjaciółki.

- Zgodziłam się poślubić lorda Carew - powiedziała zamiast tego.

Pani Treadwell złapała się za serce.

- Czy wyście oboje powariowali?

- Wręcz przeciwnie. Oboje jesteśmy bardzo szczęśliwi. W końcu.

Przez chwilę panowało milczenie. Potem przełożona odezwała się w te słowa:

- Wybacz mój brak radości na tę wiadomość, Christiane, ale jestem pewna, że popełniasz straszliwy bład.

Christiane roześmiała się.

- Może i tak. Ale przynajmniej robię coś, a nie tylko siedzę, popijam sherry i czekam, aż weźmie mnie w posiadanie starość i śmierć. On mówi, że mnie kocha, a ja mu wierzę.

- Może powinnaś pogawędzić sobie z Greer Delaney - ucięła pani Treadwell.

- Wyjaśnił mi całą tę sprawę - zapewniła ją Christiane. - Wiązał się przez wszystkie lata z młodymi damami, na których mu kompletnie nie zależało, bo usychał z tęsknoty za mną.

- Tak ci powiedział. Hrabina zadarła brodę do góry.

- Tak. Właśnie tak mi powiedział.

- Och, prawdą jest przecież porzekadło... że nie ma głupca nad starego głupca - jęknęła pani Treadwell, potrząsając głową.

- Wcale nie jestem stara!

- Może nie, ale ja jestem... za stara, by wysłuchiwać takich bzdur.

Miłość... w twoim wieku!

- Nie zdawałam sobie sprawy, że wyznaczono granicę wieku. - Przyzwoite kobiety o delikatnych uczuciach zdają sobie sprawę z istnienia tego faktu.

- Czy chcesz powiedzieć, że uważasz mnie za nieprzyzwoitą, Evelyn?

- Przekonana jestem, że twoje zachowanie każe kwestionować twój zdrowy rozsądek.

- Do czego ty właściwie pijesz? - zapytała hrabina.

- Jeżeli chcesz kontynuować te szalone amory z lordem Carew... -

Przełożona urwała.

- Tak? - zapytała Christiane z groźną nutką w głosie.

- Obawiam się, że będę musiała nalegać, byś zrezygnowała ze swoich obowiązków w akademii.

Christiane udało się powstrzymać od śmiechu.

- Evelyn, on chce się ze mną ożenić!

- Uwierzę w to, jak przyślecie mi zaproszenie. Nie, nawet i wtedy nie... dopiero kiedy zobaczę obrączkę na twoim palca - Potrząsnęła złowrogo głową. - Dokładnie to samo mówił, chcąc ściągnąć Greer Delaney do swego łóża, na miłość boską. Ale Christiane zlekceważyła jej słowa.

- Och, bądźże rozsądna. Sama powiedziałaś, że nie jestem już młoda. Co mógłby zyskać, udając, że mnie kocha?

- Nie wiem - rzekła ponuro przełożona. - Ale ja temu człowiekowi nie ufam.

Hrabina spojrzała w zatroskane oczy przyjaciółki i na jedną krótką



chwilę ogarnęły ją skrupuły. Ale potem przypomniała sobie, jak Gannon podszedł do okna w swojej miejskiej rezydencji, szeroko je otworzył i wykrzykiwał na całą ulicę: „Kocham hrabinę d'Oliveiri!”. To przez perfidię własnego męża Evelyn stała się taka podejrzliwa. Christiane zrobiło się jej żal.

- Przypuśćmy - powiedziała z namysłem - że daję się oszukać lordowi Carew, chociaż bardzo w to wątpię. Ale nawet jeżeli tak jest... och, Evelyn, posłuchaj mnie, proszę! Miłość wróciła do mego życia wtedy, kiedy się jej najmniej spodziewałam! I spowodowała, że czuję się znowu jak młoda dziewczyna.

- Bez wątpienia tak właśnie się zachowujesz. Jemu o coś chodzi. Zapamiętaj moje słowa.

Uparty pesymizm przełożonej zaczynał Christiane działać na nerwy.

- Mam prawo do tego, by mnie kochano! - oświadczyła ze złością. - Mam prawo do szczęścia! A ty nie masz prawa mi tego psuć!

- Na ile jawnie zamierzacie romansować z lordem Carew? -zapytała kwaśno Evelyn.

Christiane policzyła w myśli bardzo powoli do dziesięciu.

- Może byłoby najlepiej - powiedziała następnie - gdybym usunęła się z terenu szkoły do momentu, kiedy przekonasz się, że zamiary lorda Carew w stosunku do mojej osoby są honorowe.

- Jeżeli zamierzasz włóczyć się z nim, wystawiając się na pośmiewisko, to naprawdę jestem zdania, że nic lepszego zrobić nie możesz.

Christiane uśmiechnęła się chłodno.

- Coś mi się zdaje, że jesteś o mnie zazdrosna, Evelyn. Jeżeli ty mnie po tylu latach przyjaźni w taki sposób atakujesz... mogę wnosić tylko, że żałujesz, iż w twoim życiu brak wszelkiej namiętności.

Przełożona zerwała się, najwyraźniej poruszona i wzburzona, i pokazała na drzwi.

- Proponuję, żebyś wyszła natychmiast, zanim powiesz coś więcej, coś, czego później pożałujesz!

- Czyżbym zbyt celnie trafiła w sedno?

- Wręcz przeciwnie, dostarczyłaś mi tylko dodatkowego dowodu, jaka się stałaś dekadentka i bezwstydna! Nie pozwolę, by dziewczęta

choćby o dzień dłużej były wystawione na twoje wpływy.

- Jesteś równie niedobra jak tamte tygrysy! - krzyknęła oskarżycielsko Christiane. - A nawet gorsza, bo ponoć byłaś moją przyjaciółką! Żeby mnie atakować tylko dlatego, że mam tę szansę na szczęście...

- Jeżeli tak sobie życzysz to nazywać - powiedziała mrocznie pani Treadwell.

Christiane parsknęła śmiechem.

- No dobrze, w takim razie odejdę! - oświadczyła. - Pojadę do Londynu i będę szczęśliwa z lordem Carew. Ale nie przychodź do mnie z płaczem, kiedy któraś z dziewcząt zdecyduje się na ucieczkę albo będzie się próbowała zabić, albo po uszy zadurzy się w kimś niewłaściwym, ani w żadnych innych tego typu tarapatach, z których cię już wyciągałam. Za bardzo będę zajęta miłością, żeby mnie to obeszło!

- Zawsze byłaś egocentryczką! - piskliwie wrzasnęła przełożona, kiedy Christiane ruszała do drzwi. - Nigdy nie myślałaś o nikim poza sobą. Mogłam się spodziewać czegoś takiego już wtedy, kiedy przyszłaś mnie błagać, żebyśmy założyły tę szkołę!

Ale Christiane nie chciała jej słuchać. Biegła po schodach do swego pokoju.

Mało brakowało, a na podeście przewróciłyby się, wpadłszy na Gwen i Bess, które czaiły się tam z minami skruszonymi i niespokojnymi zarazem.

- Nie odejdzie pani chyba tak całkiem naprawdę? - zapytała Gwen.

A Bess dodała:

- Nie zechce pani odejść? Akademia zmieniałaby się, nie byłaby wyjątkowa bez pani!

Hrabina objęła każdą z nich ramieniem.

- Wygląda na to, że będę musiała, panienki. Przełożona oświadczyła, że nie nadają się, by was uczyć.

- Ale to niesprawiedliwe! - zawodziła Bess. - Robi pani tylko to, co pani i ona zawsze wpajałyście nam jako najważniejsze: idzie pani za głosem serca!

Christiane uścisnęła ich ramiona.

- Jak się zdaje, głos serca doprowadził mnie do podjęcia decyzji,

której pani Treadwell nie jest w stanie przełknąć. Ale nie ma powodu, by się cokolwiek zmieniło. Będziecie miały nadal swoje wykłady, swoich nauczycieli, swoje przyjaciółki.

Gwen była bliska łez.

- Jeżeli pani odejdzie, akademia zmieni się w zwykłą, napuszoną, taką jak inne szkołę, przygotowującą panienki do wejścia w wielki świat. Czy wyobraża pani sobie, że pani Treadwell kiedykolwiek pozwoliłaby, żeby doktor Caplan przyniósł mi tego prosiaka? Albo popierała Petrę wbrew życzeniom jej ojca?

- Od rana do wieczora będę słyszała tylko: „Naprawdę musisz schudnąć, moja droga!” - dodała ponuro Bess.

Christiane przystanęła na schodach i uśmiechnęła się do nich.

- Obojętne, co będą wam mówić - wyszeptała - wy w to nie wiercie. Widzicie, odkryłam pewną tajemnicę. Tygrysy z towarzystwa nie są ani w przybliżeniu takie groźne, jak ludzie każą wam wierzyć.

- Nie są? - zapytała z powątpiewaniem Bess.

- Wcale. Czy wiecie, kim są? To po prostu dziewczęta, które miały serca pełne nadziei, a musiały patrzeć, jak życie przechodzi obok nich. Moc i władzę daje im wyłącznie determinacja, z jaką pragną dopilnować, by inne kobiety podzieliły ich nieszczęścia. A pani T.... - Tu zawahała się, ale brnęła dalej. - Pani T. jest jedną z nich. Nie zawsze tak sądziłam. Ale teraz wiem.

- A więc odchodzi pani, nie zostawiając nam żadnej nadziei? - zawołała Bess.

- Nie rozumiesz, kochanie? - Christiane przyglądała niesforne loki rudzielca. - Ruszam w bój przed wami, to wszystko. Kiedy przyjdziecie tej jesieni do Londynu, będę w towarzystwie lorda Carew brała udział we wszystkich najlepszych imprezach. Da mi to dużo lepszą pozycję do walki o waszą przyszłość, niż gdybym kryła się tu, na uboczu. Zajmę się rozmowami z młodymi ludźmi, którzy są waszymi potencjalnymi kawalerami, odkryję, który z nich może żywić czułe uczucia dla poezji albo zakochany jest w wiedzy, jak funkcjonuje od wewnątrz ludzkie ciało. Będę awangardą, że tak powiem.

- Nie będziemy tracić już czasu - wymamrotała z namysłem Gwen. - Nie trzeba będzie tańczyć z takimi chamami jak lord Simpson. To nie

najgorszy pomysł, Bess.

- Ale tymczasem będziemy bardzo nieszczęśliwe! - protestowała ruda.

- Ten „tymczas” nie będzie wcale długi - zapewniła kojąco Christiane. - Jeszcze tylko kilka miesięcy, ale w tym okresie - dodała bardziej surowo - musicie stosować się do tego, czego uczą was pani Treadwell i pani Caldburn, i wszyscy inni. Spodziewam się, że kiedy będę zapoznawała was z młodymi ludźmi, których wyszukałam, wasze maniere okażą się bez zarzutu. Koniec z prychnaniem i drapaniem się, Bess! - Młoda dama, o której mowa, wyciągała właśnie dłoń, by się poczochnąć, ale pospiesznie się powstrzymała. - A co do ciebie, Gwen, naprawdę musisz nauczyć się, że kiedy zaczynasz wymieniać etapy, w jakich postępuje zniszczenie wątroby u ludzi, którzy pijają mocne alkohole, urywa się każda rozmowa, a tak nie wolno postępować. Na przyjęciach jest to po prostu niestrawne.

Gwen zachichotała. Po chwili przyłączyła się do niej Bess i dzielnie wyprostowała się w ramionach.

- Bardzo dobrze - oświadczyła. - Jeżeli ma to potrwać tylko kilka miesięcy... przypuszczam, że jakoś przetrzymamy. Jak sądzisz, Gwen?

- Zaczyna mi się wydawać, że to sytuacja najlepsza z możliwych - zauważyła ciemnowłosa. - Musisz przyznać, Bess, że na razie nasze wyprawy na teren towarzystwa okazywały się gorzej niż bezowocne. Ale jeśli Madame będzie dla nas szpiegowała...

- No właśnie - powiedziała Christiane i uśmiechnęła się do nich serdecznie. - Zobaczycie. Wszystko się dobrze składa.

- Och, ale co z Claire? - zawołała nagle Gwen. - Wie pani, że pani T. i ona nigdy nie czuły do siebie wielkiej sympatii.

- Nie bądź idiotką, Gwen - prychnęła na nią Bess. - Madame w szerokim świecie dużo bardziej efektywnie poprze konkury pana Wrede, niż gdyby siedziała tu w ukryciu.

- Zapewniam was, że dobro Claire będzie mi jak najbardziej leżało na sercu... i dobro Petry i wasze, jednej i drugiej. - Hrabina przytuliła je mocno do siebie. - Och, życcie mi szczęścia, panienki! Pani Treadwell taka jest pełna ponurych przeczuć, że niemal mnie wystraszyła.

- Ale pani musi do niego pójść - stwierdziła poważnie Gwen. - Inaczej

wszystko, czego nas pani tu uczyła, okaże się daremne.

- Właśnie! - zgodziła się z nią Bess, ocierając policzki. Jej niebieskie oczy napełniły się znowu łzami. - Ale tak bardzo będzie nam pani brakowało!

- To tylko na troszkę - zapewniła je hrabina - dopóki nie zaproszę was do Londynu, żebyście zatrzymały się u lorda Carew i u mnie. Będziemy razem zwiedzały miasto, chodziły na spacerunki i wreszcie przekonamy się, czy w Anglii znajdują się dwaj panowie, którzy byliby was warci. A jeżeli nie... to się udamy za granicę! - Z tymi słowami ją puściła, ucałowawszy każdą z nich szybciotko w czoło. - A teraz do łóżek!

- Do widzenia, Madame. - Gwen podeszła, by jeszcze raz się do niej przytulić. - Jeżeli spotka się pani z moim ojcem w Londynie, proszę przypomnieć mu, żeby bardziej punktualnie przysyłał za mnie chesne. Pani Treadwell ciągle napomyka, że o tym zapomina.

- Do zobaczenia, *cherie* - powiedziała Christiane i głos jej leciutko się załamał. Podczas kłótni z Evelyn nie w pełni uświadamiała sobie, ile będzie ją kosztowało zostawienie wszystkiego, co przyjdzie jej tutaj zostawić.

- Uważam, że on jest niezwykle przystojny - syknęła Bess i zachichotała.

- Kto? Mój ojciec? - droczyła się z nią Gwen.

- Oczywiście, że nie! Lord Carew!

- *Au revoir*, Gwen, Bess. - Christiane pocałowała je i pospiesznie odeszła, żeby zdążyć do swoich pokoi, zanim się rozplacze. Spakowała się w brawurowym pośpiechu, upychając suknie i buty do kufrów na chybił trafił. Słyszała, jak Evelyn wchodzi po schodach, jak waha się przed jej drzwiami i sama nie wiedziała, czy wolałaby, żeby przyjaciółka weszła do środka, czy nie.

W końcu kroki oddaliły się.

Christiane wpełzła do łóżka i spędziła niespokojną noc, usiłując rozpaczyć, malującej się na twarzyczkach dziewcząt, przeciwstawić ekstazę, którą czuła w ramionach Gannona. O świcie wstała, posłała Clarissę, by ta obudziła Stainsa i kazała mu zaprząć do powozu. Stains i chłopiec stajenny znieśli jej kufry po schodach. Jeżeli Evelyn nawet się

obudziła, nie dała znaku życia, nie próbowała się pojechać.

Hrabina stała przez chwilę na podjeździe w wodnistym, chłodnym świetle, i wpatrywała się w stare opactwo z jego mocnymi, porośniętymi bluszczem murami i wielodzietnymi oknami. W końcu przeszedł ją dreszcz, wzruszyła ramionami i pozwoliła się Stainsowi podsadzić do powozu.

- Do Londynu, Berkeley Square numer pięćdziesiąt cztery - powiedziała stanowczo i pilnowała się, by się nie obejrzeć za siebie.

Jechali w dobrym tempie. Minęło dopiero wpół do dwunastej, kiedy podjechali pod rezydencję miejską lorda Carew. Był dzień świętego Jerzego i w powietrzu rozbrzmiewały dźwięki kościelnych dzwonów.

Stains pomógł jej wysiąść. Weszła po schodkach, zastukała kołatką i nagle ogarnęła ją taka niepewność, że opadła na kolana. Przemogła się i wstała, bo drzwi się już otwierały, a nie chciała, by kamerdyner zobaczył ją w takiej pozycji.

Ale to nie był kamerdyner. To był Gannon z do połowy obgryzioną nogą indyczą w dłoni. Homer i Chloe awanturowały się za jego plecami. Szare oczy Gannona zapłonęły. Wyciągnął do niej rękę.

- Przyjechałaś do domu - powiedział.



---

## *Rozdział dwudziesty czwarty*

---

- Trzy piki - oznajmiła Christiane i z niedbałym wdziękiem położyła je na stosik zrzutek. - Tak się składa, że skończyłam. Znowu. Podliczcie, co tam macie, biedaczyska! Ile punktów straciłeś, kochany?

Gannon udał, że się gniewnie marszczy, i rzucił karty na stół.

- Osiem.

- Proszę to zanotować, panie Wrede. A ty, Claire?

- Tym razem tylko trzy. Mam więcej szczęścia niż wuj, proszę wuja!

- Kiedy Claire odkładała karty, w oczach jej zabłyśły psotne ogniki.

- I trzy dla Claire, panie Wrede. Czy rozegramy jeszcze jedną partyjkę? - Hrabina przesunęła karty ku sobie po lśniącem blacie.

- Obawiam się, że pan Wrede może czuć się znudzony do łez - zamruczał Gannon.

- Och, wręcz przeciwnie - zapewnił go gość. - Jako że nigdy nie nauczyłem się grać w kierki, z dużym zainteresowaniem przyglądam się grze.

- A do tego nigdy nie oszukuje przy prowadzeniu zapisu - napomknęła Christiane, zerkając spod oka na Gannona. - W przeciwieństwie do pewnych innych osób.

- To był błąd rachunkowy, mówię szczerą prawdę, zapewniam cię! - odparł jego lordowska mość.

- Gannon nie znosi przegrywać - szepnęła hrabina do młodych ludzi.

- A może - podsunął pan Wrede - w grze, w której należy unikać zdobywania serc, staje mu na przeszkodzie własna natura.

Christiane i Claire wpatrywały się w niego przez chwilę, a potem wybuchnęły śmiechem.

- Ależ, Davidzie - wykrztusiła rozchichotana Claire - taki brak rycerskości całkiem jest do pana niepodobny!

- Miał to być komplement - zapewnił David swojego gospodarza.  
- No dobrze, więc tak go przyjmę - zgodził się Gannon, a na jego surowej twarzy pojawił się cień uśmiechu. - Przecież to szczerza prawda.  
- Jesteś niewymownie próżny - powiedziała mu Christiane i pochyliła się, by mógł ją pocałować, co z radością wykonał.

David zerknął na Claire.

- Czy nie powinniśmy się oddalić? Bo chyba przeszkadzamy.  
- Nie ma mowy - zaprotestowała surowo Claire. - Czy zapomniał pan, że to my jesteśmy ich przyzwoitkami? Proszę sobie tylko wyobrazić, co mogliby wyprawiać, pozbawieni naszego stabilizującego wpływu!

- Proszę sobie tylko wyobrazić - zamruczał Gannon, gładząc Christiane palcami po przegubie. Christiane zarumieniła się.

- Jeszcze jedno rozdanie - postanowiła, odsuwając rękę, by wziąć talię. - I proszę, Gannonie, byś uważał, pomny na swój okropny wynik - Zaczęła tasować karty, potem podała je Claire do przełożenia. - Czy myślałaś już, Claire, co założysz jutro na fetę u lady Cobblesby?

Twarz dziewczyny trochę spochmurniała.

- A czy musimy tam iść? Tak miło jest tutaj z panią i wujkiem... i Davidem, oczywiście. Czy nie moglibyśmy spędzić wieczoru tak jak teraz, w zaciszu rodzinnym?

Christiane popatrzyła na nią ze współczuciem.

- Jest miło, prawda? Ale nie zapominaj... chociaż ty ulokowałaś już szczęśliwie swoje uczucia, musimy zająć się sprawą Bess i Gwen, i Petry.

Claire westchnęła przeciągle.

- Ma pani oczywiście rację. Davidzie, może przypadkiem zna pan jeszcze trzech innych niezłomnych, odpowiednich dla moich przyjaciółek kwaków?

- Z pewnością nie chciałaby pani, by akademię napiętnowano mianem wylęgarni niedobrych małżeństw - droczył się z nią David.

- No właśnie - wtrącił Gannon. - Może byście wy dwoje wybrali jakąś datę?

Claire krew uderzyła do twarzy, ale David tylko się roześmiał.

- Czekamy, by pan to zrobił pierwszy, sir - oznajmił. - Wiek ma

swoje przywileje.

- Ciągle nam pan przypomina o naszym wieku - prychnęła Christiane.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Tylko dlatego, że pani zadaje mu kłam. Christiane potrząsnęła głową.

- Ależ on jest uroczy, Claire.

- Prawda? - zgodziła się radośnie dziewczyna, biorąc narzeczonego pod rękę.

- A co byście powiedzieli na dubeltowe wesele? - odezwał się nagle Gannon. Popatrzyli na niego. - Czemu by, u diabła, nie? Oszczędziłbym całą masę pieniędzy.

- Typowy Irlandczyk - mruknęła sucho Christiane. Gannon pokazał jej język.

- Ale to prawda - rzekł z namysłem David.

- Każda panna młoda chciałaby ten dzień mieć dla siebie - sprzeciwiła się Christiane, uśmiechając się do Claire - żeby cała uwaga skupiała się wyłącznie na niej.

- Ja nie chcę - zapewniła ją bez wahania dziewczyna. - Byłabym aż nadto wdzięczna, gdybym się tym dniem mogła podzielić.

- Czy szczerze tak uważasz? - zapytał ją David. Claire pokiwała energicznie głową.

- Ale musiałyby to być kwakerski ślub - zwrócił im uwagę Gannon. - Czy ten ktoś, kto pełni u was obowiązki duchownego, zgodziłby się udzielić ślubu niepoprawnym od-szczepieńcom, panie Wrede?

- My ślubujemy sobie wierność bez pośredników - wyjaśnił młody człowiek.

- Podoba mi się ten pomysł - powiedziała Christiane.

- Ale na pewno ceremonia jest bardzo skromna - zauważyła Claire - i raczej niekoniecznie musi odpowiadać Madame.

- A skąd ty, dziecisko, możesz wiedzieć, co będzie mi odpowiadało? - odparła Christiane. - Tak się składa, że moim zdaniem jest mi bardzo do twarzy w czerni.

- To prawda - potwierdził Gannon i gorącym spojrzeniem objął jej głęboko wyciętą suknię.

- Czy kwakerskie panny młode ubierają się na czarno? - zapytała Claire, szeroko otwierając oczy.

- Nie, nie - zapewnił ją David. - Za właściwe uznawane są kolory biały, kremowy, niebieski i beżowy.

- A czy mają kwiaty?

- Tak. - Uśmiechnął się, gładząc czarne włosy narzeczonej. - To dla pani ważne, prawda?

- Bardziej niż kolor sukni.

- Ciekawe, czy towarzystwo wzięłoby w takiej ceremonii udział? - zastanawiała się na głos Christiane.

- Najprawdopodobniej nie - przyznał David.

- A więc zdecydujemy się na nią, koniecznie! - błagała Claire.

Christiane popatrzyła na Gannona.

- Mówiłeś poważnie?

- Jak najbardziej.

- A pan, panie Wrede, nie będzie miał obiekcji do wspólnego ślubu z parą takich starych huncwotów jak my?

- Będę się czuł zaszczycony. To pani pierwsza popierała moje starania o Claire. Bez pani pomocy...

- ... kto wie, czym by się wszystko skończyło? - dokończyła myśl Claire, uśmiechając się do niego.

Jeden tylko Gannon nie wydawał się przekonany.

- Nie tak to sobie wyobrażałem, Christiane. Myślałem o kościele St. Paul... o wielkiej gali.

- Kpię sobie z gali. To w końcu mój drugi ślub - przypomniała mu Christiane. - Taki harmider przekonałby tylko Evelyn, że mój przypadek jest beznadziejny. Spojrzenia ich się spotkały.

- Czy zaprosisz ją?

- Oczywiście, że tak. Ale nie przyjedzie. - Ta myśl psuła nieco szczęście Christiane. - Z tym, że do St. Paul też by nie przyjechała, więc nie ma co zawracać sobie tym głowy.

- Czerwiec? - zaproponował David.

- Jak to, zaledwie o miesiąc ód teraz? - sprzeciwiła się Christiane. - Nie zdążymy wszystkiego do czerwca zrobić.

- Poza tym wszyscy żenią się w czerwcu - dodał Gannon.

- Lipiec i sierpień - zauważyła Christiane - tracimy przez sezon w Bath.

- Zawsze ze wszystkich pór roku najbardziej lubiłem jesień - zauważył David.

- Ty i ja - przypomniał hrabinie Gannon - nawiązaliśmy wtedy znowu kontakt. Głosuję za październikiem. Bardzo lubię październik. Odpowiednia pogoda na warzenie piwa.

- Ale to nie mógłby być ten październik - zaprotestowała Claire, marszcząc z z troskaniem brwi. - Nie wypada. Za duży pośpiech, biorąc pod uwagę... - Głos jej zamarł.

- Minie już ponad rok od śmierci twoich rodziców - powiedziała łagodnie Christiane. - To wystarczająco długi okres czasu na żałobę, jak sądzę.

Zauważyła, że Gannon jest niespokojny. Zerwał się z krzesła, podszedł do kredensu po następną whiskey i zrobił całe przedstawienie z pojemnikiem na wodę sodową. Dlaczego ta rozmowa miałaby go wytrącić z równowagi? Może nie tyle rozmowa, ile realność ślubu, uświadomiła sobie.

Czy Christiane okaże się następną z długiego szeregu porzuconych kochanek? Istnieli mężczyźni, dla których polowanie było wszystkim, którzy tracili zainteresowanie, kiedy zdobyli przedmiot pożądania. Gannon mógł do nich należeć.

Nie dopuści, by takie wątpliwości obróciły wniwecz jej szczęście, postanowiła, sięgając po whiskey z wodą. Są niegodne jej... i jego również.

W końcu Gannon odwrócił się od kredensu. Christiane odetchnęła znowu, chociaż wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Z jego twarzy znikła troska. Szare oczy lśniły jak stare srebro powleczone patyną nadziei, bogato i ciepło.

- Claire - powiedział, głos miał głęboki, spokojny i stanowczy. - Musisz mi uwierzyć. Dla twojej matki nie było w życiu ważniejszej sprawy niż twoje szczęście. Gdybyś miała poślubić pana Wrede jutro, wbrew wszystkim rygorom towarzystwa, patrzyłaby na ciebie z nieba rozpromieniona. Jestem tego pewien.

Claire mocno wczepiła się w rękę Davida.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem.
- Dam ci szczęście - przyrzekł jej David głosem bez tchu.

Dziewczyna milczała przez długą chwilę. Sądząc po wyrazie twarzy, walczyła z demonami ciemności. Potem otrząsnęła się z tego chwilowego nastroju.

- Październik będzie mi bardzo odpowiadał - wyszeptwała. David Wrede zamknął ją w swoich mocnych ramionach.

Gannon przeszedł przez pokój do Christiane i pocałował ją krótko, ale mocno.

- A więc w październiku - oznajmił. - Rozdaj karty, moja ukochana.
- Tak się zastanawiam - rozmyślała Christiane, siedząc przy toalecie

Gannona i szczotkując rozpuszczone loki.

Gannon już leżał w łóżku z rękami założonymi pod głowę.

- Zastanawiasz się nad czym?
- Czy nie poganiamy za bardzo Claire.
- Nonsens - powiedział szorstko. - Ślub jest najlepszym wyjściem.

David to idealny mężczyzna dla niej.

- Och, co do tego nie mam wątpliwości. - Odłożyła szczotkę i zaczęła zaplatać warkocz.

- Zostaw włosy rozpuszczone - rozkazał, a potem złagodził wypowiedź: - Proszę.

- Jak chcesz. - Rozwiązała szlafrok, pozwoliła, by zsunął się z jej ramion na krzesło. Koszula, którą miała pod spodem, była z przejrzystego kremowego muślinu. W lustrze zobaczyła oczy Gannona, pełne nieskrywanego pragnienia. Przeszedł ją dreszcz radosnego oczekiwania. A przecież wciąż ociągała się przy lustrze. Greer też musiał tak pożądać, za tę chłodną blond urodę i obfite łono. A Christiane pragnęła dowodu, że Gannon ją kocha. Postanowiła się z nim podroczyć.

- Ludzie z pewnością będą gadali, jeżeli po takim długim szeregu zakończonych niczym narzeczeństw popędzisz ze mną do ołtarza.

- A niech sobie gadają - zawarczał. - Zawsze to robią. Chodź do łóżka.

Podniosła ręce, żeby odpiąć kolczyki. Kiedy je odpinała, ogarnęło ją niesamowite wrażenie, że kiedyś już odgrywali razem tę scenę - wrażenie, które Francuzi nazywają *deja vu*. Co mogło je wywołać?



Wzięła ze stolika buteleczkę wody toaletowej i wyjęła korek. Swojski, ulotny zapach konwalii wypełnił powietrze, zakręciło jej się od niego w głowie. Przyłożyła kryształową zatyczkę do gardła; dreszcz ją przeszedł, taka była chłodna. Uniosła powoli spojrzenie na lustro, zobaczyła odbicie Gannona: zmierzwiłone czarne włosy, chciwe pożądanie w oczach... i przypomniała sobie. Wyglądał dokładnie tak samo w Paryżu, tamtej nocy, kiedy go wzięła do łóżka. Ona również tak samo siedziała przed toaletką, tak samo zajmowała się sobą, ogarniało ją takie samo napięcie przed tym, co zamierzała zrobić...

I wiedziała wtedy, wyczuwała, że popełnia błąd. Że podnosząc się ze swego miejsca, podchodząc do niego, zdradza nie tylko Jean-Baptiste'a, ale i siebie samą. Ten moment, ta chwila, kiedy przypatrywała się Gannonowi leżącemu na łóżku, wywołała lawinę myśli. Gdyby oparła się wtedy pokusie... gdyby została wierna kochankowi., co by się z nimi wszystkimi teraz działo? Ruchów Jean-Baptiste'a nie spowolniłaby rana, którą Gannon dopiero miał mu zadać, i może nie zginąłby podczas wojny. Może opuściłby dla niej żonę. Ona może nie wyszłaby za hrabiego d'Oliveri. A Gannon... Gannon może zapomniałby o swoim szalonym zadurzeniu w Christiane, dokończył wielką podróż po Europie, wrócił do Anglii i poślubił Georginę.

A wtedy Claire wcale by się nie narodziła.

- Co cię tam jeszcze trzyma? - zapytał niecierpliwie. Christiane potrząsnęła głową, chcąc jakoś uporządkować chaotyczne myśli.

- Wybacz mi. Sama nie wiem. - Podniosła się... znowu. Podeszła do niego. A robiąc to, czuła, jak pulsuje jej żyłka na szyi, jak rytmicznie odmierza mijanie czasu.

Jakaś głęboko ukryta cząstka Christiane potwornie się bała. Cząstka ukryta w mroku, którego nie potrafiły rozproszyć serdeczne objęcia Gannona, w pustce, której nie potrafiły wypełnić pocałunki. Niech diabli porwą tę Evelyn za jej jeremiady! Opanowała wyraz twarzy, reagowała na pieszczoty tak, jak się Gannon spodziewał, krzyczała cicho, z wycuciem, kiedy się w niej zanurzał...

Ale kiedy sturlał się z Christiane, nasycony i ukojony, ucałował jej szyję, a potem usta, odwrócił się na bok i zachrapał, ona objęła się mocno ramionami i leżała w ciemnościach, słuchając pełnego

niepewności łomotu własnego serca.

Scandalous

---

## *Rozdział dwudziesty piąty*

---

- Nie było tak bardzo źle, prawda? - zapytał David Wrede i usadowił się obok Claire; lokaj lorda Cobblesby zatrzaskał za nimi drzwiczki powozu.

Claire potrząsnęła zwieszoną głową, wpatrując się w okryte rękawiczkami dłonie.

- Nie. Chyba nie tak bardzo źle.

- A ja uważam, że było zupełnie cudownie - oświadczyła Christiane, opadając na poduszki powozu. - Wygrałam przy wiście pięćdziesiąt funtów od lorda Trelawny. Będzie miał nauczkę, żeby nie zakładać się przeciw mnie. Co to on mówił, kochany? - zwróciła się do Gannona.

- Że po minie kobiety zawsze można poznać, jaką kartę dostała. Do diabła, sam mogłem mu powiedzieć, że to bzdura.

- Dokąd teraz, milordzie? - zawołał Sean, stangret. Gannon uniósł brew, patrząc na Christiane.

- Przypuszczam, że najpierw musimy odwiedzić pana Wrede do domu - podsunęła. - Chyba że miałby ochotę wrócić z nami na... Och, ciągle zapominam, że pan nie pije, Davidzie. Rzadko się zdarza, by ktoś niepijący był tak wspaniałym kompanem. Może się pan jednak przyglądać, jak my pijemy.

David się roześmiał.

- Wdzięczny jestem za państwa zaproszenie. Ale czeka mnie wczesne spotkanie z nowym klientem mojego ojca.

- Szkoda. A więc do pana Wrede, Seanie! - zawołała. - Czy mógłby pan przypomnieć nam adres, Davidzie?

- Burtons Court - powiedział Wrede. - Numer dziesięć.

- W ten weekend jesteśmy zaproszeni na obiad do pana rodziny, prawda? - zapytał Gannon.

- W piątek na siódmą. - Mrugnął do nich wesoło. - Nie jest to modna pora, wiem. W tym problem z kwakrami.

- Ty poznałaś już rodziców Davida, prawda, Claire? - zapytała Christiane Claire.

- Odwiedziłam ich w Wielkanoc.

- Byli nią zachwyceni - powiedział David Christiane. - Podobnie jak moje siostry.

- Okazali mi wiele życzliwości - szepnęła cicho Claire. Ale wydawała się roztargniona i dziwnie podenerwowana.

Christiane wymieniła spojrzenia z Gannonem, który lekko wzruszył ramionami.

- Wiem, że to trudne dla ciebie, Claire - hrabina starała się mówić tonem lekkim i wesołym - iż nagle znalazłaś się w samym centrum uwagi. Tak wiele nowych twarzy, tak wiele nazwisk do zapamiętania! Ale radzisz sobie bardzo dobrze. Gannon, czy zgodzisz się ze mną?

- Jak najbardziej.

Claire podziękowała za komplement króciuteńkim skinieniem głowy.

- Panna Delaney była dla mnie paskudna - wyszeptała, wciąż ze zwieszoną głową.

Christiane się wzdrygnęła.

- Nie wiedziałam nawet, że tam była!

- Po rozczarowanych wybrankach wuja - rzekł David z bladym uśmiechem - nie powinna się pani spodziewać komplementów.

- Ale ona mówiła takie rzeczy...

- Jakie rzeczy? - zapytał Gannon, prostując się na siedzeniu.

Przejeżdżali właśnie pod gazową latarnią, od której olbrzymie, szare oczy Claire zapłonęły i błysnęły w ciemnościach na zielono, jak kocie.

- Nie chcę tego omawiać - wyszeptała i wtuliła się w pana Wrede, przymykając powieki.

Powóz zwolnił i zatrzymał się.

- Rezydencja pana Wrede - oznajmił Sean.

- Dobranoc, milordzie, Madame. Claire, moje serce... - Wysiadł z powozu, ucałował ją po raz ostatni, potem zamknął za sobą drzwiczki.

- Do domu? - zapytał z nadzieją Sean.

Claire siedziała ze zwieszoną głową. Musi być zmęczona, pomyślała Christiane.

- Do domu, Sean - potwierdziła, serce wezbrało miłością na te słowa, Gannon ścisnął mocno jej dłoń.

Powóz potoczył się dalej. Na widok długiego szeregu pojazdów przed ogrodami Ranelagh Sean wybuchnął przekleństwami i zdecydował się na objazd. Nowa trasa prowadziła w pobliżu portu. Christiane podniosła wzrok i w świetle latarni zobaczyła tabliczkę z napisem „Meekin Lane”. Nie mogli być daleko do siedziby „Guardiana” Matthew Darby'ego. Przez jedną chwilę zastanawiała się, czy nie zaproponować, by przystanęli i odwiedzili starego przyjaciela, który skrupulatnie rozgłaszał na łamach swej gazety obecność Christiane na każdej z imprez towarzyskich, wyraźnie starał się ułatwić odzyskanie powszechnego poważania przez hrabinę... i słowem nawet nie wspomniał o jej powiązaniach z akademią pani Treadwell, daj mu Boże zdrowie. Naprawdę miała wobec niego dług...

Palce Gannona zamknęły się na dłoni Christiane, przysunął udo mocno do jej spódnic, ocierając się o nią raz za razem.

Wszystkie myśli o Matthew Darbym pierzchnęły Christiane z głowy.

Kiedy dojechali do miejskiej rezydencji Gannona, Christiane poszła z Claire do jej pokoi pod pretekstem, że chce zabrać zostawioną tam książkę. Pokojówka rozbierała dziewczynę i rozpuszczała jej włosy, a hrabina usiłowała poplotkować o minionym wieczorze. Wciąż jeszcze martwiła się, co takiego mogła Greer Delaney powiedzieć, żeby aż tak wytrącić Claire z równowagi.

- Wyszczotkuję je panience, dobrze? - zaproponowała uśmiechnięta, pyzata irlandzka pokojówka, wyciągając ostatnie spinki.

- Dzisiaj wieczorem nie, Bridey. Za bardzo jestem zmęczona. Zapleć je tylko.

- Słucham, panienko. - Bridey zręcznie rozdzieliła czarne pukle na trzy długie pasma i splótła je. - Czy coś jeszcze?

- Nie zimno ci, Claire? - zagadnęła hrabina, widząc, jak Claire dygocze w przejrzystej koszulce nocnej. - Mogłybyśmy rozpalić na kominku.

Claire się na to roześmiała.

- W maju? Ludzie pomyśleliby, że jestem pomyłona. Nie, Bridey, możesz już iść.

- Nie mogę się doczekać, aż Bess i Gwen przyjadą w przyszły weekend - mówiła Christiane, kiedy pokojówka je zostawiła. - Dowiedziałam się dziś wieczorem, że ten sympatyczny lord Riverton pisze wiersze i jest zwariowany na punkcie teatru.

- Który to był lord Riverton? - zapytała Claire, powstrzymując się od ziewnięcia.

- Taki rudawy, który potknął się o dywan po drodze do stołu. Bardzo wysoki i szczupły. Niebieskie oczy. Troszkę niezgrabny.

- Nie przypominam go sobie. Ale chyba idealnie będzie się nadawał dla Bess.

- A czy przypominasz sobie pana Gouvernour?

- Nie mogę powiedzieć, żebym go pamiętała.

- Sądzę, że nadałby się dla Gwen - ciągnęła z namysłem Christiane. - Doktor Caplan mówił mi, że ten młody człowiek uczy się chemii wbrew zażartym protestom rodziców.

- Dlaczego mieliby protestować?

- Jak się zdaje, ciągle coś wysadza w powietrze za pomocą prochu strzelniczego własnej roboty i kompozycji.

Claire zachichotała, ziewając.

- Widzi pani? Naprawdę każde jabłko ma swoją połówkę, jak to powiadają.

- Rzeczywiście chyba ma. - Christiane znalazła książkę, o którą jej chodziło. Była to „La pucelle d'Orleans” Woltera, leżała na szkicowniku Claire, na jej biurku. Leniwie uśmiechnęła się na widok karykatury Seana: Claire oddała doskonale gburowatą minę stangreta. Odwróciła kartkę, na następnej zobaczyła ładny szkic Gannona i Homera. Pies wpatrywał się z uwielbieniem w swego pana. Przewróciła jeszcze i tę kartkę i znalazła rysunek, przedstawiający dwa konie, zaprzęzione do wozu albo jakiejś karety, trudno to powiedzieć, bo widać było tylko dyszel. Konie były srokaty, siwe z czarnymi, wykonanymi węglem plamami po bokach, i wyglądały jak żywe.

- Och, podoba mi się ten szkic koni, który zrobiłaś - napomknęła.

- Czego?



- Koni. - Christiane odwróciła szkicownik w stronę Claire.  
- Ja tego nie narysowałam - zarzekała się dziewczyna.  
- Ależ musiałaś to narysować, *cherie*. Obrazek jest w twoim szkicowniku.

Claire wpatrywała się w rysunek.

- Nawet jeżeli ja go narysowałam, to w ogóle tego nie pamiętam.  
- Nie pamiętasz, bo jesteś wyczerpana, bez wątpienia. - Christiane pocałowała ją w policzek, potem położyła dziewczynie dłoń na czole. - Zastanawiam się, czy nie dostajesz gorączki. Jak się czujesz?

- Wspaniale - zapewniła Claire i uśmiechnęła się. Christiane otuliła ją kołdrą.

- Nie będę cię pytała, co powiedziała do ciebie Greer Delaney. Obojętne jakich użyła słów, zamierzała cię nimi tylko okrutnie zranić i narobić kłopotów. Przykro mi, że była dla ciebie paskudna. Czuję się tak, jakby to była moja wina. - Pochyliła się i pocałowała Claire w policzek.

- Oczywiście, że to nie pani wina - szepnęła ledwo dosłyszalnie Claire, której oczy już się zamykały.

- Dobranoc, *cherie*.

Claire wymamrotała coś jeszcze, niewykluczone, że miało to być „dobranoc”, i wtuliła się w poduszkę. Christiane uśmiechnęła się, zdmuchnęła lampę i wyszła, bardzo cichutko zamykając drzwi. Kiedy się od nich odwróciła, poczuła na ramionach dłońe Gannona.

- Cśśś - zaczęła ostrzegawczo i nagle uświadomiła sobie, że te dłonie to łapy. - Do cholery, leżeć, Homer! - syknęła na psa, odpychając go od siebie. Nie obraził się ani odrobinę, pomachał ogonem i polizał ją prosto w usta, obśliniając przy sposobności. - Nie. mogę się zdecydować, co jest gorsze: czy to, że Chloe mnie nienawidzi, czy też to, że ty mnie uwielbiasz - mruknęła smętnie hrabina, wycierając usta w rękaw. - Gdzie twój pan? - Homer krótko szczeknął i popędził przed siebie korytarzem. Idąc za nim, Christiane zauważyła pokojówkę Claire, która szła ku niej z naręczem świeżo wyprasowanej bielizny. - Pozwól paniencie mocno zasnąć, Bridey, a potem rozpal trochę na kominku, dobrze? - poprosiła. - W powietrzu jest wilgoć, a ona odrobinę mizernie wygląda.

- Tak, psze pani. Sama tak chciałam zrobić, naprawdę. Jaśnie pan

jest w kuchniach.

- To cud, że ten człowiek nie jest grubszy od regenta, tak się opycha - wymamrotała Christiane, na co Bridey się rozchichotała. Homer przystanął przy schodach i niespokojnie się obejrzał. - Tak, tak, już idę. Dalej, ty potworze. - Trąciła go biodrem, a on popędził na dół i przebiegł przez hol, postukując pazurami o marmurową posadzkę.

Christiane przystanąła w drzwiach do kuchni i przyglądała się, jak Gannon podaje Chloe kawał sera z Gloucester, a potem sam odgryza z niego kęs.

- Coś paskudnego - zauważyła.

- Dlaczego? Zachowaliśmy kawałeczek i dla ciebie. - Wyciągnął ser w jej kierunku i parsknął śmiechem na minę hrabiny. Suka wyszczerzyła zęby i zawarczała. - Tylko żartowałem - zapewnił ją i rzucił ser. Chloe chwyciła go w locie, tak kłapnąwszy przy tym szczękami, że Christiane zbladła.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że wcale nie skonsumowałeś niedawno posiłku z pięciu dań.

- To było całe godziny temu. Zresztą tak czy owak nie był najsmaczniejszy. Lady Cobblesby powinna zaangażować nową kucharkę. Claire już się położyła? - zapytał Gannon.

Christiane przytaknęła, popijając trunek.

- Ale wydaje mi się, że może dostać gorączki. Oczy miała jakies szkliste i cała się trzęsła. Jak myślisz, co Greer mogła powiedzieć, że Claire się tak zdenerwowała?

- Nie mam pojęcia - wybełkotał przez buraczki i rzucił następny Homerowi.

Christiane wyczuła, że Gannon nie ma ochoty ciągnąć tego tematu, i przeszła na inny.

- A co myślisz o lordzie Riverstone dla Bess?

- Który to był Riverstone?

- Ten, który potknął się po drodze do stołu.

- Czy wyłącznie na tej podstawie go wybrałaś? Christiane wydeła wargi.

- Tak się składa, że on pisze wiersze.

- Wszyscy piszą wiersze. Pytanie, czy warto je czytać.

- Ty nie piszesz wierszy. - Popatrzyła na niego. - A może?
- Pisywałem, kiedy byłem młodszy.
- A nadawały się do czytania? Gannon z emfazą potrząsnął głową.
- Żaden. - Christiane roześmiała się i podeszła o kilka kroków bliżej.

Chloe zawarczała jeszcze groźniej.

- Mogłaby się już do mnie przez ten czas przyzwyczać - powiedziała nerwowo Christiane.

- Poznała w tobie rywalkę. Nie zapominaj, wyrzuciłaś ją z mojego łóżka. Chodźcie, zwierzaki. - Chwycił ze stołu kilka suszonych kiełbasek i zwabił psy do drzwi. Spodziewała się, że rzuci im mięso i te drzwi zatrzaśnie, ale on zamarł w bezruchu. - Fajerwerki! Popatrz tylko!

Podeszła ostrożnie, nie spuszczać oka z Chloe, ale uwagę suki przykuwały kiełbaski.

- Nie widzę żadnych fajerwerków. Gannon objął ją i pocałował.
- To sami je zrobimy. - Wrzucił kiełbaski z powrotem do kuchni i natychmiast zatrzasnął drzwi, zamykając psy w domu.

Noc była ciepła, powietrze gęste od słodkiego zapachu bzów. Żółty księżyc w pełni wschodził właśnie nad murem.

- Co ty planujesz? - zapytała podejrzliwie Christiane.

- Przechadzkę po ogrodzie.

- No... jak sobie życzysz. Ale muszę cię uprzedzić, że mnie kochanie się *en plein air* wydaje się ogromnie przereklamowane. Zawsze się znajdują jakieś patyki i kamienie... nie wspominając już o robactwie. - Machnęła ręką na coś, co pikowało właśnie w kierunku jej włosów.

- Dziwne. Większość znanych mi kobiet z upodobaniem pozwalała się posiąć w ogrodach.

- Tylko udawały. Dla mężczyzny to co innego: jest na wierzchu. To nie jemu wbijają się te wszystkie kamyki i ciernie w pośladki. Zresztą powiedz prawdę. Czy po tym pierwszym doświadczeniu, kiedy już posiadałeś je w ogrodzie, twoje partnerki nie nalegały usilnie, żebyście przenieśli się do twoich apartamentów?

Gannon parsknął śmiechem.

- Chyba rzeczywiście.

Ramię w ramię wyszli zza zakrętu, zostawiając za sobą żywopłot, który zasłaniał świątynkę. I nagle Christiane aż dech zaparło.

- Och! - Miniaturowy Tadź Mahal połyskiwał w promieniach księżyca; jego odbicie migotało na ciemnej sadzawce. A tuż przed sadzawką...

- Co to ma być? - zapytała w zadziwieniu, przystając na ścieżce i starając się zrozumieć, co widzi.

- Łóżko.

- Łóżko?

- Mhm. Tak się składa, że mam podobne do twoich zastrzeżenia, kiedy idzie o kochanie się na dworze.

Christiane odwróciła się i rozejrzała po ogradzającym ogród murze.

- Z pewnością ktoś nas zobaczy.

- Jestem dosyć pewien, że nie. Ale jeżeli chcesz, chodź i sprawdź, co widać. - Podprowadził ją jeszcze kilka kroków dalej. Z wahaniem poszła za nim, wyciągając szyję.

- Twój najbliższy sąsiad...

- Wyjechał do Dorset w interesach. Kazałem się służącym dowiedzieć.

- A z tamtej strony?

- Wyjechali na wakacje do Lake Country. On jest zapalonym miłośnikiem ptaków, a dowiedział się, że przelatują tamtędy jakieś afrykańskie jaskółki. - Opadł na materac i zaczął ściągać buty.

Christiane wciąż jeszcze nie mogła zdecydować się, czy bardziej jest zaszokowana, czy rozbawiona.

- Ale skąd ci przyszedł taki pomysł do głowy? Tyle kłopotów... - Przyjrzała się luksusowej pościeli, tym stosom wałków i poduszek.

- Chciałem się z tobą kochać w świetle księżyca. Patrzyła, jak ściąga z siebie ubrania.

- Czy nie przejmujesz się...

- Nie, wcale. - Poklepał łóżko.

Christiane przycupnęła na samym brzeжку materaca, nadal rozglądając się po murach.

- Gospodarze mogli z tych domów wyjechać - zwróciła mu uwagę - ale służba jest na miejscu.

Uśmiechnął się w świetle księżyca, zdeprymowany.

- Coś mi się zdaje, że fatalnie podziały na ciebie wpływy pani

Treadwell. Przyznałaś się już, że nie jest dla ciebie nowością kochać się na dworze.

- Zawsze ukradkiem - syknęła. - A to jest takie... przewidziane!

Gannon roześmiał się i przeturlał bliżej niej.

- Nie możesz mieć jednego i drugiego. Dołożyłem wielu starań, żeby oszczędzić ci kamyków i cierni. Czy zechcesz teraz zrobić mi grzeczność?

Christiane siedziała bez ruchu, kiedy ściągał w dół rękaw sukni i obnażał ramię, kiedy gładził jej obojczyki, pieścił kark, kiedy wyszukał w koku spinki i powyciągał je. Czarne loki spadły burzą na ramiona. Gannon chwycił je w dłonie i ukrył w nich twarz.

- Tak cię kocham - wyszeptał.

Wahała się jeszcze przez chwilę. Potem sięgnęła do wstążek i powoli je rozwiązała. Gannon tylko patrzył. Najpierw opadł stanik sukni, potem rękawy. Gannonowi dech zaparło z zachwyty.

- Spójrz tylko na siebie - wyszeptał, po omacku starając się rozpiąć gorset. - Jaka jesteś piękna.

Christiane zahuczało w głowie od ostrzeżeń Evelyn, że jest stara i głupia. Ale ciało jej już ożywało cudownym, niekłamanym pragnieniem. Gannon zsunął suknię przez biodra. A kiedy położył palce na nagich piersiach, mało nie umarła z rozkoszy. Za palcami podążyły usta. Przyssał się do niej, językiem okrążał sutek, który stwardniał w nocnym powietrzu. Poczula w podbrzuszu pierwsze iskierki znanego już ognia i nagle przestało ją obchodzić, czy Gannon zauważy, że posiwiały jej włosy, ciało zwiotczało i pojawiły się na nim piegi. Chciała go. I niech diabli wezmą wszystkich sąsiadów.

Powoli podciągnął ją do góry, tak że uklękła. Suknia opadła przy tym na ziemię. Pocałował pępek, popieścił językiem. Christiane przesunęła się i usiadła na nim okrakiem. Gannon gwałtownie chwycił czubek jej piersi w zęby i jednym szarpnięciem zsunął w dół pantalon. Uniosła się, poczuła, jak wbija się w nią jego męskość, usłyszała, jak gwałtownie wciągnął powietrze.

- O Boże - wyszeptał i rozwartymi dłońmi objął jej pośladki. - Och. Oooch...

Christiane opuszczała się powoli, aż cały się w niej pogрузył.

Przeszedł go dreszcz, wygiął się pod nią niecierpliwie, oddychał coraz szybciej. Świecący za plecami księżyc i gwiazdy zagrzewały ją do dzieła.

Kiedy opuściła się na niego, zamknął oczy. Teraz je znowu powoli otworzył.

- Chcę oglądać... każdą chwilę tego - powiedział, w jego oczach odbijał się księżyc. Christiane nie bała się już ani nie wstydziła. Chciała tylko dać mu rozkosz. Odchyliła się, uniosła nad nim i znowu opadła. Gannon jęknął z zadowolenia. Potem zawisła w górze, drażniąc jego oręż, zataczając biodrami koła tak, że żołądź muskała jej miejsce najczulsze, odsuwała się i znowu przysuwała... i jeszcze...

Aach! Płomień, który buchnął w jej wnętrzu, był jak zawsze zdumiewająco jaskrawy. Objęła Gannona mocno kolanami, dłonie oparła na jego piersi. Gannon pojękiwał z pożądania, chwycił ją za uda, starał się przyciągnąć bliżej. A ona wciąż się ociągała, dręczyła go, prowokowała, aż wreszcie złapał ustami za czubek piersi i pociągnął z taką siłą, że mimo woli opadła i przyjęła go w siebie całego.

- Mmm - zamruczał, całując jej włosy, ucho. Christiane z zapamiętania odrzuciła do tyłu głowę. Ujeżdżała go teraz ze wszystkich sił.

- Tak! - krzyknął, próbując ją przyciągnąć do siebie, chor ciał usiłowała nie dać się wybić z rytmu. - Tak, tak, och, moja ukochana! - Christiane przestała unosić się i opadać, zamiast tego zataczała teraz koła i ocierała się o niego, oszołomiona rozkoszą. Pragnęła, by ta ekstaza nigdy nie miała końca, ale równocześnie nie była już dłużej w stanie jej wytrzymać. A wtedy lędźwie Gannona eksplodowały. Poczowała wytrysk nasienia i swoich własnych soków, wykrzyknęła jego imię...

Krzyk Christiane ucichł. Gannon obejmował ją mocno.

W cichym powietrzu nocnym rozległ się drugi krzyk, który wcześniej zagłuszał wspólnie przeżywaną rozkoszą. Zamarli, wciąż zadyszani, usiłując ten krzyk zlokalizować... Taki dziwny, przenikliwy, niezrozumiały odgłos. Modlitwa? Wrzask?

Gannon nagle wyprostował się, niemal zrzucając Christiane na żwir.

- Mój Boże - powiedział, chwytając odrzucone wcześniej spodnie - Mój Boże. To Claire.



---

## *Rozdział dwudziesty szósty*

---

Gannonowi udało się ubrać szybciej niż jej, ale kiedy dobiegł do drzwi pokoju Claire i gwałtownie je otworzył, była tylko o tuzin kroków za nim i usłyszała okropnie przerażony głos pokojówki Claire, Bridey:

- Nie wiem, co się panience stało, milordzie!

- Claire? - zawołał ostro Gannon. Żadnej reakcji. - Claire! -

powtórzył z takim niepokojem, że Christiane niemal bała się wejść do środka. Weszła jednak i zobaczyła, że Gannon klęczy przy łóżku, na którym jego bratanica, odrzuciwszy kołdrę, leży skulona w ciasny kłębuszek. Oczy miała szeroko otwarte, ale chyba go nie widziała. Wpatrywała się w przestrzeń, wargi jej niemal niedostrzegalnie się poruszały.

- Właśnie weszłam, żeby zapalić w kominku, jak mi pani poleciła, psze pani... - wyjąkała pokojówka.

- Cicho, Bridey. Nic złego nie zrobiłaś. - Christiane myślała szybko. Leon Caplan był w Londynie. Widziała go na feście u Cobblesbych. Złapała za ramię pokojówkę, która bełkotała coś, przerażona. - Każ Seanowi pojechać po doktora Caplana pod ten adres. - Podeszła do biurka Claire. i na kawałku papieru nagryzmoła adres pensjonatu pani Mordecai. - Niech Sean powie mu, że panna Finn zachorowała. - Pokojówka wahała się, gapiąc z pełną fascynacji grozą na Claire. - Idźże już, do cholery! - rozkazała hrabina i Bridey niepewnie wycofała się z pokoju.

- Co ona mówi? - zapytała Christiane, podeszła bliżej do Gannon a sama usłyszała słowa Claire.

- Konie. O Boże, te śliczne, śliczne konie!

- Claire - perswadował Gannon, ujmując bratanicę za ramiona i potrząsając nią łagodnie. - Claire, to tylko sen.

- Co ja mam zrobić z końmi? - głos Claire podniósł się do krzyku. Hałasy przywabiły następnych służących. Zebrali się przy drzwiach. Christiane gwałtownie odwróciła się do nich.

- Niech któryś z was pojedzie po pana Wrede - rozkazała. - Mieszka przy Burton Court, pod numerem dziesiątym.

Gannon podniósł na nią wzrok. -Nie.

- Ale jemu zawsze udawało się ją uspokoić!

- A ile razy, twoim zdaniem - zapytał napiętym głosem - może oglądać Claire w takim złym stanie, zanim straci ochotę, by ją poślubić?

Christiane szeroko otworzyła oczy.

- Z pewnością by jej nie porzucił!

- Wolę nie podejmować takiego ryzyka. Każ im przynieść laudanum.

- Czy nie powinniśmy poczekać na doktora Caplana?

- Znam dawkę.

Christiane zawahała się, a potem odwróciła do służby.

- Seamus, przynieście laudanum.

- Nie wiem, gdzie jest, psze pani.

- W moim gabinecie - wyjaśnił krótko Gannon. - Górna lewa szuflada biurka.

Seamus oddalił się biegiem.

- Nadal wydaje mi się, że gdybyśmy posłali po Davida...

- Nie - powiedział kategorycznie Gannon. - Nie pozwolę, by ją w takim stanie zobaczył. - Usiłował rozprostować napięte ciało Claire, odciągając jej nogi od piersi.

- Delikatnie! - wykrzyknęła Christiane.

- Konie - wyszeptała Claire ze zgrozą.

- Zapomnij o tych cholernych koniach - syknął jej wuj.

- Gannon, proszę cię. Zrobisz Claire krzywdę. - Christiane próbowała odciągnąć go od bratanicy.

- Wiem, co robię. Zajmowałem się już nią, kiedy wcześniej bywała w takim stanie.

W tym akurat momencie Claire przeszedł dreszcz, zamrugała oczami i otworzyła je.

- Czy on nie żyje? - wyszeptała.

- Cicho, Claire - powiedział Gannon.

- O Chryste! - wrzasnęła dziewczyna. Jak szalona zaczęła odpychać ramiona, którymi ją powstrzymywał, i szarpała się, by wstać z łóżka. - Och, Słodka Matko i Panie Jezu...

Seamus pospiesznie wszedł do pokoju, ściskając w garści buteleczkę.

- Proszę, oto laudanum, milordzie.

- Daj je tu - rozkazał Gannon i zębami odkorkował butelkę. - Claire. Wypij to. Połknij. - Przyłożył bratanicy buteleczkę do ust.

Na jedną chwilę Claire przestała się szarpać. Ich szare spojrzenia się spotkały.

- Nie - zajęczała.

- Musisz. To cię uspokoi.

- Nie! Nie chcę już zapominać! - szalała Claire, starając się wytrącić mu buteleczkę z ręki. - Chcę pamiętać.

- Musisz zasnąć - mówił Gannon z nadnaturalnym spokojem. - Musisz odpocząć, Claire. Odpocząć.

- Odpocząć. - Powtórzyła to słowo, wpatrując mu się w oczy.

- Właśnie tak. Odpocząć. - Podniósł znowu buteleczkę. Przez jedną chwilę wydawało się, że Claire zażyje lekarstwo. Potem wyrwała się z uścisku wuja.

- Będzie mi się śniło! - zawodziła tak rozpaczliwym głosem, że Christiane poczuła, jak krew krzepnie jej w żyłach.

Gannon przytulił bratanicę do siebie.

- Żadnych snów. Nie będzie już więcej snów. Obiecuję ci - nucił tak, jak matka mogłaby śpiewać niemowlęciu. - Zażyj to, teraz. Grzeczna dziewczynka. - Przyłożył jej buteleczkę do ust. Tym razem Claire wypła łyżeczek lekarstwa. - Tak właśnie - szeptał. - Odpocznij. Śpij. Nie będzie już snów...

- Jestem zmęczona - wymamrotała Claire, pokładając się w jego objęciach.

- Wiem, że jesteś. No, już. - Położył bratanicę znowu na poduszki i z ogromną delikatnością podciągnął jej kołdrę pod brodę. Poglądził dziewczynę po czole, przesunął dłonią po włosach. Claire wyraźnie się odprężyła, napięcie odpływało z jej rąk i nóg. Służba w drzwiach jak jeden mąż odetchnęła z ulgą. W pokoju zapanowała cisza, przerywana tylko cichym trzaskaniem ognia na kominku. Gannon pochylił się i

pocałował Claire w policzek.

Kiedy to zrobił, oczy jej otworzyły się raz jeszcze.

- Nie mogę przestać się martwić o konie - oznajmiła bardzo wyraźnie.

- Już zająłem się końmi - zapewnił. - Przysięgam ci. - Claire skinęła głową, a wuj się do niej uśmiechnął. Powieki dziewczyny opadły, zamknęły się, zatrzepotały, ale się już nie podniosły. Gannon tkwił bez ruchu u jej boku, czekając, aż oddech zmieni się z płytkiego na głębszy, a potem jeszcze bardziej spokojny. Kiedy nabrał pewności, że Claire na dobre zasnęła, odwrócił się do Christiane.

- Przepraszam, że byłem dla ciebie taki szorstki. Znieść tego nie mogę, jak ona jest w tym stanie.

- O jakie konie jej chodzi? - zapytała zdezorientowana.

- Kto wie? - Uśmiechnął się ujmująco.

Szkicownik, który Christiane widziała wcześniej, leżał na podłodze przy łóżku Claire, z ołówkiem na okładce. Podeszła i wyciągnęła rękę, by go podnieść.

- Zostaw to - rozkazał ostro Gannon.

- Ona rysowała konie...

- Mam po dziurki w nosie tych koni!

Christiane czuła się zmęczona i przygnębiona. Ulotnił się cały czar spędzonych w ogrodzie chwil. Miewała już takie uczucie czasami na torze wyścigowym w Paryżu, kiedy postawiła na niewłaściwego konia. Do cholery z tymi końmi! Zateśkniła gwałtownie, by znowu znaleźć się w akademii wśród dziewcząt, popijać sherry z panią Treadwell, być gdziekolwiek, byle nie tu, gdzie właśnie była. Gannon wyczuł chyba, o czym ukochana myśli.

- Wybacz mi - przeprosił ją oficjalnie i pochylił się, by ją pocałować. Christiane wzdrygnęła się pod jego dotknięciem. Gannon uniósł głowę i spojrzał na nią. - Christiane - szepnął. - Proszę, nie odstępuj mnie... nie stawiaj na mnie krzyżyka. Bo jeżeli go postawisz, będę zgubiony.

Bridey wetknęła głowę w drzwi.

- Doktor Caplan - oznajmiła, dygnęła lekko i wpuściła go przed sobą do pokoju.

- Dziękuję, że pan przyjechał, doktorze - powitał go uprzejmie

Gannon. - Ale obawiam się, że hrabina wezwała pana bez potrzeby. Jak pan widzi, Claire śpi spokojnie.

- Co panią napadło, żeby po mnie posyłać? - zapytał Leon Christiane.

- To był koszmarny sen - wyjaśnił zamiast niej Gannon. - Nic innego, tylko sen. Odrobina laudanum wystarczyła, żeby groza minęła.

Doktor podszedł do łóżka, sprawdził puls Claire, położył jej dłoń na czole.

- Nie ma gorączki - zauważył. - Czy majaczyła? - Z pytaniem tym znowu zwrócił się do Christiane.

Christiane instynktownie wiedziała, jakiej Gannon po niej oczekuje odpowiedzi. Równie mocno jak on pragnęła Wydać dziewczynę za Davida Wrede. Ale coś z nią było nie w porządku... jeżeli potrzebuje pomocy...

- Mówiła znowu o koniach - wyznała.

Brodą twarz Leona zmarszczyła się ze zmartwienia.

- To nie jest dobra oznaka. Gannon ściągnął brwi.

- Jest zmęczona, i tyle - powiedział lekarzowi. - Mamy za sobą pracowity tydzień.

- Ile laudanum dał jej pan?

Gannon wzruszył ramionami.

- Odrobinę. Łyczek.

- Rozumie pan, że nie jest to lek, którym można szafować bez rozwagi.

- Nie jestem idiotą - uciął Gannon tak szorstko, że Christiane szeroko otworzyła oczy.

- On tylko próbuje pomóc - zaprotestowała i aż się skuliła, kiedy Gannon z kolei zaatakował ją.

- Niepotrzebna mi jego pomoc. - Podniósł czarną torbę lekarza, zatrzasnął zamek i wepchnął ją Caplanowi w rękę. - Sam się nią zajmę.

- Mam obowiązki wobec mojej pacjentki - rzekł doktor Caplan spokojnie, ale stanowczo. - Jak długo panna Finn jest uczennicą akademii...

- Już przestała być! - stwierdził krótko Gannon. - Z tą chwilą odbieram ją z akademii. Nie ponosi pan już za nią odpowiedzialności,

- Gannon, chyba nie mówisz serio! - wykrzyknęła zaszokowana Christiane.

Leon nie ustępował.

- Nie wiem, co pan pańskim zdaniem robi, milordzie, ale nie leży to w najlepszym interesie panny Finn. Potrzebna jest jej opieka lekarska.

- Sam wiem, co jest dla niej najlepsze.

Lekarz zawahał się, popatrzył na Christiane, która zerknęła na Gannona. Jaśnie pan najwyraźniej aż kipiał z wściekłości.

- Posiedzę z nią przez noc - obiecała Leonowi. - Jeśli nastąpi jakaś zmiana, poślę po pana natychmiast.

Skinął na to głową, wciąż przyciskając czarną torbę do piersi

- Bardzo dobrze.

- I serdecznie dziękuję, że zechciał pan przyjechać. Jesteśmy wdzięczni. Prawda, Gannonie? - Gannon wymamrotał coś niezrozumiałego. Christiane spiorunowała go wzrokiem. - Bridey, czy zechciałabyś wyprowadzić pana doktora?

- Sam mogę się wyprowadzić. Dobranoc, milordzie. Dobranoc, Christiane.

Czekała, dopóki do jej uszu nie doszło stukanie końskich kopyt na kocich łbach. Potem poszła i zamknęła drzwi do sypialni przed ociągającą się w korytarzu służbą.

- Chyba już bardziej grubiańsko nie mogłeś się wobec niego zachować? - zapytała lodowato.

- Ja? Grubiańsko w stosunku do niego? To on potraktował mnie jak idiotę - odpalił Gannon. - „Ile pan dał jej laudanum?” Czy wyobraża sobie, że próbuję ją otruć?

- Nie to miał na myśli. Martwi się o nią, to wszystko.

- Ja też się martwię. - W jego głosie pojawił się głuchy ton. - Chcę tylko jej pomóc. - Popatrzył na Christiane, a ona w jego pięknych szarych oczach zobaczyła strach. - Poczuj się jutro lepiej. Zobaczysz.

W obliczu tak ewidentnego bólu hrabina złagodniała.

- Na pewno tak. - Pocałowała go. - Idź do łóżka. Ja z nią posiedzę.

- Może się tym zająć Bridey.

- Obiecałam Leonowi, że ja to zrobię.

- A więc ja też z nią posiedzę.



- Nie ma potrzeby, żebyśmy oboje spędzali bezsenłą noc.
  - Czy to znaczy, że nie ufasz mi na tyle, by powierzyć ją mej opiece?
- Christiane wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Oczywiście, że ci ufam!
- Może ty też wyobrażasz sobie, że chciałbym ją otruć.
- Gannon, nie bądź śmieszny. To, że wygadujesz takie bzdury, dowodzi tylko, jak bardzo jesteś znużony. Idź do łóżka.

- Chodź ze mną.
- Dałam Leonowi słowo.

Mięśnie wokół ust Gannona napięły się.

- Jak sobie życzysz - rzekł i wyszedł, zamykając za sobą drzwi z przesadnie głośnym szczęknięciem klamki.

Christiane popatrzyła na łóżko. Claire spała mocno, ukojona laudanum. To, co Gannon zrobił, podziałało; zaopiekował się nią, jak powiedział Leonowi. Ale co mówiła Claire? Nie *chcę już zapominać. Chcę pamiętać...* A Gannon najwyraźniej nie pragnął, by przypomniwała sobie, co drażni obrzeża jej pamięci obrazem białych koni. I dlaczego nie zgodził się posłać po Davida Wrede?

Przystawiła sobie fotel do łóżka Claire, rozsiadła się w nim i zamknęła oczy, zamknęła je mocno, broniąc się przed nawałnicą pytań. Ale nic nie było w stanie uśmierzyć chaosu, który zapanował w jej myślach. Siedziała i wpatrywała się w mrok, w przyszłość, z uczuciem, że stało się coś, czego już odwrócić się nie da, i że świat - jej świat, ich świat - nigdy już nie będzie taki sam.

---

## *Rozdział dwudziesty siódmy*

---

Obudziła się tak, jak zasnęła, skulona w fotelu, wyczerpana, otumaniona, z paskudnym bólem głowy. Ktoś bardzo cichutko stukał do drzwi sypialni. Christiane zerknęła na łóżko. Claire była blada, ale spała. Oddychała głęboko i równo. Hrabina podeszła na paluszkach do drzwi i otworzyła je. Zobaczyła przed sobą Bridey z listem w ręce.

- Dla pani, psze pani - powiedziała pokojówka.

Christiane wzięła kopertę i wsunęła paznokiec pod pieczęć. Znała to pismo. Należało do Matthew Darby'ego. Co teraz?

Wiadomość była krótka. „Czy może pani spotkać się ze mną na tyłach małego pawilonu w ogrodach Ranelagh? To sprawa najwyższej wagi”.

Zerknęła na zegar na gzymsie nad kominkiem. Dochodziła jedenasta.

A niech to! Pojęcia nie miała, dlaczego wydawca „Guardiana” nabrał nagle ochoty, by się z nią zobaczyć. Przyszło jej na myśl, żeby nigdzie nie iść, tylko wysłać do Darby'ego chłopaka z liścikiem. Mogła usprawiedliwić się chorobą Claire, która naprawdę niedomagała, oraz tym, że musi przy niej siedzieć.

Ponadto... nie dawało jej spokoju wspomnienie wściekłości, z jaką Gannon zaczepił ją na ulicy kilka miesięcy temu, kiedy złożyła wydawcy wizytę, tego, jak groził jej i tak przeraził dorożkarza, że ten wezwał policję.

Ale zaraz potem przypomniała sobie, ile życzliwości okazał jej Matthew, zachowując w sekrecie tyle powierzonych sobie tajemnic Christiane. Miała wobec niego dług wdzięczności. Poza tym Claire doszła chyba do siebie po cierpieniach ostatniej nocy, chociaż nadal nie było wiadomo, co je wywołało.

Złożyła liścik i wsunęła go do koperty.

- Czy mogłabyś posiedzieć z nią, Bridey, dopóki nie wrócę? Muszę

szybciutko załatwić pewną sprawę.

- Dobrze, psze pani - zgodziła się młodziutka pokojówka, kiwnąwszy głową.

Czy powinna powiedzieć Gannonowi, że wychodzi? Christiane zawahała się.

- Czy wiesz, gdzie jest jaśnie pan?

- W swoim gabinecie, psze pani. Kucharka właśnie posłała mu kawę.

- Pokojówka konspiracyjnie mrugnęła do hrabiny. - Ale widzę, że był tu zajrzeć do pani.

- Co?

Bridey pokazała głową na fotel, na którym wcześniej zwinęła się w kłębuszek Christiane: Z malutkiego, stojącego obok na podłodze wazonika sterczała gruba, zielona łodyga szparaga, przewiązana zawadiacko czerwoną wstążeczką.

Christiane głośno roześmiała się na ten niespodziewany gest pojednawczy. Jeżeli Gannon zajrzał już do niej i do Claire, to pewnie teraz przez jakiś czas będzie pracował. Hrabina zdąży więc wymknąć się, zobaczyć z Matthew i niepostrzeżenie wrócić. Woląca to zrobić w ten sposób. Podniosła wazonik z nieortodoksyjną zawartością i udała się do swoich pokoi, a tam szybko przebrała się i pospiesznie zeszła na dół.

Na widok Christiane Chloe, która rozłożyła się na podłodze we frontowym holu, obnażyła zębiska i zawarczała.

- A do diabła także i z tobą - wymamrotała przyjaźnie Christiane. Suka podniosła się na łapy z denerwującym warczeniem.

- Leżeć! - rozkazał ostro kamerdyner, O'Malley, który wychynął z kuchni. - Wychodzi pani? Czy kazać Seanowi podjechać powozem?

- Nie ma potrzeby zawracać Seanowi głowy. Czy mógłby mi pan przywołać dorożkę?

- Oczywiście, jaśnie pani. - Kamerdyner ruszył do drzwi. Chloe spięła się cała, sierść między jej łopatkami się zjeżyła. O'Malley szarpnął sukę za obrozę.

- Powiedziałem: leżeć!

- Chyba zaczekam na ganku - zauważyła Christiane i niepewnie wyslizgnęła się za drzwi.

Ależ to dziwne, spotykać się z Matthew Darbym w pełnym świetle

dnia, pomyślała, obchodząc po ścieżce ładny pawilonik i zbliżając się szybkim krokiem do wydawcy.

- Witam, Matthew! - pozdrowiła go, podając dłoń do ucałowania. - Niewiele brakowało, a ubiegłej nocy wpadlibyśmy po drodze z lordem Carew do pana w odwiedzin. Przejeżdżaliśmy w pobliżu.

- Prymitywnych przygód wam się zachciało? Christiane się roześmiała.

- Nie, nie. Narzeczony jego bratanicy mieszka w pobliżu. Wie pan, Matthew, naprawdę doceniam to, ile okazał pan nam wszystkim życzliwości w swojej gazecie.

- Nie ma o czym mówić.

Jej przyjaciel jakiś się wydawał nieswój, zauważyła hrabina.

- Czy mogłabym coś dla pana zrobić? - zapytała.

Darby podniósł na nią ciemne oczy, ale zaraz umknął wzrokiem.

- Prosiła mnie pani, bym poinformował ją, jeżeli kiedyś dowiem się czegoś o sprawie śmierci rodziców Claire Finn - powiedział bardzo cicho.

- Dobry Boże! Czyżby zidentyfikowano winowajców? Czy ich aresztowano?

- Nic aż tak pewnego. To tylko strzęp pogłoski...

- Jakiej pogłoski?

Darby wrócił do Christiane spojrzeniem; dojrzała w nim nutkę współczucia.

- Że to lord Carew ich pozabijał.

Hrabina wpatrywała się przez chwilę w niego wstrząśnięta. Potem parsknęła śmiechem.

- Co za absurd!

- Przekazuję, co słyszałem - mruknął Matthew, szarpiąc za swój na chybił trafił zawiązany krawat.

- Kto panu naopowiadał takich bzdur?

- Lord Fitch. A on dowiedział się o tym od lady Fitch, która usłyszała to z dobrego źródła. Od Greer Delaney.

- Dobrze nieba, Matthew. Porzucona narzeczona? A cóż to za źródło?

- Może się pani śmiać - obstawał przy swoim wydawca. - Ta historia ma sens. Był na miejscu. Przyznał to sam. Powiedział stróżom prawa, że

rzucił się w pogoń za bratem i Georginą po tym, jak odwiedził ich w hotelu, a tam poinformowano go, że ruszyli w drogę powrotną do Irlandii. To on pierwszy znalazł się na miejscu zdarzenia. - Dziwne, pomyślała Christiane, że nigdy jej o tym nie wspomniał. Claire zresztą również nie. - Jedynym świadkiem była dziewczyna, a ona nigdy nie potrafiła zdać władzom żadnej spójnej relacji; mówiła tylko, że powóz zaatakowali jacyś mężczyźni, których spłoszył pastuch.

- Dlaczego miałby ich pozabijać? - zapytała Christiane.

- Panna Delaney na ten temat ma również swoje zdanie. Według niej Carew romansował ze swoją szwagierką i próbował namówić ją, żeby odeszła od męża. Hugh dowiedział się o tym i przyjechał do Londynu, chcąc rozmówić się z bratem twarzą w twarz, a Georginą w końcu przedłożyła Hugh nad Gannona. Znowu. I właśnie dlatego ruszyli do Irlandii, nie mówiąc mu, że opuszczają Londyn. Usiłowali się wymknąć, ale on ich dopadł.

- Nie sądzi pan, że to dosyć dziwne, iż panna Delaney przez wiele miesięcy nie zerwała zaręczyn, chociaż wiedziała, że narzeczony to morderca?

- Ona następująco przedstawia sprawę... i rozpowiada to po całym mieście: obawiała się, że ją również zabije.

- Z pewnością nie zechce pan drukować takich bzdur. Darby popatrzył wprost na nią.

- Zrobiłbym to, gdyby w grę nie wchodziła pani. Christiane stała, trzymając nad głową żółtą jak jaskier parasolkę; chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak wzburzona.

- Zna mnie pan od dawna, Matthew. Czy sądzi pan, że mogłabym pokochać człowieka, który jest mordercą?

- Myślę, że mogłaby pani, gdyby nie wiedziała pani, kim naprawdę jest. Greer Delaney twierdzi, że ją to właśnie spotkało.

- Greer to idiotka.

- W przeciwieństwie do pani. I dlatego poprosiłem, by się pani ze mną tu spotkała. - Darby wydawał się bardzo przygnębiony i nieswój. - Chyba chciałbym prosić, by zapewniła mnie pani... że nie jest to prawda.

Christiane już otwierała usta, żeby udzielić mu tego zapewnienia - i nagle przypomniało jej się, jak szybko sięgnął Gannon po laudanum

ubiegłej nocy. *Chcę pamiętać*, tak krzyczała Claire. A on nie pozwolił jej na to. Zmusił, by przełknęła lek. A jeżeli Claire wiedziała, że wuj zabił jej rodziców, i to właśnie próbowała sobie przypomnieć? Jeżeli tego właśnie obawiał się Gannon?

Ale to niemądre. Dziewczyna nigdy nie okazywała najmniejszego nawet lęku przed nim. Wręcz przeciwnie, usychała z tęsknoty, jeżeli nie przyjeżdżał odwiedzać jej w akademii, a teraz polegała na jego radach. Christiane poczuła, że czerwieni się ze wstydu. Jak mogła nawet coś takiego pomyśleć? Przypomniała sobie, co powiedział ubiegłej nocy: *Me odstępuj mnie... nie stawiaj na mnie krzyżyka. Bo jeżeli go postawisz, będę zgubiony.*

Uśmiechnęła się olśniewająco.

- A więc udzielam go panu - oznajmiła Matthew Darby'emu. -  
Mojego zapewnienia. To po prostu nie jest prawda.

- Ma pani całkowitą pewność?

- Oczywiście, że tak. Greer Delaney pragnie zdyskredytować Gannona, ponieważ z nią zerwał.

Darby spochmurniał.

- Ja również tak właśnie myślałem, kiedy dowiedziałem się, co opowiada. Ale ludzie gadają o czymś jeszcze... chociaż na razie nie bardzo wiem, kto... a mianowicie, że doktorowi Driscollowi z Royal Academy podczas kolacji z kolegami lekarzami wyrwało się parę słów na temat Georginy. Niemalże ich poinformował, że ta dziewczyna... Claire... to córka Gannona, a nie Hugh. Jak się zdaje, Hugh i Georgina byli w separacji, kiedy się urodziła, a Georgina mieszkała wtedy razem z Gannonem. Christiane przypomniała sobie, że pochopnie wyciągnęła taki sam wniosek, kiedy doktor Caplan powiedział jej, iż małżonka Hugh okres ciąży spędziła w majątku Gannona. Westchnęła i pokiwała głową.

- To prawda... Georgina mieszkała u Gannona. Ale nie dlatego, że byli kochankami.

- A więc dlaczego?

Hrabina zawahała się. Wiedziała, że może polegać na dyskrekcji Matthew, ale przekonała się, że nie ma ochoty zdradzać sekretów nieszczęsnej Georginy, przez litość dla Claire. Śmietanka towarzyska najwyraźniej i tak dokładnie analizowała przeszłość dziewczyny.



- Musi mi pan uwierzyć na słowo - rzekła w końcu. - Wcale nie o to chodziło.

- On pierwszy znalazł się na miejscu zdarzenia - powtórzył Matthew z uporem. - To nie jest plotka, tylko fakt. Dowiedziałem się o tym od szeryfa hrabstwa po całym zdarzeniu.

Dlaczego, zastanawiała się Christiane, Gannon nigdy jej o tym nie wspomniał? Ale nie rozmawiali również bardziej obszernie o tym, co stało się z jego bratem i Georgina. Gannon niechętnie mówił o „sprawach rodzinnych”.

- To niczego nie dowodzi - odparła poirytowana.

- Ale wygląda nieco podejrzanie, prawda? Jeżeli pojechał za nimi, to chyba tylko po to, by nie dopuścić, żeby jego brat zabrał Georginę do Irlandii?

- A co powiedział szeryfowi?

- Że wpadł do braterstwa do hotelu tego ranka i dowiedział się, że niespodziewanie wyjechali. Potwierdził to hotelowy personel. Carew utrzymuje, że pojechał za nimi, bo chciał się pożegnać.

- Czy taki postępek nie jest całkowicie naturalny?

- Christiane. Nie przyszedłem tu tylko jako wydawca „Guardiana”. Przyszedłem również jako pani przyjaciel.

Christiane parsknęła śmiechem.

- Dobry z pana przyjaciel, jeżeli obstatek pan, że człowiek, którego mam poślubić, nie tylko przyprowadził rogi swojemu bratu, ale jeszcze z zimną krwią go zabił! Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś tak absurdalnego. Jeżeli Korona ma jakiegokolwiek dowody, że Gannon winien jest tego morderstwa... albo jeżeli utrzymuje tak ktokolwiek oprócz tej Greer... niech przedstawi sprawę w sądzie. Dość już tych przeklętych plotek. Mogą zrujnować życie. Niech mi pan wierzy. Ja to wiem.

- A więc zachowam milczenie. Byłem pewien, że właśnie tak pani zareaguje. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie może mi jednak pani mieć za złe, że się nad tym zastanawiałem. To byłaby sensacyjna historia, gdyby tylko okazała się prawdziwa.

- Będzie pan musiał wygrzebać skądś jakiś inny skandal - powiedziała mu z uśmiechem.

- Niech się pani nie obawia. Nigdy ich tutaj nie brakuje. Dzięki, że przyszła się pani ze mną zobaczyć. Pewnie nie będzie pani mogła mi na pożegnanie rzucić jakiegoś smakowicie skandalicznego kąska?

Christiane zawahała się, rozejrzała na prawo i lewo, potem pochyliła ku niemu.

- Oto kąsek dla pana, pod warunkiem, że utrzyma pan go w tajemnicy. Hrabina d'Oliveiri nigdy w życiu nie była jeszcze taka szczęśliwa.

Matthew Darby się roześmiał.

- Czy jeszcze się pani nie nauczyła, że dobre wieści nie przynoszą żadnego profitu? - zapytał.

Wracając na Berkeley Square, Christiane była w świetnym humorze. Kiedy Matthew ubrał w słowa teorię Greer, podającą powody i sposób, w jaki Gannon mógł zabić swego brata i bratową, uświadomiła sobie całą absurdalność takiego pomysłu. To haniebne, by ta kobieta rozsiewała po cichu takie oszczerstwa... i jeszcze mówiła o nich Claire! Nic dziwnego, że nieszczęsna dziewczyna była ubiegłej nocy straszliwie wytrącona z równowagi. Porozmawia z nią od razu, oczywiście, i postara się na nowo wpoić jej przekonanie, że nie wolno pozwalać, by tak wstrząsały nią opinie innych ludzi. Czy powinna powiedzieć Gannonowi, do czego zdolna jest Greer? Kiedy się dowie, będzie wściekły. Ale gorzej byłoby, gdyby napomknął mu o tym ktoś obcy. Ona przynajmniej przekaże wiadomość delikatnie. Może uda się nawet pokazać Gannonowi, że to po prostu śmieszne...

- Psze pani? - Dorożkarz stał przy powozie, gotów pomóc hrabinie wysiąść przed rezydencją.

- Już? - zapytała zaskoczona. - Ile jestem panu winna?

- Szylinga i sześć pensów.

Christiane pogrzebała w torebce i, będąc w szczodrym nastroju, dołożyła mu jeszcze szylinga jako napiwek.

- Piękne dzięki! - powiedział dorożkarz. Christiane pomachała ręką i podeszła po schodach do drzwi.

Otworzył jej kamerdyner, O'Malley.

- Milady. Jeżeli pozwoli pani...

- Co, Chloe nie czeka na progu, żeby mi skoczyć do gardła? -

zapytała Christiane, nie słysząc w holu swojskiego warczenia wilczarza.

- Nie, milady. Jeżeli pani pozwoli... Christiane już ruszała po schodach na górę.

- Mamy na ten wieczór zaproszenie od Ormsby-Smithów na przyjęcie i do opery, O'Malley. Za pozwoleniem jaśnie pana chciałabym wysłać wyrazy ubolewania.

- Już to zrobiłem na polecenie jaśnie pana, milady.

- Naprawdę? - powiedziała Christiane zaskoczona. - Ciekawe, czemu kazał nasz udział odwołać. Panna Finn nie czuje się chyba gorzej, prawda? - Dotarła do podestu i ruszyła w kierunku pokoju Claire, chcąc do niej zajrzeć.

- Gdyby pani zechciała pozwolić...

Christiane zastukała do drzwi Claire, nie otrzymała odpowiedzi i pchnęła je.

- Jest z jaśnie panem? Musi się czuć lepiej.

- Z jaśnie panem to prawda, milady. Ale... Christiane zawróciła.

- W gabinecie?

- Nie, milady.

- W bawialni? - Szła spiesznie korytarzem, a kamerdyner dreptał za nią.

- Nie, milady.

- Wiem, w moich pokojach! - Skierowała się w ich stronę. O'Malley nadal deptał jej po piętach. Pchnęła drzwi i zobaczyła płamę na orientalnym dywanie. Może Homer albo Chloe... ale nie. To nie mogły być psy, bo leżała tam również przewiązana wstążeczką łodyga szparaga i roztrzaskane odłamki kryształowego wazonika...

A obok nich zmięta w kulę kartka. List. List od Matthew.

- O Boże - wyszeptała i gwałtownie, z lękiem w oczach odwróciła się do O'Malleya. - Co się stało?

- To właśnie usiłowałem pani powiedzieć, milady. Od Bridey dowiedziałem się, że pan przyszedł do pokoju panny Claire z pytaniem, gdzie się pani podziewa. Powiedziała mu, że nie wie, dokąd pani poszła, tylko że dostała pani list i wyszła. Pan zapytał więc, od kogo ten list, ale Bridey powiedziała, że nie wie, że zabrała go pani do swego pokoju. Poszła tam za nim. Podobno wziął list, przeczytał, zaczął kląć na czym

świat stoi i roztrzaskał kryształowy wazonik. Potem kazał jej natychmiast spakować rzeczy panny Claire. I swoje też spakował.

- Ale dokąd pojechał?
- Do Aerfailly, jaśnie pani.
- Do Aerfailly? - Christiane usłyszała, że głos załamuje jej się z zaskoczenia. - Chce pan powiedzieć, że do Irlandii?
- Właśnie. I do tego zabrał pannę Claire.

Christiane poczuła się tak, jakby kamerdyner ją uderzył, jakby zadał cios, od którego zabrakło jej tchu w płucach. Dlaczego nie pomyślała, żeby wrzucić list od Matthew w ogień? Przypomniała sobie znowu, pełna jak najgorszych przeczuc, w jaką furję wpadł Gannon, kiedy kilka miesięcy temu najpierw śledził ją przez cały dzień podczas pobytu w Londynie, a potem zaatakował, gdy wracała powozem. „Najgorszy plotkarz w całej Anglii”, tak nazwał Matthew. *Mam prawo chronić moją bratanicę.*

- Kogo jeszcze zabrał ze sobą oprócz panny Claire? - zapytała przejęta grozą.
- Wilczarze. Och, i Bridey. Nikogo więcej.
- Musiał zostawić jakąś wiadomość dla mnie. - Kamerdyner powoli kręcił głową. - Ale musi być jakiś list... jakieś wyjaśnienie! - mówiła gorączkowo.

O'Malley ze współczuciem zaprzeczył.

- Nie zostawił ani słowa.

Nie uwierzyła mu. Poszła do gabinetu Gannona, przeszukała blat biurka, całe biurko. Wróciła do ich wspólnego pokoju, popatrzyła na łóżko, przeszukała szafę, swoją szkatułkę na biżuterię, nawet pudła na kapelusze. Przewróciła do góry nogami wszystko na gzymisie nad kominkiem i w swoim biureczku. Nic.

Jak mógł być taki zimny?

Chyba że...

Czy możliwe, by to, co mówiła o nim Greer Delaney, było prawdą? Że rzeczywiście zamordował brata i Georginę?

Christiane oparła się o ścianę w sypialni, krew dudniła jej w skroniach. Starła się otrząsnąć z tej myśli, odepchnąć ją od siebie, pomyśleć o czymś innym, o czymkolwiek Ale kiedy to malutkie

podejrzenie wślizgnęło się już nieproszone do jej głowy, nie chciało się stamtąd ruszyć: wczepiło się mocno i musiała je przeżuwać jak jakąś twardą, niestrawną chrząstkę.

To absurd, powtarzała sobie.

Krańcowa bzdura.

Całkowicie wykluczone. To po prostu niemożliwe, by Gannon popełnił tę zbrodnię.

Ale chociaż tak się starała, nie mogła się podejrzania pozbyć. Zniknął, zostawił ją bez słowa wyjaśnienia. Dlaczego? Dlaczego miałby go aż tak zdenerwować fakt, iż spotka się z Matthew Darbym? Mówiła mu, że wydawca jest jej starym przyjacielem. Jego reakcja była nielogiczna. Niezrozumiała.

Chyba że...

O Boże. Miał rację, kiedy mówił o niedowierzaniu. Jej podejrzania przypominały płynący po twardej skale ufnosci cieniutki strumyczek wody. Jeżeli pozwolić mu płynąć wystarczająco długo, to nawet skalną opokę zetrze w proch.

Co ona teraz miała zrobić? W jednej chwili ogarniała ją rozpacz, że mogła w niego zwątpić. W następnej czuła się jak idiotka, że kiedykolwiek w ogóle mu wierzyła. Czy powinna za nim pojechać? Jak mogła podjąć decyzję, kiedy w jej sercu szalała taka burza? Potrzebuje bezpiecznego, spokojnego miejsca, gdzie będzie mogła uporządkować myśli. Sanktuarium. Ale dokąd mogłaby się udać?

Przed oczami stanęła jej wysoka kuta brama, kamienne mury, porośnięte mchem i bluszczem, sprawne w ołów szybki w oknach pootwieranych szeroko, by wpadał do środka letni wiaterek, w uszach zadźwięczał dziewczęcy śmiech...

Zapra gnęła z całego serca znaleźć się znowu w akademii.

---

## Rozdział dwudziesty ósmy

---

- No tak. Rzucił cię, prawda? - powiedziała Evelyn, biorąc się pod boki. - Dokładnie tak, jak przepowiadałam.

- Nie rzucił mnie. - Christiane nalala sobie whiskey, ręce jej drżały. Dopiero co przyjechała, chwilę po tym, jak skończyła się kolacja w akademii. Kiedy już dowiedziała się, że Gannon i Claire wyjechali, opuściła londyńską rezydencję jak najszybciej. A teraz zaczynała zastanawiać się, czy decyzja, by przyjechać tutaj, była mądra.

Przełożona najmniejszej uwagi nie zwróciła na zaprzeczenie przyjaciółki.

- Żadnej przyjemności nie sprawia mi fakt, że miałam rację, pamiętaj. Ale gdybyś mnie była posłuchała... no cóż, nie ma już o czym mówić. Ważne, że się go pozbyłaś, i to na dobre tym razem. Zawsze powtarzałam, że zależy mu tylko, by odpłacić ci za to, że pogardziłaś nim w Paryżu.

*Paryż. Miasto nocą lśniło, jego blask odbijał się w małych szybkach wielodzielnych okien, które pokojówka odchyliła, by wpuścić wiaterek znad Sekwany. Smak ciężkiego bordo, słodki, nieziemski zapach konwalii w wazoniku przy...*

Christiane nie czuła się na siłach, by wyjaśnić kobiecie, która kochała się tylko z jednym mężczyzną... i na dodatek tego nie cierpiała... co ciągnie ją do Gannona. Nie to było teraz ważne. Potrzebna jej bezpieczna przystań, a wyboru nie miała, prawda?

- Bardzo to uprzejmie z twojej strony, Evelyn, że zechciałaś mnie przyjąć - powiedziała pokornie.

- Jesteś moją najstarszą i najdroższą przyjaciółką. - Pełen zadowolenia uśmiech przełożonej był upokarzający. - Ogromnie się cieszę, że możesz się tu zatrzymać w tak ciężkiej dla ciebie godzinie.



- Myślałam, że może... - *Że może wróćę na dobre.* Ale mina Evelyn nie pozwalała nawet o to pytać. - *Może na tydzień?*

- Och, nawet na dwa, jeżeli trzeba - zgodziła się łaskawie pani Treadwell. - *Żałuję tylko, że nie może to być na dłużej.* Ale rozumiesz sama, że muszę chronić reputację akademii. W życiu sami dokonujemy wyboru. A ty już wybrałaś.

Dziewczęta powitały ją serdeczniej.

- Co się stało? - szeptem zapytała Bess, kiedy hrabina przysłała następnego dnia do ich pokoju, by się przywitać.

- Nie jestem pewna - powiedziała szczerze Christiane. - Gannon... my... pokłóciliśmy się trochę, chociaż właściwie nie tak bardzo. I on bez słowa pożegnania odjechał do Irlandii razem z Claire.

- Nie mogę w to uwierzyć! - oświadczyła Bess, potrząsając rudymi lokami. - Musiał nastąpić jakiś błąd. Nieporozumienie.

- Obawiam się, że nie - szepnęła Christiane.

- A co pani teraz zrobi? - zapytała z niepokojem Gwen. - Czy pojedzie pani za nim?

- Mało prawdopodobne.

- Ale jeżeli pani go kocha... - zaczęła Bess.

- Wiecie, miłość nie każdy życiowy problem pozwala rozwiązać - rzekła hrabina nieco cierpko. - Miłość nie poprawi wam krawata ani nie posłodzi herbaty, ani nie spowoduje, by się wam w nowych trzewikach nie porobiły pęcherze. Dobrze nieba, nie mam pojęcia, skąd wy, dziewczęta, czerpicie te swoje wyobrażenia o miłości.

Na chwilę zapadło milczenie. Potem Gwen zapytała łagodnie:

- A czy pani Treadwell pozwoli pani zostać?

- Właściwie myślałam o tym, żeby podróżować - powiedziała jej hrabina. - *Może wybrałabym się na Nowy Świat. Albo do Indii.*

- A więc nie pozwala pani zostać? - zawołała Bess.

- Nie wiem, czy sama bym tego chciała - przyznała hrabina - kiedy ceną byłoby wysłuchiwanie, jak dziesięć razy dziennie powtarza: „A nie mówiłam ci, że tak z nim będzie!”.

Nieco roztrzęsione dziewczęta roześmiały się.

- A czy ma pani... wystarczające zasoby? - chciała dowiedzieć się Gwen.

- Wystarczy mi, żeby dojechać na miejsce. A kiedy już tam dojadę, zawsze będę mogła otworzyć jaskinię hazardu. Nie martw się o mnie, *cherie*. Jestem jak kot: zawsze spadam na cztery łapy. Opowiedzcie mi lepiej, czego się uczycie.

- Przyjęli mój wiersz do publikacji. Co prawda w Szkocji. Ale jednak przyjęli - bąknęła Bess.

- Żadne „ale jednak”! - wykrzyknęła hrabina zachwycona. - Co to za wiersz? Czy mogę go przeczytać?

- Nie wiem, czy będzie pani chciała. To wiersz miłosny.

- A kto był natchnieniem?

- Ona nie chce powiedzieć - doniosła Gwen. - Próbowałam to z niej wydłubać na wszystkie sposoby. Tym razem sprawa musi być poważna. Christiane się roześmiała.

- A co ty porabiałaś, Gwen?

- Doktor Caplan przyniósł mi rekina do pocięcia.

- Rekina? Dlaczego, na miłość boską, akurat rekina?

- Ponieważ fizjologia...

- Ooo, jakie wielkie słowo - droczyła się z nią Bess. Gwen pokazała jej język w momencie, kiedy w drzwiach dygnęła Clarissa.

- Ma pani gościa...

Christiane natychmiast się podniosła. Serce podeszło jej do gardła

- Czy to...

- Pan Wrede, psze pani.

- O. Och! - Hrabina przyłożyła dłoń do ust. - Mój Boże. Biedny pan Wrede. Nawet nie pomyślałam, co on musiał... dobre nieba, Clarisso, proszę go wprowadzić do saloniku.

- My zaczekamy tutaj - oznajmiła Gwen. Ruda przyjaciółka rzuciła jej spojrzenie, które wyraźnie mówiło: „Zwariowałaś?”. - To nie nasza sprawa, prawda? - stwierdziła stanowczo Gwen.

- Psujesz zabawę - syknęła Bess. Hrabina się uśmiechnęła.

- Nie, chodźcie ze mną obydwie. Przyda się wam taka lekcja, byście na przyszłość wykazywały większą ostrożność w sprawach serca. Bóg mi świadkiem, że ja powinnam ją była wykazać. - Poszła przodem do saloniku.

Clarissa wprowadziła pana Wrede. Hrabina szybko podeszła i ujęła

dłonie młodego człowieka w swoje ręce.

- Davidzie, tak okropnie mi przykro.

- Przykro? Dlaczego?

- Nie wydaje mi się, żeby mu coś popsulo humor, a tobie? -

powiedziała półgłosem Bess do Gwen. Hrabina musiała się z nią zgodzić. Jeżeli zniknięcie narzeczonej przeraziło pana Wrede, dobrze to ukrywał. Ubrany był w strój podróżny: pelerynę o pięknym kroju, która dobrze na nim leżała, czarny kapelusz, czarne buty.

- Clarisso, bądź tak dobra i przynieś nam herbatę - poleciła hrabina.

- Panna Boggs, panna Castairs. Jak się panie miewają? - pozdrowił je serdecznie David.

- Czy wie pan, że lord Carew zabrał Claire do Irlandii? - wybuchnęła Bess.

- O, tak. Złożyłem dziś po południu wizytę w jego rezydencji i O'Malley przekazał mi tę wiadomość. Powiedział mi również, jak zrozpaczona była pani hrabina, kiedy się o tym dowiedziała, i że nie zwlekając, pojechała tutaj. - Jego spokojne orzechowe oczy patrzyły wprost na Christiane. - Jestem w drodze do Aerfailly. Nigdy nie widziałem Irlandii, chociaż Claire często o niej mówiła. Pomyślałem, że zrobię jej niespodziankę. Może chciałaby pani mi towarzyszyć?

- A czy pan wie, dlaczego Gannon zabrał Claire do Irlandii? - zapytała Christiane.

David potrząsnął głową.

- Zakładam, że w interesach.

- Interesach! - powtórzyła z niedowierzaniem hrabina.

- Zdarza się często, że kogoś gdzieś odwołują w interesach - uważał David zaintrygowany. - A cóż by to mogło być innego?

Hrabina zbladła.,

- Och, Davidzie. Tak mi przykro, że to ja będę panu musiała o wszystkim powiedzieć. Przedwczoraj w nocy Claire miała... następny ze swoich ataków. Konie i w ogóle.

Czoło Davida zmarszczyło się z zatroskania.

- Dlaczego pani po mnie nie posłała?

- Chciałam natychmiast po pana posłać. Ale Gannon się nie zgodził.

- Nie rozumiem.

Clarissa wniosła tacę z herbatą. Tuż za nią pojawiła się pani Treadwell, która życzliwie poklepała Davida po ramieniu.

- Biedny młody człowiek! Ale głowa do góry, świat się na niej jednej nie kończy!

- Czy obraziłem czymś lorda Carew? - zwrócił się błagalnie David do hrabiny.

- Nie sądzę, by o to chodziło. Bardziej prawdopodobne, że...

- Nie pamiętam, czy pan słodzi jedną czy dwie łyżeczki, panie Wrede? - zapytała pani Treadwell, która rozdawała filiżanki.

Każdy inny człowiek na miejscu kwakra zakląłby, że tak im przeszkadza. Christiane pomyślała, że nawet Davidowi może się wyrwać przekleństwo. Ale młody człowiek opanował się, nabrał powietrza i powtórzył pytanie:

- Dlaczego lord Carew nie chciał po mnie posłać?

- Wyjaśnił, że obawia się, iż jeżeli zbyt często będzie pan widywał Claire... w tym stanie... nie zechce pan jej poślubić. - Jakoś to powiedziała.

Wrede był przerażony.

- Jak mógł coś takiego pomyśleć?

- Och, przecież nie dlatego wyjechał - wtrąciła pani Treadwell, podając mu filiżankę herbaty.

- Nie było cię tam, Evelyn - zwróciła jej z pewną irytacją uwagę hrabina.

- Czyżbyś chciała mi wmawiać, że fakt, iż po całym Londynie krążą pogłoski, że to lord Carew zabił swojego brata i Georginę, nie ma nic wspólnego z jego nagłym powrotem do Irlandii?

Dziewczęta szeroko otworzyły oczy, wyrwał im się cichy okrzyk grozy. Christiane zbladła. A David Wrede... parsknął śmiechem.

- Lord Carew? Co za absurd - oświadczył. Popatrzył na Christiane. - Z pewnością nie uwierzyła pani, by zdolny był do takiego uczynku.

- N... nie.

- Nie rozumiem, dlaczego tak mówisz, Christiane - wpadła jej uprzejmie w słowo pani Treadwell. - Dwadzieścia lat temu w Paryżu uważałaś go za wariata. Dokładnie tego określenia użyłaś, kiedy mi o nim pisałaś: „wariat”. A nic z tego, co wydarzyło się po waszym

ponownym spotkaniu, w najmniejszym chyba stopniu nie zmieniło twojego zdania o tym człowieku.

- A więc potrzeba, bym pojechał do Aerfailly, jest jeszcze bardziej nagląca, niż myślałem - oświadczył David Wrede. - Firma mego ojca trzyma kilka statków w porcie w Dover. Jeszcze dzisiaj wydam polecenie, by któryś z nich zawiózł mnie do Irlandii. Proszę ze mną jechać - namawiał hrabinę.

- Chyba mnie pan nie zrozumiał, Davidzie – powiedziała łagodnie Christiane. - Lord Carew nie chce tam pana widzieć. A już z pewnością nie chce tam zobaczyć mnie.

- To pani nie rozumie - odparł uprzejmie choć stanowczo. - Claire mnie potrzebuje. Cóż innego mógłbym zrobić, jak nie pojechać do niej? Pozostaje tylko otwartą kwestią, czy pani pojedzie ze mną.

- Niech pan nawet czegoś takiego nie sugeruje! - Panią Treadwell przeszedł dreszcz.

- Nie mam zamiaru gonić za mężczyzną, który bez słowa pożegnania wyjechał z kraju, a był ze mną zaręczony! - oświadczyła Christiane.

- Potrafię zrozumieć, dlaczego uznała pani, że okazał jej wielką nieuprzejmość.

- Bez wątplenia okazał... po prostu brak mi słów!

- Ale potrafiłbym również zrozumieć, gdyby uznała pani, że tak był zrozpaczony chorobą Claire i pogłoskami, o których wspomniała pani Treadwell, iż nie potrafił jasno myśleć. A jeżeli tak się sprawy mają, to sam może nie zdawać sobie sprawy, jak bardzo pani potrzebuje.

Pani Treadwell odstawiła z trzaskiem filiżankę na talerzyk.

- Christiane, mam szczerą nadzieję, że nie zawierysz takim bzdurom!

- Równie dobrze mogło być tak i tak - wypowiedziała się Gwen.

- Och, jestem pewna, że o to chodziło! - zawołała z zapalem Bess.

- Bądźcie, panienki, cicho! - zbesztła je przełożona. - Jesteście tylko niemądrymi uczennicami. Co wy wiecie o świecie?

- Wiem, że szklanka może być równie dobrze w połowie pełna, jak w połowie pusta - odparła Bess.

- Po całym towarzystwie rozeszła się już wieść, że ten człowiek jest zimnokrwistym mordercą - oświadczyła pani Treadwell.

- Kiedyś po całym towarzystwie rozeszła się wieść, że lord Weatherstone poczynił sobie ze mną, jak chciał - rzekła z namysłem Christiane - ale wieść ta nie była świadectwem prawdy.

Przełożona wychodziła z siebie.

- Raz na zawsze zerwę z tobą, Christiane, raz na zawsze, jeżeli dokonasz takiego wyboru i porwiesz się z motyką na słońce. To szokujące, uganiać się za mężczyzną! Absolutnie nie godzi się tak zachowywać!

Hrabina popatrzyła na Gwen i Bess, zobaczyła, że ich twarze wykrzywają się w rozpaczliwej nadziei. Można jednak było sobie czegoś życzyć całym sercem, a życzenie nie musiało się spełnić. Wystarczająco dobrze to wiedziała. Próbowwała słuchać, co podpowiada serce, ale nie potrafiła zrozumieć jego głosu, tak donośnie łomotało.

David Wrede czekał na odpowiedź Christiane, czekał cierpliwie.

- Jedź. Jedź. Jedź - podśpiewywały półgłosem Gwen i Bess.

- Nie bądź skończoną idiotką, Christiane! - wybuchnęła Evelyn.

Hrabina popatrzyła z kolei na nią.

- Dwadzieścia lat, Evelyn. Dwadzieścia lat, tyle różnych kobiet... a przecież pamiętał o sprawach... - Zaczerwieniła się, ale nie zwiesiła głowy. - Należy mu się to ode mnie. - Potem zwróciła się do Davida. - Kiedy chciał pan wyjechać?

- Jak tylko będzie pani gotowa.

- Nie rozpakowałam rzeczy. Dobrze się składa - zauważyła Christiane.

Pani Treadwell wstała, otworzyła usta, ale tylko potrząsnęła głową i wyszła bez słowa z saloniku.

Christiane nie zobaczyła się już z nią, chociaż Gwen i Bess, i Petra przyszły popatrzeć, jak Stains ładuje bagaże na faeton Davida. Gwen położyła hrabinie rękę na ramieniu i pociągnęła ją wstecz, w stronę bramy.

- Nie wiem, co pani tam zastanie - powiedziała - ale spokojniejsza będę, jeżeli weźmie pani ze sobą to. - Wręczyła Christiane mały, czerwony, filcowy woreczek. Był zdumiewająco ciężki jak na swoje niewielkie rozmiary.

- Co to jest?



- To pistolet. Pani Treadwell kupiła po jednym dla każdej z nas. Stains uczy nas co czwartek i sobotę strzelać do celu. Pani T. nigdy nie zapomniała, jak dobrze wykorzystwała swoją broń Katherine, kiedy zaatakowali ją przed kilku laty rozbójnicy. Czy mam pani pokazać, jak się tego używa?

- Umiem strzelać. Ale jestem pewna, że żadna broń nie będzie mi potrzebna.

Gwen zerknęła na Davida Wrede, który pomagał Stainso-wi ładować bagaże hrabiny.

- No cóż, wiemy, że on nie jest uzbrojony, prawda? - stwierdziła typowym dla siebie, rzeczowym tonem. - A wcale nie jestem pewna, czy, wybierając się w taką podróż, chciałabym mieć u boku akurat pacyfistycznie nastawionego kwakra.

Hrabina poczuła się wzruszona - pod pewnymi względami.

- Dzięki, Gwen. Świadczy to o twojej wielkiej życzliwości.

- Jestem pewna, że nie użyje go pani - mówiła stanowczo Gwen. - Ale będę się lepiej czuła, wiedząc, że ma go pani przy sobie. Tak na wszelki wypadek... - Urwała, potem wybuchnęła: - Och, Madame. Proszę na siebie uważać!

- Obiecuję. - Hrabina pospiesznie ją przytuliła. Podeszły razem do faetonu i Christiane objęła również Bess i Petrę. Zerknęła na okna akademii i wydało jej się, że zasłony w saloniku drgnęły. Ale mogło to być tylko złudzenie, wywołane szybko zapadającym zmierzchem.

- Czy to nie romantyczne? - zapytała Bess i westchnęła. - Wyprawiać się na pielgrzymkę miłości.

- Och, tak - zgodziła się z nią Petra bez tchu. Christiane wsunęła czerwony filcowy woreczek do torebki.

- Pewnie zatańczymy jeszcze na pana weselu, panie Wrede - wybąkała Bess.

- Jeżeli to będzie moje wesele, nie zatańczy pani - odrzekł z szerokim uśmiechem.

Pomógł Christiane wsiąść do powozu i pomachał na pożegnanie do dziewcząt. Christiane nie miała się ochoty przyznać, jak bardzo podnosi ją na duchu waga obciążonej bronią torebki.

---

## *Rozdział dwudziesty dziewiąty*

---

- Byliście to już kiedy w Irlandii? - zagadnął wymowny woźnica, zaangażowany przez Davida Wrede w porcie Ballynakill, i strzyknął śliną na pobocze drogi.

- Nigdy - odrzekła półgłosem Christiane.

- Ach, więc czeka was niezwykła przyjemność. Śliczny to kraj, nieprawdaż?

Hrabinę przeszedł dreszcz. Siedziała na twardym drewnianym siedzeniu w otwartym wozie, siąpiła na nią mżawka, naokoło widziała bure, skaliste urwiska i szarozielone pola, nakrapiane bielonymi chatami, a na zachodzie bezgraniczną połąć spowitego we mgły morza.

- Śliczny - zgodziła się uprzejmie. - Jak daleko jeszcze do Aerfailly?

- Z godzinkę może. A może ze trzy. Ani się obejrzyjecie, a będziemy na miejscu. - Woźnica odchrząknął i znowu splunął.

- Niechaj pani przyjmie moją pelerynę i na niej usiądzie - zaproponował David Wrede, dzielący po sąsiedzku z hrabiną niewygodne siedzisko.

Woźnica rzucił mu osobliwe spojrzenie.

- Dziwaczną, panie, macie mowę. Pasuje tak jakoś na księdza albo co?

Wrede i Christiane wymienili spojrzenia.

- Pewnie albo co - przyznał Wrede i smętnie się do niej uśmiechnął.

Odwróciła spojrzenie od niego i przeniosła je na okolicę. Jak na kobietę tamtych czasów, Christiane widziała spory kawał świata. Ale nigdy nie znalazła się jeszcze w miejscu, które wydawałoby się jej tak wyraźnie obce, jak zachodnie wybrzeże Irlandii. Jego poszarpane granie, pionowe urwiska i zaniedbane pola w niczym nie przypominały oswojonych, wypieszczonych krajobrazów Anglii, Francji i Włoch.

Nagle chmury i mgły się podniosły i skośne promienie słoneczne załwały przemoknięte pola, które natychmiast załśniły zielenią tak soczystą, że przypominały włochaty aksamit.

- Ach - stwierdził woźnica z najwyższą satysfakcją. - Cudowny dzień mamy. - Uśmiechnął się radośnie, a potem uniósł rękę i pokazał na malutką chatkę w oddali. - Właśnie tam zamordował Jenny Riordan jej własny mąż. Pewności nawet u was w Anglii o tym czytali.

- Ja chyba nie czytałam - przyznała cichutko Christiane, nie ośmielając się spojrzeć na Davida Wrede.

- Nie? Dziwne to. Ta baba zabijała ich dzieciaki. Udusiła czworo, jedno po drugim, zanim roczek pokończyły. Przekonała męża, że pierwsze trzy umarły same z siebie, ale przy czwartym poczuł się urażony.

- Miłosierne nieba - wymamrotał Wrede.

- A tamtą sterczącą białą skałę, o, tamój, widzicie? Na zboczu pagórka? - ciągnął ich nieustraszony i nieproszony przewodnik - Właśnie tam High Rourke wykończył swojego pierworodnego, po tym jak chłopak sprzeciwił się jego władzy i zabił deresza o'Raenesty. Piękna to opowieść i smutna zarazem. A na tej górze, co jest za nią, że tylko sam wierzchołek widać, czarownica Sorcha Shannon więziła bohatera Riordana, dopóki nie zwariował i sam sobie oczu nie wyrwał. Jeszcze jedna stara, smutna opowieść.

- A nie opowiada się tutaj żadnych szczęśliwych historii? - zapytała hrabina odrobinę cierpko.

Ich przewodnik popadł na chwilę w zamyślenie.

- Żadna mi na myśl nie przychodzi - powiedział w końcu. Turkotali dalej po wyboistej drodze.

- Co zrobimy, kiedy dojedziemy na miejsce? - zapytała Christiane Davida. Była pod wielkim wrażeniem, bo wspaniale poradził sobie z organizacją całej podróży, od wynajęcia statku i wyznaczenia jego kursu poczynając, a na najęciu tego woźnicy kończąc, i wydało jej się całkiem naturalne, że zwraca się do niego po radę.

- To zależy, co tam zastaniemy.

- A jak pan sądzi, co zastaniemy? Zerknął na nią.

- A pani?

- Kawalek dalej, w tamtą stronę - wtrącił woźnica - na tej łące nagiej brązowej ziemi na zboczu pagórka, tam właśnie Eoghan Mulder zgwałcił i zamordował Maisey Kennerley. Poderżnął jej gardło, jakem żyw, i zostawił, żeby się wykrwawiła na śmierć. Trawa więcej tego miejsca nie porosła.

Christiane z trudem powstrzymała dreszcz, potem popatrzyła na Davida.

- Czy potrafiłby pan sobie wyobrazić, co mogłoby nakłonić pana do użycia siły przeciw komuś? - zapytała z zainteresowaniem.

- Nie - odpowiedział z niezachwianą pewnością młody człowiek. - Nie mógłbym świadomie wyrządzić nikomu krzywdy.

- Czy kwakrzy nie mają obowiązku dbać o to, by zatriumfowało dobro, a zło zostało ukarane?

- Karanie należy do Boga, nie do nas. Tylko On potrafi zobaczyć, co człowiek ma w sercu.

Dłoń Christiane zacisnęła się na torebce, w której leżał czerwony filcowy woreczek, otrzymany od Gwen.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego rząd od zmysłów odchodzi, kiedy ma z wami do czynienia.

David uśmiechnął się do niej szeroko. I w tym momencie słońce nagle zniknęło, a deszcz znowu zaczął mżyć. Wóz turlał się po wyboistej drodze.

- A tam to Cadmus Farnally zepchnął swoją Aenwyn ze skał, a potem dał za nią nura i znalazł śmierć - oznajmił woźnica, pokazując na sterczącą nad spowitym w chmury morzem skałę.

- Dlaczego miałby coś takiego zrobić? - zapytała hrabina poirytowana.

Woźnica odwrócił się na koźle.

- Zeszła mu na złą drogę - wyjaśnił takim tonem, jakby mówił do głupka.

Jeszcze przez godzinę albo coś koło tego wysłuchiwali mrozących krew w żyłach pogaduszek. Potem wóz wjechał na stromy pagórek i skręcił. W oddali sterczała samotna wieża, szara i ponura na tle pomykających po niebie ciemnych chmur.

- Aerifailly - powiedział woźnica z satysfakcją. - Prawie żeśmy są na

miejscu.

Zamek musiał być bardzo stary - Christiane zorientowała się, jak tylko podjechali bliżej. Składał się z jednego okrągłego stołu z niewielką, przysadkowatą dobudówką, chociaż widać było, że ktoś próbował kiedyś coś sadzić na otaczających go gruntach. Na wieżę pięły się patykowate róże, a prowadząca do drzwi frontowych droga obsadzona została rzędami paproci. Hrabina wpatrywała się w puste, czarne okna, zastanawiając się, czy Gannon nie przygląda się, jak podjeżdżają. Tuż przed nimi droga skręcała i od donżonu prowadziła znowu nad urwisko.

Woźnica ściągnął lejce i zatrzymał konie przed podjazdem.

- Ani śladu dymu - mruknął i splunął na darń. - Coś mi się zdaje, że na zamku żywej duszy nie ma.

- Niech pan tak nie mówi! - zawołała Christiane. Chłop obrzucił ją pospiesznym, taksującym spojrzeniem.

Oczy miał przekrwione, ale przepięknie niebieskie.

- Zanim rozładujemy, może byście, panie, poszli sprawdzić, czy jest kto w domu? - zaproponował.

David i Christiane przyjrzeni się samotnej wieży i wymienili spojrzenia.

- Niezły pomysł - zauważył David. Pomyślał chwilkę, a potem dołożył pięćofuntowy banknot do pieniędzy, które już wcześniej zapłacił za dowieszenie. - Czy zaczeka pan tutaj, dopóki nie damy panu znać?

- Ano, zaczekam. - Woźnica oparł się o koło, wyciągnął glinianą fajkę i zaczął upychać w niej tytoń, pogwizdując z cicha.

David wziął hrabinę pod rękę i poprowadził w stronę drzwi.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości - syknęła Christiane - że ten człowiek spodziewa się, iż trafimy tu na następną, przerażającą tragedię, którą z satysfakcją doda do swoich opowieści, wioząc następnych podróżnych. Wrede roześmiał się.

- Jest odrobinę makabryczny, czyż nie?

- Odrobinę? - Christiane przewróciła oczami.

Zanim przeszli przez trawnik, deszcz rozpadał się na dobre, a kłębiący się wokół donżonu wiatr miótł kroplami to w jedną, to w drugą stronę.

Nagły podmuch poderwał kartkę pomiętego pergaminu, która roztrzepotana przylepiła się do uda Davidowi. Ten chwycił ją, wygładził i już wzroku nie mógł oderwać.

- Wielkie nieba.

Oslaniając kartkę od deszczu rękawem, Christiane przyjrzała się rysunkowi: dwa zaprzężone do karety konie, narysowane bardzo starannie.

- Wygląda to na pracę Claire, prawda?

- To jest praca Claire, bez dwóch zdań. - Przeszli jeszcze kawałek.

Następny podmuch wiatru poderwał z ziemi stare, zwiędłe liście i popędził je po ścieżce. Razem z liśćmi nadleciał kolejny kawałek pergaminu. David chwycił go i obejrzał, Christiane zaglądała mu przez ramię. Znowu konie, tylko że tym razem stawały dęba z przerażenia.

- Konie - wymamrotał David.

Zaturkotał grzmot, a potem w chmurach, które zdawały się wisieć tuż nad ich głowami, zalśniła błyskawica. Deszcz nasilił się w dwójnasób i zmienił się w ulewę. Wrede rozpostarł pelerynę nad głową Christiane i razem pobiegli do drzwi - z solidnej, chociaż sfatygowanej od burz i mrozów dębiny, gęsto nabijanej żelaznymi okuciami. Zobaczyli kołatkę w kształcie lwiej głowy. Wrede zastukał. Żadnej reakcji. Spróbował jeszcze raz. Znowu nic. Christiane sięgnęła niepewnie do zwiniętej w ślimacznicę klamki, przekręciła ją i pchnęła skrzydło. Drzwi odchyliły się do wewnątrz ze słabym poskrzypywaniem zawiasów. Hrabina zawahała się. David przestąpił próg.

- Nikogo tu nie ma - powiedział jej.

Weszła za nim do wietrznej, okrągłej sali, tak mrocznej, że potrzebowała kilku chwil, by wzrok jej przyzwyczaił się do braku światła. Zaczynała już coś widzieć, kiedy po drugiej stronie uchyliły się drzwi i w szparze pojawiła się czyjaś blada twarz.

- Bridey? - zawołała Christiane, poznając pokojówkę. Twarz zniknęła. Christiane przebiegła po wykładanej kamiennymi płytami posadzce, przekonała się, że nie może otworzyć drzwi i zaczęła walić w nie pięściami tak, że słyhać ją było przez coraz głośniejszy ryk burzy. - Bridey? Otwórz mi!

Pchnęła silnie skrzydło, a ono nagle ustąpiło i oczom hrabiny ukazała



się kuchnia o kamiennych ścianach oraz skulona obok kominka Bridey. Pokojówka oczy miała szeroko otwarte i wystraszone.

- Witaj, Bridey - powiedziała spokojnie hrabina. - Czy lord Carew i panna Finn są tu gdzieś?

Służąca powoli pokiwała głową.

U stóp Bridey leżał na podłodze następny kawałek pergaminu.

- Czy to pani? - zapytał David, pokazując na kartkę. Bridey potrząsnęła głową i cofnęła się. David przeszedł przez kuchnię, podniósł papier i utkwiał w nim spojrzenie. - Christiane - powiedział, najwyraźniej ją ponaglając. Hrabina pospieszyła do niego i w słabym świetle przyjrzała się szkicowi. Był on niemal nieznośnie szczegółowy i precyzyjny. Zobaczyła niskiego, tęgiego człowieka w schludnej liberii, który usiłował przesiąść się z kozła do otwartego powozu. W jego piersi tkwił nóż. Człowieczek oczy miał otwarte i wytrzeszczone, rysujący doskonale uchwycił wyraz niedowierzania na jego twarzy.

- Bridey, o co tutaj chodzi? - zapytała Christiane, odwracając ku niej obrazek.

- Nie wiem, psze pani. Nie mam pojęcia, co się tu dzieje - oświadczyła pokojówka i zalała się łzami.

- Gdzie są lord Carew i panna Finn? - dopytywał się natarczywie David. Pokojówka zawahała się, potem pokazała głową na łukowato sklepione drzwi.

- Na górze - wyszeptała.

- I nikogo więcej nie ma w domu?

Potrząsnęła głową.

- A kiedy widziałaś ich ostatni raz?

- Z godzinę temu.

- Co robili?

- Jaśnie pan przyprowadził ją na dół, żeby coś zjadła. Usmażyłam kawałek bekonu i upiekłam świeży chleb w południe, i były jeszcze jajka. Tam są. - Machnęła głową w kierunku solidnego, dębowego stołu, na którym stały nakrycia dla dwóch osób. Talerze nadal były pełne jedzenia. - Nie chciała jeść, więc przyprowadził ją później, żeby spróbowała. Ale jak tylko wziął widelec do ręki, ona uciekła na górę po schodach.

- Dlaczego miałyby uciekać na górę, Bridey? - zapytał David.

- Uciekała przed nim. Tak myślę.

David podszedł do drzwi i wyjrzał na schody.

- Gdzie można znaleźć najbliższego policjanta, Bridey?

- W wiosce, sir. Posterunkowy Larkin.

- Jak daleko jest do wioski?

- Z milę albo coś koło tego.

David popatrzył na Christiane, która skinęła głową.

- Na zewnątrz czeka woźnica z wozem - powiedział pokojówce. -

Czy zechciałabyś poprosić, żeby zabrał cię do tego policjanta i przywiózł go tutaj? I czy zechciałabyś się z tym pospieszyć?

- Tak, sir. - Pokojówka z wielką ulgą przyjęła fakt, że ktoś jej wydaje polecenia. - Co mam powiedzieć posterunkowemu, że po co jest państwu potrzebny?

- Proszę tylko powiedzieć, że jego obecność jest niezbędna.

Dziewczyna wyminęła go i skierowała się ku drzwiom.

- Bridey? - odezwała się nagle hrabina. - Gdzie psy?

- Poszły za nimi na górę, psze pani. - Dziewczyna pospiesznie wyszła, zadowolona, że może wydostać się z zamku.

Christiane przeszukiwała kuchnię. W solidnym, drewnianym kubku do chłodzenia znalazła okrojony udziec z dziczyzny i podniosła go za kość.

- Co pani, na miłość... - zaczął Wrede.

- Chloe mnie nie znosi - powiedziała ponuro hrabina. - Jeżeli mam się z nią spotkać na ciemnych schodach, wolę być przygo... - Zamarła.

Powietrze przeszył daleki krzyk.

- Claire - szepnął David Wrede i popędził na górę. Christiane deptała mu po piętach.

Dotarli na pierwszy podest i zawahali się, nadsluchując. Panowała kompletna cisza, niesamowita cisza. Christiane ogarnęło nagle straszliwe, mroczne przeczucie. Dlaczego Claire miałyby obawiać się Gannona? Dlaczego miałyby próbować od niego uciec? Potrafiła wymyślić tylko jedną odpowiedź: dziewczyna, rysując te mrozące krew w żyłach obrazki, przypomniawszy sobie, jak zginęli tamtego dnia jej rodzice... i przypomniawszy sobie również, kto ich zabił.

- Niech pan to potrzyma - poleciła i niecierpliwie wepchnęła

Davidowi udziec w dłoń. Następnie wyjęła z torebki pistolet Gwen, a potem kule.

- Nie - powiedział David, wyciągając rękę, by ją powstrzymać.

- Niech pan się kieruje swoim sumieniem - syknęła i gwałtownymi ruchami zaczęła ładować pistolet. - Ja będę kierowała się moim. - Gdzieś z wyższego piętra wieży dobiegł następny krzyk. Pędem wspięli się na drugi podest i przystanęli obok siebie. Serca łomotały im w ciszy.

- To było jeszcze wyżej, tak mi się zdaje - wymamrotała Christiane.

- Jest pani pewna? Ja sądziłem... Milczenie urwało się jak nożem uciał.

- Nie! Nie! Proszę mnie puścić! Proszę, puść mnie! Och, puść mnie...

Biegiem rzucili się na górę, krzyki robiły się coraz głośniejsze. Teraz słyszeli już również dziwnie stanowczy i spokojny głos Gannona, splatający się z lamentem Claire:

- Tak będzie najlepiej - mówił. - Zobaczysz. Tak będzie najlepiej.

- Nie! Nie!!

Schody skończyły się przed niskimi, drewnianymi drzwiami.

Wypływała spod nich przez szparę cienka smużka światła... dochodziło stamtąd również charakterystyczne warczenie. We wnętrzu wciąż słyhać było głosy, Claire coraz donośniejszy, Gannona nienaturalnie opanowany. David nacisnął klamkę. Przekręciła się pod jego dłonią.

- Niech mi pan da to mięso - syknęła Christiane. - I niech się pan cofnie.

David rozpląszczył się na ścianie. Christiane gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i tuż za nimi zobaczyła kłapiącą zębami Chloe.

- Won, suko! - wrzasnęła, uderzyła wielkiego wilczarza udźcem po pysku i cisnęła kość w dół po schodach. Suka poślizgnęła się na wytartych, kamiennych schodach, siła rozpędu poniosła ją w dół. Christiane chwyciła Davida, szarpnięciem wciągnęła go za próg i zatrzaskała drzwi.

W pokoju nagle zapadło milczenie. Christiane podniosła wzrok. Gannon, cały spięty, stał przy jednym z wysokich, szerokich okien za plecami Claire, która tkwiła na parapecie tuż nad ziejącą przed nią otchłanią i pobielałymi z wysiłku palcami czepiała się framugi po obu

stronach.

- Puść ją - rozkazała spokojnie Christiane, celując w niego z pistoletu.

- Nie mogę - odparł, jego szare oczy przepęniało szaleńcze przerażenie. - Ja... - Ale to, co chciał powiedzieć, zagłuszyła nagłym ujadaniem Chloe, która już waliła łapami w zamknięte drzwi. Homer, machając ogonem, ruszał właśnie w kierunku Christiane; teraz zawahał się, zerknął na swego pana, a potem przyłączył się do wściekłego jazgotu, który jego partnerka robiła na klatce schodowej.

- Puść ją! - Christiane starała się przekrzywić harmider. Gannon potrząsnął głową. Claire znowu się rozkrzyczała, wijąc się w jego uścisku. David stał u boku hrabiny. - Idź i złap go! - krzyknęła Christiane, ale Wrede się nie ruszył. Spojrzała na niego zniecierpliwiona. Zobaczyła, że porusza ustami, ale psy podniosły taki hałas, że nie dało się zrozumieć, co mówił. Do diabła z nim, pomyślała z goryczą, i odbezpieczyła pistolet. Rozstawiła szeroko nogi, wycelowała w głowę Gannona i wypaliła.

I w tym momencie David rzucił się na nią, chwycił za rękaw i podbił jej rękę. Zagrzmiął strzał, ale kula uderzyła o ścianę, odskoczyła i poleciała nie wiadomo gdzie. Huk odbijał się echem od kamiennych murów. Ujadanie psów umilkło jak nożem uciął. Homer wpatrywał się w hrabinę zdezorientowany, opuściwszy ogon i zwiesiwszy głowę.

- O Boże, Christiane! - zawołał Gannon do wtóru ostrych, okrutnych ech. - Ja próbuję...

Christiane z ponurą determinacją zaczęła znowu nabijać pistolet. Ale David Wrede usiłował jej wyszarpnąć broń.

- Puść mnie, puszczaj! - wściekła się, zamachnęła na niego prawą ręką i podrapała mu policzek, na którym pojawiła się cienka strużka krwi.

Widok krwi obudził w Claire jakąś nową emocję. Przepchnęła się obok Gannona i skoczyła na hrabinę z wrzaskiem:

- Niech mu pani nie robi krzywdy! Żeby się pani nie ośmieliła zrobić mu krzywdy!

Szalone ujadanie Chloe na schodach nasiliło się w dwójnasób. Zaskoczony David przyłożył dłoń do skaleczonego policzka. A Gannon,

zamiast rzucić się w pogoń za bratanicą, tkwił jak wryty przed otwartym oknem. Jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle buroszarego nieba, pierś unosiła się ciężko, jakby nie mógł złapać tchu... albo jakby miał się rozpłakać.

Christiane szarpała się z Wredem. Homer wywęszył, że dłoń hrabiny pachnie dziczyzną, i zaczął ją lizać po ręce swoim olbrzymim jęzorem. Spłoszona rozchyliła zaciśnięte na broni palce, bojąc się, by pistolet nie wypalił psu prosto w pysk. David wyrwał hrabinie broń w chwili, kiedy dobiegła do nich Claire i rzuciła się ukochanemu w ramiona.

- Chloe! - ryknął Gannon głosem szaleńca. - Cisza! - Szczekanie wilczarza urwało się natychmiast. Homer podsunął się boczkiem do Christiane i jeszcze raz łakomie polizał jej palce.

- Zabij go - dyszała Christiane, kiedy David przyglądał się broni, którą teraz on trzymał. - Na miłość boską, zabij go! Czy nie widzisz, że próbował zamordować Claire?

- Akurat - warknął ze złością Gannon.

- Zabij go, zanim doda jeszcze kilka ofiar do swojej listy!

Ale zamiast jej posłuchać, David cisnął pistolet w otwarte okno. Broń przeleciała obok Gannona, który nawet nie drgnął i nie starał się jej złapać, i wypadła na zewnątrz. Christiane poczuła, że serce w niej zamiera.

- O Boże - wyszeptała, kiedy Gannon zrobił krok w ich kierunku. - Teraz pozabija nas wszystkich.

- Oczywiście, że nas nie pozabija - oświadczył David, trzymając Claire w równie mocnym uścisku, jak wcześniej wuj. - Wcale nie próbował wypchnąć jej za okno. Czy pani tego nie widziała?

- No to co próbował zrobić? - zapytała Christiane. David przytulił Claire jeszcze mocniej.

- Próbował nie dać jej wyskoczyć.

---

## Rozdział trzydziesty

---

Dzięki Bogu psy były na dziedzińcu. Gryzły tam kości, które znalazł dla nich w kuchni Gannon. Christiane siedziała na bujanym fotelu z kieliszkiem irlandzkiej sherry w dłoni. David Wrede wciąż mocno trzymał Claire. Dziewczyna zemdląła na wieży, a on zniósł ją sam na rękach na dół. Gannon przesuwając bratanicy pod nosem flakonik z solami trzeźwiącymi.

- Wydaje mi się, że wraca do siebie - powiedział David, kiedy Claire poruszyła się w jego ramionach. Powieki dziewczyny zatrzepotały. David uśmiechnął się do niej, ale ona wzdrygnęła się i odwróciła twarz.

- Claire? - Christiane podniosła się i podeszła bliżej. - Claire, dlaczego chciałaś zrobić coś tak strasznego? Żeby się zabić...

- Obawiała się, że straci uczucia pana Wrede - wtrącił lakonicznie Gannon.

- Ciekawe, kto mógł jej podsunąć taki pomysł - odpaliła Christiane.

- Jak mogłaś się czegoś podobnego obawiać, Claire? - zapytał David.

- Ty nic nie wiesz - wymamrotała, po jej bladych policzkach spływały łzy.

- Czego nie wiemy, *cherie*? - zapytała bardzo łagodnie hrabina. Ale dziewczyna wtuliła twarz w czarny surdut Davida. Christiane sięgnęła po leżący na blacie stołu szkic mężczyzny z nożem w piersiach. - Co ma znaczyć ten obrazek, który narysowałaś?

- Puść mnie - błagalnie powiedziała Claire do Davida, który posłusznie postawił ją na ziemi. Claire błyskawicznie rzuciła się ku schodom.

- Zatrzymaj ją! - ryknął Gannon.

David już zatrzymał narzeczoną. Ale kiedy wciągnął ją z powrotem do kuchni, na jego twarzy malowała się surowość.

- Sprawy posunęły się już wystarczająco daleko - oświadczył. -



Najwyższy czas na prawdę, Claire.

- Nie! Ja nie mogę...

- Och, Claire - popatrzył na nią poważnie. - Musisz powiedzieć prawdę. Ten dom widział już zbyt wiele kłamstw.

- Tutaj ma pan rację - rzekł Gannon z ogromnym znużeniem w głosie.

Claire podniosła na wuja pełne lęku oczy.

- To wuj mówił... że nie wolno mi pamiętać. Że nie wolno mi o tym myśleć.

- Myliłem się. Nie wiedziałem... - Popatrzył na Christiane, potem na Davida. - Zanim pojawił się szeryf, miałem wrażenie, że ona niczego nie potrafi już sobie przypomnieć. Po prostu pusta karta. To było... takie straszne... powóz i konie, i... - Zabrakło mu głosu. - Myślałem, że dopóki sobie nic nie przypomni, będzie bezpieczna. Myślałem, że dobrze nam się razem ułoży, jej i mnie. - Potrząsnął głową. - Ale potem zaczęły się koszmary.

Claire dygotała cała w ramionach Davida. Odwróciła od nich twarz.

- Zabrałem ją do akademii - ciągnął Gannon. - Myślałem, że jeżeli mnie przy niej nie będzie, jeżeli nie będę ciągle przypominał jej o tym, co się stało, to może nie odzyska pamięci. Ale wy podsunęłyście jej to rysowanie obrazków. Nie przestawała rysować. - Podniósł leżący na stole szkic, wpatrywał się w niego przez chwilę, potem go odłożył. - A teraz przypomniła sobie wszystko.

David postukał palcem po rysunku.

- Kto jest na tym szkicu, kochanie? Claire zerknęła spod oka.

- Stangret.

- A kto zakłuł stangreta nożem?

- Papa. - To słowo z trudem dało się usłyszeć.

- Dlaczego?

Claire wydawała się kurczyć.

- Próbował powstrzymać papę, żeby nie bił mamy.

- Dlaczego papa ją bił?

- Pokłócili się... w powozie. Mama nie chciała wracać do Irlandii.

Lekarz powiedział jej, że umiera. Że zostało niewiele czasu.

Powiedziała, że... - Głos Claire załamał się w łkaniu. - Powiedziała mu,

że go nienawidzi, że nienawidzi Irlandii. Że zmarnowała całe swoje życie, od kiedy go poznała.

- A co on odpowiedział?

- Że niech ją diabli, a i tak z nim pojedzie. Mama krzyczała, że nie.

A wtedy uderzył ją. Bił ją raz za razem.

Hrabina poczuła się tak, jakby na serce spadł jej jakiś ogromny ciężar. David Wrede twarz miał spopielała, ale nie ustępował.

- Więc stangret starał się go powstrzymać? Claire przytaknęła.

- Miał nóż za cholewą. Wyciągnął go. Zatrzymał konie i przelazł z kozła do nas, krzycząc na papę, żeby dał mamie spokój. Ale papa wyrwał nóż i wbił mu go. - Zacisnęła palce na urojonej rękojeści i dźgnęła powietrze dwa razy. - O tak. Tak.

- A co się stało potem? - zapytał David jeszcze ciszej.

- Mama złapała mnie i chciała wyrzucić z powozu. Krzyczała na papę, wykrzykiwała takie straszne rzeczy. Widywałam już wcześniej, jak papa się złości, i ona też, ale czegoś takiego jeszcze nigdy. Zamachnęła się na nią nożem. Mama potknęła się, upadła na podłogę powozu i zobaczyłam, że ma ten nóż w sobie. Tutaj. - Dotknęła dłonią stanika z przodu. - Chciałam go z niej wyjąć. Pomyślałam, że pewnie ją to boli, więc wyciągnęłam nóż. I wtedy popłynęła krew, och, tyle krwi, wszędzie, wszędzie! Splamiła konie i papę, i powóz... - Głos jej przeszedł w ciche, niskie zawodzenie.

David Wrede zamknął narzeczoną w ramionach, nie chciał jej puścić, tylko gładził po czarnych włosach.

- A co wtedy zrobiłaś, Claire? Potrząsnęła głową.

- Nie mogę tego powiedzieć. Nie mogę.

- Och, Claire, musisz.

Claire znowu jak szalona zaczęła potrząsać głową. Na podjeździe na zewnątrz rozległ się turkot kół. Oczy dziewczyny się rozszerzyły.

- Przyjechali po mnie, prawda? David siłą obrócił ją twarzą do siebie.

- Słuchaj mnie. Światło...

- We mnie nie ma ani odrobiny Światła! - zawodziła rozpaczliwie.

Ktoś zaczął walić w drzwi do Aerfailly.

- Tu posterunkowy Larkin!

- Powiedz mi, co zrobiłaś, Claire.

Claire z oporami spojrzała w oczy Davida i zobaczyła, że jego miłość jest jak opoka, niewzruszona i nieustraszona. Dodało jej to odwagi i wyszeptała:

- Nie chciałam mu zrobić krzywdy. Nie próbowałam mu zrobić krzywdy. Ale podłoga w powozie śliska była od krwi. A on rzucił się na mnie w chwili, kiedy wyjęłam ten nóż z mamy. Poślizgnął się, o tak... szuuu. Upadł. Upadł w moją stronę. Na mnie. Na... - Zaciśnęła kurczowo powieki, uniosła dłonie, jakby chciała powstrzymać ojca, wstrząsnął nią przeciągły dreszcz.

- Tak, no właśnie - powiedział David i przytulił ją do siebie. Christiane popatrzyła na Gannona.

- Każdy sędzia w Anglii usprawiedliwiłby ją. Kiedy już zobaczyła, jak Hugh zabija stangreta i jej matkę...

- Ale tego nigdy nie da się usprawiedliwić, prawda? - zakrzyczała Claire.

- Wchodzę! - rozległ się zza drzwi ryk posterunkowego.

- Claire, posłuchaj mnie! - zwrócił się do niej z desperacją David. Claire wywinęła się z jego objęć i już kierowała się na schody. Złapał ją od tyłu. - Bóg mówi każdej duszy, każdej duszy z osobna, co powinna zrobić. Tym, i tylko tym jest Wewnętrzne Światło, Wewnętrzne Objawienie.

- Zabiłam mojego ojca. „Nie zabijaj”. „Czcij ojca swego i matkę swoją”. Czy ty nie rozumiesz, Davidzie? Czy nie widzisz, co zrobiłam?

- To był wypadek, ukochana. W tym samym stopniu zawinił on, co ty. Czy w głębi serca masz poczucie winy?

To pytanie zawisło w chwilowej ciszy. Claire przestała się z Davidem szarpać. - Ja...

- Czy zamierzałaś go zabić?

- Nie. Nie! Nigdy, nigdy nie chciałam go skrzywdzić.

- A więc słuchaj Światła! - nalegał David. - Walcz z ciemnością!

- Ty nigdy byś nikogo nie skrzywdził. Ty nigdy byś nikogo nie zabił...

- Och, Claire. - David smutno się do niej uśmiechnął. - Łatwo jest widzieć Światło, kiedy czoło trzeba stawiać najwyżej grubiaństwu ludzi

typu lorda Simpsona. Ale ty... tobie udało się nie dopuścić, by ono zgasło, chociaż cień napływał tak potężną falą i przez tak długi czas! Ty jesteś... taka jasna. Nie mogę mieć nadziei, bym kiedyś stał się tak promienny jak ty.

We frontowym holu rozległy się kroki. Potem w drzwiach stanął posterunkowy Larkin, muskularny i szeroki w barach, z wycelowaną w nich bronią. Bridey sunęła za nim, na jej twarzy malowała się pełna oczekiwania groza. Za pokojówką pojawił się woźnica; nie mógł się już doczekać, kiedy zobaczy katastrofę, którą spodziewał się zastać w donżonie.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał posterunkowy. Christiane podeszła do niego, przywołując cały swój urok.

- Tak okropnie mi przykro, że bez powodu pana wzywaliśmy, panie posterunkowy. Obawialiśmy się, że do domu ktoś się zakradł, rozumie pan, i posłaliśmy Bridey po pana. Ale przeszukaliśmy cały zamek i okazało się, że to były tylko... - O Boże. Miała kompletną pustkę w głowie. Nie potrafiła wymyślić żadnego usprawiedliwienia.

- Wilczarze - podsunął David Wrede z taką gotowością, że Gannon zakrztusił się whiskey. - Wilczarze lorda Carew. W jakiś sposób przedostały się do piwnic.

- A. Na pewno w pogoni za szczurami - posterunkowy Larkin mądrze pokiwał głową.

- W tym domu z pewnością roi się od szczurów - powiedział Gannon, piorunując Christiane wzrokiem.

Przeprosili posterunkowego jeszcze z dziesięć razy, potem kazali jemu i woźnicy odjechać. Gannon, Christiane, Claire i David zasiedli przy kuchennym stole, a Bridey przygotowała herbatę i podała świeże jajka i grzanki.

- Żałuję, że nie przypomniałam sobie wcześniej, co stało się z papą i mamą - oznajmiła Claire. - Chcę wrócić do Anglii. Chcę powiedzieć władzom, co zrobiłam. - Wyglądała na bardziej zdecydowaną, Christiane nie widziała jeszcze u niej takiej pewności siebie.

- Nie możesz tam wrócić, kochanie - przekonywał bratanicę Gannon. - Zgadzam się z hrabiną, że sądy najprawdopodobniej uznają cię za niewinną. Ale robi się wielki skandal. Nigdy już nie będziesz się mogła

pokazać w towarzystwie.

Claire zachichotała.

- Towarzystwo...

Przyłączył się do niej David Wrede.

- A jakże miałyby się tam pokazywać, kiedy już mnie poślubi? - zapytał ze śmiechem Gannon.

- Pan jest w pewnym sensie osobą szacowną - argumentował Gannon. - Obraca się pan w kręgach znajomych hrabiny Yarlborough...

- Jestem tylko ubogim krewnym... doczepką - rzekł David ze wspaniałą godnością.

Claire spojrzała na wuja.

- Muszę wrócić. Jeżeli nie przyznam się do tego, co zrobiłam, istnieje możliwość, że za tę zbrodnię zaarrestują kogoś innego, jakiegoś nieszczęsnego żołnierza albo kogoś takiego. Nie mogłabym żyć z taką świadomością.

- Wolałbym sam się do tego przyznać zamiast ciebie - rzekł Gannon z goryczą w głosie. - Większość ludzi z towarzystwa i tak przekonana jest o mojej winie.

Claire zerknęła spod oka na Christiane.

- Wątpię, by Madame wybaczyła mi, gdybym pozwoliła wujowi pójść do więzienia.

- Madame dowiodła już, że stoi po stronie towarzystwa. I to dosyć dobitnie tego dowiodła - rzucił Gannon.

David odchrząknął.

- Musisz być zmęczona, Claire. Niech Bridey położy cię do łóżka. Czy zrobisz tak, Bridey?

Pokojówka przytaknęła.

- Słucham pana.

- Nie wiem, czy uda mi się zasnąć - marudziła Claire.

- A więc posiedzę z tobą - obiecał, biorąc ją za rękę.

Poszli we trójkę na górę po schodach, ich głosy powoli cichły.

Christiane i Gannon zostali przy stole kuchennym, naprzeciw siebie.

- Co rozumiesz przez tę swoją ostatnią uwagę? - zapytała hrabina.

- Dokładnie to, co powiedziałem. Przyjechałaś tu, wymachując pistoletem, bo myślałaś, że jestem maniakałnym mordercą. Po kobiecie,

którą kocham, spodziewałbym się raczej czegoś innego.

- Pistolet należy do Gwen. Dała mi go. Nigdy bym sama o czymś takim nie pomyślała.

- Nie wahałaś się go użyć.

Był zły, ale ona też.

- Musisz przyznać, że miałam pewne podstawy do podejrzeń.

Zostawiłeś mnie w Londynie bez słowa wyjaśnienia.

- Znalazłem liścik od Darby'ego. Cholernie dobrze wiedziałem, co od niego na mój temat usłyszysz. Doszły do mnie pogłoski, rozsiewane ukradkiem przez Greer.

- Dlaczego nigdy nie powiedziałeś mi, że tam byłeś? Że to ty znalazłeś Claire po wszystkim, co się stało?

- Ta historia raczej nie przynosi zaszczytu mojej rodzinie, prawda? - zapytał, a jego pochmurne oczy błysnęły. - Co chciałaś ode mnie usłyszeć? „Najpierw mój brat zabił stangreta i Georginę, a potem Claire zabiła jego...”

- To był wypadek!

- Towarzystwo nie dba o fakty. Żyje tylko dla plotek i pogłosek... one stanowią paszę dla tygrysów. - Piorunował ją wzrokiem. - A tobie też na niczym innym nie zależy. Bo po co inaczej spotykałabyś się z Darbym?

- Ponieważ jest moim starym, serdecznym przyjacielem.

- Do diabła z tobą - mruknął.

- Naprawdę jest, Gannonie - zapewniła go z opanowaniem. - Nie zaprzeczam, że chciał wydrukować tę historyjkę, którą kolportowała Greer. Ale najpierw zwrócił się do mnie, jako do przyjaciółki, z pytaniem, czy jest ona prawdziwa. Broniałem cię przed nim. Powiedziałam mu, że to bzdury. Powiedziałam, że jeżeli pożąda jakichś plotek, to może cały świat poinformować, iż hrabina d'Oliveri w życiu nie była taka szczęśliwa. - Popatrzyła na niego. - A potem wróciłam do domu i dowiedziałam się, że wyjechałeś.

- I to wtedy doszłaś do nieco pochopnego wniosku, że jestem mordercą?

- Nie. Wtedy doszłam do wniosku, że sukinsyn z ciebie. To Evelyn upierała się, że musisz być mordercą.



Gannon oboma rękami odgarnął włosy z czoła.

- Posłuchaj nas tylko. Posłuchaj naszych słów. Miałaś rację, mówiąc mi kiedyś, że jesteśmy oboje już za starzy. Za starzy na miłość, za starzy na zaufanie, za starzy nawet na to, by niezachwianie sobie wierzyć. Na taką naiwność trzeba mieć młode serce. A ty i ja mamy ten etap już za sobą. Bo przecież nie da się ukryć, że strzelałaś do mnie.

- Gdybyś tylko wysłuchał tej litanii ohydnych zbrodni, którą raczył nas woźnica przez całą drogę od Ballynakill: kochankowie, potomstwo, małżonkowie, wszyscy pomordowani w najokrutniejszy sposób...

- Bądź uczciwa, Christiane. Aż nadto byłaś gotowa przypisać mi zamordowanie brata i Georginy. I czemu nie? Niczego lepszego nie spodziewają się Anglicy po nieokrzesanych Irlandczykach.

Christiane pokiwała głową.

- Masz rację.

- Oczywiście, że mam. Dla was, Anglików, nie istnieje zbrodnia, której w głębi duszy nie pragnąłby popełnić Irlandczyk: pederastia, bestialstwo, świętokradztwo... a wszystko to uczyni najchętniej w pijackim otępieniu...

- Nie w tym masz rację.

- ... przygrywając sobie na harfie i tańcząc gigę. - Urwał. - A więc w czym?

- Jesteśmy za starzy. Za starzy na taką ślepą, ufną miłość jak ta, która połączyła Davida i Claire.

Gannon podniósł się, podszedł do kominka i stał, wpatrując się w żar, odwrócony do hrabiny plecami. Jego szerokie ramiona uniosły się w westchnieniu.

- Tak. Jesteśmy na to za starzy.

- Ale jest jeszcze inny rodzaj miłości, o którym mówi święty Paweł - ciągnęła cicho Christiane. - Mądra miłość. Taka, której nie zdoła oszukać ani zmienić pogarda towarzystwa. Która wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma.

Gannon uniósł głowę.

- Wszystko przetrzyma... - Oczy ich się spotkały. - Oboje strasznie lubimy uciekać, prawda?

Christiane przytaknęła. Myślała o swojej matce, która w takim

pośpiechu poślubiła ojczyma, o niechcianych atencjach przyrodniczych braci i szaleńczej gorączce, w jakiej czekała na własny debiut. Myślała o tym, jak skwapliwie zgodziła się złączyć z Haroldem Hainesworthem, byle uciec od rodziny... i jak szybko uciekła do Paryża po tym, kiedy zaatakowało ją towarzystwo.

- Prawda.

Znał ją chyba lepiej, niż sądziła.

- Uciekanie jest łatwe - powiedział. - Trudną sprawą jest utrzymanie się na kursie. Ale to nie dlatego nie ożeniłem się z Greer ani z żadną inną. Nie ożeniłem się, bo w głębi serca wiedziałem, że nie byłoby to wobec nich uczciwe. Ponieważ kochałem cię od chwili, kiedy cię zobaczyłem pierwszy raz. Wiem, że to nierozsądne. Może nawet obłąkane. Ale tak było. Miłość od pierwszego wejrzenia. - Uśmiechnął się lekko, miał speszoną minę. - Kiedy czyta się o takim uczuciu w romansach, miłość zawsze jest odwzajemniona. Może dlatego taki byłem pewien, że i ty mnie kochasz.

- Nie jestem pewna, czy nie miałeś racji - wyznała. Gannon podniósł na nią pospiesznie wzrok.

- Jean-Baptiste...

- Ja... wydawało mi się, że go kocham. Ale on nigdy... - Zaczepnęła powietrza. - On nigdy mnie nie przerażał. A ty przerażałeś mnie od samego początku. Pragnęłaś więcej, niż moim zdaniem mogłam dać. Niż chciałam dać.

- Pragnąłem cię całej - potwierdził. - To prawda. - Przerwa. - I nadal pragnę.

Christiane smętnie potrząsnęła głową.

- Sam powiedziałeś, że jesteśmy za starzy. Popatrz, z jakim pośpiechem przestaliśmy sobie ufać.

- Nie ma w tym nic dziwnego, że rozwikłanie różnych spraw musi trochę potrwać - zwrócił jej uwagę. - Żadne z nas nie jest przyzwyczajone do otwartości wobec tych, których kochamy. - Jego ciemne oczy były posępne. - Ja... nie miałem odpowiednich nauczycieli, którzy mogliby stać się dla mnie wzorem, jak powinni się wobec siebie zachowywać mężczyzna i kobieta.

- Ja również nie.

- Ale nie w tym problem. Kiedy już gotów jestem zrezygnować, wystarczy, że na ciebie spojrzę. I za każdym razem, jak na ciebie popatrzę, zakochuję się w tobie na nowo.

- Och, Gannon.

- Nie mam pojęcia, co z tym zrobić, mogę tylko nie przestawać prosić cię, żebyś za mnie wyszła.

Christiane słuchała, co powie jej serce. Nie mówiło, tylko krzychało na cały głos. Uśmiechnęła się.

- Ja również nie mam pojęcia, co zrobić... chyba że powiem: tak.

Gannon chwycił Christiane w objęcia, przywarł ustami do jej warg. Pocałunek był przeciągły, mocny i rozkoszny, a kiedy ukochany ją w końcu puścił, miał łzy w oczach.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko - wyszeptał. - Wszystko. Gdybyś poprosiła, żebym wspiął się na niebo i przyniósł ci gwiazdy, na Boga, próbowałbym to zrobić.

Wilczarze znudziły się na dziedzińcu i, oczekując niecierpliwie cwieczornej porcji smakołyków, zaczęły walić łapami w kuchenne drzwi. Christiane już otwierała usta, bo przyszło jej na myśl coś, o co mogłaby poprosić.

- Mówisz: wszystko. Czy myślisz, że mógłbyś... Gannon gwałtownie się odsunął.

- Wszystko oprócz tego.

- Ale ona tak mnie nienawidzi!

- Chloe wcale ciebie nie nienawidzi - pokpiwał z niej. - Jest tylko zazdrosna. Pogodzi się z czasem.

- Dotychczas się nie pogodziła.

Gannon prychnął śmiechem i poszedł wpuścić wilczarze.

- Za bardzo się nią przejmujesz. To tylko pies. Przecież nie... - Urwał, bo do kuchni w podskokach wpadł Homer i gorliwie wymachując ogonem podszedł do Christiane. Hrabina niespokojnie wpatrywała się w drzwi. Po chwili pojawiła się w nich Chloe.

- Co ona tam ma? - zapytała Christiane ostro, widząc, że suka w obnażonych zębach ściska coś lśniącego.

- Puść to, Chloe! - rozkazał jej pan. Suka nie wykazywała najmniejszej ochoty, by go posłuchać. - Powiedziałem: rzuć to! -

zagrzmiał takim głosem, że Homer aż się skulił. Chloe buntowniczo popatrzyła w oczy pana, odwróciła łeb, by spojrzeć na hrabinę, a potem posłuchała, chociaż bez entuzjazmu.

- „To tylko pies”? - wrzasnęła Christiane, bo na podłogę z łoskotem upadł pistolet, ten sam, który najpierw pożyczyła jej Gwen, a który potem David Wrede cisnął w wieży za okno.

Gannon nie mógł się powstrzymać. Wybuchnął śmiechem.

- Dobry z ciebie pies, Chloe! Nigdy mi wcześniej niczego nie chciała aportować!

Scandalous

---

## *Rozdział trzydziesty pierwszy*

---

- Masz w sobie kawał Irlandii, jestem tego pewien - wyszeptał Gannon, muskając w ciemnościach usta Christiane wargami.
- W tej chwili na pewno - potwierdziła i zachichotała. Gannon roześmiał się i pochylił głowę, by pocałować jej piersi, równocześnie jeszcze mocniej przywierając do ukochanej biodrami. - Spory kawał - dodała bez tchu, gładząc jego pośladki.
- A mnie tymczasem oblega ze wszystkich stron Anglia - zamruczał, ocierając się o nią powolnym, okrężnym ruchem, od którego zmysły traciła. - Co za szkoda, że dla moich ziomków to sytuacja typowa.
- Mógłbyś się wycofać.
- I może to zrobię. - Już zaczął plan wprowadzać w życie, ale Christiane wczepiła się w niego. - Albo może niczym straceniec rzucę się zuchwale do przodu.
- Och, to właśnie byłoby wskazane!
- Wiesz chyba jednak, co powiadają o pochopnych wojownikach.
- Co takiego?
- Nie trzeba długo czekać na kres ich działalności. A tego byśmy nie chcieli.
- Nie?
- Nie. Pragniemy przeciągającego się starcia, długiej walki i wielu zaciekłych potyczek. - Uniósł się nagle, chwycił w dłonie piersi Christiane i czubkami palców ugniatał nabrzmiące pączki, aż zajęczała z rozkoszy, naprężyła się i poczuła się tak, jakby całe jej ciało rozmigotało się od fal jaskrawego światła. Gannon odprężył się i przysiadł znowu na piętach. - Oraz chwil zwodniczego spokoju, kiedy obydwie strony się przegrupowują.
- Następna ofiara po stronie Anglii, jak się obawiam - powiedziała

Christiane, kiedy znowu odzyskała głos.

- Z pewnością na to właśnie Irlandia miała nadzieję. - Wyciągnął rękę i zmierzwił loczki na wzgórku wenery, a potem przesunął się w dół, aż ustami dotknął uda Christiane.

- Nie okażesz miłosierdzia, prawda?

- I nie biorę jeńców. - Musnął migdałek pożądania językiem i wsunął go głębiej, smakując sekretne miejsca ukochanej.

- Och, Gannonie...

Pieścił Christiane nieustępliwie, nieprzerwanie, upajał się rytmem jej poruszeń, widokiem napinających się mięśni. Ssał i lizał, rozchyłał i gładził, patrząc, jak jej dłonie zaciskają się gwałtownie na prześcieradłach, plecy wyginają się w łuk, oddech się przyspiesza, słuchając *crescendo* cichych, rozkosznych krzyków, kiedy zbliżała się do...

- Poddaj się - wyszeptał, unosząc głowę i zaglądając jej w oczy.

- Nigdy! Anglicy się nie... ooch! - jęknęła, bo uniósł się i wbił w nią swój oręż aż po rękojeść.

- Poddaj mi się - powtórzył, chwytając ukochaną za ramiona i unosząc z materaca. Trzymał ją tak przez chwilę, mocno przyciskając do siebie, potem opuścił znowu na miękką pościel. Wysunął z niej swój oręż i czekał...

Leżała pod nim z rozchylonymi ustami, oblana księżycowym blaskiem, który napływał przez stare okna i nadawał jasnej skórze i mrocznym włosom niezmiernego blasku.

- Ach, Christiane - szepnął i dotknął rozmierzwionych loków, obramowujących jej twarz. - To się przy tobie na nic nie zda, prawda? Nigdy się nie poddałaś. Bardzo dobrze. Wobec tego zamiast ciebie zrobię to ja.

Wbił się w ukochaną ze wzmożoną, szaleńczą energią, ujeżdżał ją dziko, namiętnie, a ona czuła narastające w nim napięcie, słyszała urywane jęki, wiedziała, że nie zdoła powstrzymać się już dużo dłużej. Dopasowała ruchy bioder do jego tempa, unosiła mu się na spotkanie, objęła piętami za łopatki...

- Och... - jęknął, zanurzając się w niej jeszcze głębiej. - Och, moja ukochana...



- Teraz - szepnęła, gładząc dłońmi pasma napiętych mięśni na plecach Gannona. - Tak bardzo cię pragnę... Pragnę... pragnę... - I oto znowu pojawił się magiczny, niemal mistyczny rytm, porwał ich oboje i zniewolił bez reszty. Poddali się sobie nawzajem: w ostatnim, szalonym pędzie do mety, przy wtórze chaotycznym krzyków i westchnień, złączeni w jedno, zwyciężali oboje. Gannon szczytował z przeciągłym, rozedrganym dreszczem. Christiane niemal szlochała, wniebowzięta. Ukochany opadł na nią, a ona z miłą chęcią przyjęła jego ciężar, czując łomotanie pulsu w głowie.

Kiedy znowu mógł się poruszyć, przeturlał się na bok, pociągając ją za sobą i mocno tuląc.

- No i co myślisz o moich pokojach? - zapytał.

- Nie bardzo się miałam szansę rozejrzeć, kiedy tu wchodziliśmy.

- Uskarżasz się na coś?

- Wcale nie. - Usta Christiane wygięły się w uśmiechu, bo przypomniał jej się szalony pośpiech, z jakim zmierzali do łóżka. - Pościel jest znakomicie miękka.

- Irlandzka - oznajmił z satysfakcją, kładąc władczo dłoń na udzie ukochanej. - A co w ogóle myślisz o Aerfaily?

Christiane przez chwilę milczała. Nie chciała go obrazić, ale nie chciała również spędzać w tej rozsypującej się ruinie więcej czasu niż to absolutnie konieczne.

- Jestem pewna, że ma wielkie historyczne znaczenie.

- Och, nie, właściwie nie ma. To standardowy trzynastowieczny stołp, a przez te siedemset lat niewiele zrobiono, by w nim coś ulepszyć. Nienawidzę go.

- Naprawdę? - zapytała ze zdumieniem.

- Boże, tak. Jak tylko wszedłem w posiadanie mego dziedzictwa, kupiłem wspaniałą ceglana rezydencję w stylu Tudorów w Cork. Spodoba ci się Cork. Naprawdę tak sędzę. Nie przypomina oczywiście Londynu ani Paryża, ale jest na swój sposób pełen życia. Poza tym przekonałem się, że, ogólnie rzecz biorąc, Anglików cechuje nienasycona ciekawość nas, Irlandczyków. Dzięki czemu łatwo nam wydawać wielkie przyjęcia. Ludzie doczekać się nie mogą, żeby przypląć promem i zobaczyć, jak bawią się dzicy Galowie.

Christiane się zaczerwieniła.

- Niewiele masz szacunku dla moich rodaków, Gannonie.  
- Podobnie jak ty dla moich - odparował i roześmiał się, kiedy się zjeżyła. - Tam do diabła, przecież to prawda. Ale tak czy owak będziesz musiała pogodzić się z Irlandią. Równie dobrze możesz to zrobić wcześniej niż później.

- Dlaczego?

- Dlaczego co?

- Dlaczego będę musiała pogodzić się z Irlandią?

- Nie za bardzo możemy osiedlić się w Anglii, prawda? Kiedy zabierzemy Claire z powrotem do Londynu, a ona wyzna, co się stało, staniemy się wszyscy kompletnymi towarzyskimi pariasami. Tym razem już bez nadziei na odpuszczenie grzechów.

- Evelyn będzie udawała, że mnie nie zna - powiedziała Christiane z żalem.

- Chyba zrozumie, co się stało. Z pewnością nie będzie winiła Claire.

- Nie... nie będzie jej winiła, a przynajmniej nie w dokładnym sensie tego słowa. Ale wiem dokładnie, co powie. - Christiane starała się mówić wyższym głosem, przedrzeźniając przełożoną. - „Mam obowiązki wobec innych dziewcząt... nie mogę pozwolić sobie na ryzyko skandalu... wystraszyłoby to matki”.

Gannon roześmiał się i, spoglądając na ukochaną w świetle księżyca, oparł głowę na rękę.

- Nie rozumiem ani ciebie, ani jej. Nie mogę się zdecydować, czy jesteście najlepszymi przyjaciółkami, czy najgorszymi wrogami.

- Jednym i drugim, jak mi się zdaje. - Wzruszyła ramionami. - Przypuszczam, że to, co czuję do niej, nie różni się tak bardzo od tego, co czuję do ciebie.

- Mam jednak nadzieję, że kilka istotnych różnic się znajdzie. - Przesunął palcami od jej szyi do piersi.

- Kilka - zgodziła się. - Ale jest jedyną poza tobą osobą na świecie, która potrafi mnie tak rozżłościć.

- Nie przyjedzie na ślub? Christiane potrząsnęła głową.

- Najmniejszej szansy nie ma, żeby przyjechała. A szkoda. Tak się cieszyłam, że uda mi się doprowadzić do tego, by przynajmniej Gwen,

Bess i Petra ułożyły sobie życie.

- Może gdybym ja z nią porozmawiał... wyjaśnił, jak miały się sprawy z Hugh...

Hrabinę przeszedł dreszcz.

- Zupełnie jakby nie dość jeszcze była uprzedzona w stosunku do Irlandczyków! Gdyby kiedykolwiek dowiedziała się, jak okropnie traktował twój brat biedną Georginę...

Dłoń Gannona, która z zapalem wędrowała po jej ciele, na moment zamarła. Christiane czekała.

- Hmm - powiedział Gannon.

- Hmm co?

Gannon podjął przerwana działalność i złożył na jej piersi pocałunek.

- Nic. Zdawało mi się, że słyszę psy.

- Ja niczego nie słyszałam. - Przytuliła się mocniej do niego. -

Dobrze, że mamy siebie, ponieważ pewnie już nikt inny nas nie przyjmie.

- Czy taka perspektywa cię martwi? Christiane zastanowiła się.

- Raczej jestem z niej zadowolona. Całe życie we dwoje, tylko ty i ja...

Uspokojony i rozradowany Gannon znowu się z nią kochał.

---

## *Rozdział trzydziesty drugi*

---

- Wyobrazić sobie nie potrafię, dlaczego miałby pan przyjeżdżać aż z Londynu tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć - protestowała pani Treadwell, patrząc na swego gościa, niewysokiego człowieczka z niczym nie wyróżniającą się brązową czupryną i dziwaczną, niebieskoczną plamą w poprzek mankietu porządnie już znoszonego surduta.

- Jest pani najstarszą przyjaciółką pani hrabiny, czyż nie? - powiedział życzliwie.

- Byłam - poprawiła go przełożona. - Ale już nie jestem.

- Boże drogi. - Przesłonięte okularami oczy gościa zamrugały. - Przykro mi to słyszeć. Czy byłoby niedelikatnością z mojej strony, gdybym zapytał, co spowodowało ten rozdźwięk między paniami?

- Bez wątpienia byłoby to niedelikatnością, panie Darby.

- Proszę więc o wybaczenie. Chodzi mi tylko o to, że... pani hrabina nieodmiennie wyraża się o pani z wielkim entuzjazmem. Trudno wyobrazić sobie, by cokolwiek mogło zniszczyć głęboką sympatię, jaką do pani odczuwa.

Pani Treadwell dołala sobie odrobinę śmietanki do herbaty i mieszała ją, przygryzając wargę. Matthew Darby czekał cierpliwie. Miał za sobą trzy dziesiątki lat doświadczenia w podsuwaniu opornym plotkarzom okazji, pozwalającej im powiedzieć to, czego rozgłoszenia doczekać się wprost nie mogli; niewielu z nich potrafiło się takiej sposobności oprzeć.

- Nie wierzę, by straciła do mnie sympatię - przyznała w końcu przełożona. - Klóciłyśmy się już wcześniej, ona i ja.

Tylko że nigdy tak... gwałtownie. - Jej niebieskie oczy nagle wezbrały łzami. - Chodzi o to, że tak trudno było mi patrzeć, jak robi z siebie idiotkę dla niego.

- Chodzi pani o lorda Carew.

Evelyn przytaknęła, ocierając oczy chusteczką.

- A podczas tej ostatniej awantury rzuciła mi w twarz, że w ogóle nie chciała przyjąć Claire do akademii. To prawda, że kiedy znowu po tylu latach ujrzała lorda Carew, po prostu zionęła ogniem na niego.

Pamiętam, że już wtedy zastanawiałam się, dlaczego miałaby poczuć się aż tak rozdrażniona. Porozmawiałam z nią otwarcie w ten sam wieczór.

A ona przyznała... - Przełożona wyglądała tak, jakby ugryzła się w język.

- Ale to nie ma nic do rzeczy. Przecież przyjęłam hrabinę pod swój dach nawet wtedy, kiedy Carew odszedł i ją zostawił, prawda? Nawet wtedy!

Ale ona uparła się, że pojedzie do Irlandii, że będzie za nim gonić. -

Podniosła wzrok i z wyzwaniem spojrzała Matthew Darby'emu w oczy. - Jeżeli jest coś, czego znieść nie potrafię, sir, to wyzuta z godności kobieta.

- Nie mógłbym bardziej się z panią zgodzić - zapewnił ją wydawca.

- A jakże mówić o godności - ciągnęła żałośnie pani Treadwell - kiedy kobieta goni za mężczyzną, który porzucił ją bez słowa wyjaśnienia?

- Doprawdy, nie ma jak. Oczy Evelyn się zwęziły.

- Proszę posłuchać, panie Darby. Czy przyjechał pan tutaj w jakichś sprawach zawodowych, czy też tylko jako przyjaciel Christiane?

- No cóż, tak się składa, że i jedno, i drugie. Od kilku dni, od kiedy rozeszły się wieści o całej tej historii... o hrabinie i lordzie Carew, i dziewczynie... w Londynie aż huczy... Miałem nadzieję, że pomoże mi pani całą sprawę jakoś rozwikłać.

- Do publikacji?

- Gdyby to było możliwe - powiedział Darby.

- Och, to wykluczone - zapewniła pani Treadwell. - Czegoś takiego nigdy bym hrabinie nie zrobiła: Nawet za milion lat.

- Jak mi się zdaje, zamierza ona nadal poślubić lorda Carew? Pani Treadwell przytaknęła.

- A wie, co o tym myślę! Ja w uroczystości udziału nie wezmę, ale dziewczęta pojedą. Błagały i błagały, aż mi się w głowie zaczynało kręcić. Tak bardzo ją lubią. - Podniosła filiżankę i zapatrzyła się na herbatę. - Naprawdę nie miałam wyboru, musiałam ją poprosić, by zrezygnowała ze swojego stanowiska, chyba zgadza się pan ze mną,

panie Darby? Nie ustatkowała się, nie zerwała z przeszłością, jak obiecywała. Przez swoje wybryki z lordem Carew dawała dziewczętom fatalny przykład. Proszę tylko pomyśleć, jak zbulwersowane poczułyby się matki moich uczennic, gdyby kiedyś dowiedziały się o jej związkach z akademią.

- Przekonany jestem, że ma pani całkowitą rację - zaintonował pan Darby. - Prawdę rzekłszy, jestem nawet zdania, iż to nader szczęśliwy zbieg okoliczności, że pani hrabina i panna Finn odeszły stąd właśnie w tym momencie. Jakiegokolwiek dalsze stosunki z nimi doprowadziłyby pani szkołę do kompletnej ruiny.

Przełożona wpatrywała się w niego z trwogą.

- Dlaczego miałby pan coś takiego mówić?

Pan Darby przysunął się troszkę bliżej z krzesłem.

- A więc nie słyszała pani? Panna Finn wróciła do miasta dwa dni temu i przyznała się, że zamordowała swego ojca.

Evelyn zrobiła się blada jak płótno.

- Nie! To nie może być prawda! Claire nie jest do czegoś takiego zdolna!

- Obawiam się, że nie ma tu żadnych wątpliwości. Władze mają wszystko na piśmie. Przyznała, że go zakłuła nożem.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nie uwierzę w to. Czy matkę również zabiła? - pytała przejęta zgrozą przełożona. - I stangreta?

- A. - Pan Darby pogładził się z namysłem po nosie. - Tu właśnie cała opowieść robi się interesująca. - Przerwał. - Ufam, że mogę zdać się na pani dyskrecję, pani Treadwell?

- Och, bezwarunkowo! - szepnęła przełożona. Wydawca „Guardiana” uśmiechnął się powoli.

- No cóż. Przypuśćmy, że powiem pani, czego się dowiedziałem.

- Mój agent ma już ofertę na ten dom - odezwał się Gannon do Christiane. Przechadzali się właśnie po ogrodzie rezydencji przy Berkeley Square. Był wrześnieowy poranek i cały Londyn zajmował się składaniem wizyt. - Obawiałem się, że trzeba będzie decyzję na trochę odłożyć, ale akurat w tym momencie rynek się ruszył. Dobrze się składa.

- Zawsze wydawało mi się, że ten dom tak naprawdę nie jest twój - rzekła z zadumą hrabina, oglądając się na wznoszącą się za nimi bryłę



budynku.

- Zgodnie z moim planem miał być tylko *pied-a-terre* przed debiutem Claire.

- Korona okazała wielką przyzwoitość, traktując ją w ten sposób, nie sądzisz? - Tu wzięła Gannona za rękę. Podchodzili właśnie do bukszpanowego żywopłotu.

- Cholernie wielką przyzwoitość - stwierdził z przekonaniem. - Aż żałuję, że nie zaprowadziłem jej tam sześć miesięcy temu.

- Sześć miesięcy temu nie pamiętała, co się stało - zwróciła mu uwagę hrabina. - A dodatkowo pomógł nam fakt, że Korona rozpaczliwie chciała już zamknąć sprawę po tak długim czasie.

- Ciągle wiąże się z tym jednak poważniejszy problem, niż samo uniknięcie oskarżenia. - Gannon popatrzył na ukochaną. - Czy uda jej się zostawić to przeżycie za sobą, Christiane?

- Myślę, że tak. Z pomocą Davida.

- Coś cię gnębi - zauważył, widząc cień w jej ciemnych oczach.

Christiane lekceważąco wzruszyła ramionami i potrząsnęła przy tym głową.

- Poszliśmy wczoraj z Claire do sklepu Madame Descoux na ostatnią przymiarkę naszych ślubnych sukien. I jak myślisz, kogo tam zastałyśmy?

Gannon jęknął.

- Nie Greer?

- A kogóż by innego. Bawiła się cudownie, informując szeptem każdego, kogo tylko zdołała dopaść, że prawo mogło darować winę Claire, ale towarzystwo nigdy jej nie wybaczy.

Gannon przystanął, trzymając Christiane za obie dłonie. Nad ramieniem hrabiny połyskiwał miniaturowy Tadz Mahal.

- Claire się chyba tym nie przejęła, prawda?

- Och, nie. To taka domatorka. Nigdy razem z innymi dziewczętami nie cieszyła się na udział w balach czy fetach. Będzie idealnie szczęśliwa, opiekując się Davidem i prowadząc mu dom.

Gannon pochylił się, by ją pocałować.

- A co tobie da szczęście, kiedy się już pobierzemy?

- Jak to... oczywiście opiekowanie się tobą.

- Mną nie za wiele trzeba się opiekować - zauważył Gannon z ironią.  
- To jeden z minusów, kiedy poślubia się człowieka w latach, takiego jak ja.

- Przypuszczam, że zawsze zostają nam podróże.

- Jakoś nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie.

- Muszę przyznać, że czułam się kompletnie wyczerpana, kiedy wróciliśmy z Irlandii. Wszystkie te przesiadki z jednego powozu do drugiego, podróże statkiem, pakowanie, rozpakowywanie... to jeden z minusów, kiedy poślubia się kobietę w latach, taką jak ja. Zamierzam radzić wszystkim naszym uczennicom: „Pamiętajcie, żebyście podróżowały za młodu!”. - Tu opamiętała się i krótko roześmiała. - Co ja mówię? Przecież one już nie są moje, prawda? Jakie to niemądre z mojej strony.

- Tak wiele dałaś z siebie, pracując w akademii - powiedział miękko Gannon. - Wyobrażam sobie, jak musi ci być jej brak.

- Myślę, że wszystko ułożyło się jak najlepiej, Gannonie, naprawdę. Byłam szalona, sądząc, że akademia miała najmniejszą choćby szansę, by cokolwiek zmienić. - Spojrzała ukochanemu przez ramię i zobaczyła, że idzie w ich kierunku O'Malley.

- Przepraszam pana, milordzie - powiedział z ożywieniem kamerdyner - ale Madame ma gościa.

- Czy tak, O'Malley? Pojęcia nie mam, kto... - Christiane sięgnęła po leżącą na tacy wizytówkę i przez chwilę wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. - To musi być jakaś pomyłka.

- Tego nie wiem, milady, ale ta dama czeka w salonie... - Jeszcze nie skończył, a hrabina już chwyciła spódnicę po obu stronach w dłonie i puściła się biegiem do domu.

Jednak kiedy znalazła się przy drzwiach, przystanęła na moment, by przyglądać loki i poprawić rękawy. Potem wyprostowała się w ramionach i z wysoko uniesioną głową weszła do salonu.

- Och, Evelyn, cóż za rozkoszna niespodzianka - powiedziała filuternie.

- Wątpię - prychnęła przełożona.

- Czy przyjechałaś, by ponownie przestrzec mnie, że nie powinnam wychodzić za mąż za mordercę?

- Och, nie. Ani trochę. Słowo daję, że kiedy pan Darby powiedział mi, co naprawdę się stało...

- Pan Darby? Pan Matthew Darby? - W głosie Christiane słychać było niedowierzanie. - A gdzie ty się z nim spotkałaś?

- Przyjechał do akademii, by złożyć mi wizytę. Podejrzewam, że próbował wygrzebać jakieś materiały dla tej skandalicznej gazety, którą wydaje.

- Darby przyjechał do akademii? - Christiane wciąż nie mogła tego pojąć. Taki postępek wydawał się całkowicie do niego niepodobny.

- O, tak Zadawał przeróżne pytania o ciebie i o Claire. Oczywiście nic mu nie zdradziłam. Absolutnie nic. Ty i ja mogłyśmy się poróżnić, ale nie należę do ludzi, którzy roznoszą plotki. Wręcz przeciwnie, udało mi się sytuację odwrócić!

- Jakim cudem? - zapytała z trwogą hrabina.

- No przecież wyciągnęłam z niego całą tę historię.

- Historię...?

- O tym, jak Claire zabiła swojego ojca, oczywiście.

- A Darby ci wszystko opowiedział, czy tak? - Christiane zaczęła zastanawiać się, czy aby jej wieloletnie zaufanie do wydawcy nie było jednak źle ulokowane.

- Bez wątpienia. - Pani Treadwell pokiwała siwą głową. - I muszę powiedzieć, że stawia to całą sprawę w kompletnie nowym świetle. To dlatego tu przyjechałam.

- Tak powiadasz - mruknęła Christiane, skonsternowana już bez reszty. - Czy zechciałabyś mi powtórzyć, co takiego powiedział pan Darby?

- Opowiedział mi o wszystkim: jak Hugh Finn zabił stangreta, kiedy ten biedak próbował powstrzymać go, by nie bił Georginy, jak Hugh zabił Georginę, a potem jak Claire zabiła nożem Hugh, kiedy rozwścieczony zaatakował i ją.

- To właściwie prawda.

- A co więcej, wyjaśnił mi, że lord Carew przyjął Georginę, kiedy była w błogosławionym stanie z drogą Claire, dlatego, by Hugh nie mógł jej bić, aż straci i to maleństwo. Przyznam ci się, że sama płakałam jak dziecko, słuchając jego opowieści. Biedna Georgina, być żoną takiego

potwora! Na Boga, kiedy przypomnę sobie, jaka była śliczna i pełna życia... - Evelyn urwała, pogrzebała w torebce i dotknęła oczu koronkową chusteczką. - Człowiek nigdy nie wie, co dzieje się za okiennicami u innych, prawda?

- Tak, to prawda - zgodziła się hrabina. Przełożona uniosła brodę do góry.

- A kiedy już wysłuchałam przerażającej opowieści pana Darby'go, przekonała mnie ona o jednym, Christiane.

- A o czym, Evelyn?

- Że praca akademii musi trwać. Jest to absolutnie kluczowa sprawa. Sam pan Darby powiedział: „Proszę sobie tylko wyobrazić, jak inaczej mogłoby potoczyć się życie Georginy, gdyby ktoś, ktokolwiek, nauczył ją bronić swoich praw i wierzyć w siebie”.

- Rozumiałam, że zamierzasz nadal prowadzić tę akademię. Błękitne oczy pani Treadwell wpatrywały się badawczo w twarz hrabiny.

- Widzisz, na tym polega problem. Akademia to nie ja. Obydwie to wiemy. Ja jestem tylko... administratorem. To ty zawsze byłaś jej sercem i duszą.

- Boże, Evelyn, to nie tak. Dziewczęta w bardzo wielu sprawach polegają na tobie. Mnóstwa rzeczy od ciebie się uczą...

- Ja uczę je, jak dygać i jak wybrać właściwy widelczyk, to prawda, ale nie uczę tego, co najważniejsze. Tego się uczą od ciebie. Jak iść za głosem serca. Jak bronić tego, w co wierzą. Jak cenić sobie przyjaźń kobiet. Ja tego ich nauczyć nie potrafię. - Oczy jej znowu wezbrały łzami. - Jak mogłabym uczyć czegoś, czego sama nigdy się nie nauczyłam?

- Evelyn, proszę, nie płacz.

- Nic na to nie poradzę - pociągnęła nosem przełożona. - Czuję się jak kompletna idiotka. Tak się strasznie wstydę! Że mogło mi bardziej zależeć na zdaniu pani Minton czy lady Calhoun niż na tobie, i to po wszystkim, co razem przeszliśmy... - Zaczerpnęła głęboko powietrza. - Nie będę cię prosiła o przebaczenie, bo nie zasługuję na nie. Chciałam ci tylko po prostu powiedzieć, że jest mi przykro, i życzyć ci szczęścia z lordem Carew. No. Skończyłam. Teraz już sobie pójdę. - Ruszyła do drzwi. - Chwileczkę - zatrzymała ją hrabina.

- Pewnie chcesz mi porządnie natrzeć uszu. Bardzo dobrze, słucham - powiedziała dzielnie przełożona.

- Chcę zrobić to. - Christiane podeszła i chwyciła przyjaciółkę w objęcia.

Evelyn zaszlochała i również ją objęła.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam, Christiane! Nie masz pojęcia...

- Och, mam. Za każdym razem, kiedy myślałam o dniu mojego ślubu, niedobrze mi się robiło z żalu, że cię tam nie będzie.

- Okazałam się zazdrosną starą sekutnicą, ot co.

- A ja okazałam się kompletną idiotką... zbyt dumną, by przyjść do ciebie i powiedzieć ci, co czuję i jak straszliwie mi ciebie brakowało. -

Christiane ujęła starą przyjaciółkę za dłonie i uścisnęła je mocno. -

Dzięki Bogu, że ty przyszedłeś do mnie.

Nieco zażenowana uzewnętrznieniem tak wielkich emocji Evelyn skorzystała z okazji, by rozejrzeć się po pięknym salonie.

- Wielkie wrażenie robi ta rezydencja, którą zajęliście - rzekła z podziwem. - I do tego w tak wspaniałej dzielnicy.

- Och, nie zatrzymamy się tutaj. Gannon już ma kupca na dom. Londyn jest całkiem nam obojętny.

- A więc wyjeżdżacie z miasta. - Christiane przytaknęła. - A dokąd się wybieracie?

- Gannon ma majątek pod Cork. - Cork?

- W Irlandii.

- O. - Miną pani Treadwell całkiem zrzędła. - Do Irlandii jest tak daleko...

- Ale zastanawiałam się... - Tak?

- To dziwne, wiesz, ale bardzo polubiłam Kent. Oczy przełożonej się rozszerzyły.

- Czy chcesz powiedzieć, że wróciłabyś?

- W jednej chwili, jeżeli mnie przyjmiesz.

- Och, Christiane! - Pani Treadwell tak była podniecona, że aż zatańczyła z hrabiną w kółeczko, wciąż trzymając przyjaciółkę za rękę.

- Ale pod jednym warunkiem.

- Pod każdym. Co tylko zechcesz!

- Że przyjedziesz na mój ślub.

- Nie utrzymałabyś mnie z dala za nic na świecie. - Pani Treadwell pociągnęła przyjaciółkę na kanapę. - Musisz mi wszystko opowiedzieć. Jakie będziesz miała kwiaty? Kto szyje ci suknię?

- Chciałabyś napić się trochę sherry, Evelyn? - zaproponowała Christiane.

- Nie powiem nie. Trzeba to przecież uczcić. Christiane naląła dwa kieliszki.

- Za stare przyjaciółki - oświadczyła Evelyn i trąciła się z nią kieliszkiem.

- Niezależnie od ich wieku! - zgodziła się Christiane.

Scandalous



---

## *Rozdział trzydziesty trzeci*

---

- Teraz powinienes pocalować pannę młodą, jak mi się zdaje - oświadczył stanowczo Silas Brown grzmiącym głosem.

David Wrede zastosował się z zapalem do jego polecenia, a goście, zebrani na dziedzińcu „Akademii pani Treadwell dla podniesienia poziomu umysłowego młodych dam” roześmieli się i zaczęli klaskać. Gannon poszedł za przykładem Davida z takim entuzjazmem, że Christiane musiała go od siebie odepchnąć, by zaczerpnąć tchu.

- Proszę cię, Gannonie! Dajesz zły przykład Davidowi i Claire!

- To raczej David i Claire nam dają zły przykład - zauważył.

Christiane popatrzyła na młodą parę, która wciąż ochoczo się obejmowała.

- Albo dobry przykład - poprawiła się i, ku wielkiej radości Gannona, zarzuciła mu znowu ręce na szyję. Druhny tego podwójnego wesela, Bess, Gwen i Petra, liczyły, ile sekund trwa pocałunek Davida i Claire:

- Trzydzieści siedem! Trzydzieści osiem! Trzydzieści dziewięć...

Ktoś postukał Gannona po ramieniu.

- Nie przeszkadzaj - wymamrotał lord Carew, starając się nie przerywać pocałunku. - Zamierzamy pokonać tych młodzików. - Zerknął przez ramię, kto to. - Och! Przepraszam, pani Treadwell.

- Pani T. - nalegała przełożona. - Musi pan zwracać się do mnie tak, jak dziewczęta. A ja tylko chciałam ucałować pannę młodą, również.

Christiane z radością odwzajemniła jej uścisk.

- Taka ci jestem wdzięczna za sugestię, żeby ślub odbył się tutaj, Evelyn. To idealne miejsce, naprawdę idealne.

- A gdzie indziej mógłby się odbyć? Przecież to twój dom, był i zawsze nim będzie.

- Mam nadzieję, że kucharki nie wytrącił z równowagi taki tłum do nakarmienia - wtrącił Gannon.

- Kucharka uwielbia się popisywać i sam pan o tym wie - zapewniła spokojnie przełożona.

- Sto! - zapiąły druhny, kiedy David niechętnie wypuścił zarumienioną Claire z ramion.

- Boże, Davidzie - powiedziała półgłosem zażenowana, ale jej szare oczy lśniły.

David natychmiast podjął przerwana działalność, a goście znowu chóralnie zaczęli pohukiwać.

Christiane stała i przyglądała się im, trzymając po jednej stronie pod rękę panią Treadwell, a po drugiej Gannona.

- Zazdroszczę im dzisiejszej nocy - szepnęła.

- Ja nie - powiedziała przełożona i przeszedł ją dreszcz.

- Gdyby mieli trochę rozumu - zamruczał Gannon - zazdrościli by nam.

Christiane zastanawiała się przez chwilę.

- Masz rację - oświadczyła w końcu i mrugnęła do niego.

- Wie pani co, przegraliście państwo - oświadczyła Bess, podskakując obok nich.

- Pozwoliliśmy się im pobić - odparła hrabina. - Uznaliśmy, że będzie to szlachetny postępek. Wy, młodzi, upieracie się, że rynek namiętności to wasza domena, ale my wiemy lepiej, czyż nie, Gannonie?

- Bez wątpienia.

- Bess, fryzura ci się znowu rozlatuje - gorączkowała się pani Treadwell. Podniosła rękę, by przyglądzić niesforne, rude loku Bess odskoczyła.

- Proszę ich nie ruszać! Ani jednego pasemka!

- Ale...

- Lord Riverton - oznajmiła wyniośle młoda panna - dopiero co powiedział mi, że w moich włosach widzi „wspaniałą powódź promiennego ognia”. - Wszyscy wytrzeszczyli oczy. - Nie macie się państwo co tak dziwić! - prychnęła Bess, niby to bardzo oburzona.

- Młody Neville Riverton? - zapytała pani Treadwell, z jej głosu przebijało oszołomienie. - Dziedzic lorda Rawnleigha? A gdzież ty go

poznała?

- Madame przedstawiła mi go w teatrze w Londynie. Jest przyjacielem przyjaciela lorda Carew, pana Coleridge'a. A do tego pisze sztuki!

Przełożona odwróciła się gwałtownym ruchem do Christiane.

- Umiesz dochować sekretu, prawda?

- Nie byłam pewna, czy spodoba się Bess - usprawiedliwiała się skromnie hrabina.

- Miałby się jej nie spodobać? Z takim olbrzymim majątkiem.

- Och, nie dbam o jego majątek - oświadczyła Bess, kiedy dżentelmen, o którym mowa, podszedł i poprosił ją, by poszła z nim napić się szampana. - Czy wspominałam już, że pisze sztuki? - rzuciła przez ramię, pozwalając się Rivertonowi poprowadzić do stołu.

Teraz podeszła do nich z kolei Gwen.

- Łamałam sobie głowę nad tym, czego uczyła nas pani Caldburn - zażartowała, przyglądając się nowożeńcom. - Czy mam panu pogratulować, milordzie, i życzyć Madame szczęścia? Czy odwrotnie?

- Może nam pani obojgu pogratulować - zdecydował natychmiast Gannon, a równocześnie hrabina powiedziała:

- Życz mi szczęścia!

Gannon uniósł brew i spojrzał na żonę.

- Czy myślisz, że ci się przyda?

- Jestem tego pewna. Gwen roześmiała się.

- A więc tego państwu życzę!

Podszedł do niej mocno zbudowany młody człowiek z długimi jasnymi włosami i w okularach; ukłonił się pięknie Gannonowi i rzekł:

- Proszę przyjąć gorące powinszowania, milordzie. A dla pani wiele szczęścia. - Pochylił się nad dłonią Christiane.

- Pozer! - prychnęła Gwen.

Niebieskie oczy młodzieńca rozszerzyły się ze zdumienia.

- Co, czyżby udało mi się to zrobić, jak należy? Christiane parsknęła śmiechem.

- Tak naprawdę nikt z nas nie jest pewien. Będziemy musieli zwrócić się do pani Caldburn.

Pani Treadwell odchrząknęła znacząco. Gwen popatrzyła na nią

krzywo, ale zaraz się opamiętała.

- Och, bardzo przepraszam. Zapomniałam o prezentacji, prawda? Obawiam się, że całkowity ze mnie towarzyski nieudacznik. Pani Treadwell, proszę pozwolić, że przedstawię pana Gouvernoura. Panie Gouverneur, to jest nasza ukochana przełożona akademii, pani Treadwell.

- A więc to pani jestem winien wdzięczność, droga damo! - oświadczył pan Gouverneur, potrząsając jej ręką.

- Za co? - zapytała przełożona rozpromieniona.

- Za pierwszą znaną mi młodą damę, która chętna jest, by robić notatki... nie mówiąc już o tym, że nie waha się, kiedy czasami trzeba wbić skalpel... podczas badania tru...

- Czy wie pan, panie Gouverneur - przerwała mu Gwen wesoło, ale stanowczo - że po prostu marzę o kieliszku szampana. Czy moglibyśmy pójść i się napić?

Pan Gouverneur poprawił sobie okulary na nosie.

- Oczywiście, kochana, czego tylko sobie pani życzy. To zaszczyt dla mnie poznać panią, pani Treadwell. Lordzie i lady Carew, serdeczne powinszowania.

- Dziękujemy - powiedziała Christiane z powagą, ponieważ Gannon z takim trudem powstrzymywał wybuch śmiechu, że nie był się w stanie odezwać.

Pani Treadwell wyraźnie się rozzłościła.

- Niech zgadnę. Przedstawiłaś ich sobie w Londynie.

- Wydawali się idealnie do siebie pasować - wyjaśniła bezradnie Christiane.

- Oświadczam, że czuję się tak, jakbyś bez mojej wiedzy wszystkim zaplanowała przyszłość!

- Jest jeszcze Petra - zwrócił jej uwagę Gannon.

- Żeby nie wspomnieć o całej reszcie młodszych panienek - przypomniała Christiane przyjaciółce. - Oraz nowe grono, które zaczyna za tydzień od dziś.

- Czy jesteś pewna, że nie chcecie mieć więcej niż tydzień miesiąca miodowego? - zapytała przełożona.

- Ależ pani T. - odezwał się Gannon zgorszonym tonem. - Cóż za

nieobyczajna uwaga!

Pani Treadwell natychmiast dała mu klapsa wachlarzem.

- Jak mogłabym cieszyć się własnym szczęściem - zapytała przełożoną Christiane - gdybym nie dopilnowała, by ułożyli sobie życie ci, do których jestem tak przywiązana? W tym momencie u ich boku pojawiła się Clarissa.

- Za pani pozwoleniem, pani Treadwell, psze pani. - Przykucnęła w dygu przed Christiane i Gannonem. - Najlepsze życzenia szczęścia, milordzie i Madame.

- Dziękuję, Clarisso. Nie wiesz przypadkiem, czy kucharka na tę uroczystość przygotowała tartę z pigwami? - zapytał Gannon.

- Całą masę - oświadczyła pokojówka, a oczy jej zabłyśły. - Ale ktoś chce się z panią zobaczyć, psze pani.

- Ze mną? - powtórzyła z konsternacją pani Treadwell. - Teraz?

- Tak, psze pani. Powiedziała, że to nagły przypadek.

- Och, na litość boską. A czy miała wizytówkę? Clarissa zmarszczyła nos.

- No pewnie żem ją zapytała, a co ona na to? Powiedziała, że wołałaby nie. Strasznie wyniosłe maniery przybiera, psze pani, jakby mnie kto pytał.

- Nie chciała dać wizytówki? Jakież to intrygujące - zauważyła przełożona. - Gdzie zainstalowałaś tę tajemniczą osobę?

- W pani saloniku, psze pani.

- Wybaczcie mi na moment, proszę. Zaraz wracam. - Najwyraźniej zaciekawiona pani Treadwell pospiesznie weszła do budynku.

- Pocałuj mnie znowu - poleciła Christiane Gannonowi.

- Pomyślałem sobie, że może najpierw kawałek tarty z pigwą..

Christiane spojrzała na niego ze zgrozą.

- Żartowałem tylko - stwierdził z naciskiem i pochylił się nad żoną.

- Evelyn ma rację - narzekała Christiane. - Rzeczywiście okropny z ciebie kłamca!

Minęło pół godziny, zanim w końcu pojawiła się ponownie pani Treadwell i z drugiego końca dziedzińca zaczęła kiwać na Christiane.

- Chodźcie tu! - wołała, wymachując szaleńczo rękami.

- Ma jakiś taki dziki wyraz oczu - zauważył Gannon, przepychając

się z Christiane przez składający gratulacje tłum.

- Nigdy się nie domyślicie, kim był mój gość - oznajmiła Evelyn, kiedy dotarli do niej.

- Przyjechał regent, żeby zapisać do nas księżniczkę Charlotte? - podsunął Gannon.

- Na to już za późno - mruknęła półgłosem Christiane. Evelyn potrząsnęła głową i mocno zacisnęła wargi. Miała tak zadowoloną minę jak kot, który dobrał się do śmietanki.

- Nie drocz się ze mną, Evelyn! - zbeształa ją Christiane. Nie musiała się trudzić; przełożona najwyraźniej nie była już w stanie zachować tajemnicy ani chwili dłużej.

- Lady Calhoun! - oznajmiła triumfalnie.

- Ta lady Calhoun, która trzyma w swoim ręku klucze do Almacka? - zapytał Gannon, jego ciekawość została podrażniona.

- Ta sama - potwierdziła Evelyn.

- O, jak ja nienawidzę tej damy - oświadczyła Christiane. - Była najgorszą ze wszystkich tygrysic! Ale co, u licha, mogło ją tu sprowadzić?

- Pisklęta - oświadczyła przełożona.

- Co za pisklęta?

- Te, które się w końcu zawsze przeciw rodzicielom obróca. A konkretnie jej najmłodsza córka, Isabella. Ma szesnaście lat, powiada Theodora, a zwariowana jest, jakby ją opętało. Próbowwała już uciekać z chłopcem stajennym, dwa razy. Za ostatnim razem dojechali do Newcastle, zanim ojciec i bracia dogonili ich i siłą zawlekli panienkę z powrotem do domu.

- Wyobraźcie sobie państwo - mruknęła Christiane, której nie udało się przywołać na twarz przekonującego wyrazu współczucia.

Evelyn nawet nie próbowała.

- Theodora płakała - oznajmiła z ogromną satysfakcją. - Siedziała w saloniku, łzy strumieniem spływały jej po twarzy i błagała mnie, żebym przyjęła Isabellę. „Jesteś moją ostatnią nadzieją, Evelyn”, tak mi powiedziała.

- A co ty powiedziałaś? - spytała chciwie Christiane.

- No cóż, biorąc pod uwagę okoliczności, uznałam za stosowne



zdradzić jej, że jesteś moją partnerką.

- A lady Calhoun powiedziała na to...? - przynaglił ją Gannon.

- A lady Calhoun powiedziała na to: „Och, na litość Pana, Evelyn, wszyscy o tym wiemy”. Potem zapłaciła z góry za dwa semestry.

Christiane przez chwilę wpatrywała się z niedowierzaniem w przyjaciółkę, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Lady Calhoun zapisała do nas swoją córkę?

- Nigdy bym w coś takiego nie uwierzyła - oświadczyła Evelyn - gdyby nie stało się to na moich oczach.

Gannon przycisnął żonę mocniej do siebie.

- Jeżeli ta wasza buntownicza akademicka czegoś uczy, moje damy, to tego, iż nigdy nie należy być tak zuchwałym, by mówić „nigdy”.

- Nigdy - zgodziła się z nim bez tchu Christiane i odwróciła się, by mogli się pocałować.